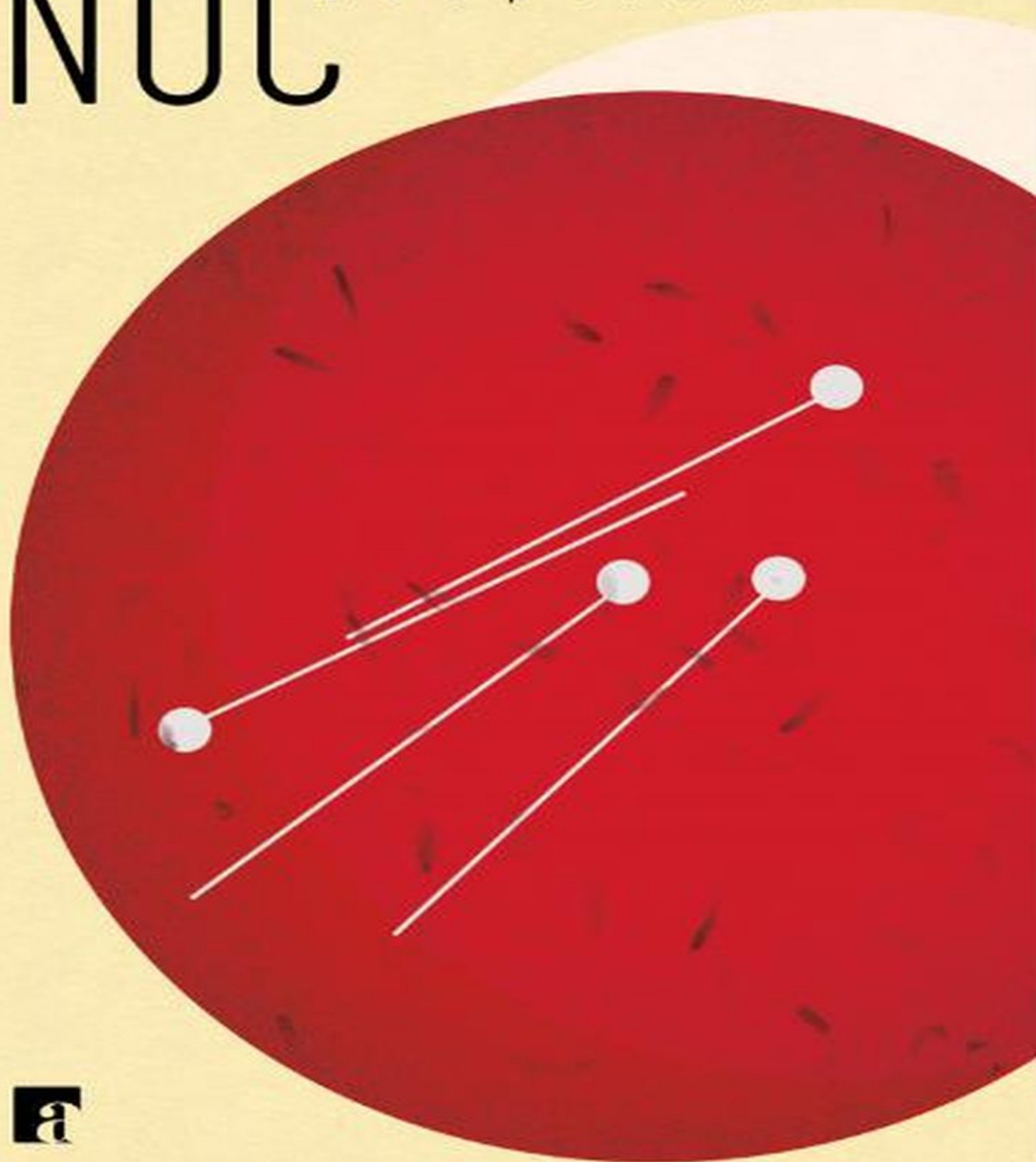


Santiago Roncagliolo

# NOC *s z p i l e k*



przełożył Tomasz Pindel

Santiago Roncagliolo

# **Noc szpilek**

Przełożył Tomasz Pindel

ArtRage  
Warszawa 2024

# Spis treści

1. Narząd rozrodczy

2. Browning

3. Mój plan

4. Piwnica

5. Piękny film

*Dla:*  
*Silvii Bastos*  
*Pilar Reyes*  
*Marty del Riego*  
*Edith Grossman*

*za to, że zawsze są blisko*

*A teraz się przekonamy, kto tu jest Prawem.*

Radio Futura

*Noc się skończyła  
być może powinniśmy  
uciec bez ciebie.*

Legião Urbana

*As soon as I'm left alone  
The devil wanders into my soul.*

PJ Harvey

# 1. Narząd rozrodczy

## Carlos

Nie byliśmy przecież żadnymi potworami. Możliwe, że trochę... przeholowaliśmy. Ale tylko przez chwilę. Parę dni raptem. I parę nocy.

To nic takiego. Wszyscy dookoła byli znacznie gorsi.

To prawda: to, co zrobiliśmy, pewnie nie trafiłoby do podręczników dobrych manier. Może raczej do działu kryminalnego jakiejś gazety, między przestępstwami na tle seksualnym i napadami z bronią w rękę. Jednak jako karnista mogę przywołać kilka okoliczności łagodzących: niepełnoletniość, obrona własna, przedawnienie sprawy... O ile w ogóle można tu mówić o jakiejś sprawie. Wcale nie mam w tym względzie pewności. W parę godzin mógłbym dostarczyć orzeczenie udowadniające, że wszelkie oskarżenia są bezzasadne.

Choć tak w ogóle to trzymałbym się prawa do odmowy zeznawania we własnej sprawie.

Nie mam ochoty siedzieć przed kamerą i opowiadać o tym wszystkim, jakby to była jakaś młodzięcza przygoda albo spacer po plaży. Dlaczego teraz? Po tak długim czasie? I po co przywoływać ten koszmar? Całe życie próbuję o tym zapomnieć.

No wiem, wiem.

Nie mam wyjścia.

Będzie gorzej, jeśli odmówię, mam rację?

Będę mówił. Powiem wszystko, co chcesz. Ale to pierwszy i ostatni raz.

No to zaczynajmy. Żeby szybciej skończyć.

# Manu

Kurde, stary, a niby dlaczego mamy o tym gadać? Przez te dwadzieścia lat trzymałem mordę na kłódkę i na co mi to teraz. A tym bardziej jeśli zamierzasz to nagrywać, jakby to było jakieś reality show z celebrytami na bezludnej wyspie albo plotkarski program tej całej Magaly Mediny.

Masz nierówno pod sufitem, stary. To najdurniejszy pomysł, jaki ci w życiu przyszedł do łba.

Ty pierwszy się na tym przejedziesz, wiesz o tym? Ubrasz się tym głównem. Dlatego że się w nim nurzasz.

No ale jeśli nas zmuszasz, to dobra. Nie będę uciekał. Nie rzucę się do drzwi. Ja nigdy nie uciekałem. To raczej te wszystkie ciołki za mną ganiały. Jak barany. Jak szczury za tym fletnistą z bajki. Jak plemniki.

W sumie to wszystko zaczęło się od całej masy plemników.

Na lekcji u panny Pringlin.

Kiedy przerabialiśmy narządy rozrodcze.



# Moco

Gdyby ktoś sfilmował naszą historię, to wyszłoby z tego coś w rodzaju *Goonies*.

Ktoś pamięta *Goonies*? Klasyk, z 1985 roku. Reżyseria Richard Donner, historia Steven Spielberg, a gra tam Josh Brolin. Wtedy się nawet jeszcze nie golił, he, he.

To historia grupki normalnych chłopaków, takich jak my, którzy mają zostać wyrzuceni ze swoich domów. Ale przypadkiem znajdują mapę, która wskazuje drogę do ukrytego skarbu piratów, i ruszają na poszukiwania. Mają masę przygód. Muszą zmierzyć się z rodziną złodziei. Wpadają w pułapki zastawione przez piratów wieki temu. Ale ostatecznie wygrywają i zdobywają skarb.

Myśmy tacy byli. *Goonies* z dzielnicy Surco, he, he. My też zasługujemy na film, a pierwszej scenie, początkowemu ujęciu, będzie towarzyszył widoczny na ekranie napis: „Na lekcji o narządach rozrodczych”.

A skoro nie mamy ani Stevena Spielberga, ani Josha Brolina, to sami se to musimy nakręcić.

# Beto

...

...

...

Nie chcę tego robić. Dlaczego mamy to nagrywać?

...

Opowiem, ale ja sam. Nie chcę widzieć niczyjej twarzy, kiedy będę o tym gadał. Albo wychodzisz, albo zapomnij o sprawie.

Dobra. Zamknij drzwi.

...

...

Okej: lekcja o narządach rozrodczych. O to chodzi? Tak, pamiętam. Mniej więcej. Siedzieliśmy tam, na lekcji wychowania seksualnego, nudziliśmy się i śmialiśmy, nauczycielka zwróciła nam uwagę. I wtedy Manu wstał i zadał to głupie pytanie.

Pytał o syfilis i język albo syfilis i usta, coś takiego, równie niesmacznego. Jedna z tych rzeczy, których po prostu lepiej nie wiedzieć.

Jaki zbok pyta o coś takiego?

## Carlos

Kurde, to było tylko pytanie. I wcale nie wydawało mi się takie dziwne.

Ostatecznie w czwartej klasie szkoły średniej sporo jeszcze mieliśmy do odkrycia. W Limie 1992 roku mało wiedzieliśmy o życiu. No i życie mało wiedziało o nas.

Znajdowaliśmy się poza zasięgiem prawa, jeśli wolno mi użyć branżowego wyrażenia. To znaczy byliśmy nieświadomi, nie mogliśmy ponosić odpowiedzialności wobec prawa, a tym samym nie podlegaliśmy karze. Żebyśmy się tylko dobrze zrozumieli: poza zasięgiem.

W męskiej szkole La Inmaculada, prowadzonej przez księży jezuitów, kłębiło się nas tam ze dwa tysiące samców *in spe*, jak w jakimś wielkim samowarze pełnym hormonów. Dysponowaliśmy ogromnym terytorium, z boiskiem do nogi i bieżnią olimpijską, które zajmowało pół wzgórza Monterrico. Ale o tym, co poza murem wytyczającym granicę tego świata, nie wiedzieliśmy prawie nic. Niebezpiecznie było oddalać się od naszej dzielnicy. Mogło cię zaskoczyć odcięcie prądu. Albo obława. Albo wybuch bomby. Bezpieczne było uprawianie sportu w szkole i oglądanie telewizji w domu. Większość z nas nie umiałaby nawet wskazać alei Javiera Prado na planie miasta. Internetu jeszcze nie było. Naszym jedynym stałym tematem było to, co nam wisiało między nogami.

Nawet jeśli o tym nie gadaliśmy, wszystko skręcało w tę stronę. Każde, nawet zupełnie niewinne zdanie mogło nabrać nieoczekiwanych konotacji. Mogłeś powiedzieć: „Podaj mi sól”, i zaraz jakiś żartowniś za tobą wrzeszczał:

– A może też pieprz, to byś se mógł wreszcie popieprzyć!

I wszyscy w śmiech.

Żeby nie sprowokować tej watahy wygłodniałych szczeniaków, trzeba było bardzo uważać przy nazywaniu rzeczy długich i ostrych. Unikałem takich słów jak „ołówek”, „nóż” czy „marchewka”, bo mogły zostać łatwo użyte przeciwko mnie, natomiast starałem się obracać je przeciwko innym, jak jakąś broń. Popularność ucznia mierzono ilością dwuznacznych żartów, jakie był w stanie z siebie wyrzucić. Choć tak naprawdę większość z nich znaczenie miała tylko jedno:

– Jaimito zostaje na noc u nauczycielki. W środku nocy mówi: „Proszę pani, nie mogę zasnąć. Mogę wsadzić paluszek w pani pępek?”. Ona się zgadza, ale zaraz krzyczy: „Jaimito, to nie jest pępek!”. A on na to: „Paluszek to też nie jest”.

Ha, ha. Szkolny humor.

Seks nam się śnił. Dyszeliśmy seksem. Jedliśmy seks na śniadanie. Tyle że w odróżnieniu od tego, ile miejsca zajmował ten temat w naszych głowach, na zewnątrz, w prawdziwym życiu, brakowało nam konkretnych doświadczeń.

Wszyscy moi koledzy zarzekali się, że już to zrobili. Jednak za każdym razem, kiedy któryś opowiadał o swoim doświadczeniu – a robiło się to bez przerwy – szczegóły się zmieniały. Brunetka stawała się blondynką. prostytutka dziewczyną. Sypialnia samochodem. A jeśli ktoś naprawdę już tego dokonał, trudno było mu uwierzyć w tej powodzi kłamstw. Chłopaki czasami wymyślały sobie życie erotyczne tylko po to, by mieć o czym gadać.

Kobiety jako takie stanowiły odrębny gatunek, niepojęty – chyba że dla tych, którzy mieli siostry – do którego dostęp mieliśmy tylko przez filmy i czasopisma. (To owszem; po szkole krążyło ich całe mnóstwo, większość dostarczał Moco, oficjalny dystrybutor porno w naszym roczniku).

Kiedyś, przy okazji jakichś rekolekcji, księża przyprowadzili do nas dziewczyny. Nie żebyśmy mogli ich dotknąć czy coś takiego, wiadomo. Przyprowadzili je, żebyśmy sobie popatrzyli. I pogadali.

Przyszły cztery, ze szkoły koedukacyjnej. Usiadły przed całą klasą, jak kolorowe rybki w akwarium, a opiekunowie zachęcali nas do zadawania pytań. Każdy uczeń miał prawo podzielić się swoimi wątpliwościami:

- Co ci się podoba w chłopaku?
- Miałaś już chłopaka?
- Jak cię poderwał?

Spędziliśmy tak dwie godziny, próbując ustalić, co to takiego kobieta. Robiliśmy notatki. Gromadziliśmy dane. A następnego dnia wróciliśmy do naszych sprośnych kawałów i zakazanych słów.

W naszej szkole dziewczyny były trochę jak igrzyska olimpijskie: szeroko reklamowane, zawsze odległe, a do tego Peruwiańscy nigdy nie wygrywali. Na olimpiadach wszystkie medale zgarniały Stany Zjednoczone i ZSRR. Żeńskie szkoły z naszego małego świata też przypominały supermocarstwa: szkole San Silvestre przypadał złoty medal. Srebro było dla Villa María, a brąz dla Santa Úrsula. Tuż za nimi znajdowała się Regina Pacis (znana pod czułym pseudonimem „Vagina Palcis”).

Jeśli zjawiałeś się na imprezie z dziewczyną z którejś z tych szkół – albo przynajmniej wymyślałeś sobie narzeczoną stamtąd – stawałeś się bohaterem całej szkoły, przykładem do naśladowania, środowiskową ikoną. Potem sytuowała się szeroka klasa średnia, w której mieściły się Belén, Sophianum i jeszcze kilka innych szkół kościelnych; te się akceptowało, ale nie podziwiano. Na najniższym szczeblu hierarchii znajdowały się szkoły De Jesús i Santa María Eufrasia. Lepsza była brzydula z Santa Úrsula niż ślicznotka z Santa María. W końcu nie liczyło się to, jaka ta dziewczyna jest, tylko jak ją postrzegają twoi koledzy.

Ale dla naszej małej grupki – Moco, Beto i ja – nie był to żaden problem. Tacy jak my znajdowali się poza rankingiem fizycznej atrakcyjności. Tak w zasadzie nawet nie musieliśmy sobie wymyślać tych nieistniejących doświadczeń seksualnych, bo nikt po nas

niczego specjalnego się nie spodziewał. Jeśli kobiety przypominały igrzyska olimpijskie, my startowaliśmy co najwyżej w paraolimpiadzie.

To pewnie dlatego tak pamiętam tę lekcję o narządach rozrodczych. Jakby to było wczoraj. Na tablicy wisiały wielkie rysunki wyobrażające penisa i waginę, jeden przy drugim. Uzupełniały je wykresy i ryciny instruktażowe: kompletny plan całości, u mężczyzny i kobiety, od środka i z zewnątrz. Było to dużo fajniejsze niż wzory algebraiczne albo mapy z granicami Peru. Czegoś takiego nigdy w klasie nie widzieliśmy, zupełnie jakby tablica straciła dziewictwo.

A przed rysunkiem penisa, jak cesarzowa przed swoim herbem, stała panna Pringlin.

Panna Pringlin posiadała niewiarygodną umiejętność opowiadania o seksie tak, że stawał się nudny. Nawet nie tyle umiejętność, ile misję. Miała mocne postanowienie, by odebrać nam chęć do uprawiania go czy nawet myślenia o nim. Każdy temat poruszany w klasie okazywał się ostrzeżeniem przed ryzykiem, jakie niesie przyjemność czy w ogóle życie.

Tym razem starała się nas przekonać, że pójście do łóżka z dziewczyną jest rzeczą równie przyjemną, jak egzamin z biologii. Mówiła, nie zmieniając ani na chwilę tonu głosu:

– Płyn przenoszący plemniki do celu ich podróży nazywany jest nasieniem albo spermą i wytwarzany jest w jądrach, czyli w dolnej części męskiego narządu rozrodczego...

Choć odmalowywała seks w jak najgorszych barwach, wiedziała, że niektórzy z nas mimo wszystko nadal mieli na niego ochotę. By temu zaradzić, straszyla nas wszelkiego rodzaju chorobami, wysypkami i dolegliwościami:

– Płyny te przenoszą nasiona życia – mówiła – ale także mogą okazać się nośnikami posłańców śmierci: choroby zwane wenerycznymi mogą być przenoszone tą drogą właśnie podczas aktu

seksualnego. Syfilis, charakteryzujący się występowaniem krosty na czubku penisa – i tu panna Pringlin pokazała nam zdjęcie, żeby nie było niejasności – w pewnym okresie ludzkiej historii leczony był obfitym puszczeniem krwi, do którego stosowano pijawki wysysające zakażoną krew...

Taki styl miała panna Pringlin: po co mówić o tych sprawach przyjemnie, skoro można pokazywać nam krosty?

Lekcja stwarzała idealną okazję do wszelkiego rodzaju kawałów – szczeniackich i głupich, jak ten o Jaimito – więc wszyscy po cichu między sobą żartowaliśmy, a potem z tych żartów zrodziło się pytanie.

Tak, przypominam sobie, to przez pryszcz Beto.

Panna Pringlin pokazywała nam zdjęcie penisa z ogromną naroślą, a Beto miał coś podobnego na wardze, w okolicy kącika ust. Moco powiedział szeptem:

– Beto ma syfilis na wardze. Komu obciągałeś, co?

Beto nienawidził, kiedy mu ktoś wytykał pryszcz, wągry i inne fizyczne niedoskonałości, więc odpowiedział:

– Twojej matce. A ona zaraziła się w pracy.

Tak naprawdę Moco miał znacznie więcej pryszcz niż Beto. Jego twarz to było prawdziwe pole minowe, magma i erupcja. Więc ja mu powiedziałem:

– Jeśli to tak wygląda, to sam chyba brałeś udział w orgii.

Nie pamiętam, czy mówiliśmy to dokładnie tymi słowami. W każdym razie taki był zwyczajowy ton naszych rozmów. I uważaliśmy, że są genialne. Cały dzień nawijaliśmy o czymś, czego nie znaliśmy. Trochę się śmialiśmy, przerzucaliśmy się we trzech kawałami... i wtedy jednemu z nas przyszła do głowy myśl:

– A jeśli ci ktoś obciąga fiuta? Można się zarazić syfem, kiedy ktoś ci robi loda?

Pringlin nawijała dalej o pijawkach albo grzybach – ale nie o HIV; wtedy uważaliśmy, że AIDS dotyczy tylko piosenkarzy i gwiazd kina.

A my po raz pierwszy poczuliśmy autentyczne naukowe zainteresowanie, ogarnęła nas medyczna wątpliwość. Nie mogliśmy jednak na głos wypowiedzieć pytania zawierającego wyrażenie „obciągać fiuta”. Lekcje nie były po to, żebyśmy pytali o każdą bzdurę, która nam się w głowach zalęgła. Znacznie bezpieczniej – i zabawniej – było spekulować we własnym gronie.

Tak że dalej szeptaliśmy i się chichraliśmy. Mniejsza o odpowiedź. Pytanie było zabawne samo w sobie. Zwłaszcza powtarzane raz po raz. Jakby człowiek mówił, gdyby miał taką krostę na ustach? I z opuchniętą wargą? Jak zapytać pielęgniarkę, kiedy język ci się w gębie nie mieści?

– Pszympramszam pamni, czszy mmyżna śymzramzić pmszy obsiomganiu?

Kupa śmiechu. Dopóki, rzecz jasna, panna Pringlin nas nie przyłapała.

– Jakiś godny ogólnej uwagi komentarz dotyczący rozmnażania albo przenoszenia chorób wenerycznych, panowie? – zaatakowała swoim drapieżnym tonem, który przyjmowała bezpośrednio przed ukąszeniem. – Widzę, że temat was ogromnie fascynuje.

Nie pamiętam, czy panna Pringlin była wysoka. Pewnie niespecjalnie. A jednak kiedy stała na podeście i patrzyliśmy na nią z podziemi naszych piętnastu lat, sprawiała wrażenie olbrzymki. Podejrzewam, że atmosfera też robiła swoje. Kiedy panna Pringlin odzywała się do ciebie przy całej klasie tym swoim sarkastycznym tonem, wokoło zapadała cisza i spojrzenia czterdziestu kolegów, spojrzenia całej ludzkości, skupiały się na twojej poczerwieniałej twarzy. Wyrastały jej nietoperze skrzydła, na nogach pojawiały się wysokie buty, a w ręku pejcz w stylu sado-maso, myśmy zaś się modlili, żeby ziemia rozstała się pod naszymi nogami.

Ale ziemia zawsze wystawiała nas do wiatru.

– Ja... – powiedział Moco.

– Eeee – wymamrotał Beto.



– Bo... – dodałem ja, tak jak oni sparaliżowany strachem.

– Robicie sobie żarty z infekcji przenoszonych drogą płciową? – zapytała gardłowo, już z obcasem na naszych grdykach. – No to podzielcie się tym z klasą. Wszyscy się pośmiejemy.

Wszyscy się pośmiejemy. Ona nigdy nie zadawała ciosu bezpośrednio. Woląca rzucić twoje ciało na żer kolegów-piranii. Zaplątywałeś się we własną sieć i tonąłeś jak gigantyczny tuńczyk, niezdolny do wykonania ruchu, a wtedy tamci pożerali cię żywcem. Pogodziliśmy się już z czekającą nas powolną i okrutną śmiercią, przekonani, że nie ma dla nas ratunku, kiedy nagle zdarzyła się rzecz zupełnie niespodziewana: jedna pirania przeszła na naszą stronę.

Do tego dnia Manu niewiele się odzywał. Był nowy w szkole i niespecjalnie zadawał się z innymi. Czyli należał do naszej grupy, bo nasza grupa miała właśnie to do siebie, że inni trzymali się od nas na dystans.

Z początku największe osiłki z klasy chciały go trochę upokorzyć, normalka, ale przy pierwszej próbie – podjętej przez kapitana drużyny piłkarskiej we własnej osobie – Manu od razu odpowiedział siłą. Dwa strzały prosto w twarz, zero cykora. Kop w brzuch. Nawet nie zdążyliśmy zawołać: „Biją się! Biją!”. Piłkarz skończył z podbitym okiem i nosem we krwi. Od tego czasu nikt już nie próbował zaczepiać Manu... ani się do niego odzywać.

A tymczasem podczas lekcji o narządach rozrodczych, kiedy Moco, Beto i ja mieliśmy się już za straconych i nie wiedzieliśmy, co powiedzieć, Manu wziął i wstał.

Wyglądało to prawie jak na zwolnionym filmie. Najpierw pomyślałem, że chce wyjść do łazienki. Potem, że będzie na nas kablował. Nawet gdy już się odezwał, dopiero po chwili zrozumiałem sens tego, co mówi:

– To moja wina – oświadczył.

Zaskoczył nie tylko nas. Przez klasę przebiegł szmer zdziwienia. Takie wyznanie to coś, czego nigdy w naszym szkolnym życiu nie

widzieliśmy. Kilka tygodni wcześniej, kiedy Cuadradowi Gómezowi ukradziono zegarek, ukarano nas wszystkich czterdziestu, trzy godziny stania po lekcjach na dziedzińcu – i nikt nikogo nie zakablował.

A tym bardziej się nie przyznał.

No a przyznać się do czegoś, czego się nie zrobiło, to już w ogóle jakiś kosmos.

Panna Pringlin uniosła brew i spojrzała w jego stronę, zbita z tropu tą deklaracją, ale spragniona nowej ofiary i to takiej, co radośnie pakuje się w jej szpony, w dodatku z własnej woli.

– Czyli ty mi możesz opowiedzieć ten żarcik – zareagowała jadownicie.

– Ja... – W tej chwili Manu się zawahał. Albo tak mi się wydało. Teraz wiem, że po prostu cieszył się tą chwilą. Budował napięcie, żeby wszyscy uważnie go słuchali. – Ja mam pytanie. Zadałem je kolegom, dlatego się śmiali.

Pringlin rozkoszowała się już smakiem świeżej krwi. Miało być prościej, niż się mogła spodziewać:

– Pytania, panie Battaglia, zadaje się na głos. Jestem przekonana, że cała klasa z radością podzieli się swoją wiedzą i zaspokoi pańską ciekawość.

Manu kiwnął głową i zaczął:

– Chciałem się dowiedzieć...

Biedny Manu był tu nowy, nie wiedział, na co się naraża. Naszym obowiązkiem było powstrzymać go przed wejściem na to pole minowe.

– Nie rób tego... – szepnął Beto, ale Manu nawet na niego nie spojrzał.

– Przynajmniej użyj fachowej terminologii – mruknąłem. – „Oralny”, powiedz „stosunek oralny”.

– Nie ma opcji – burknął Moco, chyba przede wszystkim sam do siebie. – On to zrobi. Serio.

I rzeczywiście. Manu zebrał siły i bez dalszych wstępów zadał pytanie. W pierwotnym brzmieniu.

# Manu

No kurwa, jasne, stary!

Pewnie, że to ja zadałem to pytanie, że je wymyśliłem i wypowiedziałem na głos. Te przygłupy same z siebie na nic takiego by nie wpadły.

Poza tym miałem plan.

Chciałem, żeby mnie wywalili ze szkoły.

Wypowiedziałem je od początku do końca, z naciskiem na „fiuta”, żeby się babka naprawdę wkurzyła. Chciałem zobaczyć atak wściekłości. Czerwona kartka na miejscu. Bezwarunkowe wywalenie. Chciałem oświadczenia, które by brzmiało: ku rozpaczy fanów Manu Battaglia nie będzie w stanie dokończyć sezonu.

Tyle że akurat kiedy to mówiłem, ten pajac Carlos kichnął.

Celowo to zrobił, żeby odwrócić uwagę od tego, co powiem. To było najgłośniejsze kichnięcie w historii. A potem zadzwonił dzwonek.

Tego dnia mnie nie wyrzucili.

Szkoda. W końcu wszystko by się lepiej skończyło, gdybym tego dnia wyleciał. Wtedy byśmy... No, nie stałoby się to, co... co się potem stało.

# Moco

He, he. Manu to był gościu z jajami. To mu trzeba przyznać. Jaja jak berety. I pokryte teflonem albo tym niezniszczalnym materiałem, z którego zrobiono Terminatora.

Łaa, jaja Terminatora.

Albo Godzilli.

Albo Hulka.

Na pewno na Facebooku jest gdzieś lista dziesięciu najtwardszych zestawów jaj w historii filmów o potworach. I gdyby Manu nakręcił film o inwazji obcych, na pewno trafiłby na tę listę. Trzeba mieć jaja z żelaza, żeby sprowokować nauczyciela i bez obciachu ryzykować wywalenie z budy.

Nie kapowałem tylko, czemu właściwie chciał, żeby go wywalili?

Przecież nikt czegoś takiego nie chce, co nie?

## Beto

Manu mi zaimponował. Zrobić coś takiego! Wstać i rzucić coś, czego nikt by się nie odważył wypowiedzieć. Tylko dlatego, że miał odwagę. To nie był cykor. Podobało mi się to.

Kiedy chłopak tak bardzo się stara, żeby pokazać, jaki jest twardy, to może znaczyć tylko jedno: że tak naprawdę jest bardzo wrażliwy. Wszyscy tacy byliśmy. Jak szklanki na chybotliwym stole, które zaraz spadną i się stłuką. A ja byłem najsłabszy. Ja byłem z porcelany.

Gdybym ja miał tyle odwagi... Tyle że wtedy byłem jak niemowa. Staralem się z nikim nie gadać.

Bo taki mam sposób mówienia. Bo jestem wrażliwy. I tyle.

Ja byłem niewieściuchem, babą, ciotą, cieniasem, ciepłym, pedałem i gejem. Każda klasa takiego ma. Kogoś, kto zajmuje się takimi „pedalstwami” jak czytanie. Kto mówi ciszej niż reszta i nie rzuca kurwami co trzy słowa. Idealny cel żartów.

Jak byłeś złodziejem, zabójcą, przestępcą – to w porządku. Ale ciotą – w żadnym razie.

Ale ja się przyzwyczaiłem. Na wuefie ci najwięksi latali za mną i nabijali się z tego, jak biegam. Albo szydzili z tego, jak skaczę podczas meczu siatkówki. Czasami w łazience znajdowałem napisy z moim imieniem i rysunekkiem penisa. Jeśli musiałem wstać i zabrać głos przy całej klasie, koledzy zaczynali gwizdać i pokrzykiwać, jakbym miał robić striptiz. Kiedyś na całej ławce nabazgrali mi szminką sceny porno. Uważali, że to bardzo zabawne.

Ale ja wiedziałem, że nie mogę się stawiać. Stawianie oznaczało bicie się. A to było najgorsze. W kwietniu próbowałem postawić się Ricky’emu Baca, osiłkowi z klasy E. Ricky zaczął mnie zaczepiać

(„Betito, a może zrobisz mi lodzika? No chodź, pocałuj wujaszka!”), a ja postanowiłem mu odpowiedzieć nagłym ciosem.

Nawet nie trafiłem. Tak naprawdę to o mało sam się nie przewróciłem od własnego impetu.

W odpowiedzi Ricky wyjął swoją koszulkę sportową i zaczął chłostać mnie nią po twarzy. O mało by mi oka nie wybił. Kiedy próbowałem oddać cios, nie udawało mi się nawet w niego trafić. Ale za każdym razem, jak się odwracałem, on już tam był z tą swoją cholerną koszulką i walił we mnie. A wszyscy dookoła się darli tylko: „Bi-ja-się, bi-ja-się!”. Szczuli nas. Jak dwa orangutany w klatce.

Od tamtego dnia zaraz po dzwonku leciałem prosto do biblioteki. Czasami całą przerwę spędzałem sam albo gadając z bibliotekarką. Kiedy indziej dołączali do mnie inni prześladowani za niemęskość ze swoimi drugimi śniadaniem. Tworzyliśmy żalną grupkę starych ciotek, ale przynajmniej tu byliśmy bezpieczni, ukryci przed naszymi zdziczałymi kolegami, którzy w większości przypadków nigdy nie postawili stopy na terenie biblioteki.

Jednak tego dnia, po lekcji na temat narządów rozrodczych, nie mogłem jak zwykle się tam schować. Nie mogłem zostawić Manu.

Moco i Carlos też byli pod wrażeniem. We trójkę podeszliśmy do niego. Trzeba było przecież podziękować. Uratował nas. Zadając to pytanie o syfilis, sam wystawił się na strzał. Złożył się w ofierze dokładnie w chwili, w której Pringlin szykowałą się do lotu koszącego na nasze głowy.

- Masz facet jaja, co? - wykrzyknął Moco. - Dlaczego to zrobiłeś?
- A bo mi się tak chciało - odpowiedział Manu.
- W takim tempie to cię wywalą z budy, zanim się zorientujesz - ostrzegłem go.

I mówiłem poważnie. Bo nie chciałem, żeby do tego doszło.

- I co z tego, wyrzucili mnie już z czterech - odpowiedział z dumą. - Przyzwyczałem się.

Cztery razy. To normalnie jak być notowanym przez policję. Jak mieć dziary na ręce.

Chciał iść zapalić do łazienki, więc poszliśmy tam z nim wszyscy. Nie proponował tego, ale nie mogliśmy się oprzeć potrzebie dotrzymania mu towarzystwa. Staliśmy się jego satelitami.

Zamknęliśmy się w kabinie i wtedy wyciągnął papierosa marki Premier. Najobrzydliwsze papierosy na rynku. Ale gdy on palił, to pachniały jak woda kolońska. Jak drakkar noir, słodkawe i lepkie perfumy. Tacy jak my ich wtedy używali.

Paliliśmy i rozmawialiśmy o temacie dnia: syfilisie.

– Ja to bym się chciał zarazić, kurde – westchnął Moco, największy zbok z naszej grupki.

– Nie chrzań, Moco – odparował Carlos. – Przecież to choroba!

– I co? – upierał się Moco. – Chorobę się wyleczy, ale złapać coś takiego to jest coś.

– No tak: bałwan. – Manu zdiagnozował go błyskawicznie, intensywnie się zaciągając; trzymał peta między kciukiem i palcem wskazującym, jak skręta.

– A wy to byście niby nie chcieli – bronił się Moco. – Jesteście takie same prawiczki jak ja. Założę się, że całymi nocami walicie se gruchę.

Moco był chodzącą biblioteką sprośnych powiedzonek. Encyklopedią terminologii genitalnej. Znał chyba z dwieście zwrotów określających masturbację. „Walić gruchę” to tylko jedno z nich.

Carlos z kolei sięgnął po własną broń, nieco dojrzałą:

– Ja to przynajmniej mam dziewczynę. Muszę ją tylko namówić.

– Jasne, namówić, nic prostszego! – zakpił Moco. – I to niby ja jestem bałwan.

– Uda mi się. – Carlos był pewien siebie. – Krok po krocuku.

– To będą baaardzo małe krocuki, facet – zaśmiał się Manu.

– Robiłeś to już kiedyś? – zapytałem.



– Pewnie, że tak. – Manu podskoczył, urażony.

Nigdy w życiu tego nie robił. To było widać. Ale owszem: papierosa podawał ci gestem dojrzałego przestępcy, zaprawionego w tysięcznych bojach. Starąłem się opanować kaszel, choć ten koszmarny dym strasznie drapał mnie w gardle. Ja nie paliłem. Byłem tam z nimi tylko dlatego, że nie mogłem być nigdzie indziej.

– Ja jeszcze nigdy – przyznałem. – A po tej lekcji, jak już będzie okazja, nałożę sobie z osiem gumek. Nie chcę mieć takiej krosty na fiucie.

Powiedziałem to stanowczo, niskim głosem, żeby zabrzmieć męsko. Nic z tego. Zdradzała mnie podświadomość. Niegrzeczni chłopcy ze szkoły nigdy nie użyliby słowa „fiut”.

– Starczą ci te pryszczki na gębie – zaśmiał się Moco, który chyba nie oglądał się w lustrze od wczesnej podstawówki.

Wszyscy parsknęliśmy śmiechem. Śmiech sprawiał, że czuliśmy się mocni. Ciągłe rechotaliśmy, choć nie bardzo wiedzieliśmy z czego. Wszyscy prócz Manu, bo on nie potrzebował. On był obrażony i miał obsesję na punkcie Pringlin:

– Ta stara rura ciągle nawija o chorobach, bo jej nikt nie posuwa – oznajmił. – Jakby nie była taka szpetna, tobym ją wziął pod siebie i pokazał jej, co potrafi prawdziwy facet, żeby jęczała: „Aaach, Manu, jeszcze, taaak”...

Manu zabawnie pokazywał posuwanie panny Pringlin. Dosiadł jej i ujeżdżał, tańczył z nią sambę, wszystko w niewielkiej przestrzeni kabiny, a my dookoła niego próbowaliśmy nie zlać się ze śmiechu.

– Och, Manu, kochanie, dalej... – naśladowałem jej głos.

I wszyscy go nakręcaliśmy w tym wyimaginowanym akcie, zafascynowani jego pomysłami i siłą.

Wtedy rozległ się prawdziwy głos panny Pringlin. Ten jedyny głos, który brzmiał gorzej niż jego imitacja. Bardziej chropowaty. Wrzaskliwszy. Bardziej przypominający chichot hieny. I bliższy. Zbyt bliski. Dokładnie zza drzwi kabiny.

– Panie Battaglia – odezwała się ta straszna baba – cieszę się, że chciałby się pan ze mną zobaczyć. Bo ja też mam z panem do pogadania. Proszę natychmiast stamtąd wyjść! I zabrać swoich koleżków!

No tak, dopięliśmy swego. Teraz mieliśmy problem.

Jednak zanim otworzyliśmy drzwi, Manu dokończył swoją scenę, wykonując jeszcze kilka ruchów. I powtórzył cichutko:

– O, Manu, kochany, tak...

Mnie się to wszystko skłębiło w gardle: śmiech, strach i kaszel. Ten facet był naprawdę odważny, prawie z innego świata.

## Carlos

Ja naprawdę miałem dziewczynę. To nie była ściema. Ani żadna tam nadmuchiwana lala, tylko kobieta z krwi i kości. Mógłbym przedstawić dowody. Mógłbym udowodnić przed sądem jej istnienie.

Na imię miała Pamela, imię delikatne jak miękki materac. I rzeczywiście poczyniłem z nią pewne postępy. Dłoń na wysokości pasa, tam gdzie w zasadzie plecy się kończą. Pocałunek w szyję, gdzie prawie zaczyna się kształtować pierś. No, ale do celu dochodzi się krok po kroku.

W dniu tej lekcji o narządach rozrodczych, kiedy już nas przyłapała w toalecie, panna Pringlin palnęła nam przydługie kazanie o czymś, co miało związek z dyscypliną, szacunkiem dla nauczycieli i szkodliwością tytoniu. Na koniec zadzwoniła do naszych rodziców, żeby zorganizować spotkanie w szkole, po lekcjach.

Teoretycznie miałem siedzieć w domu i czekać, żałując za swoje grzechy. Zamiast tego polecałem do pracy Pameli, żeby się z nią zobaczyć. Byłem podekscytowany. Wreszcie miałem jej coś do opowiedzenia. Prawdziwą przygodę. I wszystko jej zrelacjonowałem. Trochę nawet przesadzałem.

– Paliliście w łazience? – zapytała Pamela pod koniec mojej opowieści, pod wrażeniem naszej odwagi. – Gdyby mnie złapali z papierosem w szkole, mama dałaby mi szlaban na resztę życia.

Wciąż mam wrażenie, jakbym ją widział. Miała na sobie jaskrawopomarańczowy fartuszek kelnerki, piersi mocno ściśnięte, włosy zebrane w koński ogon pod czapeczką z logiem lokalu. Darowałem jej ten szczegół: „Manu, kochanie, dawaj, dawaj”, bo uznałem go za zbyt techniczny. I teraz, sącząc milkshake’a na mleku w proszku krajowej produkcji, zgrywałem bohatera.

– Dostaliśmy reprimendę i chcę gadać z naszymi starymi. Moi już tam są na zebraniu. Ale co mi tam. – Tu spoważniałem i łupnąłem pięścią w blat, na którym stał shake. – Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić.

Uśmiechnęła się tym swoim uśmiechem, który mógł wyrażać zarówno podziw, jak i sarkazm; dostawałem na jego widok szału. Złapała mnie za rękę.

– Nie chcę, żebyś dostał karę – powiedziała. – Bo wtedy nie będziesz mógł przychodzić.

– Zawsze będę przychodził. Uwielbiam hamburgery.

Pamela pracowała w lokalu prowadzonym przez jej wujka: hamburgery McDonald's. Proszę nie mylić z McDonald's. Mimo zestawów dla dzieci, McMenu i żółtych literek M w kształcie pagórków McDonald's to nasz krajowy patent. W tamtych czasach Peru było krajem drugiej kategorii, nie znaliśmy franczyzy, sieci fast foodów, butów Nike czy zabawek Star Wars. Jeśli ktoś miał coś w tym stylu, to znaczyło, że rodzice mu to kupili w Miami – albo, jeśli dopisało mu szczęście, sam poleciał do Miami czy Orlando i strzelił sobie jeszcze fotkę z Myszka Miki – i dowodziło, że dana rodzina była nieźle sytuowana i taki koleś mógł mieć nadzieje na dziewczynę z Santa Úrsula. W przeciwnym razie – jak w moim przypadku – skazany byłeś na konsumowanie produktów krajowych, to znaczy chodziłeś w butach Mike, bawiłeś się figurkami Star Mars i jadałeś hamburgery u McRonalda z dzielnicy Surco.

Właściciel – wujek Pameli – obserwował nas nieufnie zza kasy. Właśnie przeszedł obok nas i nawet na mnie nie spoglądając, zapytał swoją siostrzenicę:

– *Everything OK?*

– *Fine* – odpowiedziała Pamela. – *Just talking.*

Wuj nazywał się Ronaldo i podziwiał wszystko, co amerykańskie. Młodość spędził w Kalifornii, fascynował go język angielski, ciągle w nim mówił, a wymowę miał, jakby stale żuł gumę. McDonald's to

był jego wielki osobisty projekt: bezczelna kopia amerykańskiego oryginału, taki sam wystrój, takie samo menu i taki sam promocyjny klaun (Ronaldo w przebraniu); mówiąc krótko, hołd dla tego, co dla nas niedostępne, ale co znaleźliśmy z telewizji.

Kiedy wuj sobie poszedł, zapadła między nami cisza. Normalna rzecz. Nie zawsze było o czym gadać. Czasami mogło minąć i z pół godziny bez słowa, my – cali w nerwach – główkowaliśmy tylko, jaki by tu zarzucić temat.

– A jak u ciebie? – zapytałem, żeby jakoś zapełnić czas. – Dużo roboty?

Rozejrzeliśmy się wokoło. To było dość głupie pytanie. W lokalu nie było żywej duszy. W 1992 roku przez te wszystkie cięcia budżetowe i zagrożenie zamachami wszędzie świeciło pustkami.

– Przychodzę tu, żeby nie musieć siedzieć w domu – odpowiedziała. – Nienawidzę swojego domu.

Przygładziła dłonią włosy, odsłaniając dwa pryszcze na czole. Prześliczne pryszcze.

Według oficjalnych standardów Pamela nie była szczególnie ładna. Spełniała podstawowe warunki, to znaczy była biała i miała kasztanowe włosy (jakby się trochę uprzeć, mogła ujść za blondynkę). Tyle że jej raczej krągławe kształty – nieco za dużo w biodrach, policzki jak połówki jabłka – nie mieściły się w naszym kanonie wyznaczonym przez pisma typu „Playboy”. Dlatego jeszcze jej nie przedstawiłem kolegom. Piękno w naszym świecie było kwestią pewnego konsensusu. Twoi kumple potwierdzali je swoimi komplementami albo negowali krytyką, czasem bardzo okrutną. A jeśli wszyscy twoi koledzy uważali, że twoja dziewczyna jest brzydka, no to taka była i kropka. Łatwiej zmienić narzeczoną niż życie.

– Wychodzisz dziś wcześniej? – zapytałem.

Pamela poczerwieniała. Wiedziała, co się kryje za tym pytaniem.

Na wszelki wypadek uściśliłem:

– Nie powinnaś wracać sama.

I to była prawda. Lima była brutalnym miastem (nadal jest). Mogli cię napaść, porwać i zamordować (nadal mogą). Nasza dzielnica, Surco, leżała na zboczach wzgórza Monterrico. Po drugiej stronie, za murami szkoły, zaczynały się slumsy, ubogie okolice, w które zapuszczaliśmy się tylko w ramach jakichś akcji charytatywnych. Krążyła legenda, że pewnego dnia mieszkańcy tamtych dzielnic zbiorą się, przejdą przez wzgórze i rzucają się hordami na nasze domy, żeby je obrabować i zająć. Jednak póki do tego nie doszło, Surco było spokojnym miejscem, pełnym domów z ogrodami. W obrębie naszej bezpiecznej okolicy nigdy nie działo się nic złego. Acz przecież mogło.

– Dziś nie możesz mnie odprowadzić – odpowiedziała Pamela.

– Na pewno? – uśmiechnąłem się; miało to zabrzmieć bardzo dziarsko.

– Na pewno.

Odprowadzałem ją wcześniej trzy razy. Te spacerunki to były nasze najintensywniejsze doświadczenia miłosne.

Na pierwszym poprosiłem ją o chodzenie. Od jakiegoś czasu zaglądałem do restauracji i ją zagadywałem. Tak że wykorzystałem okazję i zapytałem ją: „Chcesz ze mną chodzić?”. Tak brzmiała typowa formuła oświadczeń. Ona trochę się zastanawiała, ale w końcu powiedziała, że tak. Nawet jej nie pocałowałem. Tylko podziękowałem i pobiegłem do domu, ciesząc się, że teraz wreszcie mam dziewczynę.

Za drugim razem pocałowałem Pamelę pod bramą garażu, niezbyt zgrabnie i nie mając specjalnej jasności, gdzie i jak wsadzać ten język. Zareagowała jednak w przyjemny sposób. Chyba była bardziej przestraszona niż ja. Przez kilka minut przetaczaliśmy sobie ślinę, na ile się dało, a potem się pożegnała.

Natomiast ostatni raz był szczególny, bo wyszła późno, kiedy zrobiło się już ciemno. I choć upierała się, że musi szybko wracać do

domu, dała się namówić na powolne szwendanie się po pustych uliczkach na zboczu wzgórza. Pod osłoną nocy skręciliśmy w stronę jednego z dzielnicowych parków. Na ulicach prawie nie było przechodniów. Nie licząc paru gospodyń domowych wracających z zakupów, nikt tamtędy nie chodził. Nie było żadnych biur, a mieszkańcy przemieszczali się w tę i we w tę samochodami. Korzystając z samotności, usiedliśmy na jednej z ławek, za niewielką grotą, i daliśmy się ponieść miłosnej gorączce. Pozwoliła mi nawet dotknąć swoich piersi przez stanik, ale pod bluzką.

Zaczynaliśmy już ciężko dyszeć, kiedy w parku pojawił się dozorca, który przepędzał narkomanów i zakochanych. Nie przerwał nam (zapewne byliśmy najciekawszym, co się wydarzyło tego wieczora), ale Pamela uznała, że musi się zbierać, i kazała się prowadzić do domu bez dalszej zwłoki.

Zgodnie z życiową logiką podczas następnego spaceru powinniśmy zająć jeszcze kawałek dalej. I lepiej działać szybko, bo zważywszy na ten incydent w łazience, bardzo prawdopodobne, że panna Pringlin każe mi siedzieć w domu do roku 2100.

– Dlaczego nie możemy razem wracać? – nie odpuszczałem. – Zrobiłem coś nie tak?

Zaśmiała się. Jej śmiech brzmiał jak muzyka.

– Nie. Tylko że dziś mama mnie odbiera.

– No to poczekam, żeby ją poznać – zaproponowałem.

– O nie, nie ma mowy! – zaśmiała się.

– Dlaczego? Mamy wspólny temat do rozmowy.

– Z mamą nie da się gadać. – Pamela zmarszczyła brwi, ale potem uśmiech wrócił na jej usta: – Co innego z tobą.

Maczałem z roztargnieniem frytki w majonezie, ale przerwałem, żeby uniknąć jakichś niestosownych skojarzeń. Pochyliłem się nad stołem i próbowałem ją pocałować.

– Nie tutaj! – cofnęła się gwałtownie, jakby na blacie wylądował jadowity pająk. – Wujek tu jest!

– A bo bardzo cię lubię – odpowiedziałem, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt błagalnie. Bo taka była prawda, bolesna prawda.

– Hamburgery też lubisz – odpowiedziała. – I nie robisz im czegoś takiego.

– Ale ty mnie też lubisz, co? – zapytałem. – Chodzimy ze sobą?

Potrzebowałem potwierdzenia. Chciałem mieć pewność, że się mną nie znudziła i mnie nie rzuca. Dlatego że jestem dziwny albo że nie gram w nogę. Niełatwo mi było uwierzyć, że mogę się komuś podobać.

Zrozumiała. Mrugnęła do mnie, dotknęła mojej dłoni, upewniając się wcześniej, że wuj nie patrzy, nachyliła się dyskretnie i szepnęła mi do ucha:

– Powolutku, okej? Powoli. Żeby się móc nacieszyć.

W środku aż cały chodziłem. I to nie tylko dlatego, że chuchnęła mi do ucha. Rzecz w tym, co powiedziała. To była najpiękniejsza deklaracja, jaką słyszałem. I przy okazji przepelniła mnie nadzieją, że oboje marzymy o tym samym. Różni nas tylko oczekiwana data realizacji. Dopisek małym druczkiem do umowy.

– Niegrzeczna – powiedziałem, żeby coś powiedzieć.

– Sam jesteś niegrzeczny – odpowiedziała.

Z tego cieleącego stanu wytrąciło nas dopiero pojawienie się wujka, który robił obchód po lokalu, i czar prysł.

– *Pamela, can you help me in the kitchen, please?*

Posłała mi całusa i wyszła. Zanim jednak zupełnie zniknęła, odwróciła się ostatni raz:

– Dziś wieczorem idę z koleżankami do galerii Camino Real. Gdybyś tam zajrzał, może się zobaczymy.

Może się zobaczymy!

Chciała się ze mną zobaczyć!

Tylko co z tego. Czekala mnie kara. I to pewnie długa.



# Manu

Carlos miał dziewczynę, racja. Ale ja miałem *Final Fight*.

Najlepsza rzecz lat osiemdziesiątych: *Final Fight* na Atari. Dlaczego ktoś przy tym potem majstrował? Dlaczego wszystko się spieprzyło? Owszem, są nowe wersje tej gry na Super Nintendo i Wii. Ale to nie to samo. Stara *Final Fight* powinna trafić do Muzeum Narodowego. Za Dziedzictwo Ludzkości powinni ją uznać.

Tego dnia, kiedy nas capnęli z petem w kabinie, całe popołudnie grałem na moim Commodore 64. To była najgorsza wersja *Final Fight*, totalne gówno w porównaniu z tymi na Arcade czy Atari. Ludziki składały się z kwadracików, jakby spikselowane. No, ale przynajmniej wypełniały swoje najważniejsze funkcje:

Wybijanie zębów.

Rozwalanie mózgów.

Ciosy pięścią.

Z rozwalonego budynku wychodzi mafiozo i kładziesz go na ziemię jednym kopem z powietrza. Inny zachodzi ci drogę i ładujesz mu w kark ciosem karate.

Bardzo edukacyjna gra.

Właśnie kasowałem jednego zakapiora, kiedy usłyszałem, że za moimi plecami otwierają się drzwi. Oczywiście drzwi do mojego mieszkania, nie w *Final Fight*.

Umiałem rozpoznać, w jakim nastroju jest moja stara, po tym, z jaką siłą ciskała swoją wielką torbę na stół w jadalni. Tym razem drewno zadrżało, jakby się miało rozlecieć.

Grałem dalej. Mogłem udawać, że nie słyszałem, jak wchodzi. Nawet na Commodore 64 *Final Fight* strasznie hałasowała. Tyle że

moja stara miała cholernie donośny głos. Kiedy wrzasnęła, zagłuszyła te wszystkie trzaskające czaszki:

– Manu, czy istnieje taka możliwość, żebym przez tydzień, jeden tydzień nie musiała latać do szkoły w związku z twoimi ekscesami?!

Na ekranie czterech umięśnionych goryli wyszło z opuszczonego domu. Zdażyłem ich wszystkich powalić pięściami, zanim odpowiedziałem:

– Nie przejmuj się. Postaram się, żebyś więcej nie musiała tam chodzić.

– Postarasz się? A co to jest? Powiedz mi łaskawie, co to takiego?

Mało brakowało, a jeden łysy grubas zasunąłby mi z główki w piwnicy. Przez efekty dźwiękowe *Final Fight* przebijają się odgłosy wyjmowania z torebki i rozkładania przez matkę kartki.

– Wyrzucili mnie? – pytam z zachwytem.

– Mało brakowało. Biała kartka.

Biała. Kurde, ale kanał.

Żółta kartka oznaczała dzień zawieszenia, jak na przykład stało się z Mocho Cañizaresem, kiedy obraził matkę nauczyciela filozofii. Zielona to był tydzień, spotkało to Gemelo Cuéllara, kiedy korzystając z zamieszania przy biurku, próbował obmacać nauczycielkę od hiszpańskiego. Czerwona kartka to nieodwołalne usunięcie ze szkoły. Taka, tak naprawdę, nawet nie istniała. Po prostu cię wywalali. Natomiast biała nie dawała ci nic: dostawałeś pięć punktów z zachowania i dalej codziennie chodziłeś do szkoły.

– Jutro za karę zostajesz w szkole po lekcjach – mówiła stara. – Dwie godziny odrabiania lekcji w karnej sali.

– Ale super.

– Masz szczęście, bo mogli cię surowiej ukarać! Panna Pringlin to święta kobieta!

– W każdym razie na pewno dziewica – mruknąłem.

– Wyłącz to natychmiast! – huknęła.

Ale ja nie mogłem. Moja postać miała właśnie zejść do piwnicy. To był kluczowy moment. Poza tym znałem moją starą i wiedziałem, że zostało mi jeszcze kilka sekund. Zapalała papierosa i starała się opanować. To zawsze chwilę jej zajmowało. Jak zwykle zaciągnęła się trzy razy. W myślach policzyła do dwudziestu. I zaczęła:

– Twoja nauczycielka mówi, że ta szkoła może dużo dla ciebie zrobić, i mówi, że będzie mieć na ciebie oko. Na szczęście jeszcze cię nie zna. Jeszcze w ciebie wierzy. Masz na mnie patrzeć, kiedy do ciebie mówię!

Następnych dwóch łysych dołączyło do pierwszego, a potem zjawilo się trzech zbirów, którzy mnie dopadli i przywiązali do krzesła z pęczkiem dynamitu na kolanach. Już po mnie. To koniec. Zawsze eliminowali mnie na tym levelu.

Teraz faktycznie odwróciłem się do mojej starej. I tak już nie miałem nic ciekawszego do oglądania.

– Naprawdę nie wywalili mnie ze szkoły? – upewniałem się.

– Bo co, rozczarowany jesteś?

– No cóż...

Moja stara miała na sobie typową spódniczkę i żakiet sekretarki. Zawsze ubierała się tak samo. Mundurek nudnego życia.

– Manu – zaczęła, wduszając wściekłymi ruchami papierosa w dno popielniczki, jak zawsze, kiedy miała powiedzieć to, co właśnie mówiła, powoli, jak do dziecka. – Co mam zrobić, żebyś zaczął się przyzwoicie zachowywać? Nie jesteś już smarkaczem. Musisz być za siebie odpowiedzialny. Teraz zaczynasz palić w kiblu i robić wulgarne żarty przy nauczycielce. Za duży jesteś na takie rzeczy. Synu, ja cię proszę!

– „Wulgarne żarty”? Tak powiedziała Pringlin?

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Intrygowało mnie, jak panna Pringlin mogła opisać mój występ w łazience.

– Z czego się śmiejesz?! – rozdarła się. – Słyszysz, co do ciebie mówię?

Na ekranie eksplodował dynamit. Wkurzyłem się. Cholernie się wkurzyłem.

Teraz trzeba będzie wymyślać nowy plan, żeby mnie wywalili z tej pieprzonej budy.

# Moco

Filmy o dzieciach bez rodziców:

*Annie*, no ale dziewczynka zyskuje w końcu ojca milionera.

*Kevin sam w domu*, ale chłopak super się bawi, no i rodzice na końcu wracają.

*Gremliny*, ale one w ogóle nie mają rodziców. Rozmnażają się po zamoczeniu. I to stwory, nie dzieci. Nie liczą się.

Moje życie wcale nie przypominało tych filmów. Nie było w nim happy endu.

Tego dnia, kiedy Pringlin przydybała nas w łazience, po wyjściu ze szkoły zostałem na dziedzińcu i schowałem się za schodami do pracowni. Moich kumpli wysłano do domu, mieli czekać na rodziców, ale ja się nigdzie nie ruszałem. W odróżnieniu od nich po lekcjach byłem panem swojego czasu. Nikt mi nie mógł niczego kazać.

Co pięć minut wychodziłem zajrzeć przez okno do pokoju nauczycielskiego, gdzie Pringlin przyjmowała rodziców. Najpierw matka Manu, sama i wyraźnie w pośpiechu. Już przed wejściem była wściekła. Wparowała do środka stanowczym krokiem, a po minie widać było, że ma zły, bardzo zły humor. A wyszła jeszcze bardziej wkurzona, głośno mówiła i machała rękami.

Niezła była babka z matki Manu, he, he.

Potem zjawili się rodzice Carlosa. Bardziej wystraszeni niż źli. Cały czas niezwykle uprzejmi. Z troską wymalowaną na twarzy. Wychodząc, uśmiechnęli się. Podziękowali Pringlinowej i tak dalej. Wielkie dzięki, że znęca się pani nad naszym synem. Dzięki temu w domu już nie musimy. Bardzo nas pani uszczęśliwia.

Ostatni zjawili się starzy Beto. Ojciec Beto to wielki bysior, a matka chucherko. Tylko on mówił, do tego dużo gestykulował i robił miny. Gadał więcej niż nauczycielka, jakby musiał jej wyjaśniać, co zrobił syn. Śmieszny gostek. Matka cały czas milczała.

Potem oni też sobie poszli i nikt nie został.

Pringlin poczekała jeszcze trochę. Zadzwoiła na numer mojego domu i nagrała się, bo mieliśmy taką starą sekretarkę. Nikt nie odebrał. Potem poprawiała jakieś klasówki, coś tam pisała, zabijała czas. Około szóstej, kiedy zaczynało zachodzić słońce, poszła.

Mój tato się nie zjawił.

Nigdy nigdzie się nie zjawiał.

Równie dobrze mógłbym być dla niego gremlinem. Wielkiej różnicy by nie było.

## Beto

Ja miewam stany lękowe.

Kiedy ma się zdarzyć coś złego, a przede wszystkim kiedy zrobiłem coś złego, czuję się niepewnie. Robię się czerwony na twarzy. Dostaję gęziej skórki. W brzuchu mi się przewraca. Ostatecznie czekanie na konsekwencje zawsze jest gorsze niż same konsekwencje. Ja tam wolę zmierzyć się z problemami jak najszybciej.

W tamtym okresie miałem poczucie, że wszystko robię źle. Że całe moje życie jest złe. Że takich ludzi jak ja trzeba karać. Dzień w dzień. Godzina po godzinie. Czytałem takie powieści jak *Tunel* Sabato czy *Buszujący w zbożu* Salingera i identyfikowałem się z radykalnymi postaciami szukającymi dla siebie kary.

Tego dnia, kiedy Pringlin przyłapała nas w kiblu z papierosem, całe popołudnie czekałem na konsekwencje mojego złego zachowania, obgryzając paznokcie i zlewając się zimnym potem. Spodziewałem się bezlitosnej reakcji, przykładowego lania.

A poza tym myślałem o Manu. Choć wcale nie chciałem. Ale nie byłem w stanie przestać. Wciąż czułem zapach tego jego smrodliwego papierosa. I słyszałem jego słowa. I chichotałem na samo wspomnienie jego parodii stosunku seksualnego z panną Pringlin. Już za to jedno należała mi się nauczka.

Jakoś o czwartej usłyszałem hałas otwieranych drzwi wejściowych. I zadrzałem jeszcze bardziej, choć jednocześnie poczułem ulgę. Kara nadciąga. Czas zapłacić za grzechy. Lepsze to niż niepewność.

Dziwne, że ojciec nawet mnie nie zawołał. Leżałem na łóżku, zaciskałem zęby w obawie przed wrzaskiem, biciem, laniem. Tymczasem on rozsiadł się w salonie przed telewizorem z piwką w jednym ręku i kanapką w drugim i włączył sobie mecz.

Przyszło mi do głowy, że to taka wyrafinowana forma tortur. Ojciec przetrzyma mnie tak, żebym się zaczął bać, żeby ogarnął mnie niepokój, żebym się załamał nerwowo.

Postanowiłem z własnej woli podejść do kanapy, powoli, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Przyjąłem z góry skruszoną pozę w oczekiwaniu na to, co mnie czeka. Zacisnąłem zęby. Wbiłem sobie paznokcie w wewnętrzną część dłoni. Ale na mój widok ojciec powiedział tylko:

– Leci mecz Milanu z Fiorentiną. Chcesz popatrzeć?

Nawet nie oderwał oczu od ekranu.

To wciąż mogła być pułapka, więc czekałem bez słowa. Ojciec siedział z zamkniętymi ustami i spojrzeniem wbitym w telewizor.

To matka wyszła z kuchni, wciąż w fartuchu, i poruszyła temat, którego się obawiałem. Ku mojemu zaskoczeniu jej złość nie była wymierzona we mnie, tylko w ojca.

– I nic? Tak zamierzasz wychowywać syna?

Mama stanęła przed telewizorem, całkowicie zasłaniając ekran akurat w chwili, kiedy Fiorentina miała rzut różny. Ojciec przechylił się, żeby dalej oglądać, jakby piłkarze grali na stromym zboczu. Matka była wściekła, ale on nawet na nią nie spojrzał.

– W czym problem? – odpowiedział tylko. – Że pali? Pełno ludzi pali.

– Zachował się niegrzecznie wobec panny Pringlin!

– Nie tyle niegrzecznie, ile sobie z niej żartował.

Bronił mnie? Był po mojej stronie?

– Tak naprawdę to niczego nie powiedziałem... – próbowałem się włączyć, ale rozmowa toczyła się jakby ponad moją głową.

– Żartował tak niestosownie, że nie chciała nawet tego powtarzać – zaatakowała mama.

– Żarty piętnastolatków! – wkurzył się ojciec. – O czym twoim zdaniem gadają nastoletnie chłopaki? Otóż o kobietach. Martwiłbym się, gdyby o facetach gadał. Racja, mistrzu?



Lepiej nie odpowiadać na takie pytanie. Moje złe zachowanie to znacznie bezpieczniejszy temat.

- Nie będziecie mnie karać? – zapytałem.
- Będziemy! – odparła matka.
- Nie! – odpowiedział ojciec.
- Mogę iść do pokoju, dopóki tego nie ustalicie?

W tym momencie obrońca Milanu sfaulował któregoś rywala i sędzia pokazał mu żółtą kartkę. Kiedy na boisko wjechały nosze, żeby ratować poszkodowanego, ojciec uznał, że można wykorzystać tę przerwę. Popatrzył na matkę. Ona odpowiedziała wyczekującym spojrzeniem. Zawsze powtarzała, że to jego obowiązek: wychować mnie na porządnego mężczyznę.

- Możesz zostawić nas z Betem sam na sam? – zapytał ojciec zrezygnowanym głosem.

Matka przytaknęła i wyłączyła telewizor. Wychodząc, zabrała ze sobą dla pewności pilot. Ojciec przez chwilę przyglądał się swojemu piwu, jakby mu coś wpadło do butelki. W końcu odważyłem się odezwać. Wiedziałem, co chce usłyszeć. Dlatego powiedziałem:

- Jeśli chcesz, nie musimy gadać. Mogę iść do pokoju, a potem powiem mamie, że rozmawialiśmy.

Ojciec coś burknął. Ewidentnie rozważał ten pomysł. Ostatecznie jednak go odrzucił:

- Nie, to raczej nie jest dobre wyjście.
- Raczej nie.

Połowa jego kanapki leżała na stole, spojrzał na nią tęsknie. Ale rozumiał, że to nie jest chwila na jedzenie. Musiał sprawiać poważne wrażenie. Taką miał rolę.

- No więc... – zaczął wreszcie. – Żarciki o posuwaniu panny Pringlin, co?

- To nie ja... – szepnąłem.

Znów spuścił głowę. I niecierpliwie spoglądał na zegarek. Każda rozmowa, jeśli pojawiają się w niej słowa w rodzaju „posuwać” czy

inne tego typu, jest dla obu stron dość niezręczna, nawet gdy prowadzi się ją naokoło.

– Ja bym też tak nie mówił – odezwał się ojciec. – Ta kobieta jest brzydsza, niż ustawa przewiduje.

Zaśmiałem się. Ale wciąż czułem się niezręcznie. Zaśmiałem się, bo tak wypadało.

– Wiesz co? – przybrał kumpelski ton. – Wszystkim nam się to zdarza.

– Ale co? Komu?

– No, facetom. Wkracza się w taki wiek jak twój i człowieka ostro nosi. Zaczynamy fantazjować nawet na temat takich brzydul.

– Ja nie fantazjuję na temat panny Pringlin – czułem się w obowiązku zaznaczyć.

– Nie no, pewnie. A o kim? O kolegach?

Zaśmiał się hałaśliwie z własnego żartu. Z góry zakładał, że to zupełnie niemożliwe. Homoseksualizm był dla niego czymś takim jak bomba nuklearna albo głód w Afryce. Czymś, o czym mówi się w wiadomościach, ale co nigdy człowieka tak naprawdę nie dotyczy.

To pewnie normalne, tak myślę. Większość moich dzisiejszych przyjaciół potrzebowała czasu, żeby odkryć swoją seksualność. Tak bardzo chcieli być „prawdziwymi mężczyznami”, „maczo”, że musieli przejść przez różne niefajne sytuacje z kobietami, żeby pogodzić się z tym, kim naprawdę są. Ja tak w gruncie rzeczy nigdy przez coś takiego nie przechodziłem. Zawsze wiedziałem, kim jestem. I wiedziałem też, że muszę to trzymać w tajemnicy.

Tak więc w takich sytuacjach bez wysiłku mówiłem to, czego ode mnie oczekiwano:

– To nie była żadna fantazja, tylko taki wygłup.

– No wiem, wiem – ciągnął ojciec, przekonany, że jest fantastycznym gościem, bardzo nowoczesnym i ze szczególną wrażliwością wobec dorastających synów. – Ja też całymi dniami nawijałem o tym samym: dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny...

Znów się zaśmiał i klepnął mnie w plecy. Odpowiedziałem szturchnięciem go w ramię. Lubił takie rzeczy.

– Wiesz, jak jest – powiedziałem.

I gdy tylko mogłem, czmychnąłem do pokoju, żeby z furją rozmyślać o Manu.

## Carlos

Na swój sposób i mimo wszystko chciałem, żeby mnie ukarano. Może to dlatego po latach poszedłem na studia prawnicze. Żeby zmierzyć się z karą. Żeby się upewnić, że wszyscy zostaną odpowiednio potraktowani.

I tego też chciałem dla samego siebie. Miesiąc bez telewizji. Dwa tygodnie szlabanu w domu. Napisać pięćset razy „Więcej tego nie zrobię”. Klęczeć z rękami w górze i z osłą czapką na głowie. Niewielka kara za robienie zamieszania w klasie, palenie w toalecie i wyrażanie seksualnych fantazji na temat nauczycielki.

To by było normalne. A ja chciałem być normalny.

Dość już miałem tego, że jestem inny. Nie grałem w piłkę, bo u mnie w domu nikt nie interesował się futbolem. Nie jeździłem na rowerze, bo nikt mnie nie nauczył. W moim domu dyskutowało się o polityce, o Fidelu Castro, o Stanach Zjednoczonych, na tematy, których w szkole nikt nie poruszał. Moi rodzice nie uczestniczyli w normalnych rodzinnych aktywnościach weekendowych. A na wakacje, kiedy koledzy lecieli do Miami, zabierali mnie do... Huando, w góry.

Czy naprawdę niczego nie możemy robić tak jak inni ludzie?

Ale najgorszy był rozwód. Wtedy – czyli od początku 1980 roku – moi rodzice zaangażowali się w najdłuższy w historii rozwód.

Już w moich najwcześniejszych wspomnieniach mama i tata ciągle się kłóca. I on często nocował na kanapie w salonie. Wstawałem rano i budziłem go, żebyśmy się pobawili. Nie wiedziałem, że to zły znak.

Z czasem nie zastawałem już taty na kanapie. Tyle że w sypialni też go nie było. Kiedy nie spał z mamą, nocował gdzieś poza domem.

Pamiętam, że w tym czasie wygłaszał jedną ze swoich dziwacznych teorii:

– Bycie żonatym to nie jest to samo co bycie właścicielem krowy. Związek musi zostawiać przestrzeń na wolność osobistą.

Czy coś w tym stylu. Wszystko jedno, i tak nie rozumiałem.

Kiedy miałem dziesięć lat, rodzice wezwali mnie do salonu i oświadczyli:

– Postanowiliśmy się rozejść.

A ja:

– Okej.

A oni:

– Ale bardzo cię oboje nadal kochamy.

A ja:

– Okej.

A oni:

– I siebie też kochamy, ale inaczej.

A ja:

– Okej.

Ostatecznie jednak się nie rozeszli.

Dwa lata później z naprawdę dużym trudem tacie udało się wynieść z domu. Zabrał nawet ze sobą trochę ubrań. Ale po sześciu miesiącach pretensji i obietnic wrócił. Tego dnia oświadczył, że ta czasowa rozłąka to była próba i że przeszliśmy ją znakomicie.

– Znów będziemy rodziną – powiedział. – I teraz już na zawsze.

Próba.

To tak, jakby iść na komisariat i podpisać własne zwolnienie warunkowe. Tyle że jeśli zaliczysz tę próbę, to cię zamykają.

Wraz z pojednaniem wróciły kłótnie. Tata i mama próbowali kłócić się szeptem, żebym nie słyszał. Ale to też nie działało. Zawsze kiedy wracałem ze szkoły, przerywałem jakąś awanturę. Poznawałem to po ich napiętych twarzach. Albo w porze obiadu, kiedy mama udawała, że ma mnóstwo roboty, i zostawała w kuchni sama. A potem

przychodziła noc. Kładłem się i do mojego pokoju docierały stłamszone odgłosy starć z małżeńskiej sypialni. Atmosferę w moim domu można by kroić nożem, choć przy mnie i przy gościach rodzice uśmiechali się, gawędzili i udawali, że nic się nie dzieje.

Na początku 1992 roku oboje uznali, że nie są w stanie razem mieszkać, i tata znów się wyprowadził, ale tym razem w wielkim stylu, z ubraniami, meblami i pudłami pełnymi poprzedniego życia. Zaraz jednak odkryli, że bez siebie też nie mogą żyć. To wzajemne rzucanie się przypominało rzucanie palenia: długa seria wahań, wycofanie się i kolejne przerywane próby.

Od czasu do czasu rodzice przeżywali żarliwe powroty. Kilka razy w miesiącu przychodziłem na śniadanie i zastawałem tatę w jadalni.

– Niespodzianka, stary! – witał mnie. – Płatki czy grzanki?

Zwracał się do mnie, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem, jakby nigdy się nie wyprowadził i nie miał niebawem zrobić tego znów.

Następnego dnia jego krzesło znów stało puste.

Dlaczego nie mogliśmy żyć jak inni? Być rodziną albo nią nie być, ale nie obie te rzeczy naraz.

Tata był mocno niestabilnym mężem, ale nie nieobecny ojcem. Często towarzyszył mamie na zebraniach szkolnych, czego nie robili ojcowie, którzy rzeczywiście mieszkali ze swoimi żonami. Albo zapraszał ją na kolację, żeby omówić coś, co dotyczyło mnie. (Zazwyczaj to po takich kolacjach pojawiał się nazajutrz na śniadaniu).

– Nigdy nie przestanę przyjaźnić się z mamą – wyjaśniał mi – bo to twoja matka. Chcę, żebyśmy mieli cywilizowane stosunki dla dobra całej naszej trójki.

Brzmiało to bardzo rozsądnie. Ale po tych ich cywilizowanych spotkaniach mama przez kilka dni miała fatalny humor. Często popłakiwała na osobności. Wciąż docierały do mojego pokoju nocne odgłosy, ale teraz nie były to kłótnie, tylko szlochy i westchnienia.

- Mamo, wszystko w porządku? – pytałem.
- Połóż się, Carlos. Wszystko okej. Tylko trochę się przeziębiam. I zamykała się, żeby dalej płakać.

Ten wieczny rozwód moich rodziców miał jednak pewną zaletę: skupiał na sobie ich uwagę. Tata z mamą tak bardzo byli zajęci rzucaniem się i wracaniem do siebie, że niespecjalnie mieli czas na cokolwiek innego. W tym na mnie i moje błędy.

Tego dnia, kiedy Pringlin przyłapała nas na paleniu w łazience, tata poszedł z mamą do szkoły. Po powrocie do domu byli dla siebie strasznie słodcy, jak para wracająca z miesiąca miodowego. Przywitani się ze mną jak gdyby nigdy nic. Podczas obiadu rzucali sobie ukradkowe spojrzenia i wymieniali niezrozumiałe dla mnie żarciki. Musiałem im przypomnieć, że narozrabiałem w szkole. Że nauczycielka się wściekła. Że powinni mnie zbesztać, do jasnej cholery. To ich obowiązek.

- I co mówiła panna Pringlin?
- A racja! – przypomniał sobie tata, jakby chodziło o jakąś dawną sprawę. – Panna Pringlin. Trochę antypatyczna kobieta, prawda?
- Co powiedziała? – nie odpuszczałem.
- Że palisz w łazience – odpowiedziała mama. – Nic poważnego. Mówiła, że ukarze tylko prowodyra. Jak on ma na imię? Manolo?
- Manu.
- Manu. Ale chciała, żebyśmy wiedzieli o sprawie. Czy ty palisz, synu?
- Nie, tylko ten jeden raz!
- Nie powinieneś palić, dobrze? To bardzo niezdrowe.
- Ja nie palę!
- Nie będziemy cię za to karać. Papierosy wyrządzają szkodę tobie. To twoja odpowiedzialność.

Tacy byli moi rodzice: liberalni. Nic ich nie oburzało. Od mojego najwcześniejszego dzieciństwa. Ich zdaniem nie dopuszczałem się żadnych wykroczeń, ja „wyrażałem siebie”. Nie kopałem mebli, tylko

„uzewnętrzniałem agresję”. I nie biłem się z innymi dziećmi – to były „nieporozumienia”. Inni rodzice dawali swoim dzieciom klapsa po każdym łobuzerstwie. Ale my nawet pod tym względem nie byliśmy normalni.

– Ja nie palę! – powtórzyłem.

– W szkole tym bardziej nie powinieneś – wtrącił się tata. – Chyba o tym wiesz. Dotąd zawsze dobrze się zachowywałeś. Możemy dalej mieć do ciebie zaufanie?

– No pewnie!

Tata popatrzył na mamę, jakby pytał, jak wypadł. Mama wyraziła aprobatę dla jego zachowania, nalewając mu kolejną filiżankę kawy. Potem zaczęli rozmawiać o zasłonach. Mama uważała, że czas je wymienić.

Wyglądało na to, że moje pięć minut już minęło. Lekko zbity z tropu zapytałem:

– To już?

– Już co?

– To wszystko? Mogę iść?

Przytaknęli. Sprawiali wrażenie, jakby moje zniknięcie z widoku było im na rękę.

Siedzieli sobie w salonie, gruchając jak gołąbki. Przypomniało mi się zaproszenie Pameli. Może jednak tym razem dobrze mieć nienormalnych rodziców.

– Niedługo wracam! – zawołałem, wybiegając z domu jak najszybciej, żeby nie zdążyli zmienić zdania. – Idę do Beto!

Nie mogłem powiedzieć, dokąd naprawdę szedłem. Byli liberalni, jednak nie nieświadomi. Nie pozwoliliby mi jechać samemu taksówką przez pół miasta aż do San Isidro. Ale przecież nie musieli o niczym wiedzieć.

W pobliżu alei Benavides złapałem samochód z naklejką „taxi” na szybie. I przez całą drogę przez Higuieretę i Miraflores nawet nie przyszło mi do głowy, że kierowca mógłby mnie gdzieś wywieźć



i obrabować. Myślałem tylko o tym, że jestem już mężczyzną, dorosłym. Udowodniłem to rano w szkolnej łazience. I zamierzałem powtórzyć ten wyczyn wieczorem z Pamelą w centrum handlowym Camino Real.

Dziś nie jestem w stanie zrozumieć, na czym polegała atrakcyjność Camino Real. Miało fatalną lokalizację, w środku dzielnicy San Isidro, tak że wiele z tamtejszych sklepów musiało się zamknąć, a niektóre nawet nie zdążyły się otworzyć. Dla nastolatków pełniło jednak funkcję ulubionego miejsca, w którym można się pokazać, kręciliśmy się po tamtejszych korytarzach, roztaczając woń drakkar noir i popisując się kosmicznymi reebokami zapinanymi na rzepy albo kolorowymi new balance'ami.

Zastałem Pamelę w trakcie takiego obchodu z oglądaniem wystaw. Szła z dwiema koleżankami, które mi przedstawiła. Koleżanki ciągle mi się przyglądały z półuśmieszkami, jakbym był jakimś zabawnym akcesorium odzieżowym. Odezwałem się do Pameli:

- Dlaczego tu przyjeżdżasz, skoro to tak daleko?
- Im dalej od mamy, tym lepiej - odpowiedziała.

Nie mogłem się nie zgodzić.

Pogadaliśmy chwilę właściwie o niczym, a potem Pamela zrobiła coś, czego się nie spodziewałem: pożegnała się z koleżankami i dalej poszliśmy sami. Umówiła się z nimi na później, żeby razem wracały, i trzy razy kazała im przysięgać, że nie powiedzą niczego rodzicom. One z kolei kazały jej przysiąc, że im wszystko opowie. Przyglądały mi się szelmowsko. Miałem wrażenie, że nie pierwszy raz odstawiają taki teatrzyk.

- Wreszcie sami - stwierdziła Pamela. - Co robimy?
- No... do głowy przychodzi mi tylko jedno.

Camino Real miało salę kinową, idealne miejsce, żeby przez półtorej godziny móc się obmacywać w spokoju. Nie pamiętam, na jakim filmie byliśmy. Nie wiedziałem tego nawet w trakcie seansu. Całowaliśmy się z Pamelą z takim zapałem, że para za nami zmieniała

miejsca. Ona kasała mnie w uszy i szyję i pozwoliła mi wsunąć rękę w spodnie. Choć pozycję mieliśmy nie za wygodną, korzyści zdecydowanie przyćmiewały niedogodności.

Potem poszliśmy się czegoś napić do kawiarni z marmurowymi stolikami. Ledwie byliśmy w stanie rozmawiać. Po tej sesji czułości trochę nas krępowało takie siedzenie w świetle twarzą w twarz. Znow zapadła między nami długa cisza.

– Potrzebujemy jakiegoś miejsca – odezwałem się po dobrej chwili.

– Jakiego miejsca? – sączyła swoją fantę, dopóki z rurki nie zaczęło dobiegać głucho siorbanie.

– Takiego, żebyśmy mogli tam być razem. Sami. Nie możemy chodzić codziennie do kina.

– Chciałbyś codziennie robić to, co przed chwilą?

Nie wypowiedziała tego z łobuzerskim uśmieszkiem. Raczej z grymasem niesmaku.

– A ty nie?

– Możemy też robić inne rzeczy. Na przykład rozmawiać. Albo naprawdę oglądać filmy.

Dziewczyny. Zawsze to samo. Minutę temu dyszała z podniecenia, a teraz opowiada o filmach.

– Ja tam wolę to, co dzisiaj – wyjaśniłem.

Wtedy się zezłościła:

– Jeśli tylko do tego ci jestem potrzebna, to dlaczego sobie nie pójdziesz na dziwki?

– Czemu tak mówisz?

– Bo tobie chodzi tylko o seks!

– To nieprawda!

No cóż, w sumie prawda. Ale to nie moja wina. Tacy już byliśmy. W tamtych czasach relacje nastolatków przypominały przeciąganie liny między chłopakiem, który chce się bzykać, a dziewczyną, która unika tego za wszelką cenę. Kiedy ona nie dawała już rady – brało się

ślub. Czasami nie dawała rady i zachodziła w ciążę. I brało się ślub. A potem latami starało się o rozwód.

Pamela kontynuowała atak:

– Jedyne, o co ci chodzi, to mieć o czym opowiadać swoim kolegom. Wszyscy tacy jesteście.

Trzeba było zmienić kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Ja lubię z tobą być – powiedziałem. – Rozmawiać, śmiać się. To lubię najbardziej. Tyle że zawsze dookoła są ludzie. Albo pracujesz, albo jesteśmy w miejscu publicznym. Chciałbym się widzieć z tobą na osobności, żeby nikt nam nie zawracał głowy. Chciałbym być w takim miejscu, gdzie jedyne, co widzę i czego mogę dotknąć, to ty.

I żeby podkreślić efekt mych słów, złapałem Pamelę za dłoń i pogłaskałem ją po grzbiecie kciukiem. Dobrze to wypadło. Jej oczy rozbłysły bardziej niż pomarańczowy napój, który sączyła. I po kilku sekundach namysłu nagle kompletnie zmieniła swoje zachowanie. Zrobiła się słodka.

– Naprawdę ci się podobam?

– Uwielbiam cię.

Zaczerwieniła się. Jej policzki poczerwieniały. Miało się ochotę je ugryźć.

– A umiałbyś dochować sekretu? – zapytała. – Gdybyśmy to zrobili.... Czy coś takiego... To znaczy nie mówię, że tak... Wiesz... Ale czy to by zostało między nami?

– Dla mnie liczysz się tylko ty i ja.

Słowa mają magiczną moc: poruszają góry. Mogą zwyciężyć. Otwierają szeroko wcześniej zamurowane drzwi. Wie o tym każdy adwokat. Człowiek jest winny, a potem za ich sprawą zyskuje uniewinnienie. Dobrze opisane oszustwo to „nieporozumienie”. Kobieta mówi nie, ale dzięki odpowiednio dobranym słowom można dowieść, że to było tak.

– No dobrze – powiedziała cichutko, jakby ktoś nas mógł podsłuchiwać. – Wydaje mi się, że znam miejsce, gdzie możemy być

sami.

– Kiedy?

– Jutro?

Puls drastycznie mi przyśpieszył. Dostałem gęziej skórki. Moje ciało wypełniła radość. Za dwadzieścia cztery godziny spotkamy się sam na sam. Czy ja tyle wytrzymam?

# Manu

Dlaczego, kurde, reszta nie dostała kary?

Ci wszyscy cwaniacy, moi kumple, wywinęli się bez żadnych konsekwencji!

Betowi i Carlosowi starzy nawet nic nie powiedzieli. A starzy Moca... No cóż, Moco nie miał matki. I ojca praktycznie też nie. Nikt go nigdy nie widział.

Więc to ja byłem „prowodyrem”. Zgniłym jabłkiem. Tak mówiła Pringlin. Ja byłem tym złym. Reszta była grzeczna, dopóki ich nie zepsułem.

No po prostu super, kuźwa. To już było przegięcie.

Całą noc przewracałem się w łóżku z boku na bok i przez cały następny dzień łamałem sobie nad tym głowę. Musiałem zadać mocniejszy cios. Naprawdę przeholować. Tym razem musiałem doprowadzić tę krowę Pringlin do szału, tak ją wkurzyć, żeby jej się z uszu zakurzyło. I wiedziałem, jak to zrobić.

No, nie zostawiała mi wyboru, wredna baba.

Tego wieczora po raz ostatni dam się ukarać.

I zamierzałem zachowywać się naprawdę strasznie. Oj stary, zamierzałem naprawdę dać popalić.

Jak wszystko pójdzie dobrze, stara wywali mnie ze szkoły raz, dwa. I już. Po sprawie.

# Moco

Każdy film ma jakieś niewielkie błędy: mówi się na nie *bloopers*.

Można je znaleźć nawet w tak pomnikowym filmie jak *Star Wars*: za pierwszym razem, kiedy pojawia się Millennium Falcon, nie ma radaru. Ale potem jest już zawsze. Każdy to może zauważyć. Trzeba tylko patrzeć.

A kiedy Luke Skywalker przygotowuje się do finałowej bitwy, jego pojazd nazywa się Red One. Ale podczas walki pilotuje już Red Five. Błąd.

A na wersji DVD z 2004 roku, kiedy Luke trenuje w Millennium Falcon, jego miecz świetlny jest zielony, a potem się robi niebieski. Wszyscy to widzą. Prócz reżysera.

Błędy. Niespójności. Niemożliwe sytuacje.

Manu zaliczył swój własny *blooper*.

To było tego dnia, kiedy został w szkole po lekcjach. Cały ranek powtarzał, że tym razem to go wywalą. Był wściekły, pamiętam to. Przysięgał, że upokorzy Pringlin. Że doprowadzi ją do szału. Zarzekał się, że ją zgwałci, choć to był żart, he, he.

Przed wyjściem ze szkoły wszyscy go wyściskaliśmy. Myśleliśmy, że już go nie zobaczymy w szkole, że tego popołudnia dopnie swego siłą albo po dobroci i wyleci. Że to nasze pożegnanie.

Tyle że następnego dnia Manu wrócił do szkoły. I był cieniem dawnego siebie, marnym strzępem. Blooperem.

## Beto

Co oni zrobili z moim Manu?

W co go zamienili?

Na odbycie kary ruszał jak na bitwę. Pełen sił, przysięgał, że pokona tę zasuszoną jędzę. Objąłem go, a on odwzajemnił uścisk, tak że prawie kręgosłup mi złamał.

Następnego dnia jednak był – i to pokonany. Bez energii. Stracił swoją witalność. Ta wiedźma ukradła mu duszę.

Oddaliśmy pannie Pringlin młodego i dzielnego Manu, a ona go pożarła. A potem wypluła same kości.

Z dnia na dzień Manu stał się żywym trupem.

## Carlos

– Pamiętajcie, chłopcy: to przede wszystkim jest święto.

Stojąc przed całą klasą, ojciec i matka Rudy'ego Vasconcelosa szczerzyli się do nas swoimi uśmiechami w rozmiarze rodzinnym. On miał błękitny krawat, a ona fryzurę wielkości tortu weselnego. Wyglądali jak przeciwieństwo mojej rodziny. Taka wersja „zdatna dla wszystkich”. Bez wątpienia słowa typu „rozwód” czy „aborcja” nigdy nie skalają ich ust. I pan Vasconcelos z pewnością nigdy nie nocował na kanapie.

– Ważne jest to, by wszyscy uczestniczyli – ciągnął swoją przemowę. – Pamiętajcie, że to są chwile, które zabierzecie ze sobą w dorosłość, rzeczy, które będziecie pamiętać i o których będziecie opowiadać własnym dzieciom.

Pan Vasconcelos i jego doskonała żona stanowili stały element naszej szkolnej rutyny. Podczas rekolekcji prowadzili dla nas lekcje właściwego życia małżeńskiego. Ich zdaniem akt seksualny jest dziełem Boga, więc nie można go marnować na „plugawe zabawy”, tylko zarezerwować dla celów prokreacyjnych.

Ja bym na nich doniósł policji. Wsadziłbym ich oboje do więzienia. Jeśli nie za propagowanie kłamstw, to przynajmniej za to, jak wyglądali: ten krawat na pewno stanowił wykroczenie przeciwko elegancji.

Tyle że nie było takiej konieczności. Oni sami skazywali się na niebyt. Trzeba przyznać, że samo wyobrażenie sobie tych dwóch dziwadeł w trakcie kopulacji każdemu odebrałoby pociąg seksualny. A ich syn, Rudy Vasconcelos, w spodniach podciągniętych wysoko ponad pas i zawsze za krótkich, ze swoimi świetnymi ocenami i religijnymi przemowami podczas poniedziałkowych godzin



wychowawczych, sam z siebie stanowił najlepszy argument przeciw prokreacji.

Tak czy inaczej Vasconcelosowie uważali się za przykład rodziny idealnej. Co roku pełnili funkcję przewodniczących Rady Rodziców i pojawiali się w szkole przy najmniejszej okazji, organizowali szkolne wycieczki do katedry, sprzedawali kanapki na imprezach sportowych albo oddawali się żarliwym modłom podczas zbiorowych mszy. Vasconcelosowie uosabiali marzenie o katolickiej rodzinie, a szóstka ich dzieci stanowiła żywy dowód na to, że w ich domu nigdy nawet na chwilę nie zagościła żadna prezerwatywa.

– Dlatego – przemawiał dalej pan Vasconcelos – nie chcemy, by kogokolwiek z was zabrakło na komersie.

No tak. Komers. Ostatni wynalazek Vasconcelosów.

Jako przewodniczący Rady Rodziców owi geniusze pomyśleli sobie tak: dlaczego kazać dzieciom płacić tylko za bal na koniec szkoły, jeśli możemy wciskać takie imprezy także młodszym uczniom? I tak postanowili zorganizować komers też dla nas, czwartoklasistów. Pomysł był niezły, a w każdym razie opłacalny, tyle że napotykał pewną małą trudność: niemal żaden z nas nie miał jak zaprosić dziewczyny z krwi i kości. Niemal żaden z taką nigdy nie gadał.

Uśmiechnięty pan Vasconcelos miał jednak sposób i na to:

– Wiemy, że wielu z was nie ma kogo zaprosić. To normalne, w końcu cały wasz czas schodzi na naukę i sport. Nie ma się czego wstydzić. My się tym zajmujemy.

Siedzący w ławce przede mną Beto odwrócił się i szepnął:

– Chyba nie kapuję. On nam oferuje kobiety?

– Ćśśś – odezwał się ku naszemu zaskoczeniu Manu.

Dopiero wtedy się połapaliśmy, że przez cały dzień w ogóle się nie odzywał. Był w ponurym i marnym humorze, zachmurzony jak wzgórze Monterrico. Przypisywałem to wczorajszej karze.

– Co jest, Manu? – zapytałem, żeby go rozruszać. – Zaciekawiała cię oferta Vasconcelosa?

Beto się zaśmiał. Manu nie odpowiedział. Tymczasem Vasconcelos rozwijał swą myśl pod tablicą:

– Naradziliśmy się z innymi rodzicami i pomyśleliśmy: a może by tak się dogadać, żeby wszyscy uczniowie mogli uczestniczyć w zabawie? Mamy przecież córki i siostrzenice, to są siostry i kuzynki waszych kolegów. Godne zaufania dziewczęta, z którymi będziecie mogli miło spędzić czas...

Beto znów się zaśmiał, zabrzmiał jak zepsuty silnik. Szepnąłem:

– O kurwa, iść na imprezę z siostrą Rudy’ego Vasconcelosa!

– Ja ją widziałem – wypalił Beto. – Zupełnie jak Rudy, tylko węża ma obfitszego.

– Słyszałeś, Moco? Moco!

Moco siedział obok nas, blady i nieobecny, krople potu ściekały mu z czoła na szyję.

– Moco – syknąłem. – Znowu walisz konia?

– No co jest? – zaprotestował. – Masz coś lepszego do roboty?

– Powinieneś posłuchać – wtrącił się Beto. – Tobie ewidentnie też jest potrzebna przesyłka Vasconcelos Express.

– A wam niby nie, cwaniaki? – odpowiedział Moco, zapinając rozporek, ewidentnie pogodzony z tym, że spędzi ten poranek bez orgazmów.

– Mnie nie pakuj do tego samego worka, pętaku – broniłem się. – Ja dziś wieczorem wchodzę do pierwszej ligi.

Siedząca za biurkiem panna Pringlin wyczuła jakiś szmer. Skierowała w naszą stronę spojrzenie pełne niechęci, ale niczego nie powiedziała. Przez chwilę dygotaliśmy w niepewności. Wysunęła nos w naszą stronę, jakby węsząc, a potem dalej słuchała pana Vasconcelosa, który rozdawał karteczki, żeby zainteresowani mogli się wpisać.

Kiedy uznaliśmy, że zagrożenie minęło, Beto zapytał:

– Robisz jakieś postępy z tą twoją dziewczyną?

– Ćśśś – zgasilem go. Nie chciałem, żeby Pringlin nas przyłapała.

Bądźmy jednak szczerzy: czy jest możliwe, żeby człowiek znajdował się o krok od najbardziej upragnionego trofeum i dochował tajemnicy przed kolegami? Czy przysięgając przed dziewczyną, można jednocześnie dochować tej przysięgi przed kolegami? I nawet gdyby gadanie wystawiało to wszystko na ryzyko – czy ktoś byłby w stanie milczeć?

Pewnie, że nie.

– Mam randkę – powiedziałem i poczułem się tak, jakbym zrzucił brzemień z grzbietu. – I to nie w parku czy w salonie. Tak że żegnajcie. Ostatni raz patrzycie na prawiczka.

Obaj otworzyli szeroko oczy. Szczególnie podekscytowany był Moco, który prawie zapomniał, że ma szeptać:

– Super. Mam kamerę. Mogę ci ją podrzucić wieczorem i zrobimy na tym interes. Wyobrażasz to sobie: porno taśmy ze znanymi ludźmi! Staniesz się nową gwiazdą porno. Możesz zostać bohaterem szkoły!

– A ty możesz zostać bez zębów – odpowiedziałem.

Moco zrobił urażoną minę:

– Okej, dobra, spoko, ale pewnego dnia, kiedy ci będzie w brzuchu burczało z głodu, bo będziesz na bezrobociu, przyjdiesz do mojego świetnie prosperującego biura, Larry Flynt, Hugh Hefner i Moco Risueño Incorporated, i będziesz mnie błagał o robotę, choćby sprzedawcy gazet na rogu ulicy. I wtedy przypomnę ci dzisiejszy dzień.

– A ona się zgodziła? – Beto wrócił do tematu.

– Mniej więcej. Będziemy tam sami. To kwestia tego, jak poprowadzę sprawę. Potrzebuję dobrych rad. Manu?

– Przestańcie – odpowiedział Manu z niespodziewaną powagą, nawet nie odwracając głowy. – Próbuję słuchać, co mówią.

Gdyby Manu oświadczył, że słoń uzbrojony w karabin maszynowy wdarł się do jego domu albo że będzie bezterminowy strajk nauczycieli i zawieszą lekcje na dwa miesiące, albo że trzy

przecznice od szkoły otwarto basen dla nudystów, nie bylibyśmy bardziej zaskoczeni. Nasza trójka wymieniła spojrzenia, zrozumieliśmy się bez słowa: to nie jest Manu. Ktoś wprowadził naszego przyjaciela i podrzucił w zamian jednego z Vasconcelosów.

Moco przerwał ciszę:

– O nie, ta baba jednak go wczoraj zgwałciła – wymamrotał w osłupieniu.

– I co gorsza – dodał Beto – wyprąła mu mózg.

– Albo całkiem zabrała – uzupełniłem.

– Możecie się wreszcie zamknąć? To są ważne rzeczy – zirytował się Manu.

Tym razem odwrócił się w naszą stronę i w jego oczach mignęło coś, czego nigdy wcześniej nie widzieliśmy: błaganie.

– Co z tobą? – zapytałem. – Stałeś się nagle pieszczoszkim Pringlinowej? Wyprowadza cię na spacerki, żebyś zrobił siusiu?

– Mogę ci opylić obrożę z kolcami – dorzucił Moco, nie wiem, czy żartem, czy serio. – Niektórzy to stosują.

– Potem wam wytłumaczę – jęknął błagalnie Manu, Manu nie do poznania, niewiarygodny, niemożliwy. – A teraz, proszę, zamknijcie się.

Trzeba było to zrobić wcześniej. Słuch doskonały panny Pringlin trenowano właśnie do takich sytuacji jak ta. To były jej ulubione chwile.

– Proszę, proszę. – Jej głos spadł na nas jak jastrząb na bezbronny gołąbka. – Wygląda na to, że panu Battaglii tak bardzo podoba się idea komersu, że chciałby nań pójść niejedną raz, prawda?

Błagalny wyraz zniknął z oczu Manu i pojawiła się w nich nienawiść, a potem, kiedy odwrócił się w jej stronę, żal nad samym sobą:

– Ja... prosiłem o ciszę, pani profesor... Żeby móc się lepiej skupić na tym ciekawym wywodzie...

- „Pani profesor”? – szepnął Moco.
- „Skupić”? – dodał Beto.
- „Ciekawy wywód”? – dokończyłem.

Oddajcie nam naszego Manu, pomyśleliśmy wszyscy.

- Cieszę się, że pan uważnie słucha – odpowiedziała Pringlin swoim najjadowitszym tonem. – I proszę się nie martwić. Skoro tak to pana interesuje, może pan poświęcić przerwę na przepisywanie słowo w słowo rozdziału czwartego z podręcznika. Tym sposobem niczego pan nie przegapi.

Nie tylko my, ale cała klasa wymieniała spojrzenia w oczekiwaniu na odpowiedź Manu. Wciąż jeszcze wierzyliśmy, że on się zgrywa, że doprowadził do tej sceny, by teraz dokonać wolty i odpowiedzieć Pringlinowej z podwójną siłą. Ale jedyne, co się rozległo, to dzwonek na przerwę, niby jakiś alarm obwieszczający zagrożenie dla jego sławy. A potem wcale nie przyjemniejszy i nie mniej przenikliwy niż dzwonek głos panny Pringlin:

- Możecie wyjść – obwieściła, a potem z wyraźną przyjemnością dodała: – ...prawie wszyscy.

## Manu

No, próbowałem się dobrze zachowywać, stary! Kurde, cholernie się starałem!

Ta baba wygrała pojedynek. Dokopała mi. Byłem gotów się poddać. Grzecznie się zachowywałem. To była wasza wina.

Trzech bałwanów z idiotycznymi kawałami i przedszkolną seksualnością.

To była wasza wina, to wszystko, co się potem stało.

Ja nie byłem żadnym prowodyrem, szwagier, ja byłem waszą ofiarą.

I to proszę nagrać, jasne?

Będziesz rejestrować ten cały syf? Niech to tam będzie. I kopię chcę.

# Moco

To była jego wina. Manu. Bo z dnia na dzień obleciał go cykor.

# Beto

To była moja wina.

Bo ta kobieta zniszczyła Manu.

A tym samym zniszczyła też mnie.



## Carlos

To była nasza wina. Razem to zrobiliśmy.

W prawie istnieje na to zapis: „udział w grupie przestępczej”. To oznacza, że za napad nie odpowiadają tylko ci, co zabrali pieniądze. Także ci, którzy zbierają informacje, prowadzą samochód, wynajmują dom na kryjówkę albo kupują prowiant. Współpracownicy są tak samo winni jak bezpośredni wykonawcy, nawet jeśli nie pociągnęli za spust.

A w tym przypadku współuczestniczyliśmy wszyscy.

– Trzeba pomóc Manu – stwierdził Beto, wychodząc na przerwę, cały w nerwach.

Ja zaprotestowałem:

– Ma karę! Czego chcesz? Żebyśmy go helikopterem odbili?

– Pringlin coś mu zrobiła – upierał się Beto. – Czuję to. Coś okropnego.

Moco zaczął rechotać tym swoim psychopatycznym śmiechem:

– He, he, he, he... Może to nie było takie okropne...

– Nie o to mi chodzi, idioto! – odparował Beto. – Nie widzisz, jaki jest dziś Manu? Ona go skasowała. Na pewno go czymś szantażuje. Albo mu grozi. Musimy mu pomóc.

– Tobie to mocno odwaliło, co? – zapytałem. – Jedyne, co możemy zdziałać, to tak samo jak Manu zarobić jakąś karę.

– I co? Nie zasługuje na to? A kiedy to on wstał i zapytał o syfilis, żeby nas wszystkich uratować, to co?

*Touché.* Próbowałem jednak dalej bronić swojej pozycji:

– Zrobił to, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– A gdy wziął na siebie całą winę wtedy w łazience? Nie było tam nikogo, przed kim mógłby się popisywać. I dostał karę przecież.

– Bo chciał, żeby go wywalili.

– To dlaczego teraz już nie chce? Dlaczego dziś jest taki dziwny? Co ta wiedźma zrobiła mu wczoraj?

Beto nigdy wcześniej nie wykazywał się taką energią. A bez wątplenia miał rację. Tyle że dziś wieczorem ja miałem randkę. Być może randkę definitywną. Gdybym narozrabiał akurat dziś w szkole, to sprawa by się mogła skomplikować. Mógłbym zostać zawieszony. A nawet moi liberalni rodzice mieli swoją granicę tolerancji. Nie mogłem ryzykować wszystkiego, żeby pomagać Manu.

A może mogłem?

– Zostawmy to wszystko w spokoju – próbowałem się wywinąć.

– Co? – Beto wprost wychodził z siebie. – Jesteś tchórzem, Carlos. Nie jesteś przyjacielem, tylko zdrajcą.

– Proszę cię, Beto...

– Nie odzywaj się do mnie!

Odwrócił się do mnie plecami i zaczął się oddalać.

Trzeba go było puścić. To byłby znacznie lepszy pomysł.

Ale Moco, który przez prawie cały ten czas siedział cicho, nagle postanowił jednak otworzyć tę swoją przeklętą jadaczkę.

– Beto ma rację – stwierdził. – Musimy mu pomóc.

– Moco! Ty też?

– Manu zaryzykował dla nas. Teraz nasza kolej.

– Ale, ale...

– Ja idę z Beto.

I po prostu ruszył za nim.

Przez kilka sekund tkwiłem w miejscu. Starając się skupić na myśli o spotkaniu z Pamelą, czekałem, aż ci dwaj sobie pójda. Powtarzałem sobie, że wobec niej też mam honorowe zobowiązania, bo przecież obiecałem. Próbowałem sobie wmówić, że problemy Manu to problemy Manu i kropka.

Niestety nogi mnie nie posłuchały. Wbrew mojej woli ciało ruszyło za Beto i Moco. Wiedziałem, że to błąd. I sam się zdziwiłem, usłyszawszy własne słowa:

– No dobra, dobra. To co robimy?

Wiedziałem, że będę żałował tych słów.

Manu siedział w tylnej ławce, w przedostatnim rzędzie. Sala klasy czwartej miała wielkie okna. Na dole szyby były matowe, żeby zasłonić widok na boisko. Ale wyżej, aż po sufit, były przeźroczyste i otwierało się je jak żaluzje. Tak mogliśmy się porozumieć z Manu, a nawet przesłać mu jakąś wiadomość czy liścik. Musieliśmy tylko podnieść jednego z nas do góry.

Beto uparł się, że to on będzie pośrednikiem. Był tak wściekły, jakby to jego ukarali. Usiadł nam na ramionach i zajrzał do środka. Swoje ważył, więc parę razy o mało nam nie spadł. Ale opierając się o masywną kolumnę, przy której staliśmy, zdołał się jakoś utrzymać.

– Już? – zapytałem, kiedy moje nogi zaczęły wiotczeć.

– Już prawie – odpowiedział Beto. – Musi się obrócić w naszą stronę.

Zastukał parę razy w szybę. O mało nie poleciał do przodu.

– Jakim cudem ty tyle ważysz? – narzekał Moco.

– Bo ty masz mięśnie tylko w jednej ręce, onanisto – odpalił mu Beto.

– Taa, w tej, którą dogadzam twojej matce.

– Bądźcie, kurde, cicho!

Jeśli miało nam się udać, nasza akcja wymagała koordynacji niemal wojskowej. Jedyne problem polegał na tym, że wszyscy trzej byliśmy smutnymi przygłupami. Gdybyśmy naprawdę poszli do wojska, posłaliby nas do obierania ziemniaków, a naszymi wojennymi obrażeniami byłyby zacięcia na rękach i niestrawności.

Ale w końcu udało nam się zadać mu pytanie. Ulegając moim argumentom, że należy zachować ostrożność, Beto napisał wiadomość do Manu, a potem zwinął ją w kulkę. Napisał tak:

## DLACZEGO NIE SPŁAWIŁEŚ PANNY PRINGLIN?

Wreszcie Manu podniósł wzrok znad tego nieszczęsnego czwartego rozdziału i Beto rzucił kulkę, która upadła jakieś pół metra od jego ławki. Manu zobaczył to i, udając, że sięga po piórnik do plecaka, podniósł ją. Ze swojego wysokościowego stanowiska Beto relacjonował jego ruchy.

Manu rozwinął karteczkę i przeczytał, a potem odpisał. Powoli zwinął papier, starając się nie zwracać uwagi na nauczycielkę. I wycelował, żeby rzucić ją za okno. Do tego potrzeba było naprawdę dobrego celu, a Manu miał tylko jedną szansę, żeby nie zwrócić uwagi panny Pringlin.

– Jeszcze raz powiesz coś o mojej matce... – mówił Beto.

– A co? – odpowiedział Moco. – Jej się podoba.

– Masz przewagę, bo twoja nie żyje.

– Jak chcesz, to mogę zaruchać twoją na śmierć.

– A twoja tak właśnie umarła?

Na szczęście Manu był zręczniejszy niż my. Odrzucił nam odpowiedź celnie już za pierwszym razem. Papierek spadł nam na głowy, kiedy byliśmy zajęci kłótnią, i przypomniał o naszej misji. Otworzyliśmy go i przeczytaliśmy:

BO MI ZAGROZIŁA ŻE MI KARZE POWTARZAĆ KLASE  
A NIE WYŻUCI

No tak, mamy wyjaśnienie: szantaż.

To chyba jest karalne, nie? Panna Pringlin mogłaby za coś takiego pójść legalnie siedzieć. To ważne, trzeba to zapamiętać, żeby zrozumieć, co działo się później.

Beto się wściekł:

– A nie mówiłem? Ona się nad nim znęca.

Moco rzucił tylko:

– Stara krowa.

A ja dostrzegłem w tym szansę, by uniknąć dalszych kłopotów:

– No dobra, to wiemy. W żadnym razie go nie wyrzucą. Możemy już skończyć, nie?

Ale Beto oświadczył:

– To kłamstwo.

Moco też miał własne przemyślenia na temat tej sytuacji, którymi chciał się podzielić:

– Suka. Małpa. Babon.

A ja zapytałem, choć wcale nie chciałem usłyszeć odpowiedzi:

– Co jest kłamstwem?

Beto:

– Za złe zachowanie nie można powtarzać klasy. Karą jest wyrzucenie ze szkoły.

Na co Moco:

– A skąd to wzięłeś?

– Tak mówią przepisy.

Na co ja:

– A skąd wiesz?

I Beto:

– Przeczytałem w regulaminie szkolnym, w zeszytcie zadań.

Moco:

– W zeszytcie? Gdzie?

– Zaraz za okładką, paragraf szósty.

Na co ja:

– A kiedy ty czytałeś regulamin szkolny?

– A zapomniałem kiedyś książki.

Na co Moco:

– Boże, tobie to jest potrzebna kobieta... albo mężczyzna... albo jakieś zwierzątko...

Beto stracił cierpliwość:

– To mówimy o tym Manu czy nie?

I ja, choć jedyne, czego chciałem, to zwinąć się stamtąd i ratować moją randkę z Pamela, i choć wiedziałem, że to błąd, zaproponowałem:

– Napisz mu to.

Tym razem nasza wiadomość brzmiała po prostu:

ZESZYT ZADAŃ  
ZA OKŁADKĄ  
PARAGRAF 6

Znów dźwignęliśmy Beto z karteczką. Panowało takie napięcie, że nie dyskutowaliśmy już o niczyjej matce. Byliśmy podenerwowani, czekaliśmy na wieści od naszego szpiega.

– Otworzył wiadomość – informował Beto. – Teraz czyta.

Jak się nad tym w tej chwili zastanawiam, to musieliśmy bardzo zwracać na siebie uwagę. Jeden uczeń siedzi na plecach dwóch innych pod oknami klasy – dość niecodzienny widok. Wspominałem już, że byliśmy wszyscy trzej średnio rozgarnięci, ale z tego, że robimy z siebie widowisko, zdaliśmy sobie sprawę, dopiero kiedy usłyszeliśmy za plecami głos:

– Ej, trzej stuknięci! A co wy tam tak się przytulacie w kąciuku? Jakieś *ménage à trois*?

Jeden z klasowych zabijaków, Ryan Barrameda, zbliżał się do nas w asyście dwóch zbirów. No, „zbir” to takie słowo wzięte z filmów. Tak naprawdę było to dwóch pospolitych przydupasów. Ruszali czasem we trzech na takie patrole w poszukiwaniu nieszczęśników takich jak my, żeby sobie urozmaicić poranek i nad kimś się poznęcać. Najwyraźniej bawiło ich to. Żeby było śmieszniej, ich przywódca kazał na siebie mówić Ryan Barrakuda.

– Ryan... – Staralem się mówić jak najciszej. – Uciekaj stąd.

Moja odpowiedź chyba rozbawiła Ryana, ale jego dwa przydupasy sprawiały wrażenie wielce oburzonych; prowokowali go, żeby nam przyłożył. Tak zasadniczo wyglądała standardowa procedura:

przychodzili, czepiali się, a jak źle odpowiadaliśmy – wkurzali się i bili. Zwykle jednak potrzebowali więcej czasu.

– Co powiedziałaś, kretynie? – warknął Ryan. – Mam ci obić ryja?

Beto nadal siedział trochę na moich plecach, trochę na Moca, tyle że ten poderwał się do ucieczki, przez co Beto o mało nie wyrzucił twarzą w okno. Zbierając wszystkie siły, zdołałem jednego zatrzymać, a drugiego utrzymać. Cała ta afera nabierała jednak za dużego rozpędu.

Wtedy Moco wpadł na pomysł. Powiedział:

– Ryan, jeśli nas teraz zostawicie, dam ci jeden film i jeszcze dwa dla twoich kolegów. Mam jeden z Traci Lords, ładują jej we wszystkie otwory. Będzie twój, za friko. Ale tylko jeśli teraz dacie nam spokój.

– Słuchaj no, kurduplowaty koniobijco! – huknął Ryan. – Myślisz, że my całymi dniami walimy gruchę jak ty?

Beto zaczął się chybotać na górze. Długo nie bylibyśmy w stanie go utrzymać. Została nam jeszcze jedna kula w magazynku.

– Będziecie mogli też odpisywać zadania Beto.

– Tylko z hiszpańskiego! – zastrzegł Beto.

– I z matematyki! – dorzuciłem, spływając potem.

Ja z matematyki byłem za słaby, żeby samemu coś oferować.

Trzej troglodyci wymienili się spojrzeniami, całkiem zadowoleni z niespodziewanych zysków. Szeptali coś między sobą przez parę sekund, przyglądając nam się z ukosa, a my byliśmy już mocno spoceni od dźwigania Beto. Kiedy się już ponaradzali, robiąc różne miny, w końcu doszli do porozumienia. Wiadomo, że nikt nie zadowala się tym, co ma. Każdy zawsze chce więcej.

– Ma być pięć filmów – odpowiedział wreszcie Ryan, jedyny z całej trójki, który umiał mówić. – I to my wybieramy. A jak nie, to masz nam nagrać jeden z Grubym Porcelem.

Moco zamierzał przedstawić kontrofertę, ale ostatecznie tylko skinął głową. Może zrobił to ze względu na solidarność z Manu, a może dlatego, że bardziej bał się lania od Ryana. Ten ostatni i jego

dwaj koleżkowie zaczęli sapać, dyszeć i piszczeć jak orangutany. To był ich sposób, żeby powiedzieć „umowa stoi”.

– I jeszcze jedno – dodał ten ciołek Ryan. – Siedzimy cicho, ale nigdzie nie idziemy. Chcemy zobaczyć, co wy tu, kurna, odstawiacie.

– Dobrze – wykorzystałem okazję. – W takim razie pomóżcie.

W najmniej spodziewanej chwili wróg może okazać się sojusznikiem.

Przed wszystkim potrzebowaliśmy wsparcia fizycznego. Beto ciągle nam się ześlizgiwał i nie byliśmy w stanie porządnie go utrzymać. Poza tym chciałem być osobiście świadkiem tego, co miało nastąpić. Dzięki Ryanowi i jego hipopotamom każdy z nas mógł się wspinać na cudze ramiona i na własne oczy obserwować rozwój wypadków. A zapowiadał się ciekawy spektakl.

I teraz nasze głowy pojawiły się ponad matowymi szybami. W samą porę. Manu dopiero po dobrej chwili podniósł karteczkę w obawie, że Pringlinowa go przyłapie. Ale właśnie kończył ją czytać. Wyjął z plecaka zeszyt do zadań i otworzył na pierwszej stronie. Potem popatrzył na nas, a my podnieśliśmy zaciśnięte pięści na znak poparcia.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakim obrzucił nas wtedy Manu. Nie patrzył na nas, patrzył w przyszłość.

– Panno Pringlin – odezwał się na głos.

Nauczycielka podniosła głowę i wtedy zobaczyła nas za szybą. Nie mogła widzieć naszych twarzy zbyt wyraźnie, bo częściowo schowani byliśmy za matową powierzchnią. Ale sześciu ciemnych cieni, przede wszystkim masywnych sylwetek naszych pomocników, nie dało się nie zauważyć.

– Co pan robi, panie Battaglia? Bawi się pan z kolegami? Ich też mam ukarać?

– Nie. Chciałem coś pani pokazać.

Powoli, ciesząc się każdym ruchem, Manu wszedł na krzesło. Odwrócił się. Teraz stał plecami do panny Pringlin. Mrugnął do nas



i rozpiął spodnie. Manu, stary dobry Manu, bohater, powrócił.

Ryan pode mną zapytał:

– Co tam się dzieje?

– Cicho! – odpowiedziałem.

Jako że było nas już tam pod oknem sześciu, zaraz zleciało się więcej ciekawskich uczniów. Dookoła nas zebrał się cały tłumek szarych mundurków. Przekraczaliśmy granicę, za którą nie będzie już odwrotu. Cokolwiek by się wydarzyło między Manu i panną Pringlin, nie będziemy w stanie zataić naszego udziału.

– Rozpina sobie spodnie – stwierdził osłupiały Beto, nie spuszczać z Manu oczu.

– Łaaa... Myślisz, że przeleci pannę Pringlin? – zapytał Moco.

– Nie bądź durniem, Moco – zgasilem go.

Tam w środku Manu prowadził z nauczycielką dialog, wciąż odwrócony do niej tyłem:

– To, co teraz pani pokażę, ma związek z lekcją o narządach płciowych, proszę pani.

– Proszę stanąć do mnie przodem i patrzeć mi w twarz, kiedy pan ze mną rozmawia, Battaglia. I co tam się wyprawia na zewnątrz?

Z twarzy Manu biła duma. Tylko jednej rzeczy pragnął mocniej niż wydalenia ze szkoły: poklasku.

– Niech pan lepiej nie zrobi czegoś głupiego, czego będzie pan żałował – ostrzegła go panna Pringlin.

– To jest warte każdej kary – odpowiedział, wciąż trzymając dłonie na pasku, z właściwym sobie wyczuciem sceny.

I wreszcie zrobił to.

Uderzająca o pulpit metalowa sprzączka paska zabrzmiała jak gong podczas walki bokserskiej. Na tym etapie publiczność już szalała. Wielu chłopaków patrzyło przez okno, kiedy Manu rozchylił pośladki i wypiął się, pokazując nauczycielce swoje blade tylne okolice. I wszyscy zareagowali na jego gest euforycznym rykiem.

– Stara zdzira! – wrzasnął Manu w kompletnym amoku. – Popatrz se!

Moco – a może Ryan, a może ja sam – zaczął wołać:

– PRIN-GLIN, PRIN-GLIN, SSIJ MU KIJ! PRIN-GLIN, PRIN-GLIN, SSIJ MU KIJ!

Reszta zebranych błyskawicznie dołączyła do naszego chóru. Pod osłoną masowej anonimowości – było nas tam z pięćdziesięciu, a może i stu – dawaliśmy upust zbieranej przez lata wściekłości na tę zimną nauczycielkę, na tę szkołę bez dziewczyn, na tę nudną dzielnicę, na ten kraj bez McDonalds'ów. To był jeden wielki akt nieposłuszeństwa: nasz hymn wolności.

– PRIN-GLIN, PRIN-GLIN, SSIJ MU KIJ! PRIN-GLIN, PRIN-GLIN, SSIJ MU KIJ!

To był pierwszy – acz nie ostatni – raz, kiedy widzieliśmy, jak nasza nauczycielka traci panowanie nad sobą, blednie, rozgląda się na boki, niepewna, jak się zabrać do pacyfikowania nas. Wreszcie postanowiła najpierw okiełznać tłum, a dopiero potem zająć się właścicielem gołego tyłka. Wstała z groźbą:

– Ma pan poważne problemy, panie Battaglia, i niech się pan stąd nie rusza.

– Bez obaw, panno Pringlin – odparł Manu, wciąż zgięty wpół na błacie. – Czekał niecierpliwie.

Zanim zdążyła wyjść na dziedziniec, krzyknąłem:

– W nogiiiiii!

Panna Pringlin przystąpiła do akcji pościgowej, a z pomocą pośpieszyły jej dwie sprzątaczkę, trójka nauczycieli i ksiądz. Po raz pierwszy w życiu mogliśmy liczyć na wsparcie całej społeczności szkolnej. Nagle ten tłum przyszczatych szczyli zmienił się w doskonale zorganizowaną armię pod naszą komendą. Grupki kolegów zabiegały drogę naszym prześladowcom albo ustawiały się w tunele, żeby zrobić nam przejście. Ponieważ wszyscy mieliśmy takie same mundurki, inni też rzucali się do ucieczki i tak mylili

nauczycieli. Całe rzesze uczniów dopingowały naszą akcję. Wiwatowali. Podziwiali nas.

Zamieszanie trwało pewnie parę minut, choć w moich wspomnieniach zajmuje całe godziny. Zostawiliśmy w tyle wszystkich, uczniów i prześladowców, i dobiegliśmy do boiska. Ale i tak biegliśmy dalej, napędzani wciąż adrenaliną i przygodą, zaśmiewając się do rozpuku.

Czar prysł później, kiedy zaczęliśmy się wspinać na piaszczyste wzgórze i zrozumieliśmy, że można sobie biec i biec, ale tak naprawdę nie mamy dokąd uciec. Co gorsza, dla mnie każdy krok do przodu w trakcie ucieczki oznaczał krok wstecz, bo oddalał mnie od spotkania z Pamelą.

## 2. Browning

### Manu

To ja powiedziałem: musimy ją zabić.

Nic osobistego. W końcu, kurde, wszyscy kiedyś zginiemy, nie?

Nie chodzi mi tylko o naszą czwórkę. Czy o byłych uczniów naszej szkoły. Chodzi mi o WSZYSTKICH. Wszystkich ludzi na świecie.

Nie mówię też o tym, że wszyscy umrzemy „pewnego dnia”. Czy że pójdziemy do nieba albo inne takie bzdety. Chodzi mi o to, że się pozabijamy. Jedni drugich. Z broni palnej, kamieniami albo nożami. Takie jest przeznaczenie ludzkości.

Co, że nie? Że przeginam? Otwórz oczy, szwagier. Poczytaj gazetę. Telewizję pooglądaj.

Wczoraj jakiś biznesmen jadł lunch w chińskiej knajpie w Callao. Weszło dwóch najemników i rozwalili mu łeb. Obok siedziała rodzina, z dziećmi i tak dalej. Tamtych gości to nie obeszło. Nawet nie popatrzyli na te dzieci. Przyszli, zrobili swoje i poszli. Sześć sekund. Nagrało się to na kamerkę przemysłową. Dzisiaj we wszystkich wiadomościach pokazują.

Cztery dni temu grupa napastników weszła do banku. Mieli ze sobą wojskowe uzbrojenie. Kałasznikowy. Celowali we wszystkich i zgarnęli całą forszę z kasy. Policja zjawiała się, kiedy wychodzili. Bandyci zaczęli strzelać. Zasłaniali się zakładnikami. Cztery ofiary.

Jedną z nich był emeryt, osiemdziesiąt sześć lat. Bandyci okazali się byłymi gliniarzami.

I to są jakoby spokojne czasy.

Kiedy chodziłem do szkoły, w tym kraju toczyła się wojna. Nocami słyszeliśmy wybuchy. Wysadzano wieże wysokiego napięcia i nie było prądu. Ogłaszano godzinę policyjną. Jeśli prowadziłeś samochód o drugiej na ranem, władze miały prawo cię zastrzelić. Czasami rano znajdowało się na ulicy trupa przykrytego gazetami, pilnowali go ziewający policjanci.

Mówią, że wojna się już skończyła. A w telewizji puszczają ten filmik z najemnikami.

Wojna się skończyła. Tyle że policjanci napadają na banki, strzelając ze swoich kałaszy.

Zawsze trwa wojna. To kwestia tego, czy masz szczęście. Możesz znaleźć się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. I kończysz z mózgiem na wierzchu jak w jakimś garnku bez przykrywki. Albo w rowie, z flakami rozwleczonymi po ziemi. Wszyscy możemy skończyć w rowie z bebechami na wierzchu.

Panna Pringlin była tylko jedną z wielu – z wielu tych, którzy weszli na scenę zbrodni w nieodpowiednim momencie. Jedną z wielu, którzy pakują nos w myśliwską pułapkę. Jedną z wielu, którzy zatrzymują się tam, gdzie zaraz zacznie się ostrzał.

Po prostu jedna z wielu. A jakie ktoś taki ma znaczenie?

## Moco

To był genialny dzień, he, he. Wszystko było super. Fajowskie. Wypas.

Nawet nadałem mu nazwę: „Dzień Buntu”. Zastanawiałem się nad „Dniem Dupy”, bo Manu ściągnął przed Pringlinową portki. No i rozważałem też „Dzień Siurka”, pasowałoby. No ale to wyszłoby trochę tandetnie, jak z dzielnicowego kina. „Dzień Buntu” to brzmiało jak jakaś hollywoodzka superprodukcja. I tak to właśnie pamiętam.

Po naszej akcji uciekliśmy na wyżej położoną część wzgórza, pod figurę Matki Boskiej, pod sam mur, i zabijaliśmy czas, rzucając w siebie piachem. Wszyscy oprócz Carlosa, który powtarzał: „I co teraz? I co my teraz zrobimy?”. Chciał nam zepsuć całą frajdę. Ale nie przejmowaliśmy się nim. Nikt nie znał odpowiedzi ani nie miał ochoty się nad nią zastanawiać.

Potem zjawił się pan od wufu, cały upocony, brzuch wylewał mu się spod koszuli. Wydawało się, że ma trochę cykora. Bał się, że zupełnie nam odwaliło i że go zepchniemy ze skarpy czy co. Zdziwił się, że nie stawiamy oporu. No, ale co jeszcze gorszego mogliśmy zrobić? Poddaliśmy się bez gadania. I bez słowa pozwoliliśmy się odprowadzić z powrotem na dół, do gabinetu dyrektora.

To było najlepsze: droga powrotna pod eskortą nauczyciela, jak aresztowani w jakimś serialu kryminalnym. Cała reszta szkoły zebrała się dookoła, nawet Ryan Barrameda i jego goryle robili nam przejście, byli pod wrażeniem naszej odwagi. Brakowało tylko, żebyśmy wszyscy szli ubrani na czarno, z ciemnymi okularami i krawatami, jak we *Wściekłych psach*.

Albo jak w jednym z tych filmów o Rzymianach, które puszczają w Wielkim Tygodniu, kiedy armia wraca po podboju nowych terytoriów, w błyszczących hełmach ze szczotkami na czubku. A tłumy wiwatują na ulicach.

Albo w filmie o drugiej wojnie światowej, kiedy amerykańscy żołnierze wracają do domu. To zawsze jest Nowy Jork, ludzie witają ich kwiatami, dziewczyny całują. Tak to wyglądało. Identyko. Tylko bez kwiatów. I bez dziewczyn, wiadomo.

Kiedy szliśmy, reszta uczniów patrzyła na nas, klaskali i pokrzykiwali:

- Brawo, Moco!
- Pokażcie Pringlinowej!
- Odwagi!

Wszystko pamiętam jak na zwolnionym filmie. W tle muzyka z *Rydwanów ognia*, a my spijamy uwielbienie tłumu.

Wreszcie nas podziwiano.

Wreszcie byliśmy kimś.

## Beto

– Upokorzyliście nauczycielkę, uciekliście jak jacyś złodzieje, szczuliście kolegę i okazaliście brak szacunku dla całej szkoły, własnych rodziców i siebie samych. Może macie coś do powiedzenia na swoją obronę, choć nie mam pojęcia co.

Boże, dyrektor był wściekły. Na ścianie za jego plecami, tuż obok obowiązkowego krzyża, wisiał zegar. Jego wskazówki powoli i apatycznie przesuwwały się w oczekiwaniu na naszą odpowiedź. Obok stała panna Pringlin, jak lodowy posąg. Osobiście przyniosła nasze plecaki, ułożone teraz u jej stóp jak piedestał. Albo jak postument dla gargulca otoczonego portretami Matek Boskich i świętych, które wisiały w gabinecie.

Nikt jednak nie odpowiedział.

Ja myślałem o tym, że totalnie mi to popsuje średnią.

Carlos też miał wystraszoną minę.

Manu siedział cicho i trzymał fason. On już taki był. Zachowywał godność nawet w najtrudniejszych okolicznościach. (Zastanawiałem się: czy on wie, co ja zrobiłem? Czy wie, że zorganizowałem to wszystko, żeby go uratować? Podziękuje mi? Przyzna, że gdyby nie ja, siedziałby tam dalej sam jak palec? Poczujecie coś do mnie?)

A Moco parsknął śmiechem.



## Carlos

– Wasze zachowanie wydaje się wam śmieszne? – zapytał dyrektor. – Dobrze się bawicie?

To było moje pierwsze doświadczenie z czymś w rodzaju trybunału. Byli oskarżeni – my – był prokurator – Pringlin – i sędzia cały na czarno, bez togi, ale za to z koloratką. Ja miałem niezłego stracha i myślałem, że teraz to już na pewno, teraz moim rodzicom skończy się cierpliwość. I nie. Nie uważałem, żeby to było śmieszne.

No ale nic nie powiedziałem. Nikt się nie odezwał. Po pytaniu dyrektora zapadła cmentarna cisza. Instynktownie stosowaliśmy się wszyscy do prawniczej zasady: „Nikt nie ma obowiązku zeznawać przeciwko sobie”.

Wszyscy, prócz Manu, który nigdy nie mógł postępować jak reszta. Tylko on zachowywał spokój. Tylko on patrzył dyrektorowi w oczy. I teraz to on wstał, żeby zabrać głos:

– Panie dyrektorze, panno Pringlin... To ja ponoszę winę za wszystko. Koledzy starali się mi pomóc, ale ja ich do tego zmusiłem.

I znów się dla nas poświęcał, podając im własną głowę na tacy, by uratować nasze. Znów poczuliśmy, że nasz przywódca otacza nas opieką. Nawet dyrektor i nauczycielka zrobili zdziwione miny.

– Jak ich pan zmusił, Battaglia? – zainteresował się dyrektor.

– Zagroziłem, że ich pobiję – skłamał bez wahania Manu.

– Matko Boża przenajświętsza! – zdumiał się ksiądz dyrektor i obrócił w naszą stronę. – Czy to prawda?

Pytanie to stawiało nas w bardzo trudnym położeniu. Czy mamy skorzystać z heroizmu Manu, czy sami zdobyć się na bohaterstwo? Takie wątpliwości były wręcz najgorszą opcją.

Beto oszczędził nam jednak rozterek. Tego dnia był jak nawiedzony. Zaraził się pasją męczeństwa. Wtedy jeszcze nie rozumiałem dlaczego. Zrozumiałem dopiero z czasem. W każdym razie wstał – i to on, który nigdy się nie zgłaszał i zachowywał swoje zdanie dla siebie, powiedział:

– Nie, panie dyrektorze. Zrobiliśmy to, co zrobiliśmy, bo tego chcieliśmy.

– Cicho bądź! – ofuknął go Manu.

Dyrektora jednak zainteresowało, co Beto ma do powiedzenia:

– Nie, proszę mówić. Słucham: dlaczego tego chcieliście?

Beto nie był odważny z natury. Musiał zdobyć się na wielki wysiłek. Pocił się. Drżał, kiedy mówił. Ale jego głos zabrzmiał pewnie:

– Bo panna Pringlin oszukała Manu – oświadczył.

– Beto, nie... – Manu próbował mu przerwać.

– Cisza, młody człowieku – przerwała mu Pringlin.

– Proszę zachować spokój, Battaglia – ciągnął dyrektor. – Chcemy wysłuchać pańskiego przyjaciela. Co to znaczy – oszukała?

I zwrócił się do Beto, który dzielnie stał, choć kolana mu dygotały. Zgaszonym głosem odpowiedział jak automat, jakby to była wykuta na pamięć lekcja albo jeden z tych jego wierszy, co to je ciągle czytał:

– Manu chce zostać wyrzucony za złe zachowanie. A panna Pringlin powiedziała mu, że za to będzie powtarzał klasę. Zgodnie z regulaminem, który mamy w zeszytach do zadań, to kłamstwo.

Głowa dyrektora odwróciła się o czterdzieści pięć stopni i jego spojrzenie spotkało się z zimnym wzrokiem naszej przeciwniczki:

– Rzeczywiście tak pani powiedziała?

# Manu

Tak powiedziała, krowa. Tak właśnie powiedziała.

„Ze względu na twoje rodzinne problemy”, stwierdziła. Jakby coś wiedziała o mojej rodzinie. „Ze względu na twojego ojca”. Stara szmata.

To było poprzedniego popołudnia. Po lekcjach. Podczas karnej odsiadki. Karę sam na siebie wzięłem, zostałem w szkole i żaden z tych trzech cieniasów mi nie towarzyszył, ja sam płaciłem za ich papieroski w kiblu i głupie kawały.

Bo ja byłem tym złym, oczywiście. Prowodyrem. Zgniłym jabłkiem.

I wszystko to, zdaniem tej baby, ze względu na moją rodzinę i ojca. Głupia krowa.

– Napisze pan trzy wypracowania – powiedziała, kiedy wszyscy z klasy już sobie poszli do domów i zostaliśmy pod tablicą tylko we dwoje. – Temat pierwszego: „Jakie są zdrowe zachowania seksualne”. Drugiego: „Jak poprawnie wyrażać własne zdanie”. I trzeciego: „Za jakie popełnione błędy zostałem ukarany”. Nie wstanie pan z miejsca, dopóki nie skończy wszystkich trzech. Można zaczynać.

Najgorsze w tej karze nie było pisanie. Jeszcze mniej podobało mi się, że będę musiał spędzić dwie godziny sam na sam z panną Pringlin w pustej klasie, gdzie każdy dźwięk odbija się echem, nawet pisanie ołówkiem na kartce. Siedziała przede mną i poprawiała klasówki, i za każdym razem, gdy podnosiłem głowę, natykałem się na jej sępią gębę pod blond włosami. Klasa bez uczniów jest jak cmentarz, a na tym grasował jeszcze zombi.

Większą część popołudnia spędziłem na rysowaniu w zeszyte broni. Wtedy doskonaliłem rysunek karabinu bojowego StG 44. Kojarzysz StG 44? Drewniane inkrustacje na kolbie i podwójny

celownik, używał ich Wehrmacht jako lekkiego karabinu maszynowego albo do walk miejskich. Zajebiste cacko.

Kiedy już miałem znośny szkic StG 44 – oraz FAL Paratrooper ze skróconą lufą i parę rewolwerów Smith & Wesson w swobodnej wariacji – zapisałem na jednej kartce kilka linijek. I potem jeszcze parę na pozostałych dwóch kartkach. Dużo czasu mi to nie zajęło. Miałem natchnienie. No i za dużo też z siebie nie wycisnąłem.

Kiedy szedłem z tymi kartkami w ręce w stronę biurka, odgłos moich kroków odbijał się echem po całej klasie: stuk, stuk, stuk. Zupełnie jakbym zmierzał na krzesło elektryczne, tyle że zamiast strachu czułem ciekawość. I chęć, żeby raz a dobrze z tym skończyć. Położyłem jej, co napisałem, i zawróciłem w stronę drzwi.

Wtedy zatrzymał mnie głos Pringlinowej:

– Proszę poczekać, Battaglia.

Usłuchałem. Ciekawiło mnie, jaką będzie mieć minę. Zaczęła czytać po cichu, wpatrując się w kartkę tymi swoimi złowrogimi oczkami, a kiedy zrozumiała, co jej dałem, poczerwieniła jej cała końcówka nosa. Zrobiła grymas jak jakaś sroka, jezu. Ale nie powiedziała nic. Znów spojrzała na papier i zaczęła głośno czytać moje pierwsze wypracowanie:

– „Najlepszą rzeczą, jaka spotkała mnie w życiu, i tym, co najlepiej umiem robić, jest masturbacja. Ale lubię też broń palną, przede wszystkim klasyczne modele z czasów drugiej wojny światowej. Moja wizja zdrowej seksualności jest taka: jedną ręką walę konia, a drugą strzelam z parabellum”.

W drugim tekście proponowałem, żeby wyrażać swoje zdanie za pomocą gazów żołądkowych. Ja umiałem powiedzieć „Antananarywastolicamadagaskaru”, nie przestając bekać.

W trzecim przyznawałem, że palenie w kiblu było błędem. Trzeba było iść zapalić na boisko, jak wszyscy.

To była sama prawda. Tylko że nikt nie chce słuchać prawdy, stary. Wszyscy wolą, żebyś serwował im grzeczne kłamstwa.

W miarę lektury oschła mina Pringlinowej robiła się coraz bardziej zła. Głos też jej tężał.

Po dziś dzień to jedno z moich najlepszych szkolnych wspomnień.

– Panie Battaglia – przerwała i zmierzyła mnie z góry na dół spojrzeniem sponad szkieł. – Czy sądzi pan, że to jest poziom wypracowań, jakiego od pana oczekuję?

Ach, muzyka dla moich uszu!

– Ma pani rację, to brak szacunku – przyznałem.

Pringlin zachowywała całkowitą obojętność wobec moich słów. Żadnych oznak złości, śladu zniecierpliwienia. Nawet nie patrzyła mi w oczy.

– Panie Battaglia, do szkoły przychodzi się właśnie po to, by poddać się dyscyplinie, a nie zachowywać jak małpa czekająca na zmianę klatki. Moim zadaniem jest zrobić z pana mężczyznę.

– Pani robi ze mnie mężczyznę? Tutaj? I to bez prezerwatywy?

Kurde, że też nie nagrałem tej rozmowy! Teraz bym jej sobie słuchał nocami przed snem. Albo rano dla rozbudzenia.

– Na początek – odezwała się głosem metalicznym jak jakiś robot – napisze pan trzy inne wypracowania na temat...

– W tej chwili nie wydaje mi się, żebym miał jeszcze ochotę na pisanie jakichś wypracowań, panno Pringlin.

Ja też umiałem mówić zimnym tonem. I kiedy tak przemawiałem, odkryłem coś nieoczekiwanego: to wszystko w ogóle mnie nie obchodziło. Nie robiłem tego nawet po to, żeby ją zgorszyć. Ani żeby się popisać. Po prostu tak mi spontanicznie wychodziło. Wisiało mi to. Olewałem temat.

– Ja nie pytam, na co ma pan ochotę, Battaglia. Nie jesteśmy w lunaparku.

Wciąż tkwiła w bezruchu. Szyję wykręciła lekko w moją stronę. Jej głos wciąż miał temperaturę ujemną. Gdyby nie to, że gniotła w rękę ołówkę, nie byłoby w ogóle widać, że jest wkurzona.

– To oczywiste, proszę pani. Teraz, za pozwoleniem, pójdę pograć w piłkę... albo zapalić. Zdecyduję po drodze.

Po raz pierwszy panna Pringlin się uśmiechnęła. To wszystko, na co ją było stać, jeśli chodzi o szczere okazywanie emocji. Nie zatrzymywała mnie, cholera jedna. Odwróciłem się do niej plecami. Podeszedłem do drzwi, moje tenisówki skrzypiały na parkiecie. Już miałem rękę na klamce, kiedy nagle się odezwała. Brzmiało to, jakby recytowała wyuczoną na pamięć lekcję, emocje normalnie jak u kasy fiskalnej:

– Panie Battaglia, wydaje mi się, że pan nie rozumie, jaką tu mamy sytuację: w zeszłym semestrze miał pan niedostateczny z zachowania. I w tym też nie widzę szans, żeby było inaczej. Poza tym z sześciu przedmiotów ma pan średnią dziesięć albo mniej. Jeśli na koniec roku będzie miał pan cztery niezaliczone przedmioty, to oznacza powtarzanie czwartej klasy.

– Tak. Ale to chyba pani mnie nie rozumie: nie obchodzi mnie to. Czy to jasne?

Powiedziałem to za głośno, moje słowa odbiły się echem od ścian i dopiero po chwili znikły. Natomiast odpowiedź Pringlin była jak strzała wycelowana prosto w moją pierś:

– Rozmawiałam z pańską matką. Znam historię pańskiego ojca. Doskonale wiem, co pan robi i dlaczego.

Miałem ochotę wypalić jej tekstem w rodzaju: „Umyj sobie gębę, zanim zaczniesz mówić o mojej rodzinie. I nie waz się wspominać mojego ojca. Zostaw go w spokoju, bo ci wyrwę ten wredny jęzor”. Ale wydobyłem z siebie tylko:

– Nic pani nie wie o mojej rodzinie.

– O rodzinie i o pańskiej historii, Battaglia. Jak dotąd w czterech szkołach dopinał pan swego. Proszę zapamiętać: stąd zdecydowanie pana NIE wyrzucimy. Natomiast może stać się tak, że będzie pan powtarzał klasę. I wie pan, kto tu będzie czekał w przyszłym roku na pana? Ja. Z wielką chęcią znów zostanę pańską wychowawczynią.

Jeśli o mnie chodzi, może pan przez wieczność repetować czwartą klasę. Zawsze będę gotowa pracować na rzecz pańskiej edukacji i prostować pańskie wybryki.

Gdybym nagrał tę rozmowę i odsłuchiwał ją sobie codziennie, te ostatnie słowa Pringlinowej pewnie bym wymazał. Albo wbiłbym sobie nóż w gardło na ich dźwięk.

Te słowa były jak decydujący o przegranej gol w ostatniej minucie.

Ten moment, w którym dopływasz do brzegu ścigany przez rekiny i rzuca się na ciebie lew.

Piorun, który – kiedy już udało ci się przedrzeć przez burzę – zwęgła cię w progu domu.

Tyle że to było kłamstwo. Ona powinna była mnie wywalić za moje zachowanie.

Żeby się o tym dowiedzieć, musiałem odczekać do następnego dnia, to wyszło dzięki Beto i jego karteczkom. Bez jego pomocy zostałbym niewolnikiem kłamstw tej harpii. Ale teraz staliśmy przed dyrektorem, on w tej swojej koloratce, jak to klecha, i zawsze z ostatnim słowem. Stanowił najwyższą instancję. Jak powie, tak się stanie. Wybiła godzina podejmowania decyzji, a ja chciałem bronić swojego prawa do zniknięcia z tej szkoły.

– Panna Pringlin chce się tylko nade mną znęcać, panie dyrektorze – powiedziałem. – To jest sadystka.

– Matka Battaglii zgadza się ze mną – odparła cwaniacko. – Manu ma... specyficzne problemy rodzinne, które wyjaśniają jego szczególne zachowanie.

Specyficzne problemy rodzinne.

Miałem ochotę wstać i rozkroić ją wzdłuż nożem rzeźniczym.

Moja rodzina miała się świetnie. Ojciec nie miał z tym nic wspólnego. W każdym razie tak wtedy uważałem.

– Tak czy inaczej, panno Pringlin – odezwał się dyrektor – regulamin jest w tym aspekcie jednoznaczny: za złe zachowanie karą jest wydalenie ze szkoły.

Przez tę swoją sztywność – pełne skupienia spojrzenie, nieruchome ciało, surowa mina – panna Pringlin miała w sobie coś wojskowego, co podkreślała jeszcze stanowczym tonem głosu, jakby czytała rozporządzenie ministra:

– Panie dyrektorze, uważam, że Manuel Battaglia nie powinien zostać wydalony. Relegowano go już z różnych szkół cztery razy, to nie daje żadnych efektów. Ambicją naszej szkoły jest triumfować tam, gdzie inni zawiedli. Usunięcie go jest równoznaczne z porażką. Trzymanie go w szkole oznacza natomiast próbę ratowania tego młodego człowieka, tak kompletnie pogubionego. A także edukowania, a tym się tu przecież zajmujemy.

Dyrektor przybrał niemal wesołą minę. Bawił się długopisem, zastanawiając się nad słowami nauczycielki, aż w końcu powiedział:

– A pan, Battaglia? Chce pan opuścić naszą szkołę? Mogę podpisać pańskie wydalenie w tej chwili, jeśli to pana uszczęśliwi.

Nawet ja, choć starałem się zachować powagę, miałem wrażenie, że odpowiadam zbyt szybko, zbyt chętnie i ze zbytnim zadowoleniem:

– Zgodnie z regulaminem zasługuję na to, panie dyrektorze.

Teraz jednak ksiądz przestał już maskować swój uśmiezek:

– Jednak regulamin na tym się nie kończy, panie Battaglia. Głębszy sens naszych zasad jest taki, że złe zachowanie musi być karane, a dobre nagradzane. Gdybym dał panu to, czego pan chce, to przecież bym pana nagroził za złe uczynki, a tym samym złamałbym zasady regulaminu, prawda?

Tacy są właśnie jezuici: zawsze te słowne gierki. Niczego nie kapujesz, a na końcu zawsze stawiają na swoim. Tylko coś burknąłem.

– Ciekawy paradoks, prawda? – ksiądz domagał się odpowiedzi.

– Tak, panie dyrektorze – odpowiedziałem wreszcie, gapiąc się w podłogę.



– Natomiast was pozostałych – ciągnął dyrektor, obrzucając moich kolegów czujnym spojrzeniem – mógłbym wszystkich wyrzucić. W waszym przypadku byłaby to sprawiedliwa kara.

Nie padła żadna odpowiedź. Nawet ten chojrak Moco tym razem się nie śmiał. Słyszeliśmy tylko odgłos wskazówek – tik, tak, tik – tnących jak ostrze gilotyny.

## Moco

Wszyscy wywaleni oprócz Manu!

Niewiarygodne. Tego jeszcze nie było. Jakby w *Obcym* na końcu wygrywał ten obleśny robal. Albo w *Rockym IV* sowiecki bokser. Albo w jakimś filmie o Wietnamie wygrywali Wietnamczycy.

Wariactwo. Świat na opak.

– Chcecie, panowie, wylecieć ze szkoły? – zapytał dyrektor.

Pewnie, że chcieliśmy! Tak samo jak chcieliśmy mieć prywatny odrzutowiec, worek pieniędzy i urządzić orgię z Tajkami. Takie mieliśmy fantazje, he, he. Tyle że to wcale nie znaczyło, że coś takiego mogło się naprawdę wydarzyć. Przeciwnie, dla naszych uszu „wydalenie ze szkoły” brzmiało jak „wygnanie” albo „śmierć”: wkroczenie do nieznanego i straszego świata.

Tak naprawdę ksiądz zadał nam to pytanie tylko po to, żeby nas zestresować. Chciał sobie popatrzeć, jak nas strach oblatuje. I udało mu się. Wszyscy prawie się zlaliśmy w spodnie na myśl, że może nas wywalić. Pospuszczaliśmy głowy. Ale on miał inny plan.

To, co wtedy powiedział, było jeszcze gorsze:

– Powiem panom, co zrobimy – ciągnął, poprawiając sobie okulary w rogowych oprawkach. – Główną poszkodowaną jest tu panna Pringlin. Dlatego ona wybierze odpowiednią karę. Czy to brzmi rozsądnie?

Normalnie nas zatkało. Pewnie, że wolelibyśmy zaprzeczyć. Nie chcieliśmy powierzać naszej przyszłości wrogowi numer jeden. Ani pozwolić, żeby Pringlin nam rozkazywała. Ani godzić się na jej rozkazy i zemstę. Woleliśmy, żeby nas wylali. Ale nie odezwaliliśmy się słowem. Brakło już nam odwagi.

Dyrektor musiał powtórzyć:

– Czy to brzmi rozsądnie?

Wszyscy odpowiedzieliśmy półgłosem:

– Tak, panie dyrektorze.

Właśnie podpisaliśmy na siebie wyroki śmierci.

Dyrektor wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Są do pani dyspozycji, panno Pringlin.

I zostawił nas tam.

Po jego wyjściu Pringlinowa wyglądała na zadowoloną. Przypominała Goldfingera, kiedy myślał, że udało mu się zabić Jamesa Bonda. Ale nawet w takiej chwili się nie uśmiechnęła. W jej osobistym filmie nie było miejsca na uśmiechy. Jej życie było jak przydługi dramat bez punktu kulminacyjnego.

– Dobrze, panowie – oznajmiła biurokratycznie – zaczniemy od zielonej kartki dla całej czwórki. Koledzy ze szkoły nie mogą odnieść wrażenia, że takie zachowanie uchodzi bez kary.

Jak na możliwy obrót spraw nie brzmiało to tak źle. Ona jednak jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa:

– Kiedy skończy się okres zawieszenia – ciągnęła – wrócimy do systemu karnych odsiadek po lekcjach. Dwa tygodnie dodatkowych zadań: czyszczenie toalet, porządkowanie sprzętu sportowego, strzyżenie trawnika na boisku. Nie martwcie się, starczy wam czasu na normalne zadania dla całej klasy, no i trzeba będzie nadrobić zaległości, rzecz jasna.

Choć wyrok wydał się surowy, to mogło być gorzej. Pringlin nie mieszała w całą sprawę naszych rodzin. Ale nie należało mieć złudzeń. Jak w każdym filmie, najgorsze na koniec:

– I oczywiście chcę porozmawiać z waszymi rodzicami – dodała. – Tym razem, Risueño, pański ojciec musi się pojawić.

Tata. Z pewnością o niczym tak nie marzy, jak o herbatce z panną Pringlin. Na pewno bardzo go ciekawi, cośmy tego dnia zmalowali.

– Dobrze, proszę pani – powiedziałem cicho.

Ale wtedy nagle rozległ się najmniej spodziewany głos: odezwał się Beto.

– Proszę zostawić jego ojca w spokoju.

Powiedział to ledwie szeptem, ale w ciszy gabinetu i w atmosferze naszej porażki zabrzmiało to jak krzyk. Beto był lojalny. Do końca. Ja stanąłem po jego stronie tego ranka, kiedy Carlos chciał zostawić Manu samemu sobie. I teraz się rewanzował.

– Przepraszam, panie Plaza? – zdziwiła się nauczycielka. – Co pan powiedział?

– Żeby zostawiła pani ojca Moco w spokoju. Jeśli będzie mógł, to przyjdzie.

Mówił jak natchniony. I nauczycielka nie zamierzała tak tego zostawić:

– Chyba coś przegapiłam, bo nie rozumiem, dlaczego się pan w to miesza.

– Nie będziemy słuchać pani rozkazów. Pani wykorzystuje sytuację. I ja tego nie zamierzam znosić! Wychodzę. Jak pani chce, to proszę mnie wywalić ze szkoły.

Wszystkich nas wcięło. Nawet Manu nie zrobiłby czegoś takiego. Ale Beto wstał i zaczął się zbierać, tak po prostu. Wziął z kąta plecak, jakby był u siebie, i ruszył w stronę drzwi. Wszyscy podnieśliśmy głowy, żeby się przekonać, czy naprawdę to robi. Beto zachowywał się jak bohater. Beto na prezydenta. Albo na bohatera narodowego.

Tylko że wtedy wypadła mu kasetka. No i wszystko się ostatecznie spieszyło.

## Beto

Sam siebie nie poznawałem.

Odzywać się tak do nauczycielki. Wyjść z gabinetu. Oskarżać Pringlin przed dyrektorem. Jak jakiś przywódca związkowy albo agitator czy buntownik.

Ja, najspokojniejszy chłopak w szkole, który zawsze się zamyka w bibliotece.

Ja, co zawsze chowałem się w łazience, żeby sobie popłakać, bo inni się ze mnie naśmiewają.

No, ale dość już miałem tego ciągłego chowania głowy w piasek. Byłem zmęczony siedzeniem cicho. Tak, proszę pani, może się pani nad nami znęcać do woli. Tak, tato, jestem samcem alfa i zaliczam wszystkie panienki. Tak, panie dyrektorze, źle się zachowaliśmy, to nasza wina, bardzo żałujemy, błagamy, niech pan nas nie wyrzuca.

Dlaczego nie możemy po prostu mówić prawdy? Dlaczego trzeba kłamać albo milczeć, albo udawać w każdej minucie każdego dnia?

Moco był dobrym kolegą. Bardzo fajnie się wobec mnie zachował poprzedniego dnia, w domu. Dał mi do zrozumienia, że nie jestem żadnym dziwolągiem. Ani potworem. A Manu to był... Manu. Wykazałem się odwagą, jakiej nigdy wcześniej nie miałem, bo on mi pokazał jak.

No ale przede wszystkim chciałem, żeby zwrócił na mnie uwagę. Żeby Manu się przekonał, że ja też jestem odważny. Żeby mnie podziwiał tak jak ja jego.

Pewnie, że panna Pringlin nie spodziewała się, że ktoś z czymś takim wyskoczy. Kiedy szedłem w stronę drzwi, w przyływie desperacji zdobyła się na ostatni wysiłek, żeby ratować swoją godność. Krzyknęła:

– Nigdzie pan nie idzie!

A ja beczelnie ją zlekceważyłem. Jakbym był Madonną kroczącą po czerwonym dywanie i odezwała się do mnie jakaś Debbie Gibson. Spadaj stąd, dziadówo!

Panna Pringlin dostała szału. Szarpnęła mnie za plecak. Poczułem jej szpony na plecach, wczepiła się w zamek i ciągnęła. A ja szarpnąłem do siebie. Przekonamy się, kto ma więcej siły.

I od tego szamotania w jedną i w drugą plecak się rozpiął. Na podłogę wypadło kilka rzeczy: parę zeszytów, ołówki, książka Pabla Nerudy, płyta Silvia Rodrígueza.

No i kaseca wideo.

Taśma poleciała na podłogę jak na zwolnionym filmie i miękko wylądowała na dywanie.

Pringlinowa śledziła jej lot wzrokiem. Wszyscy się gapiliśmy na tę kasetę. Upadła zdjęciem do góry, tak jak kromki zawsze spadają masłem do dołu, więc wszyscy je zobaczyli.

Jasna cholera, film! Zapomniałem, że go mam ze sobą. Ukryłem go tego ranka, żeby nikt nie zauważył, najwyraźniej jednak za płytko, tak że łatwo mógł wypaść z plecaka.

A potem wszystko działo się zbyt szybko. Kara dla Manu. Nasz plan. Ściąganie spodni. Wzgórze. Nie miałem kiedy przypomnieć sobie o kasecie.

Za wiele emocji jednego dnia.

I teraz jeszcze coś takiego.

Wszyscy gapili się na podłogę, na tę kasetę, jakby patrzyli na bramę piekieł.

# Carlos

Uch... Ten film...

Jakbyśmy jeszcze mieli mało problemów.

Jakbyśmy nie byli już dostatecznie pogrążeni.

To tak, jakby oskarżony o kradzież w ostatnim momencie przed wysłuchaniem wyroku powiedział sędziemu:

– A, do tego kilka osób zamordowałem, wie pan? Więc proszę mnie docenić.

# Manu

„Szczególne problemy rodzinne”, powiedziała Pringlin.

Co ona tam mogła wiedzieć?

„Znam historię pańskiego ojca”, mówiła do mnie. Historię mojego ojca.

Kurwa twoja mać.

Dać się wywalić ze szkoły to żadna sztuka, stary. Ja byłem zawodowcem. Ekspertem. I to nie miało nic wspólnego z „problemami rodzinnymi”. Ta krowa nie miała pojęcia o mojej historii rodzinnej. Zacznijmy od tego, że cokolwiek by tam gadała, mój stary nie był żadnym problemem. Mój ojciec był najlepszym tatą na świecie.

I był bohaterem. Takim naprawdę.

Śnił mi się. Wciąż mi się śni. W tych moich snach ma na sobie zielony mundur galowy. I insygnia majora piechoty Armii Peruwiańskiej. Daszek ze złotą nitką. A na piersi Order za Zasługi Wojskowe imienia marszałka Andrésa Avelino Cáceresa.

Ciekaw jestem, ilu ojców tych moich koleżków ze szkoły miało taki medal. No ilu, co?

Ojciec zdobył go podczas wojny z Ekwadorem w 1981 roku. Ekwadorczycy – „małpy” na nich mówił i ja też tak ich nazywam – przekroczyli granicę w puszczy i postawili sobie posterunek wojskowy na peruwiańskim terytorium: Fałszywa Paquisha. Ojciec zawsze akcentował to słowo – „fałszywa” – bo to wszystko było kłamstwem tych małp. Oni twierdzili, że tamte tereny należą do Ekwadoru. I wpakowali nam do kraju pięćdziesięciu ludzi i kapitana. Ot tak. Na chama. Jakby nam wypuścili pięćdziesiąt wszy na tyłek.



Ale przecież my, Peruwiańczycy, nie gapiliśmy się na to z założonymi rękoma. Nie jesteśmy cieniasy. Najpierw posłaliśmy im kilka helikopterów M18, żeby ich trochę ogłupić ostrzałem powietrznym. Bam, bam, bam. Masz za swoje, mało. Dobrze poszło, tyle że nasi nie mogli wysiąść z helikopterów. Ekwadorczycy mieli działko przeciwlotnicze kaliber .50 z czterema lufami. Gdybyś za bardzo się zbliżył, rozwaliliby ci śmigła, kabinę, ogon. Żeby ostatecznie przegonić tych cweli, trzeba było piechoty.

Tatę zabrali innym helikopterem i wysadzili wraz z oddziałem nad rzeką Cenepa. Teren jest tam cholernie trudny. Puszcza porastająca wzgórza. Z jednej strony drzewa, z drugiej mgła. Mój tata przez dwa dni przedzierał się przez błota w towarzystwie chmar komarów. Potem zawsze powtarzał:

– Wolę ostrzał przeciwnika niż komary. Do wroga możesz strzelać. W komara nigdy nie trafisz.

Były tam też nietoperze, stary, nietoperze wielkości latających kotów. Te nietoperze robiły językiem coś w rodzaju znieczulenia. Nie zdawałeś sobie sprawy, kiedy ci zaczynały wysysać krew. Czasami żołnierze budzili się z czymś takim przyssanym do czaszki i nawet tego nie czuli. A przecież głowy mieli wygolone.

W końcu oddział doszedł na miejsce i w wyniku ataku przejął stanowisko wroga. Ojciec mówił, że Ekwadorczycy bronili się zawzięcie. Używali karabinów FAL i strzelali do wszystkiego, co się rusza. Mieli przewagę, bo byli ulokowani na wzniesieniu. Kule spadały na naszych jak deszcz. Mojemu tacie tylko gwizdały koło uszu. A ponieważ wszędzie rosły drzewa, odbijały się rykoszetem, robiła się z tego pajęczyna ognia. Jeśli przeciąłeś jakąś nitkę – ginąłeś.

Mój ojciec i jego ludzie musieli walczyć o każdy centymetr. Ranili czternaście małp, dwie zabili. Wreszcie Ekwadorczycy się poddali, a nasi wciągnęli na maszt peruwiańską flagę.

Kiedy to wszystko się skończyło, zjawił się tam prezydent kraju i osobiście pogratulował tacie. Powiedział, że jest z niego dumny.

I zabrał tę flagę, żeby ją wywiesić w Pałacu Rządowym. Mój ojciec jednak nie był zadowolony. Zawsze powtarzał, że prezydent to był mazgaj:

– Gdyby nam pozwolili – mówił – doszlibyśmy z moimi ludźmi aż pod Guayaquil i tam byśmy wyznaczyli nową granicę. Dobra małpa to martwa małpa. Ale prezydent się nie odważył. I teraz Ekwadorczycy mogą wrócić w każdej chwili. Oni potrzebują porządnej nauczki. Inaczej nigdy nie zrozumieją, kto tu rządzi.

Taki był mój stary, o.

Sam jeden najechałby Ekwador.

Zawsze 28 lipca, w święto narodowe, szliśmy z matką popatrzeć, jak defiluje aleją Salaverry. Na takie okazje nie zakładał munduru galowego, tylko ten z kamuflażem. Chociaż zawsze przypinał sobie medal na piersi. I maszerował wpatrzony przed siebie, karabin na ramieniu, nogi podnosił na wysokość ulicznych latarni. Przed nim szli rangersi z twarzami wymalowanymi na czarno. Za nim jechały czołgi i wozy opancerzone. Dookoła ludzie z dwukolorowymi chorągiewkami podziwiali go i wyrażali wdzięczność za wszystko, co dla nas zrobił. Ja miałem ochotę im powtarzać: to mój tata. Najlepszy na świecie – zajebisty ojciec.

Po paradzie ojciec zabierał nas na obiad do smażalni kurczaków przy alei La Marina. Wciąż miał na sobie mundur i medal, więc ludzie odwracali się za nami na ulicy. I mama go całowała. Wtedy się jeszcze całowali.

A ja im mówiłem:

– No proszę, przestańcie! Nie przy ludziach!

Ale lubiłem, jak się całowali. Żeby wszyscy wiedzieli, że jestem ich synem: synem bohatera i jego żony.

W jedną niedzielę w osiemdziesiątym ósmym rodzice zabrali mnie do restauracji. Zamówiliśmy kurczaka z frytkami, porcja jak dla całej eskadry, ale mama prawie nic nie tknęła. Milczała z szeroko otwartymi oczami. Mówił za to ojciec. Miał mi coś do

zakomunikowania. Był bardzo poważny. Jakby przemawiał do mnie, stojąc na baczność. Gdy wsuwałem trzeci kawałek piersi w sosie majonezowym, powiedział:

– Manu, wracam do walki.

Zawsze tak się wyrażał: „wracać do walki”, „zająć pozycję”, „prezentować broń”, „ponieść śmierć w akcji”...

– Znowu będzie wojna z Ekwadorem? – zapytałem, wycierając szorstką serwetką sos z twarzy.

– Nie, synu. Małpy już za swoje dostały. Tym razem wróg jest inny.

– Chilijczycy?

– Terroryści.

– Ale skąd oni są?

– Stąd. To Peruwiańczycy. Ale to i tak wróg.

To zabrzmiało dziwnie. Dotąd zawsze myślałem, że wojny toczą się między różnymi krajami. No, ale wiedziałem, kto to są ci terroryci. Przecież oglądałem telewizję. Wiedziałem o tych wszystkich samochodach pułapkach i o porwaniach. Słyszałem czasami w nocy wybuchy, gdzieś na zewnątrz, kiedy wysadzali słupy wysokiego napięcia. Czasami podczas obiadu oglądaliśmy na ekranie, jak jedna z dzielnic miasta zmienia się w pole walki. Powybijane szyby, ranni w karetkach pogotowia, zburzone budynki. Dochodziły też wieści z gór: masakry, podpalone wsie, kolumny partyzantów maszerujące przez puszcę jak jakaś armia.

– A czy oni mają działa przeciwlotnicze? – zapytałem ojca, maczając frytki w musztardzie.

Zapytałem też, gdzie będzie się bić. Odpowiedział z tą swoją miną, którą tak lubię: „W obszarze działań wojskowych”. Potem dodał: „W strefie czerwonej”. Znacznie fajniej to brzmiało niż Paquisha, która kojarzyła się z nazwiskiem tancerki mambo, jakiejś Tongolele czy coś.

Wyjechał dwa dni później. Mama i ja zegnaliśmy jego Oddział 8 na lotnisku wojskowym. Na pasie startowym przytulił mnie pod

kręcącymi się turbinami samolotów. Strasznie głośne bydlaki. Coś wtedy powiedział, ale nie zrozumiałem co.

Tata jechał walczyć na kolejną wojnę. I wiedziałem, że ją wygra. On sam. Ponownie.

Cały rok czekaliśmy na jego powrót. I przez ten czas codziennie przychodziły coraz okropniejsze wiadomości. Jednego dnia terroryści zajęli całe miasteczko w górach. Wywiesili na rynku czerwoną flagę z sierpem i młotem. Innego dnia wysadzili w powietrze komisariat. Kiedy indziej zrobili zasadzkę na patrol wojskowy. Zabrali żołnierzom broń, poderżnęli im gardła i nagich wrzucili do rzeki. Kiedy nadawali takie wiadomości, mama podlatywała do telewizora i gasiła go.

– Nie! Na pewno zaraz pokażą tatę! – powtarzałem za każdym razem.

Ale ona i tak go wyłączała. Czasami głupio się zachowywała ta moja matka.

Walki toczyły się nie tylko tam daleko, w dżungli. Dochodziło też do wybuchów w pobliżu domu. Po drugiej stronie wzgórza, za szkołą, rozciągała się dzielnica slumsów zwana Pamplona, wszyscy powtarzali, że to wylegarnia komunistów. Stamtąd wychodzili, żeby dokonywać zamachów, a potem się tam chowali.

Nocą często słyhać było na wzgórzach jakieś detonacje. Później gasło światło. W Boże Narodzenie czy Nowy Rok wszyscy wiedzieli, że nie będzie prądu. Równo o północy. Ale prąd odcinali często przy innych okazjach, nie było wiadomo, dlaczego akurat w ten dzień, a nie inny. Zawsze 23 grudnia kupowało się świecezki. I w lutym wszystkie się kończyły.

Jednego dnia mama przykleiła taśmę do szyb w domu. Na wszystkich oknach zrobiła taki srebrzysty znak X.

– Po co to robisz, mamó?

– Na wypadek, gdyby w pobliżu wybuchła bomba. Żeby szyby nie wypadły.

Innym razem w szkole – zanim jeszcze zaczęli mnie wyrzucać – uczyli nas, jak się zachowywać w przypadku ataku: trzeba paść na podłogę z otwartymi ustami, najlepiej pod stół albo jakiś filar, zasłonić uszy i zamknąć oczy, żeby fala uderzeniowa nas nie ogłuszyła, a odłamki nie oślepiły. Fajne były te ćwiczenia, przede wszystkim dlatego, że przepadała nam lekcja. Tyle że się za bardzo nie zastanawialiśmy, o co w tym wszystkim chodzi.

Co dwa, trzy miesiące tata przysyłał nam list. Bardzo krótki. Dosłownie parę linijek. Pisał, że ma się dobrze. Raz poprosił, żebyśmy się za niego modlili. W te dni, kiedy przychodziły listy, zawsze wieczorem mama siedziała w kącie pokoju. Drżała, samotna, jak mokry kurczak w środku zimy. A ja pytałem:

– Co ci się dzieje, mamo?

– On nie wróci. Nigdy nie wróci.

– Oszalałaś? Wróci i to z dwoma medalami. Pokona wszystkich terrorystów świata. I Ekwadorczyków. I Chilijczyków na wszelki wypadek.

– To nie jest wojna z Chilijczykami. To jest wojna naszych z naszymi.

I dalej się tam trzęsła. Uważałem, że jest zbyt tchórzliwa. Normalka, nie? Przecież to kobieta. Kobiety nie siedzą w okopach i nie strzelają do małą czy terrorystów.

Na początku zimy osiemdziesiątego dziewiątego listy nie przychodziły już od pięciu miesięcy. Mama w rozpaczy dzwoniła do koszar, do przełożonych taty, ale nikt niczego nie mówił. Zaczęła codziennie chodzić na mszę i modliła się do Świętego Antoniego Padewskiego, patrona zakochanych. No, ale skoro komendanci nie podawali żadnych informacji, to co, do cholery, mogła powiedzieć kościelna figura?

Wtedy rzeczywiście pomyślałem, że ojciec może nie żyć. Z poderżniętym gardłem, nagi, w korycie wyschłej rzeki.

W jedną sobotę o szóstej rano zadzwonił dzwonek. Zbudziliśmy się przestraszeni. Nie zrobiło się jeszcze nawet jasno. Na zewnątrz padał deszcz, nie bardzo było widać ulicę. Przed naszymi drzwiami stała zdezelowana furgonetka, stary rzech z włączonym silnikiem. Na chodniku sterczał mężczyzna i gapił się w nasze okna. Miał broń.

– Przyjechali nas porwać – stwierdziła matka. – Wiedzą, że twój ojciec jest wojskowym.

– Nie będzie mnie żaden pieprzony terrorysta porywał – odpowiedziałem. – Wyjdę przed dom i zapytam tych ćwoków, co zrobili z moim ojcem.

– Manu, nie!

Ruszyłem energicznie. Chciałem im napluć w gęby. Chciałem na nich nawrzeszczyć i ich skopać. Strzelać do nich. Kopnąłem krzesło i otworzyłem drzwi. Za plecami słyszałem krzyki matki, wołała, żebym nie wychodził. Nie zwracałem na nią uwagi. Wypełniała mnie wściekłość na tych sukinsynów. Wyszedłem gwałtownie, byłem gotów sam jeden iść na wojnę.

Ale tam na zewnątrz nie było żadnego terrorysty.

Stał tylko mój ojciec. A raczej to, co z niego zostało.

Człowiek na chodniku miał włosy, twarz, ręce i nos mojego taty. Ale tak naprawdę wcale go nie przypominał. Jego oczy były mocno podkrążone, zapadnięte, z boku brakowało mu zęba. Był wychudzony. Zamiast munduru miał na sobie poszarpane łachy i klapki ze starej opony. Spodnie ledwie się trzymały w pasie. Były podziurawione i całe poplamione, do tego obsiadły je owady. Syf od środka i z zewnątrz.

Oczywiście nie mieliśmy pojęcia, że wraca. Nawet on o tym nie wiedział. Nie zostali zdemobilizowani. Po prostu nie było pieniędzy na odesłanie żołnierzy do domów. W pewnym momencie dowódca na froncie powiedział:

– Kto chce wracać do domu, droga wolna. Ale sami sobie musicie poradzić.

Większość żołnierzy wzięła swoje rzeczy i poszła. Pieszo przeprawili się przez góry i szukali autobusów jadących do innych prowincji. Tata dwa tygodnie próbował się dostać do stolicy, najmując się na postojach do noszenia ciężarów, żeby zarobić na dalszą jazdę, razem z ósemką towarzyszy – sierżantami, kapralami, jednym kapitanem – którzy teraz gapili się na nas z furgonetki nieobecny wzrokiem. Mama musiała dać kierowcy całą gotówkę, jaką miała w domu.

Tym razem mojego taty nie pokazali w telewizji. Nie wygrał wojny. Wojna toczyła się dalej bez niego. Nie pokazywali w wiadomościach zdobyczej broni ani flag wywieszonych nad wrogimi przyczółkami, ani gratulujących prezydentów. I choć w czerwonej strefie walczył znacznie dłużej niż wtedy na pograniczu, nikt mu nie dał żadnego medalu. Zresztą te medale to jedna wielka ściema. Jeśli nie wygrałeś, to i tak są na nic.

Wszedł do środka i nawet nas nie objął. Patrzył na nas jakby ze strachem. Tak jak się patrzy na wściekłego psa, który może ugryźć. Ja też go nie przytuliłem, bo wydało mi się to niemęskie. Mama owszem. Rzuciła mu się na szyję i objęła go. A on wpatrywał się w ścianę. Sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał ani słowa.

Jakby odleciał. Prawie się nie odzywał.

I tak już zostało.

Od kiedy wrócił, cały dzień spędzał w szlafroku, nie golił się i tylko kręcił po domu jak żywy trup. Prawie cały dzień gapił się bez słowa w telewizor, siedząc w rogu kanapy. Kiedy pojawiały się doniesienia z terenów objętych walkami, prosiłem, żeby mi opowiedział, jak było. Ale on milczał. Nie otwierał ust, a z oczu leciały mu łzy. Nawet nie pociągał nosem. Jego twarz była jak posąg, któremu woda cieknie z oczu.

W mieście wciąż słyszało się wybuchy. Nocne eksplozje niepokoiły tatę. Budził się w nocy z krzykiem. Czasami słyszałem potem, że mama też krzyczy. Ale to były inne krzyki, nie ze strachu, tylko raczej

z bólu. Jednego dnia na plaży zauważyłem na jej nogach zielonkawę, podłużne plamy, jak pasy tygrysa:

- Co ty tu masz, mamó?
- Nic takiego. Spadłam ze schodów.

Uważałem, że moja matka nie jest dobrą żoną. Z ojcem było coraz gorzej, a ona nic nie robiła. Nie rozumiała, że to bohater. Powinna mu przecież pomóc, nie? Powinna sprawić, żeby dobrze się poczuł. No bo po co innego ludzie się żenią, co?

Tata zaczął nocować na kanapie. To było żalosne, stary. Najpierw poznać to można było tylko po kocach, które tam rano leżały. Potem zorganizował sobie takie małe obozowisko, z butelkami wody i zapasami. Nikomu nie było wolno ruszać „jego rzeczy”. Rano zastawałem go tam, chrapał i coś mamrotał. Czasami razem z matką jedliśmy śniadanie obok rozłożonego ciała, jakby to było jakieś czuwanie przy zwłokach.

Kiedy odcinano prąd, ojciec lubił siedzieć sam w ciemności. Nawet nie zapalał świeczek. Tylko gdy ulicą przejeżdżał samochód i na parę sekund oświetlał wnętrze domu reflektorami, można go było zobaczyć, siedział na kanapie, poruszał palcami, jakby to były jakieś żyjątka, i mówił coś do siebie.

Czasami w takie noce zniknął, zostawiając otwarte drzwi. Trzeba było wyjść po niego na ulicę i przyprowadzić z powrotem. Ja się tym zajmowałem, żeby matka nie wiedziała, że znów uciekł. Nigdy się za bardzo nie oddalał. I zawsze pozwalał się przyprowadzić. Ale kiedy go już prowadziłem, jak pies przewodnik niewidomego, patrzył w nicość i zastanawiałem się, czy w ogóle mnie poznaje.

Raz obudziłem się nad ranem i chciało mi się pić. Wstałem, żeby pójść po szklankę. Odruchowo sięgnąłem do wyłącznika światła. Zawsze tak robiłem. Człowiek zapomina, że może nie być prądu. Ma się nawyk, że wystarczy nacisnąć i już wszystko widać, jak za sprawą magii. W każdym razie to i tak nie był problem. Na tym etapie



umiałem poruszać się po całym domu po omacku, jak niewidomi. Poszedłem do kuchni, macając ręką po ścianie.

Po drodze usłyszałem jakieś dźwięki, jakby mruczenie dobiegające z salonu. Czasami uliczne koty wchodziły nam na noc do mieszkania i drapały meble. Matka ich nienawidziła. No więc podszedłem przekonać się, co to. Może trzeba będzie je przegnać miotłą. Zdarzało się to już wcześniej.

Pod stołem coś leżało. Nie było wielkości kota. Bardziej tygrysa. Tylko po ludzkim zapachu można było się domyślić, że to mój ojciec.

– Tato?

– Mmnhrrr...

– Tato?

– Bff... Nie... Nie, cholera...

Było zimno. Panowała duża wilgoć. A mój stary leżał pod stołem bez koca. Mógł się przeziębic.

– Obudź się, tato. Powinieneś położyć się w łóżku.

Uspokoił się, ale zastygł sztywno bez ruchu, jak jakaś deska.

Jak trup.

– Tato?

Kolejną chwilę przeleżał jeszcze w bezruchu. Jak pantera, która czai się na ofiarę. Pomyślałem, że może przyniosę mu moją kołdrę, żeby się nie rozchorował. I postawię mu gdzieś blisko butelkę z wodą.

I wtedy skoczył.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek wystraszył się tak jak wtedy: uderzenie, krzyk, chłód lufy.

Wszystko zbyt szybko, żeby zareagować. Wszystko zbyt niemożliwe.

– Spokój, kurwa! – wrzasnął, trzymając mnie za gardło.

W jednej chwili znalazłem się na podłodze, plecami na zimnych płytkach. Serce waliło mi tak, jakby miało rozerwać klatkę piersiową. Mój mózg za wszelką cenę chciał uwierzyć, że to nie jest mój ojciec, że to włamywacz, proszę, niech to będzie włamywacz.

– Spokój, ty terrorystyczna szmato! – krzyczał. – Jak drgniesz, rozwalę ci łeb. Gdzie reszta? Gdzie twoi ludzie?

– Tato, to ja...

– Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Głuchy jesteś? Mówię do ciebie, kurwa!

Coś bardzo twardego i metalicznego oparło się o moje czoło. Potem zsunęło się do moich ust. Usłyszałem kliknięcie odbezpieczanego pistoletu. Ale przede wszystkim słyszałem jego krzyki. Rozkazy. Ostrzeżenia. Myślał, że otaczają go podwładni. I wydawał im polecenia.

– Poruczniku, proszę przeszukać dom! Wyciągnijcie wszystkich na zewnątrz! Ale już, ruchy, kurwa!

Stary, nawet ja już ich tam prawie widziałem. Duchy tańczące po salonie, zajmujące krzesła i depczące po dywanie, mierzące w ukrytych wrogów. I we mnie. Żołnierze przemykający w mroku. Biegające dzieci. Rozbłyśki na zboczach. Ogień na dachach. Ludzie wybiegający przez drzwi. Wszyscy krzyczeli, także mój ojciec:

– Po kolei! Zrewidujcie ich wszystkich po kolei!

– Tato, proszę...

Zaciskałem zęby. Przelykałem ślinę. Próbowałem zachować spokój. Ale jak, do cholery, można zachować spokój z pistoletem przy twarzy? Dłonie ojca obmacywały mnie w poszukiwaniu broni. Obrócił mnie na brzuch. Przycisnął mi twarz do podłogi. Wciąż wbijał mi lufę w kark. Przygniatał mnie całego. Poczułem na języku smak podłogi, a na plecach dreszcze. Wciąż mi się wydawało, że za mną kręcą się ludzie – wojskowi, terroryści, całe rodziny – biegają i krzyczą pośrodku siennej nocy.

I wtedy rozległ się inny głos. Głos prawdziwego człowieka.

– Przestań! – zawołała mama od drzwi swojego pokoju.

Trzymała latarkę. Celowała nią ojcu w twarz.

Czas się zatrzymał. Tata nagle się uspokoił. Ja się odwróciłem. On rozejrzał się dookoła. Popatrzył na mnie. Dopiero wtedy

zauważyłem, jaką trzyma broń: browning kaliber 9 mm. Największy. Takim gnatem mógłby mi rozwalić czaszkę na połówki.

Tata wypuścił z ręki browninga. Puścił mnie. Osunął się obok mnie na podłogę. Zaczął zawodzić jak skarcony pies. Potem te odgłosy zaczęły nabierać wyraźniejszej formy. Jęczał. Pocierał sobie twarz. Wił się na dywanie. Nie wydawał już rozkazów urojonym podwładnym. Teraz pogrążał się tylko we własnym umyśle. Nie wyglądał już na żołnierza z oddziałów szturmowych, przypominał raczej zasmarkane i zaślinione dziecko, co przebiera rękami i nogami i kręci się wokół własnej osi, tymczasem matka próbowała jakoś się nim zająć, objąć go, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Przypominał wściekłego psa, który zranił się, atakując kota.

– Przepraszam... – powtarzał błagalnym tonem – przepraszam...

Choć prawie nic nie było widać, i tak musiałem zamknąć oczy.

Przejebane tak patrzeć na płaczącego bohatera.

## Moco

Opowiem o tym filmie, dobra?

Najwyższy czas o nim opowiedzieć.

Filmy są ważne. W życiu.

A ten był wyjątkowo ważny. Bez niego nie wydarzyłoby się to, co się wydarzyło.

Dobrze pamiętam tę kasetę w kartonowym pudełku, jak sobie leci w powietrzu w gabinecie dyrektora, poobwieszanym obrazkami z Matką Boską i świętymi, a na końcu ląduje na dywanie, tuż pod krzyżem. *Marynarze na wakacjach III*.

Uch, ale miała minę panna Pringlin, kiedy zrozumiała, co to jest. To przez zdjęcie na okładce. Dość bezpośrednio... Normalnie podmieniałem okładki, dawałem napis: „Bal na koniec roku 1989” albo „Rodzinne wakacje”, żeby nikt się nimi nie interesował. Tyle że tej kasety dotąd nie wyjmowałem z szuflady. Wyglądała tak, jak do mnie przyszła. Jasne jak słońce: czterech bysiów zapodaje sobie od tyłca, jakby gęsiego. Ci marynarze to mieli spore te swoje armaty, nie powiem, he, he.

Pringlinowej chwilę zajęło, zanim się kapnęła, co to jest. Ale jak już zajarzyła, poczerwieniała na twarzy, potem pozieleniała, a na koniec zrobiła się sina.

– Co to ma znaczyć?

Porno to już był dla niej grzech. Ale porno z samymi facetami... Podejrzewam, że nawet sobie nie wyobrażała, że istnieje coś takiego. Żyliśmy przecież w Peru. W 1992 roku. To była szkoła prowadzona przez księży. A ona była panną Pringlin.

– Skąd tu się wzięło to... to paskudztwo! – ciągnęła.

Siedzieliśmy tak w tym gabinecie dyrektora i zastanawialiśmy się, jak bardzo można się jeszcze pograć. Co jeszcze może pójść nie tak. I nikt jej nie odpowiedział, skąd wzięliśmy to „paskudztwo”.

No, ode mnie z domu, rzecz jasna. He, he. I nie żebym ja oglądał taki syf, jasne? Mnie interesują kobiety, okej? Zawsze tak było. Miałem w kolekcji dwieście trzydzieści sześć filmów z kobietami i tylko parę z facetami, wyłącznie do celów handlowych. *Marynarze na wakacjach III* to była kasetka dla Beto. To on był odbiorcą.

No ale fakt, to ja mu ją dałem. Prowadziłem taką jakby wypożyczalnię wideo, nie? Jestem człowiekiem kina. Równie dobrze mogłem mu wypożyczyć *Bambi* albo *Dumbo*. Tyle że nie wszystkich kręci kategoria kino rodzinne. To się nazywa „dywersyfikacja rynku”.

W ramach usług dla dorosłych oferowałem czasopisma: „Playboy” dla klasyków, „Penthouse” dla arystokratów. I oczywiście „Hustlera” dla tych, co szukali prawdziwego seksu, a nie tych samotnych i wychudzonych blond lalek. I jeszcze parę pism szwedzkich – te były najmocniejsze – i brazylijskich. No ale największe wzięcie miały filmy.

Generalnie handlowałem swoim towarem w szkole pod murem na wzgórzu, z dala od niedyskretnych spojrzeń. Natomiast Beto zapraszałem do siebie. No bo Beto szukał towaru, którego nie mogłem ze sobą nosić.

Takie chłopaki jak on miały w szkole nielekkko. Musieli załatwiać swoje sprawy w samotności, żeby nikt niepowołany nie widział. Oferować im takie porno, jakiego potrzebowali, to był obywatelski obowiązek, to jak dawać jeść biednym. Albo organizować striptiz w koszarach.

I owszem: tacy ludzie jak Beto mogli okazać się kopalnią złota. Sporo musiało takich być, szukali dyskretnego dostawcy, który zapewni im odpowiednią rozrywkę. Dla mnie to był dziewiczy rynek, obiektywnie nowa publiczność, przyszłościowy horyzont o trudnym do oszacowania potencjale.

No bo w czym problem? Mieliśmy lata dziewięćdziesiąte. Robienie interesów było dobrze widziane.

## Beto

– Co tu się dzieje?! – wrzasnęła panna Pringlin, kompletnie wychodząc z siebie. – Mowę wam odjęło?

No, ja zaniemówiłem. Wszyscy zaniemówiliśmy.

Panna Pringlin dzierżyła kasetę wysoko jak jakąś broń albo pochodnię, palący dowód naszej deprawacji, naszą przepustkę do piekła. Wyglądała jak kaznodzieja z Biblią w ręku przed swoimi wyznawcami. Biblią z czterema umięśnionymi golasami na okładce pod tytułem *Marynarze na wakacjach III*.

– Pytam ostatni raz – zagroziła i głowę bym dał, że wszystkie obrazy w gabinecie straciły w tamtej chwili niewinność. – Do kogo należy to obrzydlistwo?

Opuściłem głowę tak gwałtownie, że o mało nie przedziurawiłem sobie brodą piersi.

To obrzydlistwo było moje. Znaczy nie. Było Moco. Nie. Moje. Nie. Moco.

Nie byłem pewien, czy kupiłem tę kasetę, czy tylko wypożyczyłem. Nie bardzo wiedziałem, jak działa ten interes. Dopiero od siedemdziesięciu dwóch godzin próbowałem się wyzwolić. Moje nowe życie było jeszcze zbyt nowe.

W jednej chwili, zaraz po tej poprzedniej heroicznej scenie, całkowicie brakło mi sił, żeby przeciwstawić się pannie Pringlin. Nie byłem w stanie. Nie kiedy ona trzymała to coś w ręku. No ale nie mogłem też wydać na jej pastwę Moco. To by było nie *fair*. Nie Moco, mojego jedynego przyjaciela.

Akurat jego, który mną nie gardził. Nie przejmował się tym, jaki jestem. Tylko on uważał, że jestem „normalny”.

Tylko on sprawiał, że czułem się normalny.

Wszystko się zaczęło poprzedniego dnia pod prysznicem po wuefie, to była ostatnia lekcja tego dnia. Kręciliśmy się tam jak zawsze, wszystkie te dorastające chłopaki, przepocone i bez ubrań, po ganiu wokół boiska, grze w piłkę czy rzucaniu do kosza, gęsiego w kolejce do prysznic. Pluliśmy na siebie i szafowaliśmy żarcikami na temat rozmiarów naszych penisów, wymyślaliśmy seksualne wyczyny, a przede wszystkim co trzy sekundy rzucaliśmy słówkiem „pedał”.

Ja też tak mówiłem. Za każdym razem, kiedy ktoś za bardzo się do mnie zbliżał albo się gapił, albo chciał ze mnie zażartować. „Ty pedale” – kontratakowałem, jakbym z tego jednego słowa zrobił sobie tarczę. I starałem się pozować na twardziela. Przede wszystkim jednak starałem się na nikogo nie patrzeć i żeby na mnie nikt nie patrzył. Pod prysznicem najlepiej było stać się przezroczystym, niewidzialnym, przejść przez szatnię, nie zwracając na siebie uwagi, i wrócić do normalnego świata, w którym ludzie chodzą w ubraniach.

Tego dnia, jak zawsze, chowałem się za kolegami. Stałem w kolejce w towarzystwie pozostałych, jak ranne zwierzę szukające schronienia w stadzie. Kątem oka zerkałem na Manu, w sumie to od niechcienia, spokojnie, bo wiedziałem, że on na mnie nie spojrzy.

Manu miał na piersi plamę. Taką czarną. Dziwnie to wyglądało, miała kształt jakby serca i leżała bardziej po lewej stronie. Zupełnie jakby miał serce na wierzchu. W pewnym momencie Carlos i Moco zaczęli się okładać ręcznikami i przypadkiem zepchnęli mnie bardzo blisko Manu, tak że prawie się o niego otarłem pierś. On nie zareagował, ale ja, cały w nerwach, uznałem, że coś muszę powiedzieć, żeby odwrócić od siebie uwagę, i nic innego nie przyszło mi do głowy. Dlatego powiedziałem właśnie to, wspomniałem o tej jego plamie:

- Coś tu masz.
- To od urodzenia – odpowiedział Manu, szukając mydła.
- Wiesz, że niektóre takie znamiona można usunąć?



– Nie przeszkadza mi.

Opierał się o ścianę przy prysznicach, przed nim było jeszcze pięciu czy sześciu. Miał jak na tę szkołę bardzo długie włosy, kosmyk opadał mu na oczy.

– Mogę dotknąć? – nie odpuszczałem. – Ciekawe, czy można ją...

– Co ty robisz? Powiedziałem, że mi to nie przeszkadza.

I strzelił mnie w policzek. Aż się zatoczyłem. To nie miało być agresywne. Zrobił to odruchowo. To była naturalna i spontaniczna reakcja na ryzyko dotyku. W szkole, a zwłaszcza na wuefie, nie można było nikogo dotknąć. Co najwyżej uderzyć.

– Przepraszam – odpowiedziałem i starałem się sprawiać wrażenie, że ten cios to nie problem, że wszystko w porządku.

Miałem wrażenie, że Moco się nam wtedy przyglądał, że wyłapał tę chwilę między Manu a mną. A może przyszło mi to do głowy później, przez to, co się wydarzyło. W każdym razie to Moco rozładował napięcie, które się wtedy wytworzyło, w zwyczajowy sposób, waląc mnie rękami centralnie przez twarz:

– No co tam, dziewczynki? Bo my, mężczyźni, tu walczymy.

– Co takiego? – Manu podjął żart. – Mnie należy traktować z szacunkiem, jasne?

I przystąpił do pojedynku. Tacy goli, mokrzy i ładujący w siebie rękami moi koledzy wyglądali jak bezwłose szczeniaki kęsające się w legowisku. Ale nie przyłączyłem się do nich. Choć stałem bardzo blisko, czułem się, jakby mnie zamknięto w odległej jaskini.

Po lekcjach Manu czekała karna odsiadka z panną Pringlin. A Carlos, jak mówił, też miał plany:

– Później spotykam się z Pamelą. Myślę, że niedługo wyładujemy w łóżku.

– Marzenie ściętej głowy – stwierdziłem.

– To już Manu ma większe szanse z Pringlinową – rzucił Moco. – W końcu wszędzie za nim łązi.

Manu wsadził sobie palce do ust, jakby prowokował wymioty, i wywrócił oczami.

– Na pewno się jej podobasz – zaatakował Carlos.

– To przynajmniej prawdziwa kobieta – odparował Manu.

– Właśnie, a nie jak ta twoja wymyślona dziewczyna, której nikt nie widział – dodał Moco.

– A może ty jesteś pedał? – rzuciłem.

Przecież właśnie coś takiego powinienem był powiedzieć.

– Nie, twój stary nie jest w moim guście – odpowiedział Carlos.

– Za to twoja stara bardzo mi się podoba – dodał Moco. – A ja jej.

– Palant!

Manu uciął dyskusję:

– No, panienki, dosyć przepychanek. Bądźcie grzeczni, a ja idę się spotkać z moją dziewczyną.

– Jakby Pringlinowa próbowała cię zgwałcić, to krzycz – Moco poinstruował Manu.

– Albo to ja ją doprowadzę do krzyku – odpowiedział Manu.

Dotąd Manu zachowywał się pewnie i prowokacyjnie, był taki jak zawsze, jaki mi się podobał.

W każdym razie potem poszliśmy z Moco aż do rogu szkoły, jak zwykle. Tyle że tym razem, zanim się rozstaliśmy, zatrzymał się i uważnie na mnie spojrzał. Coś dziwnego było w jego oczach. I w jego głosie też, kiedy się odezwał:

– Chcesz do mnie wpaść?

Ja nigdy nie miałem ochoty wracać do mojego domu. Czasami po wyjściu ze szkoły kręciłem się bez końca po ulicach, byle to opóźnić. Siadałem w parku na ławce i czytałem. Czasami nawet zostawałem w szkolnej bibliotece po lekcjach, kiedy nikt mnie już nie zaczepiał. I wracałem do domu po zmroku. Koledzy ze szkoły nie zapraszali mnie do siebie. Nikt pewnie nie chciał, żeby ich ze mną widziano.

Tak że przyjąłem zaproszenie. No bo czemu nie?

Żeby dotrzeć na ulicę Moco, trzeba było przejść solidny kawałek. Mieszkał za Obwodnicą – to była jakby granica naszego świata, za którą można się było spodziewać najróżniejszych niebezpieczeństw – w ruderowatym, niezbyt czystym domu. Cały ogród porastały chwasty. Po ścianie piał się bluszcz, przypominał poszarpaną pętlę. Wnętrze nie było w najlepszym stanie: obicia mebli miały niemożliwy do określenia kolor, a dywan rozsiewał nieświeżą woń.

Przemknęliśmy przez salon, wspięliśmy się po bardzo długich, skrzypiących schodach i weszliśmy do jego pokoju – Twojego starego nie ma? – zapytałem.

– Jest u siebie, ale teraz ma sjęstę. Lepiej mu nie przeszkadzać. Generalnie jest w porządku, ale czasami miewa kiepski humor.

W drodze przez korytarz usłyszeliśmy jakiś hałas dobiegający z jednego z pokoi. To mógł być telewizor albo chrapanie. Nie zatrzymaliśmy się, żeby to sprawdzać. Szliśmy do samego końca.

Ściany w pokoju Moco wytapetowane były od podłogi po sufit zdjęciami piłkarzy: wielkie składy peruwiańskiej reprezentacji, afisze drużyny uniwersyteckiej, ujęcia historycznych goli i koszulki zagranicznych drużyn, takich jak Juventus czy Flamengo. Na pościeli miał napisy Real Madrid. Wszędzie pełno było piłek. Zdziwiło mnie to:

- Ale ty jesteś kibicem, kurczę.
- Ja? Piłka nożna mi wisi i powiewa. To kamuflaż. Ponaklejałem to, jeszcze kiedy matka żyła, a potem już tak zostało.
- Kamuflaż?
- Jesteś gotów poznać imperium Moco?
- Nie wiem. Zależy jakie.
- Uważaj teraz.

Przybierając poważną minę, jak magik pokazujący sztuczki albo tajny agent zdradzający lokalizację swoich skrytek, Moco otworzył drzwi szafy. W środku, za tymi wszystkimi piłkarzami, wisiały plakaty z kobietami. Niektóre miały majteczki, ale większość nie

zostawiała miejsca dla wyobraźni. Jedna z nich, sfotografowana od tyłu, wypinała tyłek i prowokacyjnie oblizywała sobie palce. Inna rozsuwała nogi, pokazując wszystko, co tam ma. Wyglądało to obleśnie.

– No, to bardzo stosowna dekoracja... jakbyś prowadził warsztat samochodowy.

– To jeszcze nic.

Dumnym gestem wysunął szufladę z komody i wyjął koszule: pod nimi trzymał swoje kompletne zbiory wideo z tytułami, takimi jak *W środku Desirée*, *Rejs z minetą* czy *Niegrzeczne dziewczynki IV*. Kolekcja ta, wszystko na betamaksie i VHS, zajmowała także szuflady ze spodniami i z bielizną.

– A na koniec... – zapowiedział Moco i podszedł do łóżka. Przesunął trochę materac z kołdrą Real Madrid. Pod spodem leżały stosy pism pornograficznych. – I co powiesz?

– To dlatego masz takie słabe oceny. Czasu na naukę to ci musi brakować.

– Kosztowało mnie to lata potu, pracy i kilka kradzieży, ale sądzę, że to największe zbiory w promieniu kilometrów. Kiedy jakaś kobieta zainteresuje się, na swoje szczęście, moją osobą, dostanie solidnie wytrenowanego zawodnika: wszystkie pozycje, obciąganie i kombinacje, kobiety z kobietami, kobiety ze zwierzętami, sadomasodiscoshow, co sobie zamarysz. Jak sądzisz, ile fiutów może wejść w ciało kobiety? No? Ile byś powiedział? Rzuć na czuja. Ile chcesz. Cokolwiek powiesz, ja mam film, na którym wchodzi więcej.

– A nigdy nie przyszło ci do głowy poczytać?

Moco parsknął. Widać było, że jest w świetnym nastroju, podejrzewałem, że to duma.

– Ja tym też handluję. Z pełną dyskrecją, zaopatrzyłem trzy roczniki onanistów z naszej szkoły.

– Fajnie. Nie musisz iść na studia.

- No i... chociaż to nie jest częste i oczywiście nie jest to szczególnie chodliwy towar, mam też facetów z facetami.

Temperatura w pokoju spadła o kilka stopni. Pomyślałem, że powinienem się skrzywić z niesmakiem albo powiedzieć coś, co zabrzmiałoby bardzo męsko. Albo może strzelić Moca ręcznikiem w bok. Wybrałem jednak ostrożną opcję:

- I co?

Ale on się zaśmiał:

- Beto, czy ty myślisz, że ja głupi jestem? No proszę cię, kruk krukowi oka nie wykole.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Patrzył na mnie tak porozumiewawczo, ale zarazem tak intensywnie, że zacząłem się bać, czy zaraz nie spróbuje mi się narzucać. Przez myśl przebiegł mi - dość nieprzyjemny - obraz Moco, który zamyka oczy i składa usta do pocałunku. Po czymś takim z ulgą jednak usłyszałem:

- Hej, hej, spokojnie. Mamy lata pięćdziesiąte, nie? Prawie XXI wiek. Możesz sobie być, kim chcesz, mnie tam wszystko jedno. Ja twoich tajemnic nikomu nie zdradzę. My tu rozmawiamy tylko o interesach, kapujesz?

Nikt nigdy nie powiedział mi czegoś takiego. Nikt mi nie powiedział, że mogę być, kim chcę. Do głowy by mi to nie przyszło. No to jak miałem potem wydać Moco?

## Carlos

Ja zamierzałem wydać Moco. Tego zapchlonego, pryszczatego nerda.

Nie zwróciłem nawet uwagi, jakiego dokładnie typu był ten film. A nawet gdybym to zrobił, niekoniecznie skojarzylibym go z Beto. Beto był trochę zniewieściały i dużo czytał – co sugerowało, że coś jest nie tak – ale to nie oznaczało, że naprawdę, ale to naprawdę podobają mu się faceci. Dziwny był, ale my też, więc nie było potrzeby ustalać, kto bardziej.

Natomiast to na pewno Moco ten film dostarczył. To w jego stylu. Zawsze musiał wyciągnąć jakiegoś asa z rękawa i jeszcze pogorszyć sytuację. Nawet jeśli sprawy wyglądały naprawdę nieciekawie, Moco umiał jeszcze bardziej wszystko schrzanić.

W dzisiejszej prawniczej terminologii Moco nazwano by „nieletnim w sytuacji zwiększonego zagrożenia” – czyli szczył, który nie popełnił jeszcze przestępstwa, ale na pewno nie z braku chęci.

Choć takie określenie jest zbyt łagodne: Moco dopuszczał się wykroczeń, takich jak piracki handel filmami i czasopismami, rozpowszechnianie pornografii wśród nieletnich i rzecz jasna, fałszowanie dokumentów, bo to on osobiście podpisywał za ojca wszystkie szkolne zawiadomienia.

Nie wspominając już o jego nałogowym onanizmie, co wprawdzie przestępstwem nie jest, ale było mocno odpychające. Moco dzień w dzień masturbował się w klasie. Czasami nawet więcej niż raz. I to przy nas. Kryliśmy go. Może nadszedł czas, żeby okazać się nieco mniej spolegliwym.

Teraz panna Pringlin położyła kasetę wideo na biurku i wpatrywała się w nasze twarze jak cerber, czekając, aż któryś pęknie.

– Krycie się nawzajem daleko was nie zaprowadzi, panowie. Tylko pogorszy waszą sytuację. Bo doszliśmy do granicy tolerancji. Wy nie macie problemów z zachowaniem. Wy macie problemy z dopasowaniem społecznym.

Pomyślałem, że może trzeba w to wejść. Wydać Moco. Opowiedzieć o wszystkim.

Dlaczego miałbym ukrywać, skąd się wziął ten i wszystkie inne filmy?

W tej spółce z ograniczoną odpowiedzialnością ja stawałem się współnikiem przegranym. Poświęcałem się dla grupy jak idiota, ale nic na tym nie zyskiwałem. Wdałem się w dziecinną potyczkę z Pringlin, jakoby po to, żeby wesprzeć Manu. Zachowałem lojalnie milczenie w gabinecie dyrektora. Mogłem zapomnieć o średniej, ryzykowałem wyrzucenie ze szkoły, złość rodziców i oczywiście randka z Pamelą była stracona. Spotkanie, które oznaczałoby pewnie ostateczny kres mojego dziewictwa. I jakby tego było mało, musiałem udawać, że nie znam jedyne miejsce na świecie, z którego mogli się wziąć cali ci *Marynarze na wakacjach III*.

Za to Manu będzie dalej chodził do szkoły, a Moco handlował pornosami.

Czy ktoś myślał tu o mnie? Dlaczego to ja zawsze mam być przegrany?

– Policzę do trzech – oświadczyła panna Pringlin, stukając w kasetę idealnie przyciętymi paznokciami, jak jakiś sierżant – i mam nadzieję, że któryś z panów wytłumaczy mi, skąd się wzięło to świństwo. Raz...

Wydam go i po sprawie. Na pewno zmniejszą mi karę. Może nawet zdołam oskarżyć Manu, że mnie zmusił. Sam tak powiedział, prawda? Wystarczyło tylko przyznać mu rację. Potwierdzić jego słowa. I współpracować z władzami szkoły w walce o lepsze zachowanie uczniów.

– Dwa...

Musiałbym poprosić o przesadzenie mnie do innej ławki. Na inne miejsce. Poszukać sobie nowych kumpli. Żaden problem. Może tak naprawdę byłaby to szansa: Manu miał nierówno pod sufitem, Moco był zbokiem, a Beto mołem książkowym. No a ja byłem normalny. Tak uważałem. Całymi dniami myślałem o seksie, ale nie handlowałem nim, miałem prawdziwą dziewczynę i wielkie szanse, że uda mi się z nią przejść do dalszej fazy. Wcale nie musiałem należeć do grupy cieniasów, przegranych, słabeuszy. Na pewno mogłem zdobyć bardziej szanowanych kolegów.

– Trzy.

Chciałem to zrobić.

Próbowałem.

Przysięgałem sam sobie, że zaraz to zrobię.

Ale moje ciało odmawiało reakcji. Głowa nawet nie uniosła się z piersi. Zakneblowało mi usta.

– Doskonale – podjęła panna Pringlin. – Sama ustalę fakty.

Już? To wszystko? Nie będzie się nad nami znęcać? Torturować? Nie spali nas na stosie? Podniosłem głowę. Zamykała swój notes i chowała kasetę do torebki. Przesłuchanie zakończone. Tyle że jeszcze nie zapadł wyrok. Mogliśmy się spodziewać, że prawo spadnie nam na głowy całym swoim ciężarem.

I spadło:

– Wszystkie wasze kary są podtrzymane – oznajmiła, otwierając drzwi i pokazując nam, że mamy wyjść. – Prócz tej dzisiejszej. Nie będę dzwonić do waszych rodziców i zapraszać ich do szkoły, panowie. To nie wystarczy. Zamierzam złożyć im wizyty w domach. Dziś wieczorem, po siódmej, kiedy rodzice wrócą z pracy. Chcę się spotkać z całymi rodzinami i poważnie porozmawiać. Muszę się dowiedzieć, jak mieszkacie i jakie wartości się wam przekazuje. Uważam, że przekroczyliście wszystkie granice i że muszę zająć się tym z całą powagą.



Moi rodzice. Wszyscy rodzice. Nauczycielka w moim domu, u każdego w domu. Omawiająca nasze „problemy ze społecznym dopasowaniem”. Domagająca się dyscypliny i twardej ręki. Ale jednocześnie oceniająca nasze rodziny i ich sposób życia. Osądzająca nas wszystkich. Pouczająca o dobrym zachowaniu i zasadach. Podpowiadająca właściwe kary, na przykład zakaz wyjścia do galerii handlowej Camino Real czy spotkań z moją dziewczyną.

Przesunąłem spojrzenie z panny Pringlin na święte obrazki.

Matki Boskie i święci patrzyli na nas z naganą ze ścian gabinetu.

# Manu

Z pierwszej szkoły wywalili mnie, bo podrzuciłem zdechłego szczura do pokoju nauczycielskiego.

W tamtym czasie, pod koniec lat osiemdziesiątych, Lima to był jeden wielki syf. Brakowało nawet wody. Przekręcałeś kurek i z kranu dobiegało pffff, jakby kanalizacja miała gazy. A jeśli wody nie było zbyt długo, po rurach zaczynały spacerować szczury i inne szkodniki – pająki, karaluchy. Jednego dnia znalazłem takiego szczura w kiblu: czarne i spalone bydlę pływające w wodzie na dnie. Jeszcze tylko brakowało, żeby się ze mną przywitał. Mało mi się w twarz nie zaśmiał. Postanowiłem go zlikwidować. Wiedziałem, jak się do tego zabrać. Widziałem to na jakimś filmie ze średniowiecznymi rycerzami. Poszedłem do kuchni. Zagotowałem wodę w garnku i wróciłem do klozetu. Wylałem wrzątek na szczura i spuściłem deskę. Słyszałem, jak piszczy: „Iiii! Iiii! Iiii!”. Potem ucichł. Następnego dnia rano wyjąłem go, był ugotowany. Wyglądało to jak potrawka z futra. Wsadziłem ją do woreczka i zaniósłem w prezencie nauczycielom. Pismo o wywaleniu mnie ze szkoły było gotowe w mniej niż pół godziny.

Dwa dni wcześniej ojciec odszedł z domu. Czy też raczej ostatecznie odszedł. Przez jakiś czas stopniowo przygasał, aż wreszcie całkiem rozplynał się w powietrzu.

Jak plamy po kredzie na tablicy. Nikt ich nie ściera, ale blakną i w końcu znikają.

Przez te ostatnie miesiące z nami ojciec nigdy już nie mierzył do mnie z browninga ani na mnie nie wrzeszczał, nic z tych rzeczy. Przeciwnie. Był spokojniejszy niż kiedykolwiek. Cały dzień siedział przed telewizorem. Oglądał wszystko jak leci, nawet teleturnieje

Giseli Valcárcel. Był po prostu jak mebel. Wstawał tylko, żeby nalać sobie wody i wziąć szaroniebieską pastylkę.

Nawet się nie odzywał. Nie opowiadał już swoich historii z wojny z Ekwadorem, nie wygłaszał opinii o prezydencie. Zaczął zachowywać się uprzejmie. Zupełnie jak jakaś dama. Zdarzały się dni, że mówił tylko „proszę” i „dziękuję”. Jeśli w domu zjawiali się wujowie z ciociami albo babcia z dziadkiem, albo jego koledzy z wojska, ojciec słuchał ich tylko z fotela i lekko się uśmiechał. Nawet jeśli opowiadali o trzęsieniu ziemi, tata uśmiechał się, jakby był opóźniony umysłowo.

Kiedy zmęczyło go siedzenie, wychodził na spacer. Każdego popołudnia ta sama trasa: kręcił się po dzielnicy, a potem szedł na dół aż do Obwodnicy. Przy okazji kupował papierosy Premier, które palił bez przerwy, ale zawsze tylko do połowy. Z popielniczek w domu wysypywały się niedopałki, żaden nie był dopalony do filtra.

Tak żył: papierosy i dni zużywał tylko w połowie.

Jednego dnia nie wrócił ze spaceru. Czekałem ponad godzinę i wreszcie poszedłem go szukać na wzgórze, a potem w stronę szosy. Nie znalazłem go. Matka bardzo się wystraszyła, stary. Dzwoniliśmy po sąsiadach, którzy go znali, i do krewnych z innych dzielnic. Ale do zachodu słońca niczego się nie dowiedzieliśmy. Bałem się, że w nocy może dojść do zamachów czy odcięcia prądu. Ojciec raczej źle reagował na takie rzeczy w domu, a na zewnątrz, zagubiony w ciemności – nie da się przewidzieć, co zrobi. Matka na pewno obawiała się tego samego, ale żadne z nas nie wypowiedziało tego na głos.

– Po prostu się spóźnia – mówiła. – Jest bardzo rozkojarzony.

– Pewnie spotkał jakiegoś kolegę – pocieszałem ją.

Jakby ojciec miał jakichś kolegów.

Była już prawie północ, kiedy zadzwonił telefon. Matka rzuciła się na aparat, jakby go miała połknąć.

– Halo...?

Ktoś się odezwał po drugiej stronie. Ona słuchała. Unikała patrzenia w moją stronę, może żeby nie widzieć niepokoju na mojej twarzy.

– Tak... Tak? Niemożliwe... Ale... na pewno? Nie... Nie... Już jadę.

Odłożyła słuchawkę. Teraz już nie miała wyjścia i musiała popatrzeć w moją stronę; spojrzała bez słowa, zastanawiając się, co mi powiedzieć. Ale nic odkrywczego nie przyszło jej do głowy.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Kto to był?

– Z komisariatu.

Serce waliło mi jak bęben. Czułem, jak mi pompuje krew pod pachami, w stopach, za uszami.

– Co mu zrobili? Co oni, kurde, zrobili tacie?

Matka jeszcze raz próbowała wymyślić jakieś logiczne wyjaśnienie. Ale się jej nie udało. Nie było takiej potrzeby. W końcu nie mogła mnie zostawić samego w domu o takiej porze. Musiała zabrać mnie na komisariat.

– Niczego mu nie zrobili – odpowiedziała, zbierając się do wyjścia. – To on napadł na dwóch piętnastolatków.

– Co?

– Tak powiedzieli.

Szliśmy na komisariat tak z pół godziny. A na miejscu te ćwoki z policji kazały nam czekać kolejne dwie; siedzieliśmy na korytarzu razem z dziwkami i przestępcami. Czasami wzbierała we mnie ochota, żeby wrzasnąć, żeby ktoś nas wreszcie przyjął. Ale nawet na coś takiego brakowało mi sił. Matka też przez ten cały czas słowem się nie odezwała. Tylko wciąż obgryzała paznokcie, dosłownie odrywała je sobie zębami.

– Pani Battaglia? Proszę tutaj.

Nie przedstawiając się – i nie przestając żuć gumy – jakiś oficer kazał nam wejść do odrapanego gabinetu ze starą maszyną do pisania. Usiedliśmy i wtedy wprowadzono mojego ojca oraz dwóch

trochę ode mnie starszych gostków. Oficer też ich nie przedstawił, ale zrozumiałem, że to ofiary.

Jeśli mój stary rzeczywiście obił tych dwóch, to z wyraźnym zapałem. Jeden miał twarz totalnie pokancerowaną, całą w siniakach i skaleczeniach. Drugi zagipsowaną nogę i poruszał się o kulach. Po obu stronach pomieszczenia stały drewniane, rozwalające się ławki. Poszkodowani siedli po jednej, a ojciec po drugiej stronie.

My z mamą zostaliśmy pośrodku, na wprost policjanta, który przez dłuższą chwilę stukał coś dwoma palcami na maszynie. Na ścianie za jego plecami wisiało zdjęcie prezydenta. Śmierdziało tam stęchlizną. I za każdym razem, kiedy patrzyłem na tych dwóch pobitych, robili taką minę, jakby chcieli mnie zabić.

– No, koleżko – zaczął oficer, zwracając się do jednego z poszkodowanych – mów, co ci zrobił ten pan?

– Ten stary to wariat, szefie – odpowiedział typek z posiniaczoną twarzą, podekscytowany, jakby go kto nakręcił. – Staliśmy na alei Benavides, czekaliśmy na Chamę i ten tu podszedł do nas na przystanku. Chciał pieniędzy. „Wspomóżcie, panowie”, powiedział. Odpowiedzieliśmy, że nie mamy. I on wtedy wpadł w szal, szefie. Bił, kopał, miotał się, no wszystko. Proszę zobaczyć, jak nas urządził. Co jeszcze mamy tłumaczyć?

Po drugiej stronie ojciec gapił się w podłogę. Czasami poruszał palcami, miał splecione dłonie, ale poza tym nie reagował. Sprawiał wrażenie, jakby go to nie dotyczyło.

Policjant znów zaczął pisać na maszynie, powolutku, zastanawiając się nad każdym ruchem. Czasami podnosił okulary i sprawdzał, co wcześniej napisał, jakby szukając natchnienia. Ale generalnie widać było na kilometr, że mu się nie chce, jakby robił to już czterysta razy, i pewnie tak było.

– A co pan ma w tej sprawie do powiedzenia? – policjant zwrócił się do oskarżonego.

Ojciec nawet nie oderwał wzroku od podłogi:

– Oni mnie chcieli napaść – odpowiedział cichutko, jakby prosząc o wybaczenie. – Bronilem się.

– Zamknij pysk, pieprzony wariacie! – rozdarł się ten drugi, z gipsem; tak go poniosło, że prawie mu kula upadła. – Jak mogłeś się bronić, skoro niczego ci nie zrobiliśmy? Popatrz na siebie, facet. Nie masz nawet zadrapania.

– Mieli nóż – wyjaśnił ojciec. Prawie nie było go słychać. Potem powtórzył: – Bronilem się.

Oficerowi zapisanie tych słów zajęło wieczność. Wszystko robił z nieznośną powolnością. Kiedy skończył, zapytał:

– Proszę pana, dopuścił się pan ciężkiego pobicia. Jak pan udowodni, że to była obrona własna?

Tata wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno. Policjant znów coś napisał – cholera wie co – na tej swojej maszynie. Dwa szczyły po drugiej stronie dolewały oliwy do ognia:

– Stary wariat.

– Pieprzony zabójca, o!

W końcu zareagowała moja mama, już wściekła. Straciła cierpliwość:

– Panie komisarzu, pan musi wiedzieć, że ma pan przed sobą bohatera wojennego.

Policjant zatrzymał się. Rozejrzał się na boki w poszukiwaniu tego bohatera. Matka mówiła dalej:

– Mój mąż walczył w wojnie z Ekwadorem i w strefie zagrożenia terrorystycznego, ryzykował życiem dla tego kraju. I pan będzie teraz dawał wiarę tym dwóm smarkatym bandziorom, a nie jemu?

Wzmianka o wojnie uruchomiła jakąś sprężynę w umyśle policjanta. Powolną sprężynę:

– Pan jest wojskowym? – zapytał.

Choć wciąż ze wzrokiem wbitym w ziemię, tym razem mój stary odpowiedział jaśniej, wyrecytował swój stopień wojskowy z oficerską dykcją:

– Major piechoty Wojsk Lądowych Peru, Order za Zasługi imienia marszałka Andrésa Avelino Cáceresa.

Te dwa typki zaczęły miotać się na swojej ławce:

– Akurat, major z armii, kłamca!

– Złodziej!

– Co za wstyd! – oburzyła się matka, która może i była kobietą, ale na pewno nie głupią. – Dwóch smarkaczy z marginesu będzie obrażało głowę rodziny, człowieka, który walczył w imieniu naszego kraju. Co za obrzydlistwo! Złożę doniesienie do dowództwa wojsk lądowych, do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i połączonego dowództwa sił zbrojnych!

I rzuciła na biurko policjanta książeczkę wojskową ojca. Zrobiła to pogardliwym gestem. Nieźle to rozegrała.

Stopień wojskowy ojca był autentyczny, tak samo jak jego odznaczenie, więc stało się jasne, że on nie napadł ani nie pobił tych dwóch złodziejasków. Acz i tak największe znaczenie w tym wszystkim miało to, że byliśmy białą rodziną z dzielnicy Surco. A tamci dwaj, te obdartusy, pochodzili z tamtej strony wzgórza. Dlaczego mężczyzna z klasy średniej miałby okradać dwóch pieprzonych Indiańców? Cóż takiego mógłby im zabrać? Nie ulegało wątpliwości, że to oni pierwsi go napadli, ale i fakt, że to on spuścił im niezłe – być może przesadne, chociaż to teraz tak o tym myślę, wtedy uważałem, że sprawiedliwe – lanie.

– A, zafajdane kłamliwe dupki – zaatakował ich policjant, kiedy już nieco to sobie przemyślał i wyciągnął wnioski. – Zaraz was zamknę za napad rabunkowy na tego pana.

Tamci zaczęli się stawiać:

– Kurde, ale jaki napad, szefie?

– Nie jestem twoim szefem, smarkaczu.

– Oczywiście, panie oficerze. Ale niech pan zobaczy, jak nas urządził! I to nas będzie pan zamykał?

– Nie idziesz do ciupy za obrażenia ciała, palancie. Idziesz za to, że chciałeś wprowadzić władzę w błąd. Sierżancie!

Wszedł inny policjant i niemal wyciągnął tamtych dwóch, którzy na do widzenia obrzucili nas wyzwiskami, nie przestając protestować. Policjant stanął na baczność przed ojcem, przeprosił, powiedział, że musiał zweryfikować te wszystkie oskarżenia i chciałby uzyskać zapewnienie, że nikt nie wniesie na niego skargi do żadnych instytucji. Tyle że ojciec sprawiał wrażenie, jakby nawet nie załapał, co tu się wydarzyło. Kiedy się żegnaliśmy, usłyszałem, jak powiedział do policjanta:

– I dziękuję za wszystko.

Czyli za co?

Tego dnia, o świcie na komisariacie, zaczęła się przemiana. Na początku w domu prawie się tego nie zauważało. Jednak stopniowo stawało się to ewidentne. Mama często dzwoniła. Do wojskowych. Słyszałem, jak rozmawia z ludźmi, do których zwraca się „pułkowniku”, „panie komendancie”, a raz nawet „generale”. Nieraz słyszałem, jak na nich krzyczy.

Zagląдали do nas koledzy ojca z wojska. Wiele razy. Rozmawiali z nim. Czy też raczej mówili do niego, bo on ciągle zachowywał się spokojnie i prawie się nie odzywał.

Natomiast jedno było ewidentne: moi rodzice nie spali już razem. On wszystkie noce spędzał na kanapie. I matka zakazała mi wchodzić wtedy do salonu.

– Cokolwiek by się działo – powiedziała – masz siedzieć w pokoju.

Wtedy już zaczynałem się o to wkurzać. Matka wcale nie pomagała tacie: traktowała go jak psa, któremu każe się spać poza domem. Było przecież jasne, że ojciec czuje się samotny, niezrozumiany, a ona, zamiast go wspierać, tylko wszystko utrudnia.

W jakiś poniedziałek, kiedy wróciłem ze szkoły, zastałem w salonie walizkę. Rodzice siedzieli obok. Ona miała zaczerwienione oczy. On



jak zawsze nieobecny. Miał na sobie mundur polowy. Nowy, bez dziur, w jego rozmiarze.

– Twój tata zostaje przeniesiony – powiedziała matka.

– Znowu jest wojna? – zapytałem. – Teraz z Chile? Najwyższy czas na Chile.

Byłem podekscytowany. Wydawało się, jakby ojciec znów stał się taki jak kiedyś. Bohater. Ale matka odpowiedziała:

– Nie. Wysyłają go do Iquitos. W spokojne miejsce.

Przypomniał mi się tamten dzień w restauracji, kiedy ojciec oznajmił mi, że kierują go do strefy walki. Wtedy to on mówił. Teraz mówiła ona. Ale jedna rzecz była taka sama: załzawione oczy matki. Oczy poprzecinane żyłkami, jakby je ktoś zakropił na czerwono.

– Skoro tam jest tak spokojnie, to czemu my też nie pojedziemy?

Mama zaczęła mówić coś o mojej szkole. I swojej pracy. I że Iquitos nie jest tak daleko. Kilka godzin samolotem. I że tata często będzie nas odwiedzał. I dzwonił, przecież w Iquitos są telefony. I my będziemy go odwiedzać i jeść te dziwne rzeczy, jakie się jada w Amazonii: żółwie, larwy, kajmany. Czekałem, żeby ojciec coś powiedział, ale prawie nie otwierał ust. Przytakiwał jej słowom, bawił się swoimi palcami, z wypalonym do połowy papierosem Premier w ustach.

Przyjechali po niego o piątej po południu. Przynajmniej tym razem wojskową ciężarówką w dobrym stanie, z plandeką moro i z kierowcą w mundurze. Miałem ochotę go przytulić, ale wydało mi się to niemęskie. A on mnie nie objął. Nawet ręki mi nie podał.

– Na razie, synu – powiedział.

Mama się do niego przytuliła, ale on nawet się nie ruszył, ramiona trzymał wzdłuż tułowia i gapił się gdzieś w ścianę.

Kurde, ale to był chujowy moment, stary.

# Moco

Mój ojciec. Mój staruszek.

Panna Pringlin chciała się widzieć z moim tatą.

Z pewnością mieliby o czym pogadać, he, he.

Po wyjściu ze szkoły poszedłem prosto do domu. Musiałem z nim zamienić parę słów. Przygotować grunt. Uprzedzić, co go czeka. Opracować strategię. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle będzie w stanie mówić, wiadomo. I że się pojawi. Zmaterializuje.

Mój staruszek był jak *Mumia* albo *Hrabia Dracula* (wersja z Belą Lugosim): wszyscy wiedzą, że istnieje, ale nikt go nie widział.

– Tato?

Przechodząc przez salon, zauważyłem dwie nowe plamy wilgoci. Chyba się same rozmnażały. Jak guzy na ciele.

– Tato, nie śpisz?

Wszedłem po schodach. Stopnie tego dnia skrzypiały bardziej niż kiedykolwiek. A może to tylko przez moją filmową wyobraźnię. Zawsze tak miałem. Wciąż tak mam. Kiedy jadę taksówką, wyobrażam sobie, że zaraz się zderzymy z ciężarówką i zrobi się z tego spektakularna kraksa. Kiedy widzę wysoki wieżowiec albo idę deptakiem w Miraflores, wyobrażam sobie, że ktoś się rzuca z okna, jak opiekunka Damiena z *Omenu*. Kiedy ktoś dzwoni do moich drzwi, wyobrażam sobie, że za nimi czai się policja. Oczywiście nie wyobrażam sobie policji peruwiańskiej. W mojej wyobraźni to zawsze jest FBI.

– Tato...

Podszedłem pod drzwi. Przyłożyłem ucho. W środku nie było niczego słychać.

Mogłem po prostu otworzyć drzwi. Powinien tam być. I mnie posłuchać.

Choć równie dobrze mógł gdzieś wyjść. Wiele dni spędzał poza domem. I nocy też. Czasami nawet, kiedy odcinali prąd albo po godzinie policyjnej – też go nie było. W takie noce lubiłem puszczać horrory i napędzać sobie stracha. Leżałem, dygocząc, zwinięty w kłębek pod kołdrą, i wyobrażałem sobie, że każdy dźwięk dobiegający z zewnątrz to przychodzące po mnie zabójcze widmo albo kosmita.

– Tato, możemy pogadać?

Zapukałem do drzwi. Bez odpowiedzi.

Nacisnąłem klamkę. Dobrą chwilę próbowałem otworzyć. W końcu ją puściłem.

Poszedłem dalej. Do swojego pokoju. Może potrzebował czasu, żeby się porządnie wybudzić i ubrać, chciałem w to wierzyć. Sam się śmiałem z tych swoich myśli.

Otworzyłem piłkarską szafę i skupiłem się na szufladzie z Platinim. Lubiałem Platinię. Nie znam się kompletnie na sporcie, ale jemu dobrze z oczu patrzyło, he, he. Dlatego w szufladzie z jego zdjęciem trzymałem nowe nabytki do mojej kolekcji. Był tam taki jeden film, którego jeszcze nie widziałem. Mój dystrybutor dopiero co mi go przysłał. Sklasyfikował go jako film na pięć erekcji, najwyższe możliwe notowanie w naszej branżowej skali. To był dobry moment, żeby sprawdzić jakość produktu. Wsadziłem kasetę do magnetowidu, zdjąłem spodnie i usiadłem na łóżku, żeby się wyluzować. Tytuł brzmiał obiecująco: *Gierki szwagierki*.

Ale nie byłem w stanie się zrelaksować. Pierwsza scena – taka rozgrzewka, klasyczny seks jeden na jeden, a na koniec kąpiel w pianie – zupełnie mnie nie ruszyła. Zero reakcji. Druga – to samo w wersji lesbijskiej, z udziałem dildo – trochę na mnie podziałała. W trzydziestej minucie zaczęła się orgia w basenie, ale między moimi nogami czaiła się tylko wystraszona i skurczona myszka.

Nie mogłem przestać myśleć o Pringlin zjawiającej się u mnie w domu, pukającej do drzwi i stojącej twarzą w twarz z ojcem. Nie miałem pomysłu, jak wybrnąć z tej sytuacji. Czułem tak wielki strach, że nawet gierki szwagierki nie były w stanie go przyćmić.

Naciągnąłem spodnie, wyłączyłem odtwarzacz i wyszedłem.

Było tylko jedno miejsce, gdzie mógł pójść.

## Beto

– Tato, bo dzisiaj w szkole... coś się wydarzyło...

Oczywiście ojciec musiał być w domu. Akurat tego dnia, właśnie tego, po powrocie nie zastałem mamy, gospodyni domowej, która spędzała całe życie w kuchni, zawsze gotowa wysłuchać syna. Tego popołudnia zabrała moją młodszą siostrę do lekarza.

Natomiast ojciec, przedstawiciel handlowy firmy produkującej dywany, który nie miał stałych godzin pracy, siedział sobie w domu, jadł kanapkę i czytał dziennik „Ojo”. Choć nie wydaje mi się, żeby naprawdę czytał. Podejrzewam, że oglądał tylko gołe babki z okładki, te kobiety o tak ogromnych tyłkach, że wyglądały, jakby połknęły U-Boota.

– Uhm – burknął, poświęcając mi trzydzieści pięć procent swojej uwagi, a resztę grubasce z brudnymi stopami. Dlaczego te naguski z „Ojo” zawsze miały szpilki albo brudne stopy?

– Bo, tato... Widzisz... Pojawiła się... – „Znaleziono u mnie”? „Miałem w plecaku”? „Wypadła mi”? Nie. Na pewno. „Pojawiła się”. Kasetka zjawiała się sama z siebie. Ja nie mam z tym nic wspólnego. To tylko coś, co mi się przydarzyło. – W szkole pojawiła się kasetka porno.

– Tak? – Słowo „porno” odciągnęło jego uwagę od gazety. To i „futbol” to były jedyne dwa słowa, które miały taką moc. – Ha, ha! Znaleźli u ciebie film z gołymi cyckami? Odkryli, że się brandzlujesz?

Boże, jakie to wszystko trudne.

– Eee... No coś w tym rodzaju...

Ojciec zrobił to, co robił zawsze, kiedy chciał emanować mądrością i dojrzałością: podszedł do lodówki, wyjął piwo i otworzył je zębami. W jego osobistym kodzie oznaczało to: „Teraz oddam się refleksji”.

– Nieźle jesteś napalony, synku, co? Ostatnio żarciki z nauczycielki. Teraz znajdują u ciebie pornosy...

Chciałem się zapaść pod ziemię. Żeby niebo zważyło mi się na głowę. Żeby w domu wybuchł pożar. Albo wojna atomowa. I to zaraz.

– Nie rozumiesz. To trochę bardziej skomplikowane...

Znów się zaśmiał. Najgorsze było to, że wyraźnie dobrze się tym bawił. Powiedział:

– Rozumiem. Pewnie, że rozumiem. A co ty myślisz? Że ja nie byłem kiedyś nastolatkiem jak ty?

Właśnie na tym polegał problem – on nie był nigdy nastolatkiem takim jak ja. Ale pozwoliłem mu gadać dalej. Od lat czekał na tę chwilę. W jego pojęciu prawdziwa rola ojca zaczynała się właśnie teraz.

– Wiem, jak się czujesz, synu – ciągnął. – Hormony wyciekają ci uszami, co? Widzisz jakąś panienkę i ciężko nad sobą zapanować. Rzuciłbyś się na nią. Niebezpiecznie tak chodzić po mieście, prawda? Gotów jesteś na każde głupstwo. Tacy już jesteśmy, my, mężczyźni. Nie możemy nad tym zapanować.

– Jasne. Tacy jesteśmy.

Usiadł obok mnie i objął mnie ramieniem. Miał wielkie i masywne dłonie i pełno skórek wokół paznokci. Mógłby podnieść mnie jedną ręką, ale to nie był moment na ćwiczenia. Właśnie miał dojść do konkluzji. Z dumą nabrał powietrza i oznajmił:

– Jest tylko jeden sposób, by załatwić tę sprawę, synu. I od tego masz ojca.

Jego spojrzenie zmieniło się. Patrzył na mnie porozumiewawczo, ale jednak inaczej. Sam nie wiem, jak to opisać... Powiedziałbym, że patrzył na mnie bardziej... intensywnie.

– Moją sprawę?

Ojciec upił kolejny łyk piwa. Poluzował sobie krawat. Na brzuchu miał pełno okruszków.

– No cóż, synu. Osiągnąłeś wiek, żeby popробować pewnych rzeczy, co? Musisz zaspokoić nową ciekawość... Normalna sprawa. Obowiązkiem twojego ojca jest poprowadzić cię przez te nowe czasy.

Nagle jego przyjazne spojrzenie stało się dla mnie groźne. O czym on właściwie mówił? Co mi proponował? Nie byłem tego pewien. I nawet nie wiedziałem, czy chcę być pewien.

– Tato, może lepiej pogadam o tym z ma...

– Wiesz, jak straciłem dziewictwo? – zaatakował. – Wiesz?

Właściwe słowo dla mężczyzny to „prawiczek”, ale nie pamiętam, żeby ktoś używał tego określenia. Wszyscy mówili o tym tak, jakby to była cecha kobieca. Jeśli nie miałeś jeszcze kontaktów seksualnych, nie byłeś dzieckiem, tylko pewną formą kobiety.

– Nie muszę tego wiedzieć.

– Hej, hej, spokojnie! – Klepnął mnie mocno w plecy, chociaż zabolęło bardziej od środka niż z zewnątrz. – Ja tylko chcę ci pomóc. Wiesz, jak straciłem dziewictwo? Dziadek mnie zabrał.

– Dziadek?

Nie potrafiłem sobie wyobrazić tego szacownego starca wchodzącego do burdelu. I wolałem dalej sobie tego nie wyobrażać. Niestety ojciec nie szczędził szczegółów:

– Zaprowadził mnie jednego wieczora do takiego lokalu i powierzył dziewczynie. Byłem przerażony. Bałem się, że mi się nie uda. Ale ojciec znalazł mi najlepszą. Dziewczyna zachowała się jak nauczycielka. Pokazała mi wszystko, co mam robić. Pomogła mi. I spotykałem się z nią więcej razy. I tak przestałem się bać. Na noc poślubną z twoją matką wszystko już miałem obcykane jak trzeba.

– ...

– Więc teraz czas, żebym zrobił dla ciebie to, co mój ojciec zrobił dla mnie.

Trudno powiedzieć, od której części jego przemowy bardziej mnie mdliło. Ten dzień stawał się bez wątpienia najbardziej obłąkanym

dniem mojego życia. Pewnie pobladłem. Pewnie krew przestała mi krążyć w żyłach.

– Nie wydaje mi się... – wymamrotałem. – Mogę iść do pokoju?

– Pewnie – odpowiedział wyluzowany, a potem przypomniał sobie o najważniejszym: – Ale weź jeszcze poszukaj pilota. Gdzieś posiałem.

– Okej.

– I pamiętaj – puścił do mnie oko, zanim zdążyłem się oddalić – któregoś dnia wybierzemy się jak prawdziwi mężczyźni.

– Jasne, tato.

– Taki wieczór kawalerski. Co ty na to?

– Jasne, tato – powtórzyłem.

Znalazłem pilota i zaraz pobiegłem poszukać moich kumpli. Trzeba było zapobiec wizycie Pringlin w naszych domach. Za wszelką cenę.



## Carlos

Parę dni temu skończyłem rozbudowę mojego biura. Kiedy grzebałem w archiwach, rozdzielając papiery do zostawienia od tych do wyrzucenia, znalazłem coś nieoczekiwanego: stare zdjęcie naszej czwórki, ze szkolnych czasów.

Nie pamiętam, kto je zrobił ani dlaczego, ale widać nas tam wszystkich czterech, na jakiejś przerwie, z jeszcze dwoma kolegami z klasy, wszyscy w mundurkach, gdzieś w okolicy sali laboratoryjnej.

To zdjęcie uchwyciło chyba ostatni moment, kiedy byliśmy razem. A nasz wygląd zdradza nasze osobowości. Zważywszy na jego głośny temperament, można by się spodziewać, że Moco będzie na pierwszym planie i ukradnie cały show. Tymczasem stoi z tyłu, częściowo ukryty za nami, oczy spuszczone. Gdyby nie te pryszcze, ciężko by go było rozpoznać. Natomiast Beto, najcichszy z całej paczki, znajduje się z przodu, na tej samej wysokości co Manu, i patrzy uważnie na niego, a nie w obiektyw.

Ten Manu na zdjęciu rzeczywiście wygląda tak, jak go pamiętam: wyzywające spojrzenie, zadarty podbródek, włosy dłuższe niż u innych. Patrzy na oglądającego i mówi: „Mnie nie nastraszysz. Ja tu rządę”.

A ja?

Ja stoję z boku, nie za daleko od obiektywu. Tak naprawdę znajduję się bliżej tych dwóch nieznanym niż moich trzech kumpli. I tak jak oni pozuję, jak Pan Bóg przykazał, ze sztucznym, ale życzliwym uśmiechem. Można powiedzieć, że jestem jedynym, który robi to, czego inni od niego oczekują.

Można by stwierdzić, że jestem „tym normalnym”.

W dłuższej perspektywie tym, co po nas zostaje, są takie właśnie ulotne chwile. Trzymamy ich ślad w albumach ze zdjęciami i oglądamy co pięć lat, ale już nie jesteśmy tacy sami. Nie jesteśmy też tacy sami po każdym następnym pięciu latach. Czasami człowiek zmienia się z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień.

To zdjęcie dokładnie pokazuje nas takimi, jakimi byliśmy przed tą historią z oknami. Przed gonitwą po całej szkole, kiedy ścigali nas nauczyciele, a dziki uczniowski tłum dopingował. Zanim jeszcze Pringlin postanowiła wybrać się do naszych domów i rozpętał się ten koszmar.

Do wtedy byliśmy tylko czterema numerami z tych ponad dwóch tysięcy, które wypełniały szkołę, czterema typami niewidzialnymi w masie szarych i czarnych mundurków. Jednak tego dnia, właściwie nieświadomie, zmieniliśmy się w coś innego. Tego dnia rano do szkoły weszło czterech zwyczajnych chłopaków, cztery klasowe popychadła, a po południu wyszło z niej czterech gości gotowych na wszystko. Czterech mężczyzn albo prawie mężczyzn, na skraju rozpaczy, a przez to bardzo niebezpiecznych.

## Manu

Drugi i czwarty raz wywalono mnie ze szkoły za to, że się wysikałem przy całej szkole podczas odśpiewywania hymnu narodowego. Wyszedłem przed szereg, stanąłem pod masztem z flagą i odlałem się tam, publicznie, jak pies pod latarnią.

Ale nauczyciele mieli miny. Za jednym i za drugim razem. Do dziś to pamiętam i normalnie skręca mnie ze śmiechu.

Ten trzeci raz, trzecie wywalenie ze szkoły, już sam nie pamiętam, za co to było.

Jedno tylko zawsze dobrze wiedziałem: winę ponosiła moja matka. Za każdym razem.

Bo ona starała się mnie oddzielić od ojca. A to jest bardzo nie w porządku, stary. Tego się nie wybaczają.

Kiedy odszedł z domu, obiecała, że pojedziemy go odwiedzić do Iquitos. Dwa lata minęły i ani razu tam się nie wybraliśmy. Zawsze podawała jakąś wymówkę. „W tym miesiącu mam dużo pracy”. „Nie mamy kasy”. Ale telefon jakoś mieliśmy, a do ojca nie dzwoniliśmy nigdy. Nigdy.

Z jakiegoś powodu matka nie chciała, żebym z nim rozmawiał. Nawet nie wołała mnie do słuchawki. No bo przecież czasem musiał dzwonić, nie? Jak inaczej? To mój ojciec. Na pewno tydzień w tydzień chciał ze mną rozmawiać, ale ona wymyślała też jakieś wymówki dla niego. I do Limy na pewno co jakiś czas przyjeżdżał, ale ona tak kombinowała, żebym go nie widywał. Zabierała mnie do babci albo wyłączała telefon. Innego wytłumaczenia nie widziałem.

Pisałem tysiące listów. A przecież nienawidzę pisać. Pisałem i dawałem jej, żeby wysyłała je do Iquitos. Jestem pewien, że nigdy tego nie robiła.

Jedno, czemu matka nie mogła przeszkodzić, to pocztówki. Dwa razy do roku, zawsze na Boże Narodzenie i w moje imieniny, mimo że peruwiańska poczta była generalnie gównem warta, dostawałem od taty kartki pocztowe. Zawsze znajdowałem je sam, wsunięte pod wejściowe drzwi. Zdjęcia Amazonki, wielkiej jak morze, że nawet drugiego brzegu nie widać. Portrety papug albo jaguarów. A na odwrocie, napisane malutkimi jak pajęczki literkami, wiadomości od ojca: „Wszystkiego najlepszego” albo „Wesołych Świąt”. Nigdy za wiele nie pisał, o niczym nie opowiadał, ale te widokówki wystarczały, bo wiedziałem, że o mnie myśli. Wszystkie kończyły się tak samo: „Zachowuj się dobrze, żebym mógł być z ciebie dumny”.

Chowałem te kartki pod materac, żeby nikt ich tam nie znalazł. I nocami, kiedy ogarniała mnie tęsknota, wyciągałem je i czytałem raz za razem, jakby kryły w sobie jakąś dodatkową wiadomość.

Moja matka nie była w porządku. Rozwaliła naszą rodzinę. Postawiła między nami mur. Próbowwała nas rozdzielić. Ale miałem te swoje pocztówki. Te turystyczne fotki dowodziły, że on o mnie pamięta. I że próbuje się ze mną skontaktować.

Przez resztę czasu, kiedy nie była w pracy, matka darła się i ochrzaniała mnie za złe zachowanie. Bez końca powtarzała, że muszę się lepiej sprawować. Dawała mi kary – szlaban na atari, szlaban na wyjścia z domu. Zamykała mnie w pokoju. Ale ewidentnie miała nieczyste sumienie. Kiedy miałem jej już dość i chciałem, żeby się wreszcie zamknęła, wiedziałem, co powiedzieć:

– Przyszedł jakiś list od taty?

To był pewny strzał. Tylko tata wprawiał ją w gorszy humor niż ja.

– Od taty? – wkurzała się już na samą wzmiankę. – Czy twój tata napisał? A czy on w ogóle się tobą przejmuje? Co on dla ciebie zrobił?

– Zostaw w spokoju tatę, słyszysz?

– Nie o tym była mowa!

– Bo co, nie chcesz o nim rozmawiać? Dlaczego? Nie mogę mówić o swoim tacie? Jestem jego synem, wiesz? Czy ci się to podoba, czy nie, jestem jego synem!

Mama przede wszystkim nie znosiła, kiedy broniłem ojca przed nią, jakby byli wrogami. Gdy ten temat wypływał, poddawała się. Machała rękami, jakby chciała przegonić sprzed twarzy natrętne muchy, i ostatecznie kończyła rozmowę:

– Muszę wracać do pracy.

Ale zanim wyszła – i wieczorami, i po pobudce, i w niedziele rano, i popołudniami – wygłaszała mi wciąż to samo kazanie:

– Musisz się zmienić. Musisz poprawić oceny i zachowanie. Tak nigdzie nie zajdziesz.

Tak nigdzie nie zajdziesz. Co za bzdura, stary. Właśnie tak zamierzałem gdzieś zajść. Dlatego się tak źle zachowywałem, żeby trafić tam, gdzie chciałem.

Do Iquitos.

Proste. Logiczne. Z ilu szkół mogą mnie wywalić? Z pięciu? Dziesięciu? W pewnym momencie możliwości się skończą. I matka będzie musiała odesłać mnie do ojca. Słyszałem wiele razy, jak koleżanki jej to powtarzają, myśląc, że nie słyszę:

– Chłopakom potrzebny jest ojciec. Pewne sprawy może załatwić tylko mężczyzna.

Jeśli moje zachowanie stanie się naprawdę nieznośne. Jeśli żadna szkoła nie będzie chciała mnie przyjąć. Jeśli okażę się trudnym dzieckiem. Jeśli matka nie będzie w stanie nade mną zapanować... wtedy pośle mnie w ostatnie możliwe miejsce: do ojca.

Szkoda, że nie było innego sposobu, żeby to osiągnąć. Ale przecież tato mi to mówił, dawno temu, kiedy jeszcze się odzywał i był bohaterem dwadzieścia cztery godziny na dobę: „Nigdy nie przejmiesz pozycji wroga bez strat. Żeby osiągnąć trudny cel, potrzeba trudnych wyrzeczeń”.

W dniu buntu, po wyjściu ze szkoły z planem kar rozpisany na dwadzieścia lat, sporo zastanawiałem się nad tym wszystkim. To było nasze ostatnie wolne popołudnie. Mieliśmy przygotować rodziców na to, co nadchodziło. Wyrazić skruchę. Przyznać się. Ale w mojej głowie zaczął majaczyć ambitny plan: sposób, by raz na zawsze skończyć z tym całym syfem.

Mojej matki nie było w domu, a Carlos nie chciał się zobaczyć ze swoją, więc przyszedł do mnie i graliśmy w *Final Fight*. Gra w *Final Fight* to mój sposób na myślenie. Rozjaśnia mi w głowie. Z każdym ciosem z pięchy czy kopem wyskakują nowe pomysły.

To w tamtym momencie wpadłem na tę myśl. Żeby ją zabić.

No, może nie tyle wpadłem. Przeszło mi to przez głowę, taki rozblask.

Wtedy to była czysta fantazja. Tyle że dobre pomysły zawsze są fantazjami, dopóki nie staną się faktem. Nie mogłem przecież wiedzieć, jak to się dalej potoczy ani jak niewiele dzieli moją wyobraźnię od rzeczywistości.

– A, kurde! – parsknął Carlos, kiedy zbiry z *Final Fight* obaliły go na ziemię. – Przegrałem. Ale zagrajmy jeszcze raz. To nasza ostatnia partia, bo potem dostaniemy karę do końca roku.

– Nie pieprz bzdur, gościu. Spokojnie, damy radę. Żeby osiągnąć trudny cel, potrzeba trudnych wyrzeczeń.

Beto i Moco zjawili się później, kiedy już poprawiłem swój osobisty rekord w grze. Oni też nie powiedzieli w domu niczego o czekających nas karach. Cała nasza czwórka miała cykora. Pringlinowa elegancko nas załatwiła. Zablockowała nam wszystkie drogi ucieczki. A ci debile ciągle tylko jęczeli.

– Mam przesrane.

– Tylko ty? Wszyscy mamy.

– Stary mnie zabije.

– Mój posieka mnie na kawałki.

– A wszystko przez Manu.

- Nieprawda. Przez Beto.
- Przez twoją kurwę mać.
- A może twoją, jebał ją pies.
- Przynajmniej ją ktoś jebie, bo twojej to...
- Zamknijcie się, kurwa!

Weszliśmy na wzgórze Las Casuarinas. Musieliśmy się jakoś wyładować. A wzgórze przypominało nam o naszym porannym triumfie. Tej chwili zwycięstwa między zamachem na Pringlin i wyrokiem w gabinecie dyrektora. Poza tym dzięki temu wreszcie się przymknęli.

W dni z dobrą widocznością można było stamtąd oglądać całe miasto. Normalnie jednak gęsta limska mgła zalewała całe wzgórze i spływała aż do jego stóp. Niebo od piachu odróżniał tylko odcień szarości. To był jeden z takich dni. Choć wspinaliśmy się przez czterdzieści minut, teraz mieliśmy przed sobą tylko niekończącą się ścianę nieprzeniknionej mgły.

Ale mniejsza o widoki. I tak nikt nie miał ochoty wracać do domu. Ja chciałem rozwiązać ten problem raz a dobrze. Pozostali – sądząc po ich minach – mieli inny plan: chlipać w rękaw.

- Nie ma co dramatyzować.
- Nie znasz mojego ojca.
- Ani mojego.
- Skończymy wszyscy razem w jakimś poprawczaku.
- Ludzie po takich szkołach nigdy nie idą na studia, wiecie o tym?
- Kurde.
- Wiecie co, ciołki? – odezwałem się zmęczony tym ich babskim marudzeniem. – Zamiast tu siedzieć i narzekać, powinniśmy się zemścić.

Tamci trzej zamilkli i popatrzyli na mnie. W grupowym napadzie użalania się nad sobą każda konkretna propozycja okazywała się zaskoczeniem. Zdecydowanie potrzebowali kogoś, kto wskaże im

kierunek, duchowego przywódcy, pasterza, a przynajmniej człowieka z jajami na miejscu.

– O czym ty mówisz, Manu? – zainteresował się Beto.

Pozostali siedzieli cicho z udręczonymi minami. To był dobry moment, by udzielić im lekcji.

Wyjąłem z kieszeni szpilkę. Zawsze jakąś miałem ze sobą. Używałem ich przy grze w nogę. Kiedy za bardzo zbliżał się do mnie obrońca, kłułem go w tyłek i upuszczałem szpilkę na ziemię. Przejmowałem piłkę, a dowód faulu znikał. Odezwałem się:

– Ta baba chce nam zmienić życie w koszmar, no nie? To w takim razie nastraszymy ją.

– Świetny pomysł – zakpił Carlos. – Żeby nam przedłużyła karę do końca życia.

– Nie wygramy z nią – dorzucił Beto. – Lepiej odpuścić.

– Ona nie musi wiedzieć, że to my – wyjaśniłem.

Tamci zareagowali na moje słowa z wątpieniem. Na szczęście Moco był trochę bardziej otwarty:

– Brzmi nieźle. Będzie w tym jakiś element seksu?

Carlos zasłonił uszy.

– Nie chcę niczego wiedzieć o żadnych elementach! – krzyknął. – Już się wpakowaliśmy w najgorszy syf w życiu. Więcej nam nie trzeba.

– W nic się nie wpakujemy – powtórzyłem. – Chodzi tylko o to, żeby napędzić jej stracha. Pójdziemy do niej do domu w nocy albo jak jej nie będzie, nabazgramy coś na drzwiach, wybijemy parę okien, takie rzeczy. Wiem, gdzie mieszka. Widziałem, jak wchodzi i wychodzi z domu. To niedaleko.

– Tylko się w kłopoty wpakujemy – stwierdził Carlos.

– Ty to ciota jesteś.

– Oczywiście ktoś musiał zacząć... – westchnął Beto.

– To bardzo proste – powiedziałem. – Możemy sobie nawet zakryć twarze.



– To mi się podoba – poparł mnie Moco. – I powiesimy sobie łańcuchy na szyi.

– Geniusze – burknął Carlos. – No jasne. Czterech typów naszego wzrostu zjawia się w domu Pringlinowej i robią w nim rozpierduchę akurat po tym, jak nas ukarała. Po prostu nikt nie będzie nas podejrzewał.

– Nikt nas nie zobaczy! – przekonywałem go.

– Nikt was nie zobaczy. Na mnie nie licz. Nawet o tym nie myśl.

Obracałem w palcach szpilkę i pokazałem im ją, podsuwając blisko pod oczy.

– Coś wam pokażę – oznajmiłem fachowym tonem. – Patrzcie.

Rzuciłem ją w piach tak z metr od nas i powiedziałem:

– Teraz ją znajdźcie. Gdzie może być?

Cała trójka niechętnie rozejrzała się na boki i wzruszyli ramionami. Moco, wykazując największy zapał, pogrzebał w ziemi stopą, a nuż na nią trafi. W końcu pokręcił przecząco głową.

– Nikt już jej nigdy nie znajdzie – oznajmiłem. – Ale popatrzcie na tę.

Wyjąłem drugą szpilkę. Przesunąłem nią powolutku przed ich oczami, jakbym miał zrobić magiczną sztuczkę. I nagle wbiłem ją Carlosowi w rękę.

– Au, kurde! – wrzasnął. – Odwaliło ci?

Potem rzuciłem w piasek także tę szpilkę i wyjaśniłem im:

– O tej szpilce, którą wcześniej rzuciłem na ziemię, wszyscy zapomną. Przejdzie przez życie niezauważona. Jej istnienie było kompletnie bezużyteczne. Ale o tej, która cię ukłuła w rękę, będziesz pamiętał, choćby tylko przez ten ból. My jesteśmy jak te szpilki: jakieś pętaiki, uczniaki, jedni z tysięcy takich samych pętaików. Ale jaką chcemy być szpilką? Tą pierwszą czy tą drugą? Zapadniemy się w piasku, nie zostawiając śladu, czy jednak damy się zapamiętać?

Jak na wiersz było to pewnie słabe. Nie jestem w końcu literaturoznawcą. Ale przynajmniej dało im do myślenia. Beto

sprawiał wrażenie bardzo skupionego. Moco zakaszłał i splunął flegmą, to był jego sposób na snucie refleksji. Jeden Carlos się odezwał. I jak się można było spodziewać, zrobił to wyłącznie dlatego, żeby wszystko schrzanić, bo tylko to mu dobrze wychodziło:

– Idę do domu. Czeka mnie wspaniała wieczór z dziewczyną i nie zamierzam go tracić przez tę twoją partyzantkę. Ani przez tę całą Pringlin. Ja podjąłem decyzję. Teraz wasza kolej.

Mówiąc to, zaczął schodzić w dół zbocza. Upłynęło ponad dwadzieścia lat od tej rozmowy, ale problem z ludźmi, z wszystkimi ludźmi, jest wciąż taki sam. Ludzie są gotowi pogodzić się z każdą rzeczą. Dostają w twarz i nadstawiają drugi policzek. Ktoś kradnie im portfel, a ci mówią „dziękuję”. Inni ich gnoją, a oni proszą o więcej. Wszyscy godzą się na każde upokorzenie, byle tylko uniknąć problemów. Nie zdają sobie sprawy, że najgorszym problemem jest całe ich życie.

– Dlaczego jesteś takim tchórzem, Carlos? – nie wytrzymałem. – Nie potrafisz nawet rzucić kamieniem w okno?

– Nie – odpowiedział Carlos, nie przestając schodzić; aż się za nim kurzyło. – W każdym razie nie po to, żebyś ty się poczuł wielkim chojrakiem.

– Chojrakiem? Ha! Chojrak! Czy ty zdajesz sobie sprawę, w jakim ty kraju żyjesz? Tu codziennie i wszędzie zabijają się ludzie. Włącz sobie, kurde, telewizor. Zamachy, napady, gwałty, porwania. Widzisz tę górę piachu? Tę tu, na której stoimy? Ta kupa ziemi to jedyne, co oddziela nas od hordy nędzarzy czekających tylko, żeby złupić nasze domy. A i tak pewnego dnia to zrobią. Przyjdą całą masą, ukradną ci wszystkie kasety i piłkę do nogi, zgwałcą twoją mamuszkę, a ty palcem nie kiwniesz, pozwolisz im robić swoje, bo nie masz jaj, nawet żeby wstać i rzucić kamieniem. Jesteś żalnym śmieciem! Słyszysz? Jesteś nikiem! Nie potrzebujemy cię!

Nawet się nie odwrócił. Siłą rozpędu schodził coraz szybciej, aż w końcu zmienił się w odległą chmurę kurzu. Kiedy był już prawie na samym dole, spojrzałem na Moco i Beto i zapytałem:

– A wy?

Obaj przez kilka sekund stali prawie w bezruchu, a ja uwierzyłem, że jednak się do mnie przyłączą. Karna odsiadka w szkole i wspinaczka na wzgórzu zajęły prawie całe popołudnie i noc zaczynała farbować chmury na czarno.

– Lepiej chodźmy – stwierdził Beto. – Schodzenie po ciemku może być niebezpieczne.

– Moco, ty też idziesz? – zapytałem.

Próbowałem mówić z godnością, ale moje pytanie musiało zabrzmieć błagalnie. I nie spotkało się nawet z odpowiedzią. Nie patrząc mi w oczy, skupiony na drodze, żeby się nie potknąć, Moco ruszył za Beto. Kiedy doszli do ulicy – dwie kurzowe chmurki – zapaliły się uliczne latarnie.

I wtedy podjąłem decyzję.

Nie że ją zabiję. Do tego było jeszcze daleko.

Nastraszę ją, pomyślałem. Napędzę Pringlinowej stracha. Nawet jeśli będę musiał to zrobić sam. To w sumie nie takie trudne.

Tak pomyślałem.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ta baba zacznie się mnie tak bać, że będzie chciała wysłać mnie jak najdalej od siebie. Na przykład do Iquitos.

## 3. Mój plan

### Moco

Chcę jasno powiedzieć, że to był mój pomysł. Ta napaść na pannę Pringlin. Manu wypowiedział to na głos. Ale mnie wcześniej przyszedł do głowy.

Manu zawsze powtarzał: „To wszystko był mój pomysł”. „Beze mnie jesteście nikim”. „Ja wam powiem, co robić”. Na pewno wszystkim opowiada swoją wersję wydarzeń. W jego historii oczywiście to on jest bohaterem, a my jego służącymi.

To wszystko nieprawda, jasne? Pomysł był mój.

Dlatego to takie ważne, żeby wszystko nagrać. Zostawić zapis. Ustalić oficjalną i ostateczną wersję wydarzeń. I sfilmować, żeby został jakiś ślad. To obowiązek. To odpowiedzialność. To historia Peru.

No więc tak.

Taka jest moja wersja. Tak było naprawdę.

Od początku miałem bardzo ważny udział we wszystkim, co się działo. Może byłem mniej widoczny niż Manu, bo on zawsze bardzo rzucał się w oczy. Ja odegrałem jednak kluczową rolę: beze mnie nic z tego nie byłoby możliwe.

Tak jak z Drew Barrymore w *Krzyku*: pojawia się tylko w pierwszej scenie, ale gdyby jej nie zamordowano, to by po prostu nie było filmu.

Tak jak z Juliette Binoche w *Godzilli*. Pojawia się na może pięć minut, ale bez niej nie ma akcji, nie ma inspiracji, nie ma motywu. To właśnie ja.

Mój twórczy wkład widoczny był już od pierwszej minuty, jeszcze przed pierwszą karą, na lekcji o narządach rozrodczych. Manu o tym nie opowiada. I reszta też woli nie pamiętać. Ale ja to mam zapisane w pamięci. Pamiętam tego fiuta i cipkę narysowane na tablicy. I pannę Pringlin straszącą nas tymi wszystkimi zarazami, wrzodami i infekcjami. I temat lekcji: dwa tysiące medycznych powodów, żeby nigdy nawet nie zbliżyć się do kobiety.

I oczywiście pamiętam, kto wpadł na to pytanie o syfilis: ja.

Tamci o tym nie opowiadali, prawda? Nie, nie opowiadali.

No a tak właśnie było: tu siedział Manu i rysował coś w zeszytce, a tu Beto, który czytał książkę, bo on zawsze coś czytał (nie rozumiem, jaki sens w tym, żeby nie uważać na lekcji po to, żeby czytać książkę, co jest przecież jeszcze gorsze, ale on tak robił). A tu Carlos i on chyba słuchał lekcji. I ja.

Że co ja robiłem?

Marszczyłem fredda, he, he.

Zrozumiałe, jak tak powiem?

No, szarpałem druta.

Nie? To też nie, co? Pewnie nie.

Okej, no, po prostu waliłem konia.

A dlaczego nie? Na lekcji o narządach rozrodczych. W całej klasie wszędzie rozwieszono obrazki z genitaliami. Takiej okazji nie można przegapić.

Jedyne, co mi psuło widok, to panna Pringlin, zasłaniała obrazki tą swoją gadzią mordą. Panna Pringlin. Nasza wychowawczyni. Mówiąc ściśle, nauczycielka WWW: wychowania według wartości.

Pierwszego dnia szkoły przedstawiła się jako nasza „druga matka”. Czysto marketingowa ściema. Była gorsza niż ojczym. Była jak Darth Vader z menopauzą. Jak doktor Octopus z wąsami. Jak Jocker bez uśmiechu. Najgorsze, co dotąd widzieliśmy. Najciemniejsza siła, z jaką mieliśmy się zmierzyć.

Doskonale ją pamiętam z tego dnia z lekcją o narządach rozrodczych. Wciąż ją widzę w koszmarach: stoi nad klasą na podium, z wielkim penisem za plecami, ze skrzeczącym głosem, ubrana jak świętoszka i z nosem wycelowanym w niebo, jakby świat wokoło, a w szczególności my, budził jej obrzydzenie.

No i ja tam pod ławką. Równo daję, he, he.

Zasuвам robótki ręczne.

To nie byle co, walić konia, mając tę babę przed sobą. Przeprowadzenie takiej operacji wymaga wielkiego skupienia. Trzeba było wymazać Pringlinową z krajobrazu, zrobić mentalnego photoshopa i skupić się na tych planszach. Ale ja nie jestem taki głupi, nie? Niech sobie Manu gada, co chce.

Pamiętam nawet, co Pringlin mówiła wtedy na lekcji. Jej dokładne słowa. Mówiła:

– Ciecz, w której przenoszone są plemniki do końca ich podróży, nazywa się nasieniem bądź spermą i wytwarzana jest w jądrach, to znaczy w dolnej i tylnej części męskiego narządu rozrodczego...

Przekład: wytrysk bierze się z jaj.

Drugi przekład: w worku produkuje się spermę.

Dlaczego zawsze trzeba wyrażać się w tak skomplikowany sposób? Tyle jest przecież w języku słów, żeby nazywać rzeczy normalnie... Już dla samego zasadniczego aktu seksualnego mamy przecież całą furę wyrażen: bzykać się – posuwać – dupczyć – pieprzyć – ruchać – jebać – ciupciać – przelecieć, a do tego takie wyrażenia jak „moczyć ogóra” czy „robić bara-bara”. A nawet nie zaczęliśmy wymieniać pozycji: na misjonarza, na pieska, na jeźdźca...

To właśnie nauczycielka od języka nazywała „bogactwem hiszpańszczyzny”.

He, he, nauczycielka od języka. Jakbym jej tak pokazał, co ja tam odstawiałem pod blatem. He, he.

No nic, wracając do naszej historii: w takich warunkach, pośrodku klasy, trzeba naprawdę jakiegoś cudu, żeby normalnie skończyć brandzlowanie. Ale mnie przeciwności tylko napędzają. Utrzymałem koncentrację, robiłem swoje i mimo trudności – ulżyłem se. Taki mały triumfik.

Ale ledwie skończyłem, zaczęły się problemy. Jeden konkretny problem. Białe i kleisty. Z mojej ławki zwisał jak jakiś wisielec potężny bladawy glut, który ciągnął się do samej podłogi jak pasta do zębów, ale bez miętowego posmaku. Żeby się nie rozkojarzać w trakcie, nie otworzyłem żadnego zeszytu ani książki. A teraz mój plecak znajdował się po drugiej stronie gluta, nie było szans, żeby dosięgnąć i nie upaść się własną wydzieliną.

No a przecież facet nie może dotykać czegoś takiego. Nawet własnej produkcji. Ma się jakieś zasady.

– Psst, Manu – szepnąłem do ławki przede mną. – Weź mi podaj jeden z tych swoich bazgrołów.

– Spadaj – odwarknął Manu.

– No weź, daj mi jeden z tych rysunków.

– Bo co, sam nie umiesz rysować?

– Nie chodzi mi o rysunek. Chodzi o... A, nieważne.

Nie będę mu przecież objaśniał, do czego mi to potrzebne. Nie miałem czasu. Poza tym Beto też miał książkę, i to grubą. Przeczytał sporo stron, więc tych już nie potrzebował, nie?

– Psst, Beto. Wyrwij mi jedną stronę z tej swojej książki.

Beto wrócił na ziemię, jakby wcześniej fruwał gdzieś w kosmosie. Siedział w ławce obok, więc nie musiałem mu niczego tłumaczyć. Mój problem rozlewał się na pulpicie w całej swojej okazałości, zwisał z jednego rogu, groźnie, zaraz mógł skapnąć na mój

mundurek szkolny, szary jak nasze życie, więc taka biała plama rzucałaby się w oczy jak chlapnięcie ropą na strój pierwszokomunijny, tylko odwrotnie.

– Boże, co za obrzydliwość! – stęknął Beto.

Boże, tak powiedział. Beto zawsze się tak wyrażał. A jeśli miał przekląć, to zawsze przekręcał: kur... tka na wacie. Spier... papier. Jakby w połowie brał go wstyd. A kiedyś nawet powiedział „O Matko Przenajświętsza”.

Siedzący za Beto Carlos też się obrócił i oczywiście musiał wygłosić swoje zdanie:

– Moco, ty jesteś chory.

– Masz jakiś papier? – błagałem, bo glut zaraz mógł się zerwać.

Carlos był w porządku. Jeśli w naszej paczce był ktoś z grubsza porządny, to właśnie on. Carlos to był facet, który dawał ci odpisać zadanie. Kolega, który pozwalał ci popatrzeć w swoją klasówkę, zanim ją oddał. Gość, który pisał ci karteczki, kiedy byłeś pytany pod tablicą. Prawdziwy kumpel.

Podał mi chusteczkę w samą porę. Jak w *Koszmarze z ulicy Wiązów*, kiedy Freddy zamierza zabić we śnie jakiegoś nastolatka i wtedy ktoś budzi ofiarę, tuż przed tym, jak gilotyna spadnie jej na szyję.

W tej właśnie chwili pojawiło się pytanie.

Bo jeśli mamy to opowiadać, zróbmy to porządnie. Każdy ma swoją rolę, prawda? Jak w filmie. I wydaje mi się, że jak już się tak gapiliśmy na Pringlinową i tę jej koszmarną fotografię syfilisu, ktoś musiał zadać to pytanie. Nie ulegało wątpliwości, że kobieta ukrywa przed nami najważniejsze informacje, jedyny naprawdę istotny fakt.

Dzisiaj sześciolatki gadają między sobą o bzykaniu, a jak mają dziesięć lat, potrafią już zakładać prezerwatywy. No, ale to były inne czasy. Łatwiej było zdobyć bombę wodorową niż kobietę, a nawet jak ci się udało – w sensie: z kobietą – nie było szans, żeby przejść do drugiej połowy meczu i nie zaliczyć spoliczkowania. Żeby móc dotknąć czyjejs piersi, jeszcze rozmiaru cytryny, musiałeś



miesiącami robić za narzeczonego, poznać rodziców dziewczyny i zabierać ją na zabawy.

Choć jeśli miałeś trochę szczęścia i trafiła ci się trochę śmielsza laska, nie jakoś bardzo, tak w sam raz, mogłeś czasem wyzebrać coś wcześniej. Skraść jakąś pieśczętę. Coś bez ryzyka ciąży. Największe szanse po kilku miesiącach miało się na loda.

Niejasne?

No, na obciąganko.

Tak lepiej?

Francuza.

Tak że z punktu widzenia rzeczywistego świata wszystkie informacje podawane przez Pringlinową były bezużyteczne. Tylko jedno potrzebowaliśmy wiedzieć o syfilisie:

– Chłopaki – szepnąłem. – A co, jeśli ci obciąga? No, jak ci loda robi? Można się zarazić syfem przez język?

I wtedy wszyscy zaczęliśmy się chichrać, Pringlin nas zbeształa, a Manu wstał i zapytał o to na głos, i tak dalej.

Ale na samym początku byłem ja, jasne? To mój pomysł.

Manu robił tylko wiele hałasu. Jak zawsze. Tak jak na tym wzgórzu, kiedy zaproponował demolkę domu tej baby. Tak jak przy wszystkim, co wydarzyło się potem.

## Beto

To był pomysł Manu, wiadomo. Żeby przejść się pod mieszkanie Pringlin i wybić jej szyby. Tylko jemu przychodziły do głowy takie rzeczy. Takie śmiałe. Odważne. Niebezpieczne.

Byliśmy tam na wzgórzu we czwórkę, patrząc na to fantasmagoryczne miasto na dole, nie wiedzieliśmy, co robić, a on zaczął się bawić tymi szpilkami i powiedział: „Zamiast tu siedzieć i narzekać, powinniśmy się zemścić”. Wydawał się taki zdeterminowany, gotowy na wszystko, że chciałem mu powiedzieć, że zgoda, że ja pójdę za nim na sam koniec piekła.

No, ale to była głupota. Przecież nie możemy naprawdę zaatakować domu panny Pringlin, nie? Absurd to był. Co to za pomysł? Nie do zrobienia.

...

W każdym razie takie się wydawało.

...

No nie?

## Carlos

Manu był rąbnięty. A ja miałem dość.

„Nastraszymy Pringlinową”, powiedział.

„Wymalujemy jej dom”. „Wiem, gdzie mieszka”. Cholerny psychol.

Od czterdziestu ośmiu godzin wcielaliśmy w życie jego wspaniałe pomysły i wszystko szło nie tak. Dlaczego niby mieliśmy słuchać go dalej? Dlaczego mamy być jego popychadłami? We wszystkich mafiach, z tego, co widziałem dzięki mojej pracy, przegrywają nie grube ryby, tylko płotki. Podwładni idą siedzieć, a szef zostaje na wolności. Nie chciałem czegoś takiego. Nie dla Manu. W każdym razie ja miałem swoje życie i własne plany i nie zamierzałem tracić czasu.

Tego wieczora, choćby padał deszcz i grad, miałem stracić dziewictwo, więc jeśli o mnie chodzi, reszta wszechświata mogła iść się walić.

Wróciłem do domu, wziąłem porządny prysznic i przebrałem się. Musiałem zdążyć wyjść przed pojawieniem się Pringlinowej u nas w domu. Już tam ona opowie moim rodzicom o dzisiejszym poranku i o moim zachowaniu w ogóle. Ale ja tymczasem będę z Pamelą. A potem, myślałem sobie, mogą mnie karać. Mogą mnie zamknąć na resztę życia.

Przekopałem się przez szuflady i szafy w poszukiwaniu odpowiednich ubrań. Przejrzałem całą swoją garderobę przed lustrem. Przez chwilę myślałem, czy by się nie wystroić na elegancko, założyć marynarkę, którą noszę na przyjęcia urodzinowe, beżowy garnitur po tacie, podłatany i dopasowany do mojego rozmiaru. Niestety za bardzo rzucał się w oczy. I był niezbyt

wygodny. Głównym przeznaczeniem mojego ubrania tego wieczora będzie zdjęcie go. Potrzebowałem czegoś łatwiejszego w obsłudze.

Odrzuciłem koszule, bo za długo się je rozpina, i spodnie z materiału, bo się mogą pomiać i mnie zdradzą. Ostatecznie założyłem koszulkę polo i džinsy. Czyli mniej więcej to, co zawsze.

Nie musiałem wymyślać żadnego wytłumaczenia dla mamy. Tak naprawdę to była w tej chwili raczej rozkojarzona. Mógłbym jej powiedzieć, dokąd idę, ale i tak by nie słuchała. Spędziła noc z tatą i rano została sama, pogrążona, jak zwykle, w melancholii. Może się pokłócili, kiedy byłem w szkole. Może mu powiedziała, żeby się wreszcie zdecydował, czy chce z nami być, czy nie, a on odpowiedział jej jednym z tych swoich wywodów: „Pewnie, że chcę, ale tu nie chodzi o chęci”. „Boję się wrócić, bo w ten sposób mógłbym cię skrzywdzić”. Takie klasyczne bzdury. I jak zawsze siedziała teraz w salonie i przeglądała z nostalgią stare albumy ze zdjęciami – z czasów, kiedy stanowiliśmy normalną rodzinę – przeżykając złość i frustrację.

– Mamo, idę się pouczyć do Beto.

– Dobrze – odpowiedziała, przecierając twarz chusteczką i nie podnosząc głowy, w próżnej próbie zamaskowania swojego nastroju. – Nie wracaj późno.

Przytaknąłem, choć tak naprawdę to oznaczało, że mogę wrócić o trzeciej nad ranem. Mama była zbyt pogrążona w myślach, żeby patrzeć na zegarek.

Od jakiegoś już czasu widywałem ją w tym stanie i miałem silne postanowienie, że Pamela nigdy przeze mnie nie będzie płakać. Że nigdy żadnej kobiety nie potraktuję jak tata mamę.

– Nie płacz, mamo – powiedziałem. – Wszystko się ułoży.

– No pewnie, Carlos – odwróciła się do mnie plecami. – Ja nie płaczę. Coś mi do oka wpadło, to wszystko.

W tej chwili poczułem się winny, że ukrywam przed nią prawdę. Już sama siebie przecież oszukuje. Nie potrzeba jej więcej kłamstw.

Powinienem jej opowiedzieć, co się wydarzyło w szkole, zanim zrobi to panna Pringlin.

– Mamo...

– Tak?

Usiadłem obok niej. Objąłem ją. Od wczesnego dzieciństwa zawsze okazywałem jej dużo czułości. A ona mnie. Szukałem odpowiednich słów, żeby opowiedzieć jej o tym, co się stało. Szukałem delikatnych słów na „porno” i te nasze okrzyki pod adresem Pringlin.

Ale kiedy już miałem wszystko powiedzieć, pomyślałem o Pameli. Wyobraziłem ją sobie, jak czeka w umówionym miejscu, patrzy na zegarek, ma poczucie, że ją wystawiłem, czuje się... dokładnie tak jak mama w tej chwili, sama ze smutnymi myślami i dobrymi wspomnieniami, i zastanawia się, co poszło nie tak.

– Bardzo cię kocham – oświadczyłem i ucałowałem ją, a potem wstałem.

Kiedy już byłem w drzwiach, mama pomachała mi ręką.

– Bądź grzeczny – poprosiła.

Skrzyżowałem palce za plecami i odpowiedziałem:

– Postaram się.

# Manu

Te trzy przygłupy rzeczywiście były przygłupie.

„Lepiej odpuścić”, mówili.

„Nie chcemy problemów”, mówili.

Posikali się w majtki chyba. Cykor im dupę ścisnął. Drżeli normalnie.

Na szczęście nie byli mi potrzebni. Mogłem sam się tym zająć. Musiałem nawet.

No i miałem tę zabaweczkę.

Tak. Ojciec wyjechał do Iquitos i zabrał ze sobą nasze szczęście, nasze życie rodzinne i nasze nadzieje... Ale zostawił to, co najważniejsze: swój pistolet.

Browning kaliber 9 milimetrów. Przyjaciele nazywali go „hi-power”. 197 milimetrów długości, 118 lufa. Klasyk broni palnej, urody porównywalnej z coltem 1911, o dwukrotnie większej skuteczności niż mauser. Od samego początku używany przez siły zbrojne pięćdziesięciu krajów. Jeśli mógł wiernie służyć piechocie podczas dwóch wojen, to i mnie się przyda.

Browning to też klasyk w grach wideo. Nawet dziś. Używa go Claire Redfield w *Resident Evil 2*. I sierżant Woods pod koniec angolskiej misji w *Call of Duty: Black Ops II*. Browning to broń odważnych.

Znalazłem go, grzebiąc w pudłach ojca, po które nigdy się nie zgłosił i które piętrzyły się w garażu, pełne papierzysk i kurzu. Odtąd trzymałem broń pod materacem, obok pocztówek bożonarodzeniowych i zdjęcia ojca z defilady z 28 lipca w mundurze polowym. Czasami podnosiłem materac, żeby sobie popatrzeć na zdjęcie. Kiedy indziej oglądałem browninga. Ewentualnie wyciągałem pocztówki i czytałem ich zakończenia: „Zachowuj się

dobrze, żebym mógł być z ciebie dumny”. Tylko te słowa – no i browning – przypominały mi, że mam ojca.

Tym razem od razu sięgnąłem po pistolet.

Natomiast chciałbym jasno powiedzieć, że nie miałem zamiaru go używać, co nie? W każdym razie z niego strzelać. Mogłem go wykorzystać jako tępe narzędzie, żeby rozbić jakąś rzecz albo komuś głowę. Albo jako straszaka, żeby zneutralizować przeciwnika, nie robiąc mu krzywdy. Pistoletów nie używa się tylko po to, by strzelać. Tego mnie nauczył ojciec. I to jest fundamentalna życiowa lekcja.

Przede wszystkim miałem ochotę pochodzić sobie z tym browningiem, stary. Kusiło mnie, żeby tak iść ulicą z bronią za paskiem na plecach, jak nocni strażnicy. I nie miałem lepszej okazji niż ta. Z pewnością lepiej trzymać coś takiego w ręku, niż żeby ci ktoś tym mierzył w twarz.

Matki nie było w domu. Zostawiła trochę lasagne w piekarniku i kartkę. Miała wrócić późno. Dużo pracy. Jak zawsze. Dużo pracy albo mało chęci, żeby się ze mną użerać.

Zamknąłem się w pokoju, podniosłem materac i wydobyłem swój skarb. Browning był trochę przykurzony, bo nieużywany. Przeczyściłem go irchową ściereczką do okularów mojej matki. Załadowałem, a potem rozładowałem. Zabezpieczyłem. Wymierzyłem w lustro i przejrzałem się w nim. Fajnie wyglądałem z takim legendarnym gnatem w ręku.

– Zobaczysz, tato – powiedziałem głośno. – Będiesz ze mnie dumny. I będziemy razem.

## Moco

Nagle wszystko zaczęło dziać się strasznie szybko.

Jak w *Adwokacie diabła*, kiedy chmury zasuwają po niebie z prędkością Formuły 1, a noc zapada i przemija w ułamku sekundy.

Albo jak na jakimkolwiek filmie, kiedy pojawia się napis „Dwadzieścia lat później” i w trzy sekundy przelatują dwie dekady.

Taki to był dzień. Zaczął się normalnie. Ale pod koniec wydarzyło się już zbyt wiele. Więcej niż przez dwa następne dziesięciolecia. Więcej niż przez resztę mojego życia.

Zmierzchało już, gdy zszedłem ze wzgórza Las Casuarinas i zostawiłem kolegów. Byłem brudny, spocony, całe ciało miałem oblepione piaskiem. Marzyłem tylko o prysznicu. I o łóżku. I dobrym filmie, żeby się zrelaksować. Może *Te blondynki łykną wszystko*. Miałem akurat obsesję na punkcie tego tytułu.

Ale na swój sposób w moim domu już rozgrywał się film: horror.

Wyczułem to od razu po otwarciu drzwi. Coś w powietrzu. Wcale nie chodzi mi o zapach. Raczej o atmosferę. Jakby w powietrzu unosiła się siarka. Potem do moich uszu dobiegły głosy. W moim domu nigdy nie było słyhać żadnych głosów. A tym razem jeden z nich brzmiał znajomo, jak głos Leksa Luthora albo Zielonego Goblina. Oto koszmarna postać wreszcie zmaterializowała się w moim życiu.

Panna Pringlin i mój stary. Siedzą sobie twarzą w twarz.

On zwykle nie otwierał drzwi. Nawet nie wychodził z pokoju. No i oczywiście akurat dzisiaj postanowił być miły. I przyjmować gości. Jedyny taki dzień.

– Cieszę się, że pana widzę, Risueño – przywitała mnie bez cienia radości nauczycielka. – Właśnie zaczynaliśmy z pańskim ojcem



rozmowę na pański temat. Jako że ewidentnie nie przekazuje pan mi wiadomości ode mnie, postanowiłam przedstawić je osobiście.

Widok tej dwójki miał w sobie coś dziwnego, niespójnego, jakby doszło do jakiegoś błędu w ciągłości przestrzeni. Nauczycielka siedziała sztywna jak trup, wpijając dłonie w swoją torebkę, można by pomyśleć, że ktoś jej chce ją ukraść. A ojciec chyba starał się zrobić jak najgorsze wrażenie, rozwalony na fotelu pośrodku cmentarzyska pustych flaszek.

Popatrzyłem na jedno i na drugie, licząc, że któreś jednak zniknie. Jakby można było przełączyć kanał rzeczywistości.

Ojciec niezgrabnie dźwignął głowę. Chwilę mu zajęło, zanim mnie namierzył za pomocą tego, co zostało z jego oczu pod sporą opuchlizną. I zamiast się przywitać, zapytał:

– Co to za kobita, synu?

– Tato, przedstawiam ci pannę Pringlin. Panno Pringlin, przedstawiam...

– Wiem, kim on jest – przerwała mi.

Panna Pringlin miała na twarzy naturalny grymas nieustającej pogardy. Ale stan mojego mieszkania jeszcze pogorszył sprawę. Bez wątpienia higiena w salonie wzorcowa nie była. A mojego starego jeszcze gorsza. Intensywna woń alkoholu nawet nie tyle zionęła z butelek. Nasączyła meble, ściany i żółtą skórę jedynej dorosłej osoby odpowiedzialnej za ten dom.

Podajrzewam, że fakt, że nazwał ją „kobitą”, nie polepszył ogólnego wrażenia. Zastanawiałem się nad jakimś sposobem, by poprawić, a w każdym razie załagodzić ten kiepski początek. Może powinienem jej zaproponować kawę albo szklanekę wody. Ale nie dałem rady. Byłem jak sparaliżowany. Moje ciało przypominało zatrzymany kadr.

Tak czy inaczej Pringlinowa się nie certoliła. Nie przejmując się formalnościami, przeszła do rzeczy:

– Panie Risueño, jestem bardzo zaniepokojona kierunkiem, w jakim zmierza pański syn.

- ...

Mój stary przynajmniej nie odpowiadał. Najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić, było milczenie.

- Jego zachowanie robi się coraz agresywniejsze - ciągnęła Pringlin. - Oceny coraz gorsze. Wyraźnie przestaje interesować się nauką. A dziś, panie Risueño, odkryłam nowy i jeszcze poważniejszy powód do zmartwień.

Otworzyła torebkę i wyjęła *Marynarzy na wakacjach III*. Rzuciłem okiem na kasetę, żeby spróbować oszacować, ile zobaczyła. Kasetka wciąż była w pudełku. Ale szybko wyszło, że widziała wystarczająco dużo.

- Ten film, panie Risueño, nie jest po prostu nieprzyzwoity. To jest film wbrew naturze, chory. To rak toczący moralność naszych uczniów.

Zapadnięty w fotel, mój stary próbował skupiać uwagę na jej słowach. Sprawiał jednak wrażenie, jakby zupełnie mu umykały, jakby przemawiała do niego w nieznanym języku. Natomiast panna Pringlin nie zamierzała się poddawać.

- Formalnie rzecz biorąc, panie Risueño, to nawet nie jest szkolne wykroczenie: to atak na wszystko, co nasza szkoła sobą reprezentuje. Więcej nawet: to przestępstwo. Pański syn kupuje na czarnym rynku takie rzeczy dla swoich kolegów i skłania ich do nienormalnych zachowań.

Czarny rynek. Nie zastanawiałem się nad tym, ale pewnie miała rację. Import od dawna był zakazany. Nawet majtki lepszej marki mogły być nielegalne.

- Ja nie mam z tym filmem nic wspólnego! - zaprotestowałem. - Dlaczego wszystko zwala pani na mnie? Czy to w moim plecaku pani go znalazła?

Tak. Wystawiałem Beto. Ale teraz żaden z nas nie miał czasu na struganie bohatera. Moje nowe hasło brzmiało: „Ratuj się, kto może”.

Panna Pringlin spodziewała się mojej reakcji. Nie fatygując się odpowiedzią, wyjęła kasetę z pudełka, a razem z nią karteczkę, nierówno wyrwaną stroną z zeszytu, którą rozwinęła i przeczytała na głos, choć nie było to potrzebne, doskonale pamiętałem, co tam napisałem:

– „Beto, jakbyś chciał jakiś inny film, daj znać. Ile byś fiutów nie zechciał. Przyjemnego!!! Moco”. – I triumfalnie dodała: – Czy to nie tak wołają na pana koledzy? Domyślam się, że tak, bo poznaję pańskie pismo.

Rozejrzałem się za jakimś meblem. Pierwsze, co zobaczyłem, to kanapa, więc się na nią rzuciłem. Jakbym miał jakąś benzynę pod ręką, doszłoby do samozapłonu. Wymamrotałem:

– Tato, to nie tak...

Tata wciąż patrzył na nas półprzytomnym spojrzeniem, jakby nie rozumiał, co tu się rozgrywa na tym spowolnionym filmie. Zaczął się rozglądać dookoła. Zrozumiałem, że szuka jakiejś butelki, która nie będzie pusta. Wstał i zrobił ruch, jakby kierował się do kuchni.

– Panie Risueño! – Nasz gość podniósł głos. – Nie jestem pewna, czy pan rozumie, jak poważne oskarżenia ciążą na pańskim synu.

Zatrzymał się, żeby jej posłuchać. Nie był w stanie pohamować drżenia, nawet nie próbował. Kiedy już złapał równowagę, powiedział:

– Proszę pani... Jak się pani nazywa? Pingwin?

– Pringlin, proszę pana.

– Panno Pringlin, czy pani wie, co to znaczy cierpieć?

Narzekania mojego ojca zawsze dochodziły do tego uroczystego momentu. Jakby jego udręki stanowiły rezultat kosmicznego spisku wymierzonego w jego osobę, który on znosił z godnością. Nie miał zbyt wielu okazji, by obnosić się publicznie ze swoimi problemami, ale teraz, patrząc, jak to robi, pomyślałem, że czerpie z tego przyjemność. Najwyraźniej to był jego ostatni sposób na nawiązywanie kontaktów.

– Mam wrażenie, że oddalamy się od tematu, panie Risueño.

Nauczycielka wczepiła się w torebkę, jakby to była jakaś broń, wbijała paznokcie w skórę.

– Nie ma pani, kurwa, pojęcia, co to znaczy cierpieć. – Mój stary podniósł głos, stał się nagle opryskliwy.

By podkreślić swoje słowa, chciał się gwałtownie odwrócić, ale jego stan go zdradził i zryw przypominał bardziej wpadnięcie w poślizg. Mimo to mówił dalej:

– Nie ma pani pojęcia, co to znaczy wegetować tak jak my, rzućni poza margines życia. Pani nie rozumie innych. Przychodzi pani, osądza i szczeka tymi swoimi niemalowanymi ustami, ale ludzi pani nie słucha. Pewnie od lat z nikim nie poszła pani do łóżka. Wie pani, jaka pani jest? Oziębła.

– Tato, nie trzeba...

– Umiem bronić się sama, młody człowieku.

Panna Pringlin wypowiedziała te słowa z zawodowym chłodem. Jeśli ta scena budziła jej strach albo przynajmniej zaskoczenie, po jej twarzy niczego nie było widać. Zachowywała swój zwyczajowy obojętny grymas, znamionujący żelazną wolę rozwiązywania cudzych problemów. Podczas gdy mój staruszek otwierał barek i wyciągał z niego butelkę rumu Pampero, ona oświadczyła:

– Panie Risueño, chciałabym zwrócić uwagę, że to nie jest właściwe środowisko dla wychowania dziecka. Ma pan jakąś rodzinę?

Pierwszą odpowiedzią starego były doskonale znane mi dźwięki: kliknięcie otwieranej butelki, brzęk szklanki, dzwonienie lodu, bulgotanie wylewanego na kostki płynu. Pociągnął łyk, posmakował go z zamkniętymi oczami i w końcu zapytał:

– Napije się pani?

Panna Pringlin odpowiedziała, jakby nie słuchając tego, co mówi:

– Poczytałam pewne ustalenia, panie Risueño. Rozumiem, że pański syn ma dwie ciotki ze strony matki.

– Dwie żmije – burknął tato.

I miał rację, bez dwóch zdań moje ciotki to były dwie zasuszone małpy, ale to chyba nie był dobry moment na takie deklaracje. Pringlinowa uznała to za potwierdzenie swoich informacji i wyjaśniła:

– Te panie kilkakrotnie pojawiały się w naszej szkole, by wyrazić zaniepokojenie sytuacją chłopca. Twierdzą, że nie mogą go odwiedzać i nie wiedzą, co się z nim dzieje.

Tym razem poczułem się w obowiązku odezwać:

– Niczego nie wiedzą, bo ja nie chcę się z nimi widzieć!

Zupełnie jakbym mówił zza ściany. Albo z głową w muszli klozetowej. Nikt nawet nie mnie nie spojrział. Słowa nieletnich zawsze tylko wpadają do świata dorosłych, odbijają się echem i wracają do tych, co je wypowiedzieli.

– Pozwalam sobie zasugerować, panie Risueño, by poddał się pan terapii odwykowej. Nie tylko ze względu na syna, także dla samego siebie. Podczas jej trwania może pan oddać syna pod opiekę ciotek. Zgodzi się pan chyba, że chłopiec zasługuje na lepsze otoczenie niż to.

Błąd. Poważny błąd. Widziałem, co się święci, ale niczego już nie mogłem zrobić. Tata był głuchy na prawie wszystkie bodźce ze świata. Mógłby udawać, że nie usłyszał alarmu bombowego. Ale ze wszystkich rzeczy tylko jednej nie znosił, a mianowicie przypominania mu o tym kosmicznym spisku, który wziął na celownik jego los. Cicho, jeszcze wciąż przetrawiając tę informację, tata wymamrotał:

– Przychodzi mi pani odebrać syna?

– Nie, panie Risueño – odparła z pewnością kogoś, kto nie potrafi wczuć się w sytuację innej osoby. – Przyszłam tu pomóc pańskiemu synowi. Ale by to osiągnąć, będę musiała donieść na pana władzom szkoły, kościelnym, a nawet policji, jestem na to gotowa.

– Przyszła pani zabrać mi syna!

Tym razem wypowiedział to głośno i powtórzył jeszcze raz, jeszcze głośniej. A potem zaczął tę swoją przemowę o tym, jak stracił żonę i jak to mnie będzie bronił zębami i pazurami. I pokazał jej paznokcie. I zęby. I dalej obrażał pannę Pringlin, nazywając ją złodziejką i mendą, i jeszcze gorzej. Wrzasnął na nią:

– Suka!

Nienawidzę tego wspominać. Tamtej chwili. Staralem się chronić tatę. Chować go, dla jego dobra. I teraz wszystko to waliło się na moich oczach, jak w *Porcie lotniczym* czy *Trzęsieniu ziemi*.

Kiedy zrozumiała, że nie ma szans na taką rozmowę, na jaką liczyła, nauczycielka wstała z miejsca. Nawet nie podniosła głosu.

Mnie ciekły łzy po twarzy. Nie ze smutku, tylko z nowej dla mnie mieszanki gniewu, wstydu i strachu. Nie miałem odwagi włączyć się w tę scenę. To, co tam nastąpiło, było jak czołowe zderzenie pociągów. Pchać się w to oznaczałoby tylko przedłużać listę ofiar.

Zanim Pringlinowa wyszła, ojciec podszedł do niej, żeby drzeć się na nią z mniejszej odległości, i przez chwilę myślałem, że ją pchnie albo uderzy. Nawet wtedy na twarzy nauczycielki nie pojawiła się oznaka strachu. Nie zdradzała żadnych uczuć. Jej pożegnanie, już w progu, stanowiło tak naprawdę tylko zapowiedź dalszych działań:

– Niebawem będzie pan miał ode mnie wieści, panie Risueño. Ode mnie i od naszego systemu edukacyjnego. Szczerze polecam, by wcześniej zastanowił się pan dobrze nad swoim postępowaniem i zmienił nawyki. Tak będzie lepiej dla pańskiego syna i dla pana.

Zatrzasnęła drzwi tak mocno, że w salonie zadzwoniły butelki.

Żadna jednak się nie stłukła.

To nie butelki ucierpiały tego wieczora.

## Beto

– Była u ciebie w domu Pringlin?

– Nie.

– Przyjdzie.

Głos Moco w telefonie brzmiał chropawo i był zdławiony. Jakby strunami głosowymi przeszurał o ziemię.

– Obejrzała ten film – powiedział.

– Cholera.

– I widziała się z moim starym.

– Cholera.

– Mówi, że nas rozdzieli. I ja jej wierzę. Ona nienawidzi ojców.

– Uch, z moim to by mnie mogła rozdzielić...

– Nie słyszałeś? Widziała, co to za film.

Nie słuchałem. Nie chciałem słuchać. Starłem się myśleć o czymś innym. Na przykład o słońcu zachodzącym w oddali, o ostatnich gasnących smugach światła. Ale musiałem zmierzyć się z rzeczywistością.

– Czyli ze mną nie będzie musiała się kłopotać. Ojciec wyrzuci mnie przez okno.

– Coś musimy zrobić, Beto.

– Ja na razie muszę się po prostu przyznać.

W telefonie, w tle, usłyszałem głos ojca Moco. I dźwięki czegoś spadającego albo rzucanego. Szklanki. Krzesła. Różne rzeczy.

– Muszę kończyć – powiedział Moco.

– Jasne.

– Beto...

– No?

– Jakbyś miał jakieś problemy, zawsze możesz do mnie przyjść, okej?

– Dzięki. Chciałbym odpowiedzieć tym samym, ale to nie byłby zbyt dobry pomysł.

– Możesz na mnie liczyć.

– A ty na mnie.

Rozłączyliśmy się. Nadchodziła chwila prawdy. Wolałbym, żeby nie nadeszła nigdy, ale teraz będzie trzeba się z nią zmierzyć. I zważywszy na odległość między moim domem a domem Moco, miałem najwyżej pół godziny, żeby coś zdziałać. Albo Pringlinowa mnie uprzedzi.

Ojciec bawił się w salonie z moją siostrzyczką. Schodząc na dół, słyszałem ich śmiechy. Potrafił okazywać czułość. Jeśli chodzi o rodzinę, umiał zachowywać się szarmancko i serdecznie. Był z nas dumny i gotów był poćwiartować każdego, kto by nam chciał zaszkodzić. Mnie też. Próbowałem sobie przypomnieć jakieś książki ze scenami trudnych rozmów. Nic mi nie przyszło do głowy, a może po prostu żadnej takiej nie dano nam jeszcze do czytania.

– Tato, możemy pogadać?

– Pewnie, mistrzu! Dołącz do nas!

Siostrzyczka siedziała mu na plecach jak na koniu, a on udawał, że zaraz pożre całą bandę pluszaków. Domyślałem się, że ci „my” to ludzie, w odróżnieniu od zabawek.

– To znaczy... sam na sam.

– Co to znaczy „samnasam”? – zapytała moja siostra.

Ojciec się zatrzymał. Najpierw spojrział na mnie z zaciekawionym, potem porozumiewawczo.

– Sam na sam to znaczy, że tylko my dwaj, koteczku. Idź do swojego pokoju i powiedz mamie, żeby cię wykąpała. Zaraz przyjdę.

– Ale ja chcę się jeszcze bawić!

Zerknąłem na zegarek. Jeśli panna Pringlin zmierza prosto z domu Moco, mogła się zbliżyć do alei Benavides. Istniało ryzyko, że jest już



na wysokości stacji benzynowej.

– Idź, idź, Marcia. Bądź grzeczna, to dam ci na lody.

Tak przekupiona, moja siostra zsiadła z wierzchowca i popędziła schodami na górę. Ojciec sapnął i wstając, złapał się ręką za biodro:

– Jestem już na to za stary – uśmiechnął się z udręką. – Co mi miałeś do powiedzenia?

Zastanawiałem się, jak to ująć. Ojciec zapalił papierosa. Teraz to wszystko wydaje się takie dalekie, ale to był rok 1992. Dla takich ludzi jak tata szczęście polegało na paleniu w domu i unikaniu rozmów o wstydliwych rzeczach.

– Tato...

– Uhm?

– Poznałeś kiedyś... no... miałeś kiedyś styczność z homoseksualistą?

– Pewnie, Beto. Niejednemu solidnie przywaliłem.

Powiedział to zupełnie swobodnie. Jakby zwierzał się z jakiegoś chłopięcego łobuzerstwa. Bo też w sumie to było dokładnie coś takiego.

– Ty... co?

– Już od dawna nie robię takich rzeczy – zaśmiał się, bagatelizując sprawę, jakby się obawiał, że zaproponuję mu wspólną wyprawę na gejów. – To było na studiach. Czasami szliśmy z kumplami na aleję Arequipa, wiesz, rozglądaliśmy się za dziewczynami na noc. Wszyscy mieliśmy narzeczone, ale nie sypialiśmy z nimi, bo to były porządne dziewczyny. No, ale facet ma przecież potrzeby, nie? Tak że jak się miało trochę kasy, to mogliśmy sobie ulżyć, nie uchybiając w niczym naszym przyszłym żonom, i wszyscy zadowoleni.

Mrugnął do mnie okiem. Ja odpowiedziałem tym samym, starając się, żeby mój uśmiech nie wyglądał na grymas obrzydzenia. On mówił dalej:

– Ale czasami na rogach ulic spotykało się pedałów. I nie myśl sobie, że tak łatwo było ich odróżnić od kobiet. Bardzo wymalowani,

wypacykowani. Nieraz się zdarzało, że zgarnialiśmy panienkę, a tu się okazywało, że niespodzianka. A to już jest oszustwo, synu. Nie biliśmy ich za pedalstwo, tylko za oszustwo właśnie.

– No tak.

– Jednemu to nawet chyba złamaliśmy rękę. No, ale nie było wyjścia, nie?

– Uhm.

– Chcesz se być ciotą – wolna droga. Ale siedź w domu i nie przeszkadzaj innym. Nie jest tak?

– Jasne.

Spojrzałem znów na zegarek. Panna Pringlin musiała już minąć Benavides. Można było mieć nadzieję, że obcasy i ruch uliczny trochę ją spowolnią, ale nie za bardzo.

– Dlaczego mnie o to pytasz, synu?

– Bo... bo w szkole... jest... jeden taki.

– Aha.

Ojciec zastanowił się nad tym, co usłyszał. Tak naprawdę to nawet on musiał chyba wiedzieć, że szkolny gej, kimkolwiek by był, raczej nie handlował swoim ciałem na rogu ulicy w centrum Limy.

– No cóż... – zmienił ton. – Nie ma wcale konieczności, żebyś go bił. Zostaw biedaka w spokoju.

– Biedaka – powtórzyłem, pierwszy raz się zgadzaliśmy.

– Wiesz, że to jest choroba? Ale są psychologowie, co to leczą. Ten chłopak jeszcze może być normalny. Ty się za bardzo do niego nie zbliżaj, ale nic mu nie mów, dobra, mistrzu? Nie mieszaj się w to.

– Postaram się.

Pewnie wyczuł, że udzielił trochę zbyt łagodnej odpowiedzi, bo szybko dodał:

– No, ale jakby cię tknął, masz go zatłuc. Jasne?

– Tak, tato.

W salonie zapadła niezręczna cisza. Nawet taki gruboskórny typ jak ojciec mógł wyczuć, że coś jest nie tak.

– To wszystko? – zapytał. – Masz coś jeszcze?

– No... tak...

Panna Pringlin musiała już iść naszą ulicą. Pewnie była gdzieś na początku. Mogło jej zostać jeszcze najwyżej sześćset metrów. Prawie czułem, jak jej obcasy wwiercają mi się w skronie.

– A może byśmy zjedli na mieście dziś wieczorem? Nie masz ochoty na pizzę?

Tata odetchnął głęboko. Pewnie mu ulżyło, że nie musi już rozmawiać ze mną o takich sprawach. Lepiej się trzymać od tego z daleka, od tego i od wszystkiego, co nie jest normalnym, heteroseksualnym, atletycznym i wyczynowym seksem, jak Pan Bóg przykazał.

– Ty to miewasz dobre pomysły, synu. Leć po matkę i siostrę. Zamówimy sobie pizzę z tonami papryczki!

## Carlos

W Limie słońce szybko zachodzi. Kiedy dni są krótkie, zmierzcha koło szóstej. O siódmej panuje już ciemna noc.

Szedłem do McRonalda, dreszcze przebiegały mi po plecach. Czułem się winny, że zostawiłem mamę sam na sam z jej smutkami. Nie chciałem okazać się złym synem, tak jak mój tata był złym ojcem. No, ale sprawy toczyły się dalej.

A kiedy Pringlinowa porozmawia z mamą, będę miał mnóstwo czasu, żeby siedzieć z nią w domu, bo dostanę szlaban do końca życia i będę płacił za swoje grzechy.

Nocni strażnicy zaczęli już swój dyżur i paranoicznie wydawało mi się, że mnie śledzą. Cały dzień robiłem złe rzeczy i zamierzałem robić je dalej, a oni tu łazili po ulicach i patrzyli na wszystko. Co jakiś czas dmuchali w swoje gwizdki, bardziej z nudów niż rzeczywistej potrzeby. I za każdym razem, kiedy rozlegał się taki gwizd, zastygłem na środku ulicy i czułem się, jakbym został przyłapany. Kiedy w końcu dotarłem do lokalu z hamburgerami, byłem cały spocony z przejęcia. Bałem się, że przez ten pot będę śmierdział.

Ruszyłem prosto do sekcji z zabawkami dla dzieci, na drugim piętrze, nie witając się z Pamelą i starając się pozostać niezauważonym. O tej porze żadne dzieci już się tam nie bawiły. Na górze siedziało jeszcze kilka par nastolatków, takich jak my, potrzebujących dyskretnego miejsca, żeby potrzymać się za rękę. Teraz wszyscy oni wydawali mi się bandą nieudaczników, którzy obsliniają się mdlawo i topią swoje pożądanie w szklankach z inca kolą, podczas gdy ja kroczyłem dyskretnie w stronę jaskrawych urządzeń Sali zabaw.

Salka zabaw składała się z sieci tuneli i zjeżdżalni, które kończyły się w basenie z plastikowymi kulkami. Przedostałem się przez najniższy tunel i zanurzyłem w kulkach, tak że tylko twarz miałem na zewnątrz, żeby móc oddychać i w razie czego całkowicie się schować. I czekałem.

W tamtym czasie wszystko w mieście zamykano bardzo wcześnie. Życie zatrzaśniało drzwi przy pierwszej okazji. O wpół do dziesiątej, kiedy gwar klientów całkowicie już ustał, światła zgasły z metalicznym odgłosem. Paliło się tylko kilka bocznych lamp, wystarczających, żeby oświetlić drogę. Wstrzymywałem oddech. Serce łomotało mi jak strażacka pompa.

Na schodach rozległ się delikatny odgłos zbliżających się do mnie kroków.

– Carlos? Carlos? Jesteś tu?

Muzyka dla moich uszu.

Odczekałem, aż Pamela podejdzie do kulkowego basenu, i wtedy poderwałem się, żeby ją złapać. Objąłem ją i wciągnąłem do tego bajkowego świata. Kiedy się ruszaliśmy, kulki układały się wokół naszych ciał w wielokolorowe kształty.

– A twój wujek? – zapytałem w jakiejś chwili, kiedy nasze usta były wolne, a moje ręce wędrowały po jej pępku.

– Pozwolił mi zostać, dopóki mama po mnie nie przyjdzie. Mamy godzinę.

– Ja bym z tobą mógł zostać całą noc... i ciągle cię całować.

– No to zamknij się i całuj.

Po całym dniu pracy Pamela pachniała smażonym kurczakiem. Ale w stanie mojego podniecenia wydawało się to raczej Chanel N°5. Rozpiąłem jej fartuszek, torując sobie drogę do różowego staniczka z wstążeczką, pod którym kryły się jej piersi. Trochę się zakałapuśkałem z rozpinaniem go, ale kiedy mi się już udało, zacząłem delikatnie całować te dwie wypukłości. Miały rozmiar dwóch pomarańczy. Ona zdjęła mi koszulkę i symetrycznie

odpowiadała na moje pieszczoty. Wsunąłem jej dłoń w majtki i natknąłem się na wilgotne i ciepłe krocze. Spodnie o mało mi nie pękły. I wtedy, tak dla pewności tylko, lekko zwolniłem.

– Naprawdę chcesz?

Za całą odpowiedź wsunęła mi język w usta. Reszta potoczyła się sama. Może i byliśmy chwilami nieco niezręczni, ale wszystko szło naturalnie. Nie mieliśmy gumek i potrzebowałem jej pomocy, ręką pomogła mi trafić. Ale oprócz tego wszystko było łatwiejsze i dużo lepsze niż w najlepszych marzeniach. Długo nie wytrzymałem, ale to nie był problem, bo nie miała mnie z kim porównać.

Kiedy skończyliśmy, leżeliśmy w tych kulkach przytuleni i bez słowa, pozwalając, by czas powoli opływał nasze rozluźnione i zrelaksowane ciała. Bałem się zapytać, czy się jej podobało. A jeśli powie, że nie? Poszukałem więc innego tematu do rozmowy.

– Jak wrócę do domu, czeka mnie najgorsza kara w życiu.

Pamela zareagowała dopiero po chwili. Byliśmy bardzo powolni, oboje. Przez moment wydawało mi się, że mnie nie usłyszała albo że zasnęła. W końcu odpowiedziała:

– Masz szczęście. Dla mnie całe życie to jedna wielka kara.

Stara zabawa w „moje życie jest gorsze niż twoje”. Umiałem w to grać. I bywałem góram.

– No, ja też jakoś super nie mam. Mój tata wyprowadza się od nas, ale ciągle jakoś nie może tego ostatecznie zrobić.

– Zazdroszczę. Ja nie mam taty.

No cóż, może tym razem nie wygram.

– Odszedł?

– Umarł. Cztery lata temu. To był koszmar. Był zabawny, inteligentny, artysta. I nagle z dnia na dzień go nie ma. Wszędzie tylko krew, jak plamy ropy.

– A twoja mama?

– Moja matka to okropna wiedźma. Kiedyś była w porządku. Ale ta historia z ojcem ją zmieniła. I odtąd już nie jest taka jak przedtem.

– Nie może być aż taka zła.

A jednak mogła.

I miałem się o tym za moment przekonać.

Gdyby mnie ktoś zapytał, co teraz może się zdarzyć najgorszego, jak można zrujnować tę doskonałą chwilę tak, by ten dzień znów stał się gówniany jak na samym początku, jak to wszystko zepsuć – gdyby ktoś mi zadał te wszystkie pytania, nie wpadłbym na to, co zaraz miało nadejść.

A nadeszło wraz ze światłem.

Nagle wszystkie lampy w McRonaldzie zapaliły się jednocześnie. Jasność zalała salę zabaw jak tsunami. A od schodów dobiegł nas głos. Ostatni głos, jaki spodziewałbym się tu usłyszeć. Wycie hieny.

– Co tu się wyprawia?

– Mama? – odezwała się Pamela.

– Panna Pringlin? – odezwałem się ja.

Nasze głowy wynurzyły się z kulkowego basenu i spojrzeliśmy na rzeczywistość wypraną z kolorów.

Tuż przy schodach, z jedną dłonią na włączniku światła, a drugą zaciśniętą na torebce, na tych swoich wysokich obcasach i w zimnym świetle neonówek, panna Pringlin miała w sobie coś z horroru. A może to po prostu wrażenie przy spotkaniu z nią w tym miejscu, zawsze tam, gdzie coś można zniszczyć.

– Pamelo, wyjdź stamtąd natychmiast.

– Mamo... – Próbowała się bronić.

– „Mamo”? – Wpadłem w przerażenie.

Panna Pringlin. Tak się do niej wszyscy zwracali. Nikt nie sprawdził, czy naprawdę jest panną. Po prostu nikomu do głowy nie przyszło, że mogłaby z kimś być ani że jest zdolna do jakichś uczuć.

– Powiedziałam, żebyś stamtąd wyszła i to na-tych-miast – powtórzyła, nie podnosząc głosu, z takim samym chłodem, z jakim rozdawała sprawdziany na lekcji.

– Mamo, miałaś przyjść później! – pisnęła bezsilnie Pamela, jakby winę za tę nieprzyjemną chwilę chciała zrzucić na matkę.

– Uciekło mi kilka szczurów. Ale jednego chyba znalazłam – stwierdziła mrocznie panna Pringlin.

Pamela zaczęła coś mamrotać. Zabrzmiało to jak próba powiedzenia: „To nie to, co myślisz, mogę wszystko wyjaśnić”. Ale pewnie zorientowała się, że ma majtki w połowie ud, rozpięty fartuch i piersi na wierzchu. Wtedy urwała zdanie.

– Ubierz się, Pamelu – rozkazała panna Pringlin.

Do tej chwili tkwiłem bez słowa w rogu basenu, żywiąc absurdalną nadzieję, że nauczycielka zapomni o mnie, będzie tak wściekła na córkę, że odpuści jej towarzysowi. Udało mi się przesunąć do krawędzi i stanąć tak, że zjeżdżalnia zasłaniała mi twarz. Idiotycznie liczyłem sekundy w nadziei, że jakoś się wywinę.

– A pan – nauczycielka urwała moje złudzenia – niech podniesie głowę.

Wyprostowałem się automatycznie, niemal odruchowo. Jednak to nie na moją twarz w pierwszej kolejności spojrzała Pringlinowa:

– Proszę podciągnąć spodnie i założyć koszulę.

Zarumieniona i przybita Pamela kończyła się już ubierać i wyszła z basenu, nie patrząc na mnie. Sam w otoczeniu kolorowych kulek poczułem się nagle jak podejrzany, którego obserwują na komisariacie przez weneckie lustro.

– To jakaś forma zemsty, panie Castillo?

Próbowałem zapiąć sobie pasek, ale drżały mi ręce.

– Nie, panno Pringlin.

Wciąż tak się do niej zwracałem. Nie tak łatwo zrezygnować ze wszystkich pewników w dwie sekundy, zwłaszcza jeśli musisz się w tym czasie ubierać, stojąc przed grożącą ci kobietą. Pamela próbowała się odezwać.

– Ona cię u...?

– Cicho bądź – zgasiła ją matka. – I złaż na dół.



– Ale, mammo...

– Powiedziałam, że masz zejść! Potem pogadamy.

Pamela zeszła schodami, zupełnie jak krewni skazańca, którzy nie chcą patrzeć na egzekucję. Bez słowa skończyłem się ubierać. Wszystko, co powiem, może zostać użyte przeciwko mnie. Pringlinowa, mając mnie już przed sobą w kompletnym ubraniu, spojrzała mi w oczy:

– Razem ze swoimi kolegami osiągnęliście dziś taki poziom nieposłuszeństwa, że to zaczyna się ocierać o młodocianą przestępczość.

– Panno Pringlin...

– Proszę zamilknąć, panie Castillo. Nie ma pan już nic do powiedzenia. Dziś poszłam do pańskiego domu i nikt mi nie otworzył. Jednak jutro z samego rana ma się pan stawić w szkole z rodzicami. Proszę im przekazać, że to nie potrwa długo. Będą tylko musieli podpisać pańskie wydalenie ze szkoły.

– Dobrze, proszę pani.

Z dołu dobiegło nas chlupanie Pameli. Panna Pringlin dalej dyktowała wyrok:

– Robiłam, co w mojej mocy, żeby pana naprostować i zdyscyplinować, Castillo, pana i pańskich kolegów. Chciałam, żebyście się społecznie zintegrowali i zaadaptowali w grupie. Ale skoro upieracie się przy swoim wypaczonym zachowaniu, nie zostawiacie mi innej możliwości. Zmierzacie prosto w stronę poprawczaka, ale to już nie mój problem.

– Rozumiem, proszę pani.

– Swoją drogą to ciekawe, że dziewczyna o nienagannym prowadzeniu się, jak moja córka, uległa wpływom takiego marginesu społecznego jak pan. Mam solidne podstawy, by sądzić, że wasze... spotkanie... nie odbyło się za jej zgodą. Poddam ją stosownym badaniom medycznym i skontaktuję się z adwokatem. To też proszę przekazać swoim rodzicom.

– Tak, proszę pani.

Łkanie Pameli ustało. Może weszła do kuchni albo łazienki, żeby obmyć sobie twarz. Na drugim piętrze zapanowała długa cisza. Ponieważ stałem ze wzrokiem wbitym w podłogę, pomyślałem, że może panna Pringlin już sobie poszła. Ale kiedy podniosłem spojrzenie, zastałem ją na miejscu, sztywną i oschłą jak zawsze, bez wyrazu na twarzy, ale za to z ogniem w oczach.

– I jeszcze jedno, panie Castillo. Jeśli jeszcze kiedyś zobaczę pana w pobliżu mojej córki, proszę mi wierzyć, zabiję.

To była groźba.

Powiedziała to serio. A w każdym razie ja tak to odebrałem.

Wypowiedziała te słowa szantażu jak zawsze, bez krzyków i unoszenia się, więc zabrzmiało to jeszcze gorzej. Bo wiarygodnie.

Teraz, jak się na to patrzy z dystansu, to, co zrobiliśmy tamtej nocy, może wydawać się straszne, nie na miejscu. Ale trzeba postawić się w sytuacji oskarżonych. W każdym postępowaniu sądowym należy odtworzyć motywację i racje zaangażowanych w sprawę osób. Kiedy przypominam sobie te słowa Pringlinowej, zdaję sobie sprawę, że wszystko to zrobiliśmy w obronie własnej.

A w przypadku uzasadnionej obrony własnej nic nie jest przestępstwem.

# Manu

Najpierw zadzwonił Beto. Głosu tej płaczliwej panienci w telefonie pomylić się z nikim nie dało...

– Eee... Manu... Ten twój plan...

– No?

– Wiesz... Pamiętasz, jak opowiadałeś...? Co proponowałeś...

– Tak.

– Jasne, bo ja... tak się zastanawiałem...

Nie potrafił przejść do rzeczy. Ale też nie trzeba było. Wiedziałem, o co mu chodzi.

– Zaczekaj na mnie u siebie w domu – powiedziałem. – Nie będę dzwonić. Wyglądaj przez okno i jak mnie zobaczysz, wyjdź.

Krótko potem zadzwonił Moco, jak zawsze konkretniejszy.

– Ta stara to prawdziwa suka. Możemy ją zabić?

– Pewnie.

– Zrobiłbym to własnymi rękami.

– Zostaw coś dla innych.

– To suka.

– Już to mówiłeś, Moco.

Leżałem sobie na łóżku, słuchałem Guns N' Roses i bawiłem się browningiem. Czekałem, aż wszyscy pójdą spać, żeby wtedy wyruszyć na akcję. Moja stara zadzwoniła, że ma jeszcze masę roboty i że wróci późno. Powiedziałem, żeby się nie przejmowała, że u mnie wszystko dobrze. I to była prawda. Zamierzałem naprawdę dobrze się bawić.

Upchałem pod kołdrą poduszki i piłki, na wypadek gdyby matka zajrzała do mojego pokoju. Pistolet wsunąłem za pasek na plecach.

Narzuć na siebie kurtkę, żeby go zamaskować. A wszystko to przed lustrem, przybierając fajne pozy. Zajebicie to wyglądało, nie ma co. Mogłem tak całą noc tam pozować na gangstera. No, ale trzeba było wyjść.

Moja nocna procesja zaczęła się od domu Moco. Nie musiałem nawet czekać, żeby zszedł. Warował w drzwiach, niecierpliwił się już, miał w rękę scyzoryk, a w drugim czarny spray.

– Patrz, co znalazłem – pokazał mi. – Kiedyś mój stary robił jakieś porządki w domu.

– A teraz my będziemy robić nieporządki w innym.

Jak dwaj kowboje szukający kłopotów przeszliśmy przez Benavides i ruszyliśmy w stronę domu Beto, który grzecznie czekał, filując w oknie. Dla niego sprawa była nieco bardziej skomplikowana, jak to się dzieje w przypadku ludzi z prawdziwymi rodzinami. Bez słowa pokazał w stronę okna swoich rodziców, w którym paliło się światło. Zgasili je dopiero po jakichś piętnastu minutach, ale odczekaliśmy jeszcze trochę dla pewności. Wreszcie daliśmy mu znak, żeby zszedł.

Dołączył do nas bardzo podenerwowany. Ale też nie przyszedł z pustymi rękami. Pod kurtką chował flaszkę whisky:

– To wkład rodziny Plaza.

Część zawartości została już skonsumowana. A głos Beto brzmiał nieco dziwnie, więc nie było trudno się domyślić, co się stało z brakującą whisky.

– Odbiło mi – powtarzał Beto raz i drugi. – Odbiło. Nigdy tego nie robiłem... Nie wiem, jak to się robi... Ale co my właściwie tak naprawdę zamierzamy zrobić?

– Zemścimy się – odpowiedział Moco.

– Zaczniemy od tego, że pójdziemy po Carlosa – oznajmiłem.

– Po Carlosa? – zdziwił się Beto i bez wyraźniej przyczyny dostał ataku śmiechu. – On się nie przyłączy.

– Musimy trzymać się razem, stary – wyjaśniłem.

– Ale on nie chce – odezwał się Moco. – Sam dziś widziałeś.

– Namówimy go.

Powiedziałem to z takim przekonaniem, że żaden z tych bałwanów nie ośmielił się mi zaprzeczyć.

Poszliśmy pod dom Carlosa i zaczęliśmy rzucać kamkami w jego okno. Pojawił się już po kilku sekundach i zobaczył naszą trójkę na chodniku. Mimo że wypowiadałem się z takim przekonaniem, wcale nie miałem pewności, czy dołączy do naszej akcji, ale tak czy inaczej trzeba było z nim pogadać: znał nasz plan i gdyby nie wziął w nim udziału, byłby jak puszczony wątek. Gdyby sprawy się skomplikowały, mógłby nas wydać, zdradzić. Nie żebym mu nie ufał, ale lepiej mieć wszystko pod kontrolą.

Dawaliśmy mu znaki, żeby zszedł. W pokoju jego matki paliło się światło, ale on zjawił się w drzwiach, w kurtce i gotowy do drogi.

– Robimy to jeszcze dziś w nocy? – zapytał.

I ruszył z nami. Przygotowałem sobie całą przemowę, żeby go przekonać, ale nie było takiej potrzeby. Uznałem to za znak od losu: wszystko pójdzie idealnie.

Żaden z dzielnicowych strażników nie podszedł do nas, gdy tak zmierzaliśmy w stronę wzgórza. Nikt nie pytał, dokąd idziemy. Strażnicy, z tymi swoimi gwizdkami i pałkami, nie mieli nas pilnować, tylko chronić. Mieszkańcy dzielnicy Surco i uczniowie z definicji nie byli zagrożeniem, tylko potencjalnymi ofiarami. Zresztą i tak większość tych bezużytecznych strażników spała w swoich budkach, ukołysana indiańskimi piosenkami z radioodbiorników na długie fale.

Wspinanie się po ciemku na wzgórze wcale nie było takie trudne. Latarnie uliczne oświetlały zbocze, a słupki przy szosie wyznaczały drogę. Z góry światła miasta migotały jak płonący las.

– Po co tu przyszliśmy? – zapytał Carlos, zasapany po wspinaczce.

– Żeby widzieć, nie będąc widzianymi.

– A co mamy widzieć? – zdziwił się Moco. – Ja chcę iść tam na dół i udusić Pringlinową.

– Moment – wtrącił się Beto, którego głos wciąż brzmiał nieco pijacko, a on nie przestawał pociągać z butelki – nie musimy wcale naprawdę uciekać się do fizycznej przemocy, prawda? Prawda?

– No, a w takim razie po co twoim zdaniem tam w ogóle idziemy, księżniczko? – odparował Moco, wyjmując mu flaszkę z rąk.

– Sam jesteś księżniczka...

– Idziemy tam tylko po to, żeby zyskać na czasie – powiedział Carlos. – Jeśli jej rozwalimy drzwi albo auto, może jutro rano nie będzie mogła iść do szkoły, a my się w tym czasie zastanowimy, co dalej.

– Zemścimy się, palanty! – krzyknął Moco. – Dowalimy tej wrednej suce i to porządnie, zacznie się nas bać i już nic więcej nie będzie potrzebne.

– Sam jesteś palant.

– A twoją matkę pies trącał.

– Zostaw moją rodzinę w spokoju, bo ci tak dołożę, że pożałujesz, przyszczata mordo.

– Komu niby dołożysz? No komu...?

Wtedy pozwoliłem, by na scenę wkroczył browning. Niczego nie powiedziałem. Podniosłem go tylko wysoko, trzymając, tak jak mnie stary nauczył, z palcem wskazującym na spuście. Efekt był taki, jakbym uniósł królewską koronę. Tamte trzy ciołki zamilkły, jak nożem uciął. Dało się słyszeć tylko przytłumione:

– Łooooo...

I cała uwaga skupiła się na mnie.

– Dlaczego mielibyśmy wybierać? – odezwałem się spokojnym i opanowanym głosem, stosownym dla dowódcy. – Jeśli zrobimy, co trzeba, możemy osiągnąć to wszystko za jednym razem: nastraszyć ją, sprawić, że zostawi nas w spokoju, zyskać na czasie i przede wszystkim odpłacić jej stosownie za to, że się nam wpieprza w życie.

Carlos miał oczy otwarte tak szeroko jak dwa latające spodki. Powiedział:

- Ale chyba tego nie użyjemy, co?
- Nie sędę, żeby to było konieczne - uspokoiłem go.
- Dlaczego nie? - zaprotestował Moco. - Zajebicie by było!
- Czy ktoś mi może wyjaśnić, co my konkretnie zamierzamy robić? - zapytał Beto.

Pozwoliłem, by jego pytanie zawisło na chwilę w powietrzu, i pociągnąłem solidny łyk whisky. Chciałem, żeby tamci poczekali trochę na odpowiedź. I kiedy stało się jasne, że jej nie znają, wyjaśniłem:

- Dlatego właśnie tu przyszliśmy. Bo to idealne miejsce, żebym wyjawiał wam swój plan.

# Moco

To był MÓJ plan.

Przecież ja też mogłem mieć swoje plany. Kto mi zabroni? Zrealizowałem już jeden rok wcześniej, w trzeciej. Najlepszy przestępczy plan w historii naszej budy, he, he. Największa panika w naszej szkolnej historii: dzień bomby.

Ale ja nie jestem złym człowiekiem. Nie zrobiłem tego, żeby się popisywać czy komuś robić na złość. Zrobiłem to ze względu na ojca. I zrobiłbym dla niego, co tylko trzeba, od niewinnego wybryku po napad na bank.

Ojciec z moich pierwszych wspomnień nie ma nic wspólnego z tą kupką nieszczęścia, w którą się zmienił, z tym smutnym wrakiem, rozpitym i pokonanym. W moich najdawniejszych wspomnieniach kopiemy razem piłkę. Zabierał mnie na stadion, żeby popatrzeć, jak grają Sport Boys z Callao. Śmiał się tymi swoimi wielkimi białymi zębami, jak Tom Cruise, i zachowywał się jak głowa rodziny z tego starego serialu *Father Knows Best*.

No i przede wszystkim mieszkał z moją matką. Mieszkaliśmy z nią.

Wciąż mam na superósemce film z tamtych szczęśliwych lat. Zrobiłem sobie wersję cyfrową. Czasami, kiedy nie mogę zasnąć i masturbacja też już nie pomaga, oglądam go sobie na kompie. To jest nagranie z plaży La Herradura i trwa tylko trzy minuty. Pod kreskami i cieniami na obrazie, mimo za szybkich ruchów kamerą, widać mojego staruszka, jak wylewa mi na głowę morską wodę z wiaderka. I moją starą w trakcie pościgu za parasolem, który zwiął podmuch wiatru. A ja oczywiście robię kulki z piasku i rzucam im obojgu na nogi.

Byłem szczęśliwy.



I malutki. Wydawało mi się, że wszyscy są zawsze szczęśliwi.

W tamtych dobrych czasach – tak dalekich i krótkotrwałych – chodziliśmy często wszyscy troje do kina. Oglądaliśmy wszystko. Filmy o Jamesie Bondzie. Meksykańskie, jak *Su Excelencia* z Cantinflasem, albo tę serię *Chanfle* z komikiem Chespirito, ale także indyjskie, strasznie smutne filmy o tytułach w rodzaju *Mamo, nie zabieraj mi kul*. Moja matka zawsze nosiła ze sobą chusteczki, bo płakała w kinie.

Dopiero później zaczęła płakać też w prawdziwym życiu.

Piła, to też pamiętam. Obydwoje, matka i ojciec, razem i osobno, na plaży, z przyjaciółmi, w ciągu dnia i wieczorem. Wydaje mi się, że w tamtym czasie wszyscy byli alkoholikami. Ludzie palili i pili cały dzień. Jak postaci z *Mad Men*. Albo Leonardo DiCaprio w *Drodze do szczęścia*. Ale to nie było nic złego. Tylko ciągle się śmiali. Mojej matce czerwieniały policzki, a głos robił jej się słodki i mulasty.

W niektóre wieczory, podczas przyjęć, wchodziła do mojego pokoju i budziła mnie pocałunkami:

– Mamo, co ty robisz? – protestowałem.

– Całuję największego przystojniaka w całym domu!

Czasami zrywała ze mnie kołdrę ot tak, dla żartu. Kiedy indziej kładła się przy mnie na minutkę, a jej czarne loki padały mi na twarz i czułem zapach alkoholu pomieszany z zapachem szamponu jajecznego. Potem znów mnie całowała i wychodziła, zostawiając mnie całego obślinionego.

Kiedy indziej, gdy zjawiali się goście, dobiegały mnie hałasy z salonu. Bolera. Salsa. Okrzyki. Śmiechy. Nigdy jednak nie dałem rady wytrzymać i nie zasnąć tak długo, żeby sprawdzić, co się tam właściwie na tych imprezach dzieje. I w sumie tak naprawdę nie bardzo mnie to obchodziło. W tamtym czasie nic nie mogło mi zaszkodzić.

Czasami rano zastawałem moich rodziców śpiących w salonie w otoczeniu przepełnionych popielniczek i w smrodzie tytoniowego

dymu. W takie dni mój stary budził się pierwszy i robił mi śniadanie, a ja pomagałem sprzątać. Potem szykował śniadanie mamie i podawał je z kwiatkiem zerwanym z ogrodu.

W naszym ogrodzie rosły kwiaty.

Ale to było dawno temu.

Jednego dnia po powrocie ze szkoły zastałem matkę siedzącą na łóżku, paliła, trzymając w ręku butelkę Demonio de los Andes. Nastawiła bardzo głośno płytę Luchy Reyes i nuciła:

– *Jestem twoją panią i nic mnie obchodzi, chcę cię tylko zawsze dla siebie, moja ty własności prywatna...*

– Mamo, wszystko w porządku?

– Oczywiście, kochany. Posłuchaj tej piosenki.

Posadziła mnie sobie na kolanach trochę gwałtownie, a potem zaśpiewała mi do ucha, zionąc ciężkim oddechem. Podobało mi się to, ale jednocześnie, nie miałem pojęcia dlaczego, chciało mi się płakać.

– Wiesz co? – powiedziała, kiedy piosenka się skończyła. – Ty jesteś prawdziwym mężczyzną w tym domu.

– Tak?

– Gdyby coś się stało, obiecaj, że zaopiekujesz się tatą.

– A co się ma stać?

Zaśmiała się:

– Nic, głuptasie. No, ale wiesz. Twój tata jest tak ogólnie trochę roztargniony.

Nie. Nie wiedziałem tego. Ale i tak odpowiedziałem:

– Jasne.

– Gdyby się wpakował w jakieś kłopoty... musisz się nim zająć, dobrze?

– Oczywiście.

– Mój dzielny chłopiec.

Znów odcisnęła mi na twarzy, prawie na ustach, wilgotnego całusa i kazała iść odrabiać lekcje. Podczas gdy ja rozwiązywałem równania

algebraiczne, ona wciąż śpiewała pod nosem:

*Tylko wróć, by zapętnić pustkę,  
którą swoim odejściem zrobiłeś,  
wróć, wróć, choćby po to,  
by powiedzieć mi żegnaj.*

Możliwe, że matka była już wtedy chora, tego dnia, kiedy to śpiewała.

Może nawet miała tego świadomość. Nigdy mi jednak nie powiedziała.

Nawet kiedy musiała już ciągle leżeć, nikt mi niczego nie wyjaśnił ani nie podał powodu. Ani ona, ani nikt inny. Żaden krewny nie zagaił: „Musimy pogadać”. Nie było rozmowy w salonie ani rodzinnej wizyty u lekarza. Stopniowo przestaliśmy chodzić na stadion. I na plażę. I do kina. Moja matka nawet nie wychodziła z pokoju.

Jeśli chciałem z nią porozmawiać, musiałem iść, zapukać do drzwi w porze, kiedy nie spała, a to się nieczęsto zdarzało. Znosiłem jej filmy na kasetach wideo: *Kochanica Francuza*, *Kolor pieniędzy*. Mama wciąż płakała, oglądając je. A może płakała non stop i czasami zbiegało się to z filmem.

– Mamo, kiedy wyzdrowiejesz?

– Niedługo. Jakoś na dniach mają puścić nowego Bonda, będziemy musieli na niego iść do kina.

No, ale do kin trafił nowy James Bond i nowy film indyjski, i wszystkie wersje *Supermana* z Christopherem Reeve'em, a ona dalej nie wstawiała. Guz podbijał całe jej ciało, wyszły jej sine wory pod oczami, ubywało kilogramów, tkwiła przykuta do łóżka. A potem, jakby mu było mało, zawsze nienasycony, zawładnął resztą domu: zapach leków rozprzestrzenił się po całym korytarzu, strzykawki walały się po łazience, a lekarze zajęli jadalnię, tak jak kosmici, którzy najeżdżają Ziemię w *Dniu Niepodległości*. Tyle że tu nie było

żadnego amerykańskiego prezydenta, który pilotowałby statek kosmiczny, żeby nas wszystkich uratować.

Był tylko mój staruszek, który próbował się nią zajmować: lekarstwa, zabiegi, wyjazdy do szpitala na terapię. To wszystko go przerastało. I przytłaczało. Fatalnie znosił widok żony, która traciła włosy i kolory. Czasami nie dawał już rady i uciekał do swoich butelek z pisco, jedna za drugą, cała eskadra, prawdziwa flota flaszek, jakby chciał tego raka zatopić. Kiedy wracałem ze szkoły, on już od wielu godzin koczował na kanapie, siedział przed szklanką z półprzymkniętymi oczami.

W takie dni to ja musiałem zajmować się matką. Podawać jej tabletki, robić zastrzyki. Ona pozwalała na to wszystko i czasem tylko gładziła mnie po głowie albo muskała mi policzek ustami. Nie pachniała już jajecznym szamponem, bo nie miała włosów.

– Gdzie tata?

– Poszedł na zakupy. Później wróci. Ale najpierw zobacz, jaką mam dla ciebie niespodziankę: *Doktor Żywago!*

Wykradałem kasety z wypożyczalni, żeby je móc jej puszczać, bo wtedy nie mieli jeszcze bramek z alarmami w drzwiach sklepów. Puszczałem mamie film, sprzątałem dywan i układałem ją – coraz lżejszą – na łóżku.

– Mam w ustach metaliczny posmak – mówiła czasami zupełnie niespodziewanie, bez żadnego powodu.

– No to musisz pocałować największego przystojniaczą w domu – odpowiadałem.

Kiedy mnie całowała, nie czułem metalicznego smaku.

Jeśli po filmie nie zasypiała, puszczałem jej płytę z kreolskimi walczykami. I trochę razem śpiewaliśmy, dopóki nie zasnęła. Wychodziłem z pokoju, a ojciec dalej siedział w tym samym miejscu. Otwierał nieco oczy i powtarzał mi:

– Nie przejmuj się, synu. Wyjdziemy z tego.

Pokój mamy za moimi plecami wyglądał jak *Millennium Falcon*, cały w światełkach z tych wszystkich mechanizmów, które utrzymywały ją przy życiu. Aż do tego dnia, kiedy odcięli prąd.

To było o świcie. Noc gęsta od koszmarów. Na początku wydawało mi się, że te krzyki to część moich snów. Ale rozpoznałem głos ojca. Jego przerażone wrzaski w mroku.

– Nie ma prądu!!!

Nacisnąłem włącznik światła. Nic się nie zapaliło. Usłyszałem jakąś eksplozję, pewnie przy słupach wysokiego napięcia na wzgórzach. Przerwa w dostawie prądu zapowiadała się na długą. Wtedy zrozumiałem, co to znaczy.

– Nie ma prądu!!! – zawołał znów skądś ojciec.

Maszyny. Moją matkę przy życiu utrzymywał aparat do oddychania i drugi, który ją odżywiał. A maszyny bez prądu nie działają.

Zbiegłem po schodach, zderzając się ze ścianami i drzwiami. Nie czułem tych uderzeń, choć małym palcem u stopy rąbnąłem w róg stołu.

W końcu znalazłem ojca czy też raczej wyczułem go klęczącego przy łóżku. Zapaliłem świeczkę na stoliku nocnym. Płakał otoczony tymi wszystkimi martwymi maszynami, obejmując stopy mamy. Ona miała już nigdy więcej nie zapłakać.

Rano przyjechali ludzie z zakładu pogrzebowego. Nie udało im się wnieść trumny na górę, więc ostatecznie musieli znieść samo ciało. Zanim nałożyli wieko, ostatni raz dotknąłem mamę w stopę i w twarz. Była już twarda jak kamień. Nie wiedziałem, czy to jest stężenie pośmiertne, czy to jeszcze za życia choroba sprawiła, że jej ciało – kiedyś pulchne i miękkie – teraz składało się z samych kości.

Czuwanie przy zwłokach okazało się ostatnią imprezą z udziałem gości w moim domu. Imprezą ponurą, pełną płaczu, żalu i kondolencji. Od następnego dnia w domu zostaliśmy tylko mój stary, butelki i ja. On tak naprawdę coraz mniej. Gaś, rozpływał się z dnia na dzień.

Nie wiem, czy pracę stracił, dlatego że siedział w domu, czy siedział w domu, dlatego że stracił pracę.

Nie wiem, czy przyjaciele przestali go odwiedzać przez smród śmierci, czy fetor alkoholu.

Wiem tylko, że po pogrzebie już się nie ruszył z kanapy. Zupełnie jakby on też umarł.

Potem zaczął wychodzić. Nocą. Nigdy nie mówił dokąd. Czasami odcinali prąd i czekałem na niego do rana, bojąc się, czy nie wpadł w jakąś obławę albo nie trafił w miejsce zamachu. A kiedy w końcu wracał, nawet się nie witał. Szedł prosto do swojego pokoju i zamykał się. Gdybym był jego ojcem, kary ciągnęłyby mu się miesiącami.

Oczywiście domem w ogóle się nie zajmował. Jego idea pożywnego obiadu sprowadzała się do twardego makaronu doprawionego zupą w proszku zmieszana z mlekiem. Nawet nie siadał do stołu. Jadł w kuchni, prosto z garnka, a mnie zostawiał resztki.

Wiele razy próbowałem z nim rozmawiać:

– Tato, tak nie można.

– Tak? Czyli samemu? Bez pracy? Czy mówisz o smutku? Inaczej nie mogę. Życie mi to zrobiło. Życie mnie zabiło.

I potem jeszcze dobrą chwilę użalał się nad sobą, potęgując tylko swoje smutki, a na koniec zamykał się w swoim pokoju albo wychodził.

Wtedy zjawily się siostry mojej mamy. Te harpie.

Zacęły zaglądać do nas bez uprzedzenia. Nagle stawały pod drzwiami, szeptały, komentowały, że ogród usycha i że farba złazi z fasady.

– A tata w domu?

– Eee... Nie.

– Przyniosłyśmy ci ciasto. Chcesz?

Nie chciałem, ale otwierałem drzwi i tak zyskiwały jeszcze więcej pretekstów do narzekań: jaki ten dom brudny, nie ma w kuchni nic

do jedzenia, ojciec powinien być z synem... Te dwie małpy chciały mnie odebrać ojcu właśnie teraz, kiedy najbardziej mnie potrzebował.

Z czasem przestałem im otwierać. Gdy dzwonił dzwonek do drzwi, udawałem, że nie ma mnie w domu. No a mojego starego naprawdę nie było.

Racja. Ktoś musiał zająć się domem, ale dlaczego akurat on? A jeśli wezmę to na siebie? Czy nie zajmowałem się matką podczas jej choroby? No a teraz chory jest on, więc muszę mu pomóc.

Obiecałem to przecież mamie.

Gdyby się wpakował w jakieś kłopoty, musisz się nim zająć, dobrze?

Biznes z kasetami porno dawał mi wystarczające przychody, żeby było na konserwy, mleko w proszku i chleb. Nawet na opłacenie rachunków. Ja też mogłem wynosić śmieci, kiedy się ich już za dużo zebrało. Nie dawałem ojcu pieniędzy na alkohol, ale on skądś go zdobywał. No i przecież w piwie jest jęczmień, w pisco winogrona, a w rumie cukier. To też ma wartości odżywcze.

Zajmowałem się też jego kryzysami. Czasami przez cały dzień siedział zamknięty w pokoju. Albo chorował.

Właśnie podczas końcowych egzaminów w trzeciej klasie zaliczył najgorszy zjazd. Cały tydzień wymiotował, wysoka gorączka i biegunka. Przez chwilę obawiałem się, że to będzie coś okropnego, jeszcze jeden złośliwy guz. Ale nie chciałem dzwonić do ciotek, a na lekarza nie miałem pieniędzy. Cały czas filowałem przy jego łóżku, podmywałem go za każdym razem, gdy było trzeba, i kładłem mu mokre chustki na czoło, żeby zbić temperaturę, bo pamiętałem, że mama tak mi robiła.

Nauka? Bez żartów. Nie miałem czasu. Miałem przecież ważniejsze rzeczy na głowie.

Więc potrzebowałem planu.

Tak jak Tony Stark, kiedy zostaje złapany przez złych i projektuje kostium Iron Mana.

Albo jak Thor, kiedy zostaje wyrzucony ze świata bogów przez Odyna i musi wymyślić sposób, by odzyskać swój magiczny młot. Zawsze jest jakiś plan.

Mój dotyczył egzaminu z chemii. Nienawidzę chemii: wzory, cyferki i nazwy typu kaliforn czy bar. Po co komu to wszystko? Słyszałem, jak ludzie mówią, że chcieliby zostać muzykami czy prezydentami, ale chemikami – nigdy. Kto by chciał być chemikiem? Widział ktoś jakiś film o chemikach? Harrison Ford grający chemika? Harrison Ford był nawet archeologiem w *Indianie Jonesie*. Ale chemikiem nigdy. Tak więc uniknięcie tego egzaminu to była sprawa dobra ogółu. Wsparcie dla całej społeczności.

A w tym czasie w Peru było jak w filmie o dobrych i złych. Z przewagą złych. I to mogło się okazać bardzo pomocne.

Zebrałem wszystkie informacje o zamachach terrorystycznych, jakie udało mi się znaleźć. Wszystkie listy z żądaniem okupu, jakie pojawiały się w prasie. Wszystkie graffiti na ulicach. Zapisywałem to sobie w zeszyciku. Te wszystkie mocne słowa: „rewolucja”, „zdrajcy”, „sprzedawczyki”. Najlepsze słowa, jakie zapisałem w życiu. Bo ja umiem pisać, jasne? Umieję notować.

W dniu egzaminów, podczas przerwy, wślizgnąłem się do gabinetu ojca Fausta. Fausto często wychodził z gabinetu. Organizował zawody sportowe. Nosił piłki. Uzgadniał daty meczów. Koordynował turnieje. I zawsze zostawiał otwarte drzwi, bo nie było tam nic do ukradzenia. Nikogo przy telefonie. Wykręcałeś zero i miałeś połączenie na miasto. Dziś to się wydaje niemożliwe, ale kiedyś telefony nie zapisywały numerów przychodzących. Ktoś dzwonił do ciebie i nie miałeś pojęcia kto to, nawet jeśli siedział w pokoju obok. Tak wyglądały moje czasy.

Zadzwoiłem na szkolną centralkę, sto metrów dalej, z otwartym zeszycikiem przed nosem, pełnym tych popodkreślanych słów. I powiedziałem wszystko bez zawahania. Wyrecytowałem kwestię



doskonale, jak aktor. I potem mi mówią, że nie czytam dobrze. Zasłoniłem słuchawkę chusteczką, przybrałem chrapliwy głos, jak u jakiegoś zakapiora, i powiedziałem:

– Dzwonię, żeby uprzedzić, że podłożyliśmy w szkole bombę. Jest uzbrojona i nastawiona na samo południe. Odpowiedzialność za wszelkie ofiary śmiertelne spadnie na dyrekcję szkoły, a tym samym na burżuazyjny i reakcyjny Kościół. To nasze jedyne ostrzeżenie. Śmierć rewizjonistom! Niech żyje Wojna Ludowa! Niech żyje Komunistyczna Partia Peru!

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do klasy. Dzwonek oznajmił koniec przerwy. Proste jak zabrać dziecku cukierka.

Nawet prostsze niż wypalić papierosa w kiblu.

Wyprowadzili nas wszystkich na zewnątrz w niecały kwadrans. Od czasu do czasu mieliśmy ćwiczenia z ewakuacji na wypadek trzęsienia ziemi, choć nigdy żadnego nie było. Ale procedury na coś się przydały.

Nauczyciele kazali się nam ustawić w szeregi przed klasami i ruszyliśmy wszyscy, trochę chaotycznie, ale bez zwłoki, aż na szkolne boisko. Nie mówili nam, co się dzieje. Wyprowadzili nas tylko na zewnątrz. Wszystkich. Ponad dwa tysiące uczniów, małych, średnich i dużych, wszyscy razem na trawniku i nie mają pojęcia, co jest grane. Nikt też nie pytał. W końcu omijała nas lekcja. Po co komu wiedzieć więcej?

Siedzieliśmy tam aż do godziny zakończenia lekcji, ale nikt nie narzekał. W mojej klasie wszyscy cieszyli się z odroczenia tego przekłętą egzaminu z chemii.

Pewnie, że nikt MI nie podziękował. Wszyscy mnie mieli za przygłupa.

Ale ja umiem przygotować plan, he, he. Umieję opracować najlepszy plan na świecie. I mogłem też przygotować taki, który pozwoli załatwić pannę Pringlin za ten jej pomysł, żeby oddać mnie

do ciotek i zostawić mojego starego w pojedynkę. Pewnie, że mogłem.

W przypadku naszej nauczycielki plan prezentował się nieco bardziej skomplikowanie i przez to był bardziej podniecający. Byliśmy drużyną. Ale plan był mój.

Otworzyć bramę śrubokrętem i wejść. Nożem podziurawić opony samochodu Pringlinowej. Porysować jej karoserię. Nabazgrać w dobrze widocznym miejscu: „KURWA”.

Albo coś bardziej sugestywnego: „ZRÓB MI LASKĘ”.

Albo i to, i to. Choć miałem tylko jedną puszkę ze sprayem.

Następny etap planu, MOJEGO planu, to atak.

Wejście do domu Pringlinowej i rozwalenie paru rzeczy. Nic zbyt głośnego. Parę lamp na podłodze. Poharatane poduszki na kanapie, wypruta wata tu i tam. Jeszcze jeden bazgroł na dywanie, jeśli ma. Niech zobaczy, że jeśli zechcemy, możemy dostać się do jej pokoju. Niech się przekona, że jesteśmy w stanie naprawdę ją skrzywdzić.

Gdyby się nie udało wejść do mieszkania, podrzucić jej pod drzwi petardę. Miałem ich niezły zapasik. Zawsze na Boże Narodzenie i sylwestra odpalałem kilka w parkach w Surco. Najlepsze podczas tych świąt są właśnie fajerwerki, a zwłaszcza petardy. To rzecz najbardziej zbliżona do dynamitu, jaką można dostać, choć znacznie mniejsza od prawdziwego ładunku. W każdym razie potrafi narobić niezłego huk i zostawić na drzwiach bardzo trudną do zmycia czarną plamę.

Gdyby udało się wejść, odpalić petardę w łazience, bo tam jest najgłośniej.

W każdym razie po odpaleniu – wiać.

Operacja – MÓJ plan – nie powinna zająć więcej czasu niż z pięć minut łącznie, tak że nawet jeśli Pringlinowa się obudzi, nie będzie miała czasu na reakcję.

Każdego ucznia ze szkoły można by o to podejrzewać. Od tego poranka wszyscy są po naszej stronie, prawda? I wszyscy przestali się

jej bać. Byliśmy takimi przywódcami rewolucji. Jak Spartakus, ale bez spódniczki.

Pewnie, że Pringlin będzie wiedzieć, że to my. I bardzo dobrze. Bo wtedy zda sobie sprawę, co ją może spotkać, jeśli z nami zadrze.

Przesada?

No cóż, to była wojna. A na wojnie są ofiary.

Co, *Czasu Apokalipsy* nie widzieliście?

## Beto

Nie było żadnego planu. A w każdym razie nic precyzyjnego. Tak mi się wydaje.

W sumie to tamtą noc bardzo słabo pamiętam.

Podczas kolacji w pizzerii, kiedy chowaliśmy się całą rodziną przed panną Pringlin, tata był w nastroju euforycznym. Z wielką pompą i paradą obwieścił, że jestem już dorosły. Tak się wyraził. Powiedział, że może prowadzić ze mną poważne i dojrzałe rozmowy, i zapewniał, że jest ze mnie bardzo dumny. Matka i siostra wysłuchiwały tego z uśmiechem. Siostra powiedziała, że ona też chce prowadzić „przejrzałe” rozmowy. I wtedy ojciec, który posiadał tę niezwykłą zdolność psucia wszystkiego, oświadczył, że skoro można ze mną rozmawiać jak z dorosłym, to mogę też napić się piwa. Jak Pan Bóg przykazał.

I wypilem. Matka zganiła mnie spojrzeniem, ale ojciec poklepał po plecach, pogratulował, a jeśli nie poczęstował mnie papierosami, to chyba tylko ze względu na te jej spojrzenia. Tak że wypilem jeszcze jedno piwo.

I jeszcze whisky po powrocie do domu, potajemnie w moim pokoju, prosto z gwinta butelki wykradzonej z barku.

I jeszcze trochę tam na wzgórzu, aż się skończyła.

Kiedy zeszliśmy ze szczytu i ruszyliśmy w stronę domu panny Pringlin, dość mocno już kręciło mi się w głowie. Ale byłem przekonany, że nasza akcja będzie w sumie bardzo prosta: Moco miał puszkę farby w sprayu. I to była nasza najlepsza broń. Podejdziemy pod drzwi panny Pringlin, namalujemy jej coś na bramie garażowej, może zadzwonimy, żeby ją zbudzić, i uciekniemy.

Zemsta. Zdaniem Carlosa – choć ja nie bardzo to rozumiałem – miała odwlec wiszący nad nami nieubłagany wyrok. No ale przede wszystkim miał to być odwet, bo przecież wszystko i tak było już stracone. Ostatni podryg buntu pokonanych. Czterej marynarze tonącego statku pokazują światu wała.

Kiedy skręciliśmy w jej ulicę, wpadliśmy prosto na światła jadącego na nas samochodu. Mieliśmy taką paranoję, że wszyscy od razu rzuciliśmy się na ziemię, jakby to był nalot.

- Policja!
- Cicho!
- Sam se bądź cicho, kurwa twoja mać!
- Może twoja, bo się puszcza z całym sąsiedztwem.
- Zaraz ci...
- Ćśśś!

Szefem był Manu. To akurat bardzo dobrze pamiętam. Kiedy on kazał nam się zamknąć, wszyscy go słuchaliśmy. W każdym razie ja.

Samochód przejechał i nie była to żadna policja ani nic takiego. Odetchnęliśmy z ulgą. To była nasza pierwsza tajna akcja. Kiedy znaleźliśmy się już przed drzwiami panny Pringlin, Manu wskazał na okna budynku naprzeciwko. Paliło się w nich światło.

- Jeśli pomalujemy drzwi, zobaczą nas – szepnął.
- No to im też podpalmy dom – rzucił Moco.
- Ćśśś! Mówcie ciszej – powiedział Carlos, najbardziej z nas wszystkich wystraszony.

Mnie się chciało śmiać. Nie wiem dlaczego. W tamtym momencie to wszystko wydawało mi się bardzo zabawne.

- Idziemy – rozkazał Manu. – Nie możemy wzbudzać podejrzeń.

I znów zrobiliśmy, co nam kazał, może dlatego, że umiał przemawiać jak gangster, a to dodawało naszej przygodzie smaku. Dom panny Pringlin stał na rogu. Mur nie miał na górze żadnego drutu kolczastego ani przewodów pod prądem, ale porastały go gęste

krzaki, jak włosy jakiegoś rozczochranego pluszaka. Poszliśmy za róg. Z drugiej strony dom tonął w mroku.

– Dobra – zaproponowałem – to może pomalujemy z tej strony.

Moco się wkurzył:

– Po cholere malować tutaj? Pringlinowa nawet tego nie zauważy.

– A czego chcesz? – zaprotestował Carlos. – Żeby nas złapali? Z tamtej strony nie ma się jak schować.

– No to może pomalujemy z drugiej strony miasta – kpił Moco. – Tam też nas nie zobaczą. Czy wy wiecie, po co to robimy? Przyszliśmy tu, żeby zaatakować Pringlinową. Jeśli mamy zrobić napis gdzieś tak, że ona nawet nie zauważy, to lepiej wracajmy do domów.

Manu się rozejrzał. Sprawiał wrażenie twardziela, pewnego siebie. Zachowywał spokój, podczas gdy wszyscy wokoło panikowali. Przyjrzał się narożnikowi i wskazał na jakiś punkt pod zaroślami.

– Tam jest dziura.

Rzeczywiście, był tam kawałek niezastłonięty przez chaszczę, bo obsypały się liście. Miejsca bardzo niewiele, ledwie starczało, żeby ktoś bardzo szczupły się przecisnął. A i to nie na pewno.

– Kto tam wlezie? – zapytał Manu.

– Ja – zgłosił się Moco.

– Przecież z ciebie jest spaślak – sprzeciwił się Carlos. – Przejdziesz, tylko jeśli cię pokroimy na kawałki.

– A ty co? Modelka z „Playboya”?

– Nie wkurzaj mnie, Moco, bo ci lutnę...

– Ja się przecisnę – stwierdziłem, skupiając się na tym, żeby się nie potknąć.

Zawroty głowy przechodziły w gęste zmęczenie, ale chciałem okazać się pomocny.

Tamci zmierz yli mnie wzrokiem z góry na dół, a potem popatrz yli na te chaszczę. Nie sprawiali wrażenia zbyt przekonanych. Na szczęście – a może raczej pecha – Manu przytaknął:

– Ty się przecisniesz.

W tej chwili między nim a mną przebiegła specjalna energia. Szkoda, że nie było czasu, żeby się zatrzymać i o tym pogadać.

Trzeba było działać sprawnie i cicho. Po raz pierwszy sprawialiśmy wrażenie zgranych. Na swój sposób coś podobnego już wcześniej zrobiliśmy, tego samego popołudnia, kiedy rozpętaliśmy tę hecę pod oknem naszej klasy. Mieliśmy wprawę.

Carlos złożył ręce, żeby mnie podsadzić. Stanąłem mu na dłoniach stopą i oparłem się o plecy Moco, żeby dosięgnąć szczytu ogrodzenia. Udało mi się przecisnąć do pasa. Tyle że z drugiej strony krzew się plątał i robiła się tam taka kolczasta wnęka. Nie będzie się tam o co oprzeć.

W każdej innej sytuacji wystraszyłbym się i zawołałbym, żeby mnie zdjęli. Ale to nie były normalne warunki i z jakiegoś powodu znów dostałem ataku śmiechu:

- Narwać komuś bugenwilli? – zapytałem.
- No, przełaż wreszcie – ponaglił mnie szeptem Manu.
- Tylko wiecie co, tu się sprawy trochę komplikują...
- Przełaż, do cholery! – powtórzył.

I poczułem jego dłonie – to musiały być jego dłonie – jak lądują mi na pośladkach i popychają do góry. Zamachałem nogami, trafiając kogoś w twarz, ale czyjeś ręce przytrzymały moje nogi i znów mnie wypchnęli wyżej. Przedostałem się na drugą stronę w parę sekund i spadłem na krzaki. Podrapałem się i poharatałem kolcami, ale w końcu wylądowałem na ziemi.

– Kurwa! – niemal wrzasnąłem.

Z drugiej strony ktoś zapytał:

– W porządku?

Po twarzy lała mi się krew, bolały mnie plecy i nogi. Nie mogłem się ruszyć. Rozejrzałem się. Dom panny Pringlin miał dwa poziomy i dach kryty dachówką. Typowy stary dom zubożałej rodziny.

W sumie znacznie starszy niż większość zabudowy dzielnicy.  
Wyglądał jak chatka czarownicy z bajki braci Grimm.

– Chyba podeptałem mieczyki – stwierdziłem wreszcie.

– Otwieraj, do cholery! – usłyszałem zza ogrodzenia.

Podniosłem się i podszedłem do bramy, żeby wpuścić tamtych.  
Serce waliło mi jak oszalałe. Całe moje ciało pulsowało.

Podszedłem pod bramę i już nie chciało mi się śmiać. Czułem  
raczej niepohamowaną chęć, żeby zwymiotować.



## Carlos

Ja miałem swój plan: pogadać z Pamelą.

Ten wieczór spędziliśmy razem. Wciąż czułem na sobie jej zapach. Ona była częścią mnie. I musiałem jej to powiedzieć. Nie mogłem zostawić jej na uboczu.

Tej nocy, nocy szpilek, w moim życiu zebrał się cały smutek ostatnich lat. I to nie wyłącznie ze względu na Pamelę, bo nie tylko do tego się to sprowadzało. Po naszym spotkaniu w McRonaldzie, po niespodziewanym pojawieniu się jej matki i całej tej katastrofie wróciłem do domu, powłóczę nogami i szukając miejsca, w którym mógłbym wylizać rany. Tyle że tam zastałem jeszcze jedną ranę, być może najbardziej krwawiącą.

Kiedy wróciłem, mama leżała na łóżku w otoczeniu strzępów fotografii. Stare albumy ze wspomnieniami naszych szczęśliwych lat walały się wokoło pootwierane i porozwalane, a ona chowała w poduszce głowę zatopioną w powodzi rodzinnych wspomnień i pocztówkowych uśmiechów.

– Cześć, mammo.

Nie odpowiedziała. Najwyraźniej pannie Pringlin też nie otworzyła drzwi. Przez chwilę zastanawiałem się, czy śpi, czy straciła przytomność. Cień myśli o samobójstwie przebiegł mi przez głowę, więc rozejrzałem się za jakąś fiolką po tabletkach czy czymś takim. Usłyszałem jednak jej westchnienie i uspokoilem się. Bardziej niż westchnienie brzmiało to jak rwący się oddech kogoś, kto płakał tak długo, aż dostał zapalenia śluzówki.

– Mamo?

– Zostaw mnie samą, Carlos, proszę.

– Nie powinnaś się doprowadzać do takiego stanu. Wszystko się ułoży.

No wiem. Typowe puste zdanie, które wypowiada się, kiedy się nie wie, co powiedzieć. Ale tylko na tyle było mnie stać, nawet jeśli sam w to nie wierzyłem.

– Chcesz, żebym ci coś poradziła, synu? – odezwała się po chwili milczenia.

– Ja... No tak.

– Nigdy nie porzucaj kogoś, kto cię kocha. Gdybyś kiedyś rozważał coś takiego, przypomnij sobie swoją matkę w tej chwili i dobrze się zastanów.

Odwróciła się i teraz patrzyła na mnie. Rozmyty łzami makijaż na jej twarzy sprawiał, że wyglądała jak smutny klaun.

– Mężczyźni to generalnie tchórze. Nie bądź taki. Tylko o to proszę.

Tylko o to proszę. Mama miała skłonność do melodramatycznych fraz. Dziś nie wziąłbym tego na poważnie. Zabrałbym ją na spacer. Próbował rozśmieszyć. Ale wtedy miałem piętnaście lat, życie wydawało mi się piekłem – jak prawie wszystkim piętnastolatkom – i też miałem słabość do melodramatycznych tekstów. W tamtym konkretnym momencie mojego życia wszystkie słowa, jakie przychodziły mi do głowy, miały dość tragiczny wydźwięk.

– Mamo, nie powinnaś...

– Zostaw mnie teraz samą.

– Mamo...

– Proszę!

– Dobrze, mamo.

– I pamiętaj...

Nic już nie powiedziała, ale wiedziałem, o czym mam pamiętać. I zadziałało. Do dziś pamiętam:

Nigdy nie porzucaj kogoś, kto cię kocha.

Mama była tak wyczerpana płaczem, że od razu zasnęła. Zdjąłem jej buty, przykryłem ją i zgasilem światło. Po chwili wahania

zdecydowałem się zapalić lampkę nocną. Pocałowałem ją też w czoło, jak dziecko. Tej nocy zamieniliśmy się rolami.

Zamknąłem drzwi i pobiegłem do swojego pokoju, żeby się rzucić na łóżko i podumać. Myślałem, że w prawdziwym życiu na miłości nigdy dobrze się nie wychodzi i sprawy nigdy nie układają się jak w filmach. Myślałem, że generalnie cały świat jest gównem i że nie mam ochoty być jego częścią.

Chyba że będę inny niż wszyscy.

Chyba że będę w stanie pójść do Pameli teraz, w tej chwili, i powiedzieć jej, że nigdy jej nie zostawię.

Choćby mnie przegonili na koniec świata, ja do niej wrócę. Może to głupota. Ale byłem przecież trochę głupi. Jak tak sobie wspominam tę całą historię, to widzę, że byłem.

Kiedy po mnie przyszli, nie zastanawiałem się długo, co my właściwie robimy ani co może stać się potem. Jeśli Pringlinowa się przestraszy i nie przyjdzie następnego dnia do pracy, tym lepiej. Najważniejsze jednak było to, żeby powiedzieć Pameli, że zawsze z nią będę, że nie zostawię jej samej pośród pootwieranych albumów i podartych zdjęć, użalającej się nad sobą i bez pojęcia, co robi jej syn.

Tak że przyłączyłem się do akcji.

Garaż panny Pringlin znajdował się na zewnątrz – jako przedłużenie patio i ogrodu otaczającego jej dom. Moco i Manu zaczęli pastwić się nad jej samochodem, starą białą furgonetką marki Łada. Mnie jednak tanie chuligaństwo nie było do niczego potrzebne. To nie miało nic wspólnego z moim heroicznym, romantycznym i szalonym nastrojem tej nocy.

Z młodzieńczym entuzjazmem Moco malował jej na szybach penisy, a Manu rysował swoimi kluczami po karoserii, obaj świetnie się bawili. Jeden z nich – nie pamiętam który – napisał jej na drzwiach od strony kierowcy SUKA.

Bez wątpienia najbezpieczniej by było nigdzie dalej nie iść i zwiewać jak najszybciej. Ale ja nie byłem zainteresowany bezpieczeństwem. Dla mnie to była akcja w imię miłości.

– Musimy wejść do domu – szepnąłem.

– Po co? – zapytał Manu.

– Powinniśmy coś porozwalać w środku.

– Mnie jest niedobrze – rzucił Beto, który stał w rogu cały zielony na twarzy.

– No to puść pawia tutaj, kurde – rzucił Moco. – Przecież jesteśmy wandalami.

– Tu nie dam rady. Potrzebuję toalety.

– Wchodzenie jest ryzykowne – stwierdził Manu, który teraz sprayem Moco malował na karoserii cycki i dupy.

Cały czas szeptem, ale wyraźnie wkurzony, zaprotestowałem:

– Ryzykowne? Rozwalamy jej auto! Co może być ryzykowniejsze?

– Tu ma rację – poparł mnie Moco, zawsze gotów pakować się w jakąś aferę.

– Źle się czuuuję – jęczał Beto.

– Kurwa! – wściekł się Manu. Chyba nie mógł znieść tego, że nagle nasza trójka jest od niego śmielsza. – Niepotrzebnie was tu brałem. Dobra, dobra. Wchodzimy.

Próbowaliśmy otworzyć drzwi z metalu i szkła, ale oczywiście były zamknięte na klucz. Obeszliśmy dom, ale nie znaleźliśmy innego wejścia. Przyszło nam do głowy, żeby wyjąć szyby z okienka w łazience i dostać się tamtędy, ale nie było jak otworzyć go na zewnątrz, a wpychanie szkła do środka narobiłoby za dużo hałasu. Rozglądaliśmy się, Beto sprawiał wrażenie, że w każdej chwili może zwrócić na nas pizzę, którą jadł na kolację:

– Łazienkiii...

– To jakiś odpał – warknął Manu. – Zwijajmy się stąd.

– Przynajmniej daj mi pomalować trochę po ścianach – poprosił Moco.

- Nie, już starczy. Zwijamy się.
- Pójdę, jak mi się będzie chciało. Dawaj ten spray.
- Moco, nie rób z siebie durnia! Wszystkich narażasz.
- Dawaj mi ten spray, cholera!

Moco próbował wyrwać mu puszkę, ale Manu stawiał opór. Szarpali się. Moco wyrwał mu spray z ręki i przypadkiem rąbnął łokciem w jedną z szyb w drzwiach. To było małe kwadratowe okienko, raptem dwadzieścia centymetrów wysokości. Jednak w panującej ciszy zabrzmiało to jak zderzenie pociągów.

Na chwilę, która zdawała się trwać wieki, wstrzymaliśmy oddech.

Nawet Beto przestał mieć mdłości.

Ostatecznie jednak nic się nie stało.

- Spadamy - rzucił Manu.

Ja też pomyślałem, że to chyba najlepszy pomysł. Że sprawy zaszły już za daleko. I możliwe, że gdyby Beto był w stanie mówić, powiedziałby to samo. Podejrzewam jednak, że za bardzo roznosiła nas ekscytacja i że tak naprawdę w głębi duszy chcieliśmy brnąć dalej. A przede wszystkim Moco był zupełnie nie do opanowania:

- Poczekajcie! - zawołał.

Ostrożnie, żeby się nie pokaleczyć odłamkami szkła, wsadził rękę przez wybitą dziurę. Trochę się nakombinował, ale w końcu sięgnął do klamki i poruszył nią.

Drzwi uchyliły się cicho, bez żadnego skrzypnięcia, dyskretnie zapraszając nas do środka. Wciąż jednak nie mogliśmy się zdecydować. Popatrzyłem na Moco, a on patrzył na Manu, ten z kolei zaś patrzył na mnie. I nagle z podłogi dobiegł nas głos Beto:

- Łazienki...

Wszedł do środka prawie bez namysłu, a my za nim. Znaleźliśmy się w obszernym salonie. Obok była kuchnia i inne drzwi. Otworzyliśmy je, przekonani, że to łazienka, ale w środku panowała tylko ciemność. Zawróciliśmy i ruszyliśmy drogą, której najbardziej się baliśmy: schodami do góry.

Stopnie trzeszczały pod naszymi stopami, jakby się miały zapaść. Nie umiałem określić, czy huk, który słyszałem, to krew pulsująca mi w skroniach, czy niezdarne kroki Beto, odbijającego się od ścian. Na górze, przy korytarzyku, znajdowały się trzy pary drzwi, bez wątpienia sypialnie i łazienka. Poszliśmy tam.

– A teraz co?

– Musimy otworzyć te drzwi. Będzie gorzej, jak Beto zrzyga się tutaj.

– Łazienki...

– Kto otwiera?

Zrobiłem krok do przodu i chwyciłem za klamkę. Czułem, jak za mną czas zastyga w sercach moich kumpli. Najdyskretniej jak umiałem, uchyliłem drzwi, powolutku.

I tam była ona.

Pamela spała odkryta, pościel zwinęła się w kupkę u jej stóp. Całą ścianę miała obklejoną plakatami z Bon Jovi. Na nogach grube getry z postaciami, których za bardzo w mroku nie widziałem, i chyba flanelową koszulę nocną z Hello Kitty. Leżała tam, z lekko przechyloną głową, i stanowiła najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek miałem przed oczami. Wszedłem do środka.

– Carlos! – usłyszałem za sobą Beto. – Carlos!

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – usłyszałem Manu.

– Odbiło ci? – to Moco.

Tak, odbiło.

A może po prostu mnie poniosło. Nagle otaczający mnie szorstki świat zmieniał się w delikatny pejzaż z miękkimi portretami Hello Kitty. Kwaśny deszcz spadający na mnie przez cały dzień przeobraził się w kaskadę kwiatowych płatków. I droga przez pustynię, jaką było moje życie, stała się teraz ścieżką usłaną różami, prowadzącą do łóżka Pameli.

Podszedłem do niej i przyklęknąłem. Pogłaskałem delikatnie włosy opadające jej na twarz. Podziwiałem rysy jej twarzy. Czas się

zatrzymał. Książę, który zbudził królową Śnieżkę, musiał się wtedy czuć dokładnie jak ja.

– Pamelu – wyszeptalem. I ucałowałem mały i delikatny płatek jej ucha.

Powoli otworzyła oczy. Kiedy skupiła na mnie spojrzenie, jej powieki otworzyły się szeroko. Naprawdę szeroko.

– Carlos? Co ty tu robisz?

Tam na zewnątrz, w prawdziwym świecie, coś głośno zahuczało na schodach. Pamela spojrziała w ich stronę:

– Co się dzieje?

– Nic. Niczego się nie obawiaj.

– Co?

– Kocham cię, Pamelu.

Na dole trzasnęły drzwi. I dobiegły nas głosy. Z początku mogłem jeszcze uznać, że to wiatr czy coś takiego. Ale potem głosy dało się słyszeć wyraźnie. Pamela usiadła na łóżku. Odsunęła się ode mnie i przywarła plecami do ściany.

– Kto tam jest?

– Nikt. Pewnie twoja matka ogląda telewizję.

– Jak się tu dostałeś?

– Przyleciałem. Na latającym dywanie.

– Carlos, jeśli mama cię tu znajdzie, zadzwoni na policję.

– Dlatego chciałem przyjść. Żebyś wiedziała, że nic mnie nie obchodzi. Chcę być tylko z tobą.

Jej spojrzenie złagodniało. Potrząsnęła włosami i pogłaskała mnie po głowie. Ja wciąż klęczałem u jej łóżka i wyglądałem jak wierny pies przed swą panią. Tak naprawdę tym właśnie byłem.

– Jesteś niesamowity, Carlos. Ty też bardzo mi się podobasz. Ale musisz iść.

– Kochasz mnie?

Uśmiechnęła się tak, że uczucia miała wypisane na twarzy. Schlebiało jej, że tam przyszedłem, i była we mnie zakochana,

w każdym razie tyle widziałem w półmroku tego pokoju, gdzie w sumie tak za wiele to nie było widać. Miałem coś odpowiedzieć, kiedy na dole rozległ się hałas, jakby ktoś rzucał słuchawką od telefonu.

- Co się dzieje? – przestraszyła się nagle.
- Zostawiłem otwarte drzwi. Pewnie wiatr je zatrzasał.
- To sprawdźmy.
- Nie!
- Jakiś złodziej mógł wejść za tobą. Albo z tobą.
- Jeśli twoja matka mnie tu zobaczy, to mnie zabije.
- Wiedziałeś przecież o tym, jak tu wchodziłeś.

Zrobiła się chłodna. Przeczynała coś, pewnie coś strasznego. Te wszystkie hałasy tych kretyków na dole kompletnie rozwalają moją scenę miłosną. Pomyślałem, że powinienem być przyjść tu sam.

- Tak – odparłem.
- No to chodźmy sprawdzić.

Próbowałem wymyślić jakąś wymówkę, coś, co by temu zapobiegło. Ale na moje usta cisnęła się tylko jedna odpowiedź.

- Jasne, Pamelu. Chodźmy.



# Manu

Kurde, no przecież byliśmy włamywaczami, stary. Przestępcami. Agresorami. Po cholere komuś takiemu kibiel, żeby puścić pawia? Czego jeszcze potrzebował? Chusteczek odświeżających?

Zawsze to powtarzałem i będę powtarzał: tamci trzej to była banda idiotów. Większych przygłupów ze świecą szukać. Łby mieli bardziej dziurawe niż sito.

Ja też nie byłem w najwyższej formie, przyznaję. Wypiliśmy za dużo whisky jak na nasze przyzwyczajenia. Ale przynajmniej wiedziałem, czego chcę. Tamci trzej idioci nawet nie wysłuchali mojego planu.

Plan polegał na tym, żeby nabazgrać jej na drzwiach. Albo w razie czego po aucie. Najwyżej obrzucić kamieniami okna. Szybkie i proste. Ale nikt nie słucha dowódców. Nie ma poczucia hierarchii. Dlatego ten kraj jest, jaki jest.

I potem ten Carlos wchodzi tam i znika. Włazi do pokoju i nie odpowiada na nasze wołania. Co to miało znaczyć? W armii rozstrzelaliby go za dezercję. Sam bym to zrobił, tam na miejscu, tyle że za głośno by było. Poza tym Beto zrobił się już totalnie zielony na gębie. A paw na tych schodach byłby tak samo głośny jak rozstrzelanie.

– Co teraz? – zapytał Moco.

– Zamknij drzwi. Ostrożnie. Żeby tylko Carlos nie zaczął hałasować.

– Szukamy kibla?

– Następne drzwi, które otworzymy, mogą prowadzić do sypialni Pringlin.

– No to co robimy?

– Spadamy stąd, debilu! Złazimy schodami i w nogi.

– Łazienkiiii... – dobiegło nas znów to samo wołanie.

Żołądek Beto musiał poczekać. Złapaliśmy go pod rękę i zaczęliśmy schodzić schodami. Z tego podenerwowania i obciążeni, potknęliśmy się i spadliśmy w dół. Runęliśmy wszyscy trzej na dywan, który wcale nie zamortyzował naszej katastrofy.

– Kurwa mać, wszystko robicie nie tak! – wściekłem się.

– A ty co? Za dowódcę się uważasz? – odparował Moco.

– To może ty chcesz tu rządzić, debilu?

– A ciebie to niby kto mianował, zasrańcu?

Kłóciliśmy się tam szeptem, a tymczasem Beto wstał jak zombi wychodzący z grobu. Z boku, za ścianką i wieszakiem, którego wcześniej nie zauważyliśmy, była łazienka. Wdarł się do niej niezdarnie, zahaczając o ręczniki i umywalkę. Weszliśmy za nim po cichu i zamknęliśmy drzwi. Wreszcie znalazł to, o co dopraszał się od dwudziestu minut. Jakby się modlił, klęknął przed kibelem, podniósł klapę i wsadził tam głowę.

– Streszczaj się, cholera! – popędzałem go, podczas gdy on zwracał coś, co wyglądało na pieczarki i szynkę. – Musimy się zbierać!

– Myślisz, że narobiłbym za dużo hałasu, jakbym stłukł to lustro? – zapytał Moco, wciąż skupiony na akcji. – W końcu niczego jeszcze w środku nie rozwaliliśmy.

– Jesteście bandą przymułów.

– Przepraszam! – jęknął Beto w przerwie między torsjami. – Następnym razem bardziej się postaram.

– Nie będzie następnego razu, idioto.

I wtedy rozległ się ten głos. Doskonale go pamiętam, jakbym wciąż tam był. Jakby się ziemia rozsunała i otworzyło piekło. A nawet gorzej, bo głos był lodowaty. Pozbawiony emocji, uczuć, nawykły do zła:

– Tego może być pan pewien, panie Battaglia.

Panna Pringlin otworzyła drzwi swoją kościstą i stanowczą ręką, owinięta w szlafrok, który przypominał całun, a jej oczy świeciły jak miotacz płomieni. Nie zdziwiłem się. Przecież od dłuższej chwili robiliśmy tyle hałasu, że trudno, by się nie zbudziła, ona i cała dzielnica, jakbyśmy przez cały dzień, cały rok, nie walili samobójczo głowami o beton jej władzy. Nie zdziwiłem się ani nie wystraszyłem. Natomiast bardzo się wściekłem. Jedyne, co z siebie wydusiłem, to:

– Kurwa.

## Moco

– Kurwa.

Tylko tyle z siebie wydusiłem.

Ale wcale się nie wystraszyłem, żeby było jasne. Tylko wkurzyłem się. Wszystko poszło nie tak. Zupełnie inaczej niż w kinie czy telewizji. Na ekranie plany zawsze przebiegają jak trzeba. Jak na przykład te Hannibala w *Drużynie A*.

– Co wy tu robicie? – zapytała.

Głos miała stanowczy, ale taki kinoman jak ja bez trudu rozpoznaje emocje po oczach.

Ta kobieta się bała.

Widziałem tysiące filmów grozy w rodzaju *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną* czy *Piątku, trzynastego*. Zawsze jest tam jakaś dziewczyna, która traci dziewictwo, a potem zostaje zamordowana. I jej wzrok, kiedy nóż zbliża się do jej brzucha, jest taki sam jak wzrok panny Pringlin tamtej nocy.

Beto się odwrócił. Wciąż klęczał nad muszlą. Oczy mu się zapadły, twarz miał zieloną, a spojrzenie szare. Powiedział:

– Skorzystałem z pani łazienki. Mam nadzieję, że się pani nie pogniewa.

Wydaje mi się, że dopiero wtedy zauważyła jego obecność. Obecność Beto i jego treści żołądkowych, połowa w klozecie, połowa na podłodze.

– Nie ruszajcie się – rozkazała. – Dzwonię na policję.

Pomyślałem o moim starym. Skoro nawet z domu nie wychodzi, to do poprawczaka też się nie wybierze z wizytą. Może nawet się nie

dowie, że mnie zatrzymano. Będzie wiądl w tym swoim pokoju, żywiąc się samym alkoholem, aż zmieni się w kosmiczny pył.

Kto się nim zajmie?

Kto mu będzie dostarczał puszek z tuńczykiem i mleka w proszku?

Kto będzie handlował filmami porno, żeby mieć z czego płacić rachunki?

– Panno Pringlin, proszę – powiedziałem najwolniej jak umiałem, żeby się przekonała, że nie przychodzę ze złymi zamiarami. – Musimy porozmawiać.

Parsknęła jak te obraźliwe konie z *Księcia przyłyków* (tego filmu dla bab).

– Nie sądzę – odpowiedziała.

Podeszła do telefonu i zaczęła wykręcać numer. Tarcza obracała się z przerażającą powolnością, terkocząc, jakby ktoś ciągnął łańcuchy. Popatrzyłem na Beto, który teraz chlipał, jego wymioty mieszały się ze smarkami. On niczego nie zrobi, to jasne. On się poddał. Szturchnąłem łokciem Manu, który stał tam sparaliżowany jak figura woskowa. Potem oczywiście będzie powtarzał, jak zawsze, że to on się wszystkim zajął. Ale w tamtej chwili nawet się nie ruszał.

A ja pomyślałem o matce.

Gdyby się wpakował w jakieś kłopoty, musisz się nim zająć, dobrze?

I przypomniały mi się ciotki, które ciągle powtarzały, że nasz dom tak naprawdę należał do matki. Jeśli ja w nim nie będę mieszkał – na przykład mnie przytkną – są w stanie wykopać mojego ojca. A nie może przecież skończyć pod mostem!

Przypomniał mi się pistolet Manu.

Nie wiedziałem, co to za marka czy model. Nawet nie wiedziałem, czy w przypadku broni mówi się o „markach” i „modelach”, jak w przypadku samochodów. Ale wiedziałem jedno: to był pistolet, z którego Indiana Jones strzela do faszystów w *Poszukiwaczach zaginionej Arki*.

To był pistolet dobrych.

Panna Pringlin wybrała kolejną cyfrę. Tym razem tarcza telefonu zrobiła krótszy obrót. Czy policja ma zwykły numer? Czy to jeden z tych trzycyfrowych? Bo jeśli tak, to nie mieliśmy już czasu.

– Panno Pringlin, proszę – błagałem.

Naprawdę ją błagałem. Nie zrobiłem tego, co zrobiłem, nie wypróbowałem wcześniej innych metod.

– Zamilcz, Risueño. Powiedział pan już wszystko, co miał do powiedzenia.

Beto jęknął za moimi plecami. Niemal słyszałem walenie serca Manu obok mnie. Jeśli ja tego nie zrobię, nie zrobi tego nikt.

Szybko sięgnąłem za plecy Manu i wyjąłem mu z ręki pistolet. Wycelowałem go w pannę Pringlin, muszka znalazła się między moim okiem a jej czołem. Położyłem palec na spuście. Oglądanie filmów bardzo się do takich rzeczy przydaje.

– Odłóż słuchawkę, stara krowo. Teraz my tu rządzymy.

## Beto

Tak powiedział Moco. Albo Manu. Nie pamiętam kto, ale ktoś mierzył do Pringlinowej i powiedział:

– Teraz my tu rządząmy.

A ja znów zwymiotowałem.

## Carlos

- Pamelu, poczekaj.
- Co jest?
- Chcesz tak zejść?
- Znaczą jak?
- Możesz się przeziębć. Jest zima, lipiec. Okryj się czymś.
- Okryć się?
- Pokaż, co masz w szafie... Ta kurtka się nada. I buty.
- Po co buty?
- Jeśli wszedł włamywacz, będziesz musiała biec, nie? Nie chcę tu krakać, ale lepiej coś na siebie załóż. Te nie. Tenisówki lepiej.
- Tak dobrze?
- Bardzo dobrze. Ślicznie wyglądasz. Jesteś śliczna.
- Idziemy.
- No, ale nic już nie słyhać. Po co mamy schodzić?
- Nie słyszysz? Szkło. Coś się stłukło na dole.
- Niczego nie słyszę.
- To sama zejde!
- Ćśśś! Obudzisz matkę. Chcesz, żeby mnie tu przyłapała?
- Co?
- Chcesz, żeby mnie tu zobaczyła, prawda? I żeby mnie wywalili ze szkoły. Dlaczego? Nie lubisz już mnie?
- Carlos, o czym ty, do cholery, gadasz?
- Teraz do mnie bluzgasz. No super. Mam znosić bluzgi. Powinnaś wiedzieć, że ja...
- Carlos, ja schodzę. Jak chcesz tu tak stać i gadać, to proszę. Ja idę.
- No, ale tak chcesz zejść?



# Manu

Musiałem wyjąć browninga, stary.

Nie chciałem, ale musiałem. Ta wiedźma zrobiła się niebezpieczna, ten cały telefon i policja. Jakim prawem chciała dzwonić po gliny? Co my, jacyś przestępcy niby jesteśmy? Przecież nie weszliśmy do środka, żeby kraść. Ani ją zgwałcić!

Błę, zgwałcić ją. Ohyda, stary.

Nawet się nad tym nie zastanawiałem. Nad wyciąganiem pistoletu. Po prostu tak wyszło. Tak jak kiedy hamujesz samochód, żeby nie przejechać psa, albo zasłaniasz się ręką przed ciosem. Ale to wszystko zmieniło. Kiedy pojawiła się broń i lufa została wycelowana w pierś panny Pringlin, atmosfera wokół nas totalnie się zmieniła. Powietrze zrobiło się gęste.

– Odłóż tę słuchawkę, stara krowo. Teraz my tu rządzymy.

– Co ty wyprawiasz, Battaglia? – próbowała mówić tak, jakby kontrolowała sytuację, ale czuliśmy jej strach, jak psy, choć mieszał się z naszym. – Nie pogarszaj sytuacji.

Moco i Beto wyglądali na jeszcze bardziej przestraszonych. Musiałem pokazać, że nad wszystkim panuję.

– Co tam jest obok kuchni? – zapytałem ją. – Tamto ciemne pomieszczenie?

– Piwniczka – odpowiedziała. – W trakcie remontu.

Szybko spojrzała w bok, szacowała, ile czasu potrzebuje, żeby dobiec do drzwi. Albo do schodów. Przypomniało mi się, że na górze też ktoś jest. Trzeba było zachować ostrożność.

– Idziemy tam – rzuciłem. – I żadnych niespodzianek albo rozwałę ci łeb. Uwierz mi: ręka mi nie zadrży. Lepiej nie kusić.

Mój głos nabrał władczości, jakiej nigdy wcześniej ani nigdy później nie miał. To niesamowite, co taki browning może zrobić z człowiekiem, wiesz, szwagier?

Powoli przeszliśmy przez salon w stronę ciemnego pomieszczenia. Kazałem Moco iść przodem i otworzyć drzwi. Po drodze potknął się o dywan i przewrócił flakon na stole.

- Możesz trochę uważać, idioto?
- To jej wina! Kto stawia flakon tak w przejściu?
- Cicho bądź. Idź i zapal światło w piwniczce.
- Stara krowa – rzucił Moco do Pringlin.
- Głuchy jesteś? – pogoniłem go, wymachując pistoletem w powietrzu, jakbym przypominał, że go mam.

Moco zamilkł posłusznie i podszedł do drzwi obok kuchni. Włączył światło. Za drzwiami widać było prowadzące w dół schodki bez poręczy. Gestem dałem Moco znać, żeby ruszył przodem. Pringlinowa za nim. Ja za nią z bronią wycelowaną w jej kark. Beto zabezpieczał tyły, choć bez przerwy tylko powtarzał:

- Uważam, że to błąd. Nie powinniśmy tego robić.
- Ta cała piwniczka okazała się pomieszczeniem wielkości jakichś trzydziestu metrów kwadratowych, w dość opłakanym stanie. Ściany z gołych cegieł. Na schodach leżały worki z cementem. Jedyne światło dawała goła żarówka u sufitu.
- Co tu macie? – zapytałem nauczycielkę, nie spuszczając z niej broni.
  - Budujemy pokój dla gości – odpowiedziała. – Czasami przyjeżdża moja rodzina z Pacasmayo.
  - Naprawdę ktoś chce panią odwiedzać?
  - Battaglia, ty nie masz pojęcia, w co się pakujesz. Opuść sobie, zanim...
  - Morda w kubel – odparowałem.
- Mocne odżywki zaczynały wchodzić mi w krew.

Ustawiliśmy pannę Pringlin pod ścianą. Nasza trójka stanęła przed nią. Ja pośrodku, celowałem w nią teraz, trzymając broń oburącz, ramiona wyciągnięte, a na końcu błyszczący metal. Wciąż uważam, że to była wielka chwila. Wiele lat minęło od tamtego dnia, ale życie nie bywa już tak emocjonujące. Ta rozczochrana kobieta w szlafroku, z błyskiem paniki w oczach, uosabiała wielki triumf, na który wszyscy czekaliśmy. Cieszyliśmy się tą chwilą w milczeniu. Dopóki Beto, jak zwykle, nie zepsuł wszystkiego trzema raptem słowami:

– I teraz co?

## Moco

– Zabijemy ją.

Spontanicznie mi to wyszło. Serio. Słowa popłynęły mi z głębi serca albo wątroby czy innego organu, który produkuje lepkie i obleśne płyny.

Jak smocza ślina w *Starciu tytanów*. Albo ten potworny robal z [REC] 4.

Ta baba zasłużyła na to, bo chciała mnie rozdzielić z ojcem. Poza tym było to praktyczne rozwiązanie: przecież nie możemy jej teraz po prostu puścić i udawać, że nic nie zaszło. Może trzeba by negocjować? Nie. Jedyne wyjście to usunąć wszystkie ślady tego, co zaszło tej nocy, a głównym była ona sama.

– Strzał. W kark. I zakopujemy ciało w ogrodzie – uściśliłem.

Manu zastanawiał się nad moimi słowami, nie spuszczać oczu z zakładniczki, bledszej niż kiedykolwiek, jakbyśmy już ją ukatrupili. W końcu zapytał:

– Jak to zrobimy?

– Mamy broń, nie? – stwierdziłem. – Użyjemy jej.

Wciąż trzymałem pistolet w dłoni.

Czułem, jak mnie pali.

– Zdurniałeś? – odparował Manu. – Czego ty chcesz, żeby nas cała dzielnica usłyszała?

– Racja. Tłumika nie masz? Można taki kupić w supermarkecie?

Zdaliśmy sobie sprawę, że gapi się na nas Beto, prawie tak samo blady jak panna Pringlin. Drżącym głosem – tyle że przez ostatnią godzinę cały czas taki miał – powiedział:

– Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, co wygadujecie?

– A co mamy zrobić? – zaatakowałem. – Jeśli ją puścimy, będą nas gwałcić pod prysznicami w pierdłu.

– Jeśli ją zabijemy, tym bardziej, idioto!

– Możemy upozorować wypadek – zasugerował Manu.

– Naprawdę? Dostała przypadkowo kulkę podczas kąpieli? – Beto ewidentnie nie był nastawiony na współpracę.

– Możemy ją udusić poduszką – zaproponowałem.

– Albo rozbić jej łeb i zepchnąć ze schodów – rzucił Manu.

Panna Pringlin słuchała naszej rozmowy, wodząc po nas oczami jak podczas meczu ping-ponga z udziałem trzech zawodników. Nagle, ku naszemu zaskoczeniu, wybuchnęła śmiechem. Nie bardzo głośnym, tylko tak pod nosem, kpiąco, a do tego zaczęła klaskać, jakby z sarkazmem.

– To taki teatrzyk – stwierdziła.

To nam przywróciło czujność. Każdy jej ruch mógł oznaczać zagrożenie.

– Że co? – zapytałem.

– Chcecie mnie nastraszyć tym przedstawieniem, żebym cofnęła wam kary – powiedziała. – Ładna próba, ale kopiecie własny grób. I im bardziej próbujecie się wydostać, tym głębiej się zapadacie.

Być może w tamtej chwili panna Pringlin mogła się uratować. Gdyby tylko wykazała się większą uprzejmością i ugodowością – albo gdyby nie użyła słowa „grób” – historia mogłaby się potoczyć inaczej. Być może na tym etapie odrobina pokory z jej strony skłoniłaby nas do refleksji, do namysłu, że to przecież w końcu istota ludzka. Moglibyśmy zadowolić się tym, że ją porządnie nastraszyliśmy. Być może.

Zmusiła nas jednak, by dalej w to brnąć. Skoro teraz o tym wszystkim opowiadamy i rejestrujemy taką jakby oficjalną wersję wydarzeń, chciałbym to wyraźnie zaznaczyć. Niech to będzie jasne, że wszystko stało się z jej winy. Głupia suka.

– Mamy ci pokazać, do czego jesteśmy zdolni, krowo? Chcesz się przekonać? – zapytałem.

Byłem wściekły, ale nie podnosiłem głosu. Cała ta rozmowa toczyła się półgłosem i ostrożnie. Choć znajdowaliśmy się w podziemiu i za zamkniętymi drzwiami, wciąż rozmawialiśmy szeptem.

– Posłuchajcie – uciął dyskusję Beto – nie musimy o niczym teraz decydować. Zrobimy tak: zakneblujemy pannę Pringlin i przywiążemy ją do krzesła. I potem spokojnie pomyślimy, co dalej. Może tak być?

Wymieniliśmy z Manu spojrzenia.

Pringlinowa przywiązana do krzesła i z zatkanymi ustami, bez szans na ucieczkę.

Przez głowę przeleciały mi te wszystkie sceny z filmów typu *snuff*, dokumentalnych nagrań ze skrępowanymi i zakneblowanymi kobietami, bitymi aż do śmierci, dla czystej rozrywki.

Generalnie rzecz biorąc, obiecująco to brzmiało.

# Beto

Zyskać na czasie.

Nawet dziś, kiedy kłóczę się z aktualnymi partnerami, padają pod moim adresem zarzuty, że jestem za bardzo wyrachowany. Mówią mi, że próbuję ich zmiękczyć i gram na zwłokę, żeby obmyślić, co właściwie zrobić. Taki mam temperament. Staram się unikać konfrontacji. Nie walczę. Często nawet uchylam się od rozmowy o rozstaniu. Zdarzało mi się zrywać przez WhatsAppa, po to tylko, żeby nie musieć wysłuchiwać wymówek. Jak kochanek Barretta z *Królowej Śniegu* Michaela Cunninghama. A potem nie odpowiadam na telefony ani mejle. Dopóki tamta osoba nie wymaże się z mojego świata.

Taki jestem. I to niedobrze. W normalnym życiu nie powinno się unikać decyzji. To nie w porządku odkładać konfrontacje, dopóki wszystko nie rozejdzie się po kościach.

No, ale jak siedzisz w piwnicy z dwoma psychopatami, to najlepsze, co możesz zrobić.

Trzeba było poczekać na Carlosa.

Carlos był jedynym z tej bandy, który myślał głową, a nie fiutem albo pistoletem. Razem mogliśmy okazać się przeciwwagą dla tamtych dwóch, bo im odbiło już kompletnie.

– Potrzebujemy tylko sznura – powiedziałem, starając się, aby mój głos zabrzmiał normalnie, jakbym organizował piknik – okej? Sznura i jakiejś ściereki z kuchni. Ja przyniosę. Ale dopóki nie wrócę, niczego nie róbcie, jasne?

– Uhm – burknął Manu, co należało rozumieć mniej więcej jako „tak”.

– No – rzucił ten drugi i to miało znaczyć to samo.

Nowy niepokój załagał się w mojej głowie: nie za rozsądnie będzie zostawić Manu i Moco sam na sam z Pringlinową.

Alkohol całkowicie ze mnie wyparował. Nagle zacząłem myśleć bardzo szybko i bardzo jasno. Stać mnie było nawet na władczy ton, jak na przykład kiedy wydałem polecenie:

– Moco, chodź ze mną.

– Moco nigdzie nie idzie – zaprotestował Manu, nie spuszczać oczu z nauczycielki.

– Muszę poszukać tych rzeczy – tłumaczyłem. – Sam mam grzebać po całym domu?

– Pringlin – zapytał Manu. – Gdzie masz sznur i szmaty?

– Teraz chcesz, żebym ci jeszcze pomagała, Battaglia? Na mnie nie licz, koleżko.

– Gadaj, ale to już!

– Bo co? Zabijesz mnie?

Manu zawahał się przez moment. Ledwie zauważalnie, ale ja to dostrzegłem. Starał się emanować męskością i strugać dowódcę, ale w środku dygotał jak zmokły kurczak. Inna sprawa, że rzeczywiście umiał się szybko pozbierać. Spojrzał na Moco i skinieniem głowy kazał mu podejść do Pringlinowej.

Moco usłuchał i powoli przysunął się pod ścianę jak jakiś robak. On też starał się zapanować nad własnym lękiem, a kiedy zdałem sobie z tego sprawę, poczułem ulgę. Miałem nadzieję, że jeśli damy sobie trochę czasu, ci dwaj dobrze się jeszcze zastanowią i zmienią zdanie.

– Odpowiadaj, Pringlin – ponaglił ją Moco tonem, jakim w filmach prowadzi się przesłuchania.

Gdy tak o tym dzisiaj myślę, to już rozumiem, że dojrzewanie to taki okres w życiu, kiedy całe twoje doświadczenie i wiedza pochodzą z filmów. Zwłaszcza jeśli jesteś Moco.

– Nie rozśmieszaj mnie, Risueño – odpowiedziała mu. – Jeśli chcesz komuś rozkazywać, to zacznij od swojego ojca, przyda mu się



trochę dyscypliny.

Tępe babsko.

Największą przeszkodą w ratowaniu Pringlinowej była ona sama i ta jej duma.

Wzmianka o ojcu wywołała zmianę na twarzy Moco. Zrobił się tak czerwony, że nie dało się odróżnić jego skóry od pryszczu. Przez moment się wahał.

Najpierw wyciągnął jeden palec, jakby chciał jej palnąć kazanie.

Potem zacisnął dłoń w pięść i zawiesił ją w powietrzu.

Wreszcie uniósł stopę i przydeptał swoim ortopedycznym butem jej wełnianego kapcia, z taką siłą, że aż mnie zabołało.

W obawie przed reakcją nauczycielki Moco odskoczył do tyłu, jakby wsadził rękę w mrowisko. Ona stała bez ruchu. Twarz wykrzywił jej grymas bólu. Wściekłość zabarwiła policzki. Ale nawet nie krzyknęła. Nie zamierzała okazać najmniejszej słabości. Choć jak się teraz nad tym zastanawiam, to może po prostu nie chciała, żeby wmieszała się w to wszystko jej córka.

– Powiesz nam, gdzie jest sznur i szmaty, Pringlin? – zapytał Manu. Teraz znów panował nad sytuacją. – Następny cios już nie będzie nogą.

– Macie natychmiast przerwać te wygłupy – nie odpuszczała. – Tyle tylko wam powiem.

Moim kolegom oczy zaświeciły się z wściekłości. Mniejsza o sznur i szmaty. Wkurzało ich, że ona wciąż rozkazuje, że nawet pod ziemią trzyma wszystko w garści, mimo że jest w koszuli nocnej i ma broń wycelowaną w głowę, wciąż stara się nas upokorzyć.

Rozejrzałem się na boki w poszukiwaniu jakiegoś rozwiązania. Między workami cementu i narzędziami wypatrzyłem rolkę taśmy klejącej. To wystarczy, żeby ją uciszyć, a tym samym uratować. Wziąłem tę rolkę.

– Manu! – zawołałem i rzuciłem mu taśmę.

Manu przyjrzał się jej z zainteresowaniem, miałem nadzieję, że też z ulgą.

– Moco, zaklej jej gębę – rozkazał. – A ty, Beto, przynieś krzesło. Będzie potrzebne.

Wdrapałem się po schodach i na paluszkach wyszedłem z piwnicy, zachowując wielką ostrożność. Stapałem po dywanie tak, by nie było słychać kroków. Staralem się tak podnieść krzesło, żeby nie zaszurało nogami. Te w salonie były drewniane, duże i ciężkie. Bardzo hałasowały i trudno je było przestawić. Postanowiłem poszukać czegoś w kuchni, tam pewnie będą mniejsze i plastikowe.

Zaczynała mi się podobać ta moja logistyczna misja. Myślałem sobie, że pamiętam o szczegółach, które innym umykają. Moco pewnie zrzuciłby na dół jakiś fotel. Ja natomiast rozważałem zasadność każdego ruchu i zastanawiałem nad korzyściami i mankamentami. Miałem analityczny umysł. I to stanowiło o mojej wartości w tej bandzie z nadwyżką testosteronu. Wreszcie moje umiejętności przydały się na coś innego niż zamykanie się w bibliotece podczas przerwy.

W każdym razie dopóki reszta się nie opamięta i to wszystko się nie skończy.

I rzeczywiście, w kuchni stały plastikowe krzesła, łatwiejsze w transporcie. Zobaczyłem je z salonu przez otwarte drzwi.

Ale kiedy już miałem przekroczyć próg, dumny z własnego sprytu, zapaliło się światło. Ktoś wszedł do pokoju i mnie nakrył.

– A ty, do cholery, to kto? – zapytał głos.

A ja poczułem, że przeze mnie cała akcja wzięła właśnie w łeb.

## Carlos

– A ty, do cholery, to kto? – warknęła Pamela.

Schodziłem za nią po schodach, mamrocząc pod nosem. Chciałem coś powiedzieć, zanim odezwie się Beto, choć nie wiedziałem co.

– Pa... Pamelo... Tylko spokojnie... On...

– Beto jestem – odezwał się Beto, który stał jak wryty przy drzwiach kuchennych.

W końcu mnie olśniło i zdołałem wydusić:

– Oni mi pomogli się tu dostać. To... to przyjaciel.

Obok nas w salonie na dywanie leżały skorupy stłuczonego wazonu jaskrawo domagające się wyjaśnień. Pamela spojrzała w ich stronę, a potem znów na Beto:

– Przepraszam – powiedział. – To nie ja. Bo twoja mama zeszła i...

Przerwał raptownie. Od początku był bardzo blady, ale teraz zrobił się zupełnie jak ściana: biały i płaski.

– Mama zeszła na dół? – przestraszyła się Pamela. Próbowałem ją objąć, ale wyslizgnęła mi się z uścisku. – I zobaczyła cię tu?

Beto popatrzył na nią. Potem na mnie. I na flakon, na podłogę i drzwi. Wreszcie spuścił głowę i wymamrotał:

– Nie...

– No to co zrobiła?

– W łazience się schowałem, a ona wpadła na ten flakon, zaklęła „cholera” i wróciła na górę.

Mój kumpel wyrecytował to w tempie maszyny do pisania. Wtedy jeszcze używano takich maszyn. Wydawały odgłosy jak rechocząca czaszka. Tyle że się nie śmiał.

– Co tu się właściwie dzieje? – zapytała Pamela.

Usłyszeliśmy jakiś odgłos. Nie bardzo było wiadomo skąd. Jakieś uderzenie, a może coś spadło. Beto spojrzał w jedną stronę, potem w drugą. Sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, jak wisielcowi na stryczku. Teraz to ja musiałem się odezwać:

– Pamelu, ufasz... ufasz mi?

Wbiła we mnie wzrok. Przez chwilę myślałem, że boi się o siebie. Jakbym miał jej zrobić jakąś krzywdę. Jakbym był w stanie skrzywdzić kogokolwiek.

– Tu się dzieje coś bardzo dziwnego – stwierdziła. – I ty mi nie chcesz powiedzieć co.

Gdzieś otworzyły się jakieś drzwi. Na górze?

Wy tłumaczyłem sobie, że to nie z naszej winy.

Jakieś tam drzwi. Same się zatrzęsły.

– Chcesz być ze mną, Pamelu? Mimo wszystko? Za wszelką cenę?

Teraz już oboje dostaliśmy gęsiej skórki. Złapała mnie za dłonie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Może nabrała podejrzeń, że słowa, niezależnie od okoliczności, mogą nam tylko przysporzyć problemów.

Obróciła się w moją stronę i zrobiła coś, czego w ogóle się nie spodziewałem: pocałowała mnie.

Nie był to pocałunek z języczkiem, ale, owszem, intensywny i prosto w usta. Taki, który mówi: „Nieważne, co będzie ze mną. Liczysz się tylko ty”.

– Proszę, idźcie już – dodała.

– Wracaj na górę – powiedziałem. – I odwróć jakoś uwagę matki, gdyby znów wyszła z sypialni.

Przytaknęła. Zanim wróciła na schody, znów ją pocałowałem. Tym razem wsunąłem jej delikatnie język między wargi. Moje serce wariowało jak malakser.

Trzymaliśmy się za ręce, aż znalazła się w połowie schodów, wtedy już ją puściłem. Zniknęła na piętrze i razem z Beto odetchnęliśmy

z ulgą. Było jednak za wcześnie, żeby się cieszyć. Nasze kłopoty dopiero się zaczynały.

Zapytałem Beto ruchem głowy, gdzie reszta. Pokazał mi drzwi przy kuchni. Nie miałem pojęcia, co tam jest.

Najpierw podszedłem do drzwi wyjściowych. Otworzyłem je i zamknąłem. Nie trzaskając, ale na tyle głośno, żeby to zabrzmiało, jakbyśmy wyszli. Potem na palcach poszliśmy w stronę piwniczki. Beto zaszedł do kuchni po krzesło. Ja też tam zajrzałem i zabrałem leżące koło telefonu ołówki i notatnik.

Przyszedł mi do głowy pomysł, który uratowałby nie tyle naszą akcję, ile Pamelę.

Nie pamiętam, czego się spodziewałem tam na dole, po zejściu ze schodków. Być może niczego. Ta noc przyniosła mi tyle niespodzianek, że mój umysł działał już w trybie automatycznym, na zasadzie bodziec – reakcja. Było mi wszystko jedno, czy zastanę tam trupa, czy potwora z bagien. Jedno czy drugie – i tak oznaczało problemy.

I być może lepszy byłby ten potwór z bagien niż to, co naprawdę zobaczyłem.

Panna Pringlin klęczała twarzą do ściany i wyglądało to tak, jakby została ukarana za złe zachowanie w klasie. Tyle że Moco i Manu nie przypominali nauczycieli, tylko psy stróżujące. Pierwszy z nich był wyraźnie podekscytowany, nerwowy i przy najmniejszym odgłosie z zewnątrz natychmiast obracał się w jego stronę. Drugi stał ze skrzyżowanymi rękami i pistoletem wetkniętym z przodu za pasek. Wodził tylko za nami wzrokiem.

– Gdzieś ty się, kurwa, podziewał? – zapytał Manu.

– Gdzie moja córka? – Pringlinowa piskliwie podniosła głos.

– Zamknij się, babo – warknął na nią Manu.

– Mam ją rąbnać, Manu? – zapytał Moco.

Manu zastanowił się chwilę, ale pokręcił przecząco głową.

Pomogłem Beto znieść krzesło tak, żeby nie obijać nogami o stopnie i worki. Potem on i Moco posadzili na nim naszą zakładniczkę, zakneblowali ją taśmą klejącą i zaczęli obwiązywać jej nogi.

– Pamela ma się dobrze – odpowiedziałem trochę moim kolegom, a trochę jej matce, choć przede wszystkim samemu sobie.

– „Pamela”? – zdziwił się Manu. – Znasz ją?

– To chyba ta dziewczyna, którą miał zaliczyć – stwierdził Beto, chichocząc, co w trakcie uprowadzenia podlegającego karze zgodnie z przepisami Kodeksu karnego zabrzmiało jeszcze idiotyczniej niż zwykle. Pringlinowa podskoczyła gwałtownie, co zmusiło Manu do sięgnięcia do pasa.

– To ta twoja laseczka jest tu teraz na górze, idioto? – zapytał. – Nie mogłeś sobie przygruchać jakiejś innej, tylko akurat córkę tej baby?

– Długo by wyjaśniać... – próbowałem się wtrącić.

– Ją też tu trzeba sprowadzić – rzucił Moco. – Najpóźniej rano pokapuje się, co się odwała, i będziemy mieli przesrane.

Nauczycielka zaczęła protestować, w każdym razie wydawała jakieś dźwięki przez zatkane usta. Moco przywiązał jej nogi do nóg krzesła, a Beto trzymał za ręce. Ale jeśli nie wyrwała się i nie pogoniła nas wszystkich, to przede wszystkim za sprawą Manu i jego zabaweczki za paskiem.

– Dwoje zakładników to już za duże ryzyko – odezwał się Beto. – Nie wiemy nawet, co począć z tą jedną.

– Ja tam wiem – powiedziałem. – Mam plan.

I po raz pierwszy tej nocy wszyscy spojrzeli na mnie z zainteresowaniem. Myślę, że w tej chwili nie mieliśmy jeszcze jednoznacznego przywódcy. Każdy, kto miał dobry pomysł, na pięć minut stawał się szefem.

## Manu

– „Pamelo, jestem na ciebie wściekła. Nie mam słów na to, co zrobiłaś. Zeszmaciłaś się”.

Carlos przestał dyktować. Zmarszczył brwi. Pokręcił głową. Nie był pewien, cienias. Ten jeden raz, kiedy miał jakiś pomysł, nie umiał go wcielić w życie. Poprawił się:

– Niech pani nie pisze o tym zeszmaceniu. Jak by to pani powiedziała? Jakich by pani użyła słów?

Z ustami zaklejonymi taśmą panna Pringlin wydała tylko kilka bulgotów. Brzmiało to tak, jakby protestowała. Trzymała w ręku długopis, ale jeszcze niczego nie napisała.

– Zerwać jej taśmę? – zapytał Moco. – Przy okazji wydepiluję jej wąsika za friko.

– Niczego nie zrywaj – powiedziałem, nie wypuszczając z dłoni browninga. – Lepiej niech się streszcza z tym pisaniem. Trzeba jej jak najszybciej skrępować znów ręce.

Carlos spojrział w dal, która w tej malutkiej piwniczce znajdowała się jakieś pół metra od jego nosa. Nabrał głęboko powietrza, jakby miało mu to pomóc w znalezieniu właściwych słów. I wrócił do dyktowania:

– „Pamelo, jestem na ciebie wściekła. Nie mam słów na to, czego się dopuściłaś. Ten chłopak nie jest na twoim poziomie, a ty sobie ze mnie zakpiłaś. Widziałam was razem dziś w nocy w moim własnym domu, pod moim nosem. Skoro uważasz się za tak dorosłą, żeby samodzielnie o wszystkim decydować, lepiej mieszkać sobie sama. Usuwam się z twojej drogi i na jakiś czas wyjeżdżam”.

Tym razem Pringlinowa wszystko grzecznie spisała.

Moco się podniecił. Przyszedł mu do głowy pomysł:

– Napisz: „Ten dom stał się za mały dla nas dwóch”.  
– Skąd ci się wzięło to zdanie? – zapytałem.  
– Z westernów.  
– Aha.  
– Hej! – ostrzegł nas Beto. – Ona celowo robi błędy ortograficzne. Chce dać znać, że została zmuszona!

Moco zaczął się kiwać i sapać jak jakaś małpa. Potrzebowaliśmy jednak spokoju i precyzji, zrobiłem więc coś lepszego: wyjąłem broń zza paska i przytknąłem jej lufę do skroni. Odciągnąłem spust z metalicznym zgrzytem. Teraz broń mogła wystrzelić od byle kichnięcia.

Kurwa, stary, to była chwila.

– Kobieto – szepnąłem jej cicho, tuż przy uchu i przy spuście pistoletu. – To cud, że jeszcze żyjesz. Ale jeden głupi numer i nie będziesz. Ryzykujesz nie tylko własną głową. Narażasz też swoją córkę. Ja jestem gotów na wszystko. I mogę okazać się dość szalony, kapujesz? Nawet bardzo szalony.

Po jej policzku ściekła kropla. Może potu. Może łza. Spod taśmy klejącej wydobył się zdławiony jęk. Przytaknęła. Wyrwała kartkę z notatnika. Ponownie napisała ten tekst.

– Ale to zabawne, co, Pringlin? – stwierdził Moco. – Teraz to my ci dyktujemy. He, he.

Nikt inny nie podzielał zdania, że to wszystko jest śmieszne. Pringlin w grobowej ciszy napisała wiadomość do końca i na mój znak Moco znów skrępował jej ręce. Beto i Carlos przyjrzeni się kartce, żeby się przekonać, czy wszystko jest w porządku. Oni się znali na pisaniu i takich tam.

– I co teraz? – zapytałem.

Nie miałem wątpliwości, że jakikolwiek by ten plan Carlosa był, okaże się gównem wartym. To nic osobistego. Po prostu on nie miał przestępczego mózgu. Jego pomysł nadawał się na jakiś kurs maszynopisania, a nie do akcji z użyciem przemocy.



Jakby na potwierdzenie moich obaw Beto pokręcił głową:

- Nie uwierzy w to.
- Uwierzy – upierał się Carlos.
- Słyszałem o rodzicach, którzy wywalają z domu swoje dzieci, ale nigdy o takich, co się sami wynoszą.
- Zawsze musi być ten pierwszy raz. Poza tym ja mogę pomóc. Musimy zabrać stąd Pamelę. Inaczej narazi nas wszystkich. Tylko jeśli się stąd wyniesie, będziemy mogli... będziemy...

Wszyscy spojrzeliśmy po sobie, szukając u siebie nawzajem dokończenia tego zdania. Ale że go nie znaleźliśmy, sam Carlos zmienił je w pytanie:

- Co my właściwie, kurde, zamierzamy zrobić?
- A może byśmy się trochę zabawili z twoją przyjaciółką, he, he? – zarechotał Moco, ale znów nikogo to nie rozbawiło.
- Muszę się zastanowić – powiedziałem. – Na razie trzeba się pozbyć tej dziewczyny.

Na dźwięk słowa „pozbyć” Pringlinowa podskoczyła na krześle.

Tyle mieliśmy szczegółów do ogarnięcia, że chwilami zapominałem, że wciąż tu jest.

Odwróciłem się w jej stronę i znów pokazałem broń, teraz miałem ją zatknąć za pasek na brzuchu. To wystarczyło, żeby się uspokoiła. A w każdym razie uciszyła. A ja zacząłem przechadzać się po piwnicy, tam i z powrotem, starając się wyglądać na pewnego siebie i zdecydowanego. Różne możliwości przelatywały mi przez głowę jak kule podczas strzelaniny, wszystkie zbyt szybkie i zbyt niebezpieczne.

I wtedy, jakby jeszcze było mało, pojawił się kolejny nieprzewidziany szczegół, jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

- Samochód – odezwał się Beto.

## Moco

– Że co?

Zapomnieliśmy o tym. Co chwilę wyskakiwała jakaś nowa rzecz do przemyślenia. Za dużo tego. Nawet jak na cztery głowy.

– Samochód – powtórzył Beto. – Porysowaliśmy mu przecież karoserię. I wymalowaliśmy fiuty na szybach.

– No, fiuty, he, he – roześmiałem się.

Zabawnie jest malować takie fiuty.

– Kurwa – zaklął Carlos.

– Kurwa – powtórzył Manu.

– Nie możemy zostawić takiej wiadomości na stole i samochodzie w garażu – zauważył Beto. – To by było bardzo dziwne.

– Dlaczego? – zapytałem. – Może Pringlinowa wyżyła się na swoim aucie i potem wyjechała. Albo przyszli jacyś wandalcy, pomalowali jej brykę, a potem Pringlin zwała z jednym z nich. Albo może...

Zrozumiałem, że nikt mnie nie słucha, może z wyjątkiem samej Pringlin, wciąż w kącie z kneblem w ustach. Więc zamknąłem się. To jakby rzucać perły przed wieprze. Jeśli moi koledzy nie mają wystarczająco wielkiej wyobraźni, żeby docenić moje plany, kij im w oko. Mogą się pałować.

Najbardziej spięty był Manu. Dzięki temu, że paradował z bronią i wydawał rozkazy, mógł to zamaskować, ale to on sam obwołał się szefem całej akcji, więc teraz musiał się wykazać. Zaciskał zęby, chodził nerwowo od ściany do ściany, minę miał spłoszoną i wydawał się bardziej przerażony niż gwiazdor porno bez viagry. Zawahał się:

– Może damy radę przepchnąć auto...

– No, ale wtedy Pamela zobaczy – stwierdził Beto. – Chyba że je przepchniemy parę kilometrów dalej. A wtedy zobaczą nas wszyscy sąsiedzi.

Manu był potwornie spięty. I nagle całe to napięcie wyładował na Beto:

– Dlaczego ciągle musisz być na nie, do cholery? Weź raz pomóż, a nie ciągle marudzisz, cieniasie. Wciąż tylko przeszkadzasz. Pedał pieprzony! Panienska! Jaj ci brak!

Zastanawiałem się, czy Manu mówi to celowo. „Pedał” i „panienka” mogły oznaczać różne rzeczy, na przykład „debila” czy „palanta”. Mogły mieć nawet odcień przyjazny, zależnie od tonu. Chociaż to akurat specjalnie przyjacielsko nie zabrzmiało.

Beto nie odpowiedział. Wyłączył się. Zeszło z niego powietrze.

Tak jakby dostał biczem przez twarz.

Jakby oklapł ze wstydu.

Cofnął się o kilka kroków i zniknął z naszych myśli. Tak czy inaczej za dużo mieliśmy na głowie. Za kilka godzin zacznie świtać. Nie wiedzieliśmy jeszcze, gdzie wtedy będziemy. A nasz zasadniczy problem wciąż tkwił przed nami, hałasował i posyłał nam spod ściany nienawistne spojrzenia.

Podejrzewam, że wszystkim przeszła przez głowę ta sama myśl.

Ale tylko Carlos, nasz grupowy psuj, odważył się wypowiedzieć ją na głos:

– A może tak dajmy temu spokój?

Jego słowa odbiły się echem po kątach, zagłuszając tykanie zegarków i naszą wątpliwą dumę. Nikt nie odpowiedział. A on uznał to za wyraz poparcia:

– A może po prostu wracajmy do domów? – ciągnął. – Zostawmy w spokoju pannę Pringlin i zapomnijmy o tym, co tu się tej nocy wydarzyło. Ona też zapomni, prawda, panno Pringlin? Wszystko będzie jak kiedyś.

Panna Pringlin szeroko otworzyła oczy, ale jeśli chcielibyśmy usłyszeć jej odpowiedź, musielibyśmy usunąć jej knebel. A żaden z nas w tej chwili się nie odważył. Patrzyliśmy po sobie, próbując odgadnąć, co który myśli, żeby nie powiedzieć niczego, co musielibyśmy potem odszczekać. Poza tym w tej chwili tylko jeden z nas mógł się odezwać.

I Manu o tym wiedział:

– Jak kiedyś? – zaśmiał się szyderczo. – Czyli kiedy? Zanim panna Pringlin postanowiła spieprzyć nam życie? Zapomniałeś, dlaczego tu jesteście? Nie przyszliśmy tu, bo tak nam się chciało. Ona nas tu ściągnęła! I jeśli ją puścimy, ja nie zobaczę już swojego ojca, a ty na zawsze zostaniesz dziewicą... I wszyscy pójdziemy siedzieć! Ona doniesie na nas, kiedy tylko będzie mogła, zawsze tak robiła. Nie ma już „jak kiedyś”, gościu. Alternatywa jest taka, że albo lądujemy w poprawczaku, albo nie. A ja nie zamierzam.

– Jestem przekonany, że możemy ponegocjować – upierał się Carlos. – Pringlin wie już, na co nas stać. Nie zaryzykuje...

– Niczego nie musi ryzykować! Zadzwoń na policję i już. Niczego nie ryzykuje, wpakowując nas prosto w gówno.

– No to co możemy zrobić?

Znów cisza przytłoczyła nas jak płyta nagrobna. Manu i Carlos czekali na opinie innych. Beto wciąż gapił się w podłogę. Sprawiał wrażenie upokorzonego, nie chciał się w nic mieszać. Odezwałem się:

– Możemy schować samochód u mnie w domu – zaproponowałem. – Powiem ojcu cokolwiek. Możliwe, że nawet nie zauważy.

Nie chciałem wypuszczać Pringlinowej. Chodziło o moją rodzinę. Jediną rodzinę. Miałem dobre powody.

– Jasne – zakpił Carlos. – Może jeszcze poprosisz swojego starego o helikopter, żeby przenieść tam auto? Trzeba przejechać przez aleję Benavides. I obwodnicę. Nie damy rady nawet go pchnąć. Chłopaki,

nie wariujemy. Beto ma rację. To nasza ostatnia szansa, żeby wyjść z tego cało. Możemy przynajmniej spróbować dogadać się z Pringlinową.

Nauczycielka sapnęła coś ze swojego miejsca.

Pomyślałem, że skoro Carlos chce odpuścić, to Beto go poprze. Jeśli Pringlin zachowa się grzecznie, wszystko szlag trafi. A Manu miał rację: Pringlinowa nie zawaha się, żeby nas zesłać do piekła, kiedy tylko odzyska wolność. Wydawało się, że sprawa jest przegrana i pozamiatana. Miałem przed sobą perspektywę zgorzkniałych ciotek, poprawczaka i ojca pozostawionego na pastwę losu.

Wtedy jednak padło coś, czego nikt się nie spodziewał, jedyne słowa, które mogły nas uratować. Kiedy już mieliśmy się poddać. Kiedy nie było innego wyjścia. Kiedy już przegraliśmy i czekała nas tylko klęska.

I wtedy Beto, zupełnie z zaskoczenia, wyszedł ze swojego kąta, wrócił nagle do życia i oświadczył:

– Ja mogę pojechać autem.

# Beto

Nazwał mnie „pedałem”. „Panienką”. Gościem „bez jaj”.

Jak on mógł tak się do mnie zwracać?

To ja byłem inicjatorem akcji szkolnej, tego całego „Pringlin, Pringlin, ssij mu kij” i tak dalej. To był mój pomysł, żeby stanąć w obronie Manu. A on nawet o tym nie wiedział.

Trzeba było jeszcze czegoś. Czegoś, przez co nabierze do mnie szacunku.

I okazało się, że jest coś takiego. Coś, co umiem zrobić.

Taki ojciec jak mój ma liczne wady, ale także jedną wielką zaletę: nauczył mnie prowadzić samochód. Jego zdaniem stanowiło to część pakietu „rzeczy, które mężczyzna musi robić”: pić piwo, opowiadać szowinistyczne kawały i siedzieć za kierownicą. Na początku zabierał mnie na puste drogi na wzgórzach. Potem do La Capullany i innych dzielnic z niewielkim ruchem. A w końcu nawet na aleję Benavides. Parę razy zatrzymała nas policja, co mój ojciec wykorzystał, by udzielić mi kolejnej wielkiej męskiej lekcji: jak przekupić mundurowego.

I teraz, dzięki jego mądrym naukom, mogłem uratować naszą akcję.

I uratować Manu.

Pewnie, że to jedno wielkie szaleństwo i najprawdopodobniej musiało się źle skończyć. Nawet bardzo źle.

Ale to była moja szansa, by odegrać ważną rolę. By pokazać, czym się różni porażka od zwycięstwa.

I żeby Manu mnie polubił.

Zbuntowałem się przeciw Pringlinowej w gabinecie dyrektora i tylko wszystko pogorszyłem przez ten cały film z marynarzami. Przyłączyłem się do akcji i prawie wszystko zepsułem przez swoje pijaństwo. Dałem się przyłapać Pamelii. Stanowiłem tylko balast.

Byłem winien im wszystkim jakiś wkład. Musiałem coś wnieść. Przede wszystkim z uwagi na Manu. Musiałem mu pokazać, że ja też jestem facet, bo przecież on nigdy nie nabierze uznania dla jakiegoś „pieprzonego pedała”. Musiałem zrobić coś, czego nie będzie mógł zbagatelizować.

I udało się.

– Ja mogę pojechać autem – powiedziałem.

I wszyscy odwrócili się w moją stronę.

Zupełnie jakby świat wokół na chwilę znikł, jakby cała planeta się rozplynęła, nie licząc nas dwóch – teraz Manu patrzył tylko w moją stronę. I zauważył mnie. Po raz pierwszy widział mnie, nie jakiegoś cieniasa, tylko mnie samego i to w pełni. Podszedł bliżej. Położył mi rękę na ramieniu.

– Naprawdę umiesz? – zapytał.

Przytaknąłem. I uśmiechnąłem się.

On odpowiedział mi uśmiechem i popatrzył tak, że na skórze wciąż czuję to jego spojrzenie.

## Carlos

Nie. Beto, nie.

On był ten cywilizowany. Racjonalny. Pozbierany. Idealny świadek procesowy, umiarkowany i pełen zdrowego rozsądku. To na niego liczyłem, żeby powstrzymać to wariactwo, w które się wpakowaliśmy. W każdym razie do tej chwili.

Próbowałem przemówić mu do rozumu:

– Beto, co ty wyprawiasz? Przecież ty jeden umiesz myśleć rozsądnie.

– I myślę, że Pringlinowa powinna zgnić w piekle.

Coś w jego spojrzeniu uległo zmianie. Zawsze patrzył płochliwie i nieśmiało. Teraz promieniał. Miał twarz fanatyka, jak ci terroryści, których łapie policja i pokazują ich w telewizji, patrzą tak twardo i pusto. Ja jednak wciąż wierzyłem, że jest szansa przemówić mu do rozsądku:

– A my razem z nią? My też mamy zgnić w piekle?

– Tak, jeśli będzie trzeba.

– Czy tylko ja zdaję sobie sprawę, że wy bredzicie? Czy tylko ja rozumiem, że dostaniemy za to w dupę i to nieźle?

Panna Pringlin wydała z siebie coś, co mogło być westchnieniem. Tyle że teraz stała się tylko jeszcze jednym meblem, elementem dekoracji.

Szukałem w ich oczach zrozumienia. Ale znalazłem tylko wściekłość i żądzę zemsty. Zupełnie jakbym oczekiwał opanowania od psa toczącego pianę z pyska.

– Wy naprawdę chcecie dalej w to brnąć, co?



Beto i Moco ustawili się po bokach przywódcy, zupełnie jak ochroniarze jakiegoś mafiosa. Manu stał między nimi, z dłonią opartą na kolbie pistoletu, który wciąż trzymał zatknięty z przodu za paskiem. Jakby mu tak wypalił, to by się wykastrował. Póki to jednak nie nastąpiło, broń stanowiła coś w rodzaju przedłużenia jego męskości, metaliczną i naładowaną prochem protezę.

Z miną szeryfa, który zaraz zastrzeli skazańca, Manu przywołał mnie do porządku:

- To co, Carlos? Jesteś z nami?
- Popełniamy błąd.
- Nie o to cię pytamy.

„Pytamy”. Ustami Manu przemawiali teraz wszyscy trzej. A jeśli nie jesteś częścią tego „my”, to po tobie.

Zastanowiłem się nad opcjami. Dziś w mojej prawniczej pracy często tak robię: „Jeśli przyjmujemy taką strategię, to zdarzy się to czy tamto. Jeśli inną, to będzie tak albo siak”. Jeśli odmówię współpracy... to co się wydarzy?

Mogliby mnie znienawidzić. Nieprzyjemne, ale do przeżycia. Tyle że szanse, bym wyszedł stamtąd bez żadnych konsekwencji, były minimalne.

Mogli mnie wypuścić w zamian za obietnicę milczenia. No ale wtedy, jeśli sprawa wyjdzie na jaw, i tak będę ich współnikiem.

Mogłem iść złożyć donos na policję, ale z zemsty na pewno pociągnęliby mnie za sobą.

Mogliby mnie też tu zamknąć, związanego, razem z panną Pringlin, i czekałby mnie ten sam los co ją.

Zdecydowanie jedynym wyjściem z tej idiotycznej sytuacji było trzymać dalej z nimi. Beto wciąż mógł się opamiętać i wtedy zrobiłoby się dwóch na dwóch. I może, jeśli ja wcielę się w „dobrego policjanta”, panna Pringlin zgodzi się ze mną paktować.

Generalnie rzecz wysoce nieprawdopodobna.

Tyle że to było wszystko, czego mogłem się ucześcić.

– Pewnie, że jestem z wami – wydusiłem z siebie wreszcie – ale nie zapominajmy o takiej możliwości, że wszystko można jeszcze zatrzymać.

– Każda opcja wchodzi w grę – uśmiechnął się Manu.

Z jego twarzy zniknęła pogarda, ustępując miejsca triumfowi.

# Manu

Kurde, stary, byliśmy jak oddział wojskowy.

Zupełnie jak ta jednostka piechoty, która wykopała mały posterunku w fałszywej Paquishy.

Albo jeszcze lepiej: jak oddział demona z Andów, Andrésa Avelino Cáceresa, który bił się z Chilijczykami (może i przegraliśmy, ale Cáceres był wielki).

Szkoda, że mój ojciec nas nie widział. Byłby dumny.

I tam na miejscu cała nasza czwórka złożyła przysięgę. Napluliśmy sobie każdy na swoją dłoń i złapaliśmy się. Carlos trochę zwlekał, ale ostatecznie się przyłączył. Ja wypowiedziałem zdania, które z grubsza zapamiętałem z wojskowych ceremonii:

– Czy przysięgacie na Boga i ojczyznę bronić naszego honoru, walczyć z wrogiem, nawet ryzykując życiem, i doprowadzić do celu naszą misję, tak mi dopomóż Bóg?

Nie wiem za cholere, po co dodaje się to „tak mi dopomóż Bóg”, ale zawsze się to słyszy na przysięgach.

– Przysięgamy! – powiedzieli wszyscy.

Pringlin coś tam mamrotała, ale nikt już nie zwracał na nią uwagi. Przecież, cholera, to ona była tym wrogiem.

– Zamknij się, babo! Jeńcy głosu nie mają.

Morale było wysokie, więc dyscyplinowaliśmy się sami. Moco poszedł po torebkę nauczycielki, w której powinny być kluczyki do auta i jakieś pieniądze, mogły się przydać w nagłej potrzebie. Beto przyniósł z jej pokoju trochę ubrań i walizkę, żeby upozorować wyjazd z domu z własnej woli. Carlos umieścił w widocznym miejscu kartkę z wiadomością. Wciąż musieliśmy się poruszać w całkowitej

ciszy, ale moje chłopaki zachowywały się tak, jakby przeszły szkolenie w samej School of the Americas.

Kiedy weszliśmy do garażu, stara łada skojarzyła mi się z radzieckim czołgiem. Jej opony wyglądały zupełnie jak gąsienice wozów pancernych. Cycki, dupy i obelgi wypisane na szybach przypominały miejski kamuflaż. A nasza mała ceremonia, kiedy Moco i Beto wsiedli do auta, a my pożegnaliśmy się z nimi i życzyliśmy im powodzenia, miała w sobie coś bojowego.

– Jedźcie ostrożnie i nie zatrzymujcie się. Jeśli zagwizdże na was jakiś strażnik, prujcie dalej. Oni nie mają samochodów. Nie mają jak was ścigać.

– Tak jest!

Szkoda, że mój stary nie mógł mnie wtedy oglądać. Zamierzałem mu o tym kiedyś opowiedzieć. On na pewno przyznałby mi odznaczenie.

Drzwi garażu otworzyły się powoli do góry. Musiałem się powstrzymywać, żeby nie zasalutować z ręką na piersi albo przy czole, kiedy Beto odpalił silnik. Carlos ostrożnie rozglądał się na boki, przede wszystkim filował w stronę domu. Moco siedział na fotelu pasażera i widać było, że jest bardzo poruszony tym, co się dzieje.

I wtedy, właśnie wtedy, bo problemy pojawiają się, kiedy mogą najbardziej zaszkodzić, wyłączyli prąd.

Zgasły wszystkie latarnie uliczne.

Pogasły światła w domach.

W jednej chwili spadła na nas noc, jak wielka narzuta z czarnej wełny. W niektórych domach w okolicy zabuczały silniki generatorów.

Ale jedyne, co widzieliśmy, to nasze zimne nosy wycelowane w nicość i czerń.

# Moco

Odcięcia prądu.

Pierwsze, jakie pamiętam, były na Boże Narodzenie. Terrorysty zawsze wysadzali słupy wysokiego napięcia i psuli Wigilię. Jak gremliny albo pan Scrooge.

Jeszcze za życia mojej matki w Wigilię w domach robiło się wieczór ze świecami. Tak się mówiło, bo trzeba było oświetlać domy świeczkami właśnie i pamiętać o bateriach, żeby można było puścić muzykę. Te wieczory zaczynały się po północy, kiedy goście przychodzili do nas po rodzinnych kolacjach. Lubiłem to. Rodzice pozwalali mi iść spać bardzo późno, zasypiałem zazwyczaj na jakimś fotelu, a dookoła mnie trwała impreza. Budziłem się o świcie, kiedy podawano na śniadanie rosół z kury, a w ogrodzie zawsze było jeszcze paru pijanych, którzy śpiewali kolędy.

Gdy matka zaczęła chorować, stwierdziła, że święta należy spędzać z rodziną. Na swoje ostatnie Boże Narodzenie nie zorganizowała wieczorku, tylko zaprosiła swoje siostry, te dwie wiedźmy. Moje ciotki nigdy nas nie odwiedzały. Ojciec twierdził, że go nie lubią, że za wszystko go winią i nie ciągnie ich do naszej rodziny. Ale matka chciała się z nimi zobaczyć.

Może już czuła, że umrze, sam nie wiem.

Może chodziło jej o to, żeby rodzina trochę się zbliżyła i miał się mną kto zająć, kiedy jej zabraknie.

W każdym razie wieczorem 24 grudnia te dwie pojawiły się u nas z krawatem dla ojca i kalkulatorem dla mnie. Beznadziejne prezenty.

To była najnudniejsza Wigilia mojego życia. Rodzice szukali jakiegoś tematu do rozmowy z ciotkami. Ale one były straszliwymi nudziarami. Świętoszkowate stare panny. Nawet piwa nie piły.

Pamiętam tę kolację jako długie milczenie zakłócanie brzękiem sztućców o talerze. Podczas deseru ojciec, żeby nie zasnąć, musiał podeprzeć głowę dłońmi. Ciotki upomniały go, że nie powinien kłaść łokci na stole.

O północy, jak zawsze punktualnie, zgasło światło. Tym razem nie usłyszeliśmy eksplozji przy słupach, ale specjalnie nas to nie zdziwiło. Czasami słupy z jednego końca miasta wyłączały prąd w zupełnie innej jego części. W każdym razie zapadła ciemność i nikt już niczego nie powiedział. W naszej rodzinie też przepaliły się korki.

Prąd odcinali nie tylko w święta. Też na Nowy Rok i w inne ważne dni, a czasami bez żadnej okazji. Terrorysty wysadzali instalacje tylko po to, by pokazać, że mogą.

Prąd wysiadł także wtedy, kiedy umarła moja matka. To właśnie ją zabiło.

Pamiętam jej ostatnie miesiące, które przeżyła podłączona do prądu jak jakaś lodówka – albo Frankenstein – wśród tych rur do oddychania, rur do karmienia, kabli do mierzenia parametrów życiowych. Biedaczka miała w sobie prąd zmienny zamiast krwi.

Pomyślałem o jej ostatniej nocy. Przez głowę przeleciała mi cała ta scena: ja śpię w łóżku, a ojciec na fotelu, obejmując puste flaszki jak pluszowego misia. Pomyślałem o rzeczach, których nie widziałem na własne oczy, ale które tam się wydarzyły, kilka metrów ode mnie: ojciec budzi się o świcie, żeby sprawdzić, jak się ma chora. Widzi, że wszystkie światełka od medycznych urządzeń są pogaszone. Próbuje – najpierw spokojnie, potem z rozpaczą – zapalić lampę. Po omacku dociera do łóżka matki, po to tylko, by znaleźć jej porzucone jak pusta skorupa ciało.

Krzyczy tak, że się budzę.

Tylko on krzyczy, bo ona nigdy już nie wyda z siebie głosu ani się nie zaśmieje, ani nie powie, jaki ze mnie przystojniacha, zasypując mi twarz lokami.

W następne święta też wyłączyli prąd, ale nie zrobiło nam to różnicy: u nas już niczego nie można było zgasić. Nie było przyjęcia ani ciotek. Zjedliśmy z ojcem purée z jabłek z puszki, potem on zaczął pić i wspominać matkę, a wszystko to było tak smutne, że kiedy zniknął prąd, poczułem ulgę, bo Boże Narodzenie i tak było do niczego, a teraz przynajmniej miałem pretekst, żeby iść spać.

Awarie prądu. Zawsze się zdarzają w trudnych chwilach.

– Kurwa! – zirytował się Manu teraz, w naszej smutnej terażniejszości, podczas nocy szpilek. Wszystkie światła zgasiły w chwili, gdy wychodziliśmy z garażu panny Pringlin. Najpierw wykrzyknął, ale potem mu się przypomniało, że mamy być cicho, więc powtórzył szeptem: – Kurwa! Kurwa!

Chyba powiedział to tak z dwadzieścia razy, aż w końcu przerwał mu Carlos:

– To już przesada. Skończmy z tym. Chłopaki mogą się tym autem rozbić. Albo capnie ich policja.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa!

– Próbowaliśmy – ciągnął Carlos. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Ale czasami sprawy się po prostu nie układają. Bywa.

Manu kręcił się w kółko. Przy każdym kroku pistolet kołysał mu się za paskiem. My wciąż siedzieliśmy w aucie. Jedyne światło w garażu pochodziło ze środka samochodu.

– Dasz radę jechać po ciemku? – zapytałem Beto.

– Mogę włączyć światła, ale nie znam drogi. Pieszko kojarzę, ale nie autem. Nie mam pojęcia, gdzie skręcić ani jak biegną tu ulice.

– Kurwa! Kurwa! – Manu wciąż klął.

– Jeśli samochód teraz wyjedzie – mówił Carlos – nie tylko odkryją wszystko, co dotąd zrobiliśmy, ale jeszcze oskarżą nas o kradzież.

– Kurwa! Kurwa!

– Skup się, Manu – uspokajał go Carlos. – Doszliśmy tak daleko, jak się dało.

– Kurwa! – nie przestawał tamten. – Co za zaszary kraj!

Podczas gdy tamci dwaj dyskutowali, ja pomyślałem o tych wszystkich świętach w ciemności. O tych wszystkich kolacjach przy świecach. O tych wszystkich nocach, kiedy mój ojciec błąka się, nie wiadomo gdzie, a ja czekam na niego w ciemnym mieszkaniu. O filmach, których nie obejrzałem z powodu braku prądu. O wszystkich matkach, które umarły, bo urządzenia medyczne przestały działać. O wszystkich przerwanych imprezach, wypadkach samochodowych, popsutych lodówkach, zgubionych drogach, podenerwowanych strażnikach, przepalonych żarówkach, pokrzyżowanych planach, odwołanych spotkaniach, niedotrzymanych obietnicach, milczących rodzinach, dzieciach, którym śnią się koszmary, zabitych policjantach, zatrzymanych fabrykach, nocnych strzelaninach, zwłokach w rowach. O tych wszystkich rzeczach, których nie można zrobić, bo przytłacza cię ten cholerny kraj i wszystko się pieprzy. Miałem już tego dość. Miałem dość tego, że wszystko okazuje się niemożliwe.

– Ruszaj, Beto – powiedziałem.

– Nie słyszałeś, co mówię? Nie wiem, jak jechać.

– Ja wiem. Przecież do mnie jedziemy. Powiem ci, gdzie skręcić.

– A jak nas zatrzyma strażnik? Albo w coś wpadniemy?

– Ruszaj, Beto.

– Pewny jesteś?

– W życiu tak pewny nie byłem.

Obok lady w garażu Manu i Carlos dalej się sprzeczali.

Czy też raczej Carlos tłumaczył, a Manu powtarzał „kurwa”.

Rozsiadłem się wygodnie w fotelu. Beto przekręcił kluczyk. Reflektory utworzyły przed nami dwa kręgi jak dwie małe latarnie świecące się w paszczy wilka.

Nasi koledzy zamilkli zaskoczeni.

A my ruszyliśmy w ciemność.



## 4. Piwnica

### Beto

– Chłopcy, muszę wam z przykrością zakomunikować, że panna Pringlin ma pewne... pewne kłopoty. Natury zdrowotnej.

Twarz dyrektora, za grubymi okrągłymi soczewkami i nad koloratką, pokryła się czerwoną plamą, rumieńcem, jak u aktora, który nie nauczył się dobrze swojej roli. Zawahał się, zająknął, przełknął ślinę. Pewnie chciałby się zapaść pod ziemię.

Ostatnich dwanaście godzin przeleciało mi przed oczami bez żadnego logicznego porządku, jak w powieści Prousta albo Joyce'a. Jazda z Moco przez ciemności niczym w paszczy potwora. Twarz Pringlinowej wykrzywiona wściekłością. Strach Manu maskowany władczością. Starania Carlosa, żeby to wszystko powstrzymać, żeby uratować nas przed nami samymi. W jedną noc wydarzyło się tyle, że ciężko było to wszystko spamiętać, a nawet nadać temu jakiś sens.

– Czy panna Pringlin przyjdzie później? – zapytał jeden kolega z klasy.

– Wasza nauczycielka nie przyjdzie do szkoły... Dziś – poinformował dyrektor.

Po takim obwieszczeniu cała klasa eksplodowała z radości. Uczniowie krzyczeli, ciskali w powietrze zeszyty, rzucaли się sobie w ramiona, kopali swoimi ortopedycznymi buciorami w podłogę,

wyszczierzali w uśmiechu aparaty nazębne, że aż trądzik im błyszczał na czerwono.

– Nie będę tolerował żadnych oznak radości! – dyrektor starał się podnieść na nas głos. – Żadnego niestosownego zachowania!

Może i był dyrektorem, ale nie emanował naturalną władczością jak panna Pringlin, nie przejawiał jej żądry krwi ani nie miał nosa do wykroczeń jak ona. Biedaczek był jak pluszowy miś zastępujący smoczyce. Nawet jeśli miś piastuje jakieś ważne stanowisko, to i tak nie ma to żadnego znaczenia.

My, w tylnym rzędzie ławek, wymieniliśmy pełne dumy spojrzenia. Byliśmy bohaterami. Anonimowymi bohaterami. Nieznani bojownicy szkoły średniej.

– A jak długo nie będzie panny Pringlin? – zapytał Moco z czystej złośliwości, drapiąc się po uchu.

– No... Tego... – Dyrektor szukał słów, żeby udzielić w miarę sensownej odpowiedzi, jakiegoś zdania jak z horoskopu, bo te zawsze brzmią przekonująco. – Rokowania... są umiarkowane.

– Ma raka? – zapytał Ryan Barrameda, wyglądał jednak na zbyt zadowolonego.

– Zapalenie płuc? – rzucił ktoś inny.

– Biegunkę?

Znów rozpętała się wrzawa głosów, spekulacji i domysłów. Każdy uczeń miał jeszcze straszniejszą teorię niż poprzednia. Dyrektor postanowił zdusić to wszystko w zarodku.

– Nie będziemy tu omawiać osobistych spraw panny Pringlin. Zajmiemy się lekcjami od momentu, do którego doszła.

– A co ze sprawdzianem miesięcznym? – zapytałem.

Zadałem to pytanie z autentycznym żalem dobrego ucznia. Może i nienawidziłem Pringlinowej i chciałem usunąć ją z powierzchni Ziemi jak wszyscy, ale ja akurat się do tego sprawdzianu uczyłem.

Książdz musiał zmierzyć się z nowym dylematem.

– Nooo... Nie mam jasności, jaki materiał przerobiła, więc... na razie wszelkie oceny zostają zawieszane.

W całej klasie na nowo wybuchła radość. Przysługa dla społeczności ze strony Komanda Sprawiedliwych „Precz z Pringlin”.

Choć prawie nie spaliśmy, byliśmy w czwórkę rześcy jak skowronki. Czuliśmy ulgę, pozbywszy się ciężaru kar, donosów i prawd. Znowu byliśmy dziećmi. A to spora ulga.

Podczas gdy dyrektor próbował zapanować nad tym festynem, Moco szepnął:

– Najgorsze jest to, że nie możemy o tym nikomu opowiedzieć.

– Historia odda nam sprawiedliwość – odpowiedziałem.

I naprawdę w to wierzyłem.

Poprzedniej nocy, kiedy już pozbyliśmy się auta, Manu został i pilnował zakładniczki, a my poszliśmy do domów, żeby się przespać – a w każdym razie spróbować. Miałem dużo intensywnych i absurdalnych snów: nadzy marynarze na wakacjach pilnowali panny Pringlin, a mój ojciec tańczył tango nad rozbitym wazonem. Manu i Moco malowali graffiti na ścianach, a potem wysadzali słupy wysokiego napięcia, żeby spowodować zaciemnienie. Panna Pringlin bawiła się, celując z pistoletu – mierzyła w nasze tyłki. Sny i rzeczywistość mieszały się ze sobą w zupełnie nieskładny sposób.

Deliryczna noc.

Jeszcze nawet nie świtało, kiedy otworzyłem oczy. W ustach czułem cierpki posmak whisky. Zszedłem po szklankę wody. Mama krzątała się jak co rano w kuchni, sporządzając listy zakupowe, sprawdzając zawartość lodówki, przygotowując drugie śniadania, podczas gdy tata chrapał w najlepsze w łóżku.

Mama zawsze pierwsza wstawała i ostatnia kładła się spać.

– Bardzo wcześnie wstałeś, Beto. Dobrze się czujesz?

Bolała mnie głowa. Whisky buzowało mi gdzieś jakby w karku. Ale odpowiedziałem, że wszystko w porządku. I wyjaśniłem:

– Dziś wyjdę wcześniej do szkoły. Pomogę Manu z pracą domową.

– Bardzo ładnie, Beto. Dobry z ciebie kolega.

– Mamy teraz pracę w grupach. Sporo mnie nie będzie w domu.

Mama przytaknęła. Zawsze przytakiwała temu, co mówią mężczyźni. Wszyscy. Nawet w wypadku największego idioty dla niej argument faceta był prawdziwy już tylko dlatego, że padł z ust, nad którymi rośnie wąs. No, ale tym razem odpowiadało mi to. Miałem już dostatecznie dużo na głowie. Napilem się mleka, wcisnąłem w siebie bułkę z masłem i po ciepłym prysznicu ruszyłem w drogę.

Manu wciąż siedział w domu Pringlinowej, ale musiał choć na godzinę zająć do siebie, żeby udawać, że się budzi i wychodzi do szkoły. W końcu jego matka – często mówił na nią „stara” – nie wiedziała, że formalnie ma karę. Musiał ziewnąć parę razy, powiedzieć dzień dobry, wykapać się i dopiero wtedy mógł wrócić do domu Pringlin. Przez ten czas ja go miałem zastępować.

– Noc w porządku? – zapytałem, schodząc do piwnicy.

Przytaknął i wskazał na zwinięte w kącie koce i poszewki.

– A dziewczyna? – zapytałem.

– Jeśli będziesz mówił cicho, nie będzie problemu – odpowiedział.

Dobrze wyglądał, jego długie włosy były elegancko zmierzwione, jakby je celowo rozczochrał. Pięknie się prezentował. Nasza zakładniczka wciąż siedziała zakneblowana na swoim miejscu, ale była tak wyczerpana, że prawie się nie ruszała. Czasami drżała jej stopa albo ręka, nic więcej. Nawet się z nią nie przywitałem. Jakby to był czyjś kot, którego musisz karmić pod nieobecność właścicieli.

– Teren czysty aż po horyzont, nie ma żadnych podejrzanych indywiduów – rzuciłem mu jeszcze na odchodne.

– Czego nie ma? I jaki horyzont?

– No, że na ulicy wszystko spokojnie.

– A, dobra. Strasznie dziwnie mówisz, gościu...

Pringlinowa uniosła lekko głowę. Popatrzyła na mnie z pewną obojętnością, jakby mnie nie rozpoznawała. I zaraz znów opuściła głowę.

– No idź już – popędziłem go. – Nie mogę tu spędzić całego ranka. Nie poruszył się. Wahał się i coś tam mruczał pod nosem ze spuszczoną głową, a w końcu powiedział:

– Beto...

– No?

– Wczoraj nas wszystkich uratowałeś, stary. Dzięki.

– Nie ma za co. Siebie też ratowałem.

– Ja myślałem, że ty jesteś... ten...

Zamknąłem oczy. I znów to przeklęte słówko. Nie padło jednak. Zamiast tego Manu podszedł do mnie i mnie objął. Czułem jego ręce na plecach, poklepywał mnie lekko dłońmi, jakby robił masaż serca.

– Dzięki – powtórzył jeszcze i poszedł.

Kiedy otworzył drzwi piwnicy, do środka wpadł pierwszy blask dnia i skapał mi twarz w świetle jak w wodzie święconej.

## Carlos

Wszyscy w naszej klasie byli przeszczęśliwi. Jak myszy w domu, w którym zdechł kot.

Bez Pringlinowej, bez sprawdzianu miesięcznego, bez nauczycielki z prawdziwego zdarzenia i to na czas nieokreślony... Sielanka. Dyrektor ledwie był w stanie zapanować nad tą powszechną euforią, latającymi zeszytami i tańcami wokół teczek.

Szkoda, że nie mogliśmy upomnieć się o nasze prawa autorskie. Albo wyjść pod tablicę i oznajmić: „To my. Możecie nam teraz podziękować. I postawić pomnik na boisku”.

Została jednak jedna niezalutwiona sprawa. Podczas gdy moi koledzy świętowali, a Moco i Beto wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, ja ciągle o tym myślałem. Każdy adwokat – także przyszedłszy, jak ja wtedy – dobrze wie, co oznacza taki puszczony wątek. Możesz przygotować bardzo solidną linię obrony, głęboko wzruszające przemowy, najprecyzyjniejszą dokumentację, a mimo to wszystko nagle weźmie w łeb. Najdrobniejszy detal może obrócić wszystko do góry nogami. Nieistotny drobiazg, który okazuje się kluczowy. Nieważny świadek, który każe na wszystko spojrzeć z innej perspektywy. Durny klient, który powie przed sędzią o słowo za dużo.

Podejrzliwa córka, która zacznie zadawać pytania.

Dziewczynka – albo nastolatka – która widziała sprawców na miejscu zdarzenia w godzinie przestępstwa i może ich zidentyfikować. Niektórych nawet z imienia i nazwiska.

Cały dzień rozmyślałem o Pameli. Jak jej powiedzieć. Czy w ogóle powiedzieć. Albo wyjaśnić. Czy nie wyjaśniać nic. Wymyślałem tysiące wariantów, słowo po słowie, ale sam przekonania nie

miałem. Wyobrażałem sobie jej odpowiedzi i cały asortyment oskarżeń: porywacze, bydlaki, bandyci. Odpowiadałem jej w myślach, ale w żadnym scenariuszu nie udawało mi się jej przekonać.

Moje myśli przerwał dopiero dzwonek na koniec lekcji i dzikie wycie uczniów cieszących się z tego faktu, jakby każdego popołudnia wypuszczano ich z więzienia.

– Idziemy zobaczyć, co z naszą zakładniczką? – zaproponował z sadystycznym uśmiechem Moco, kiedy wychodziliśmy. – Powinniśmy zorganizować imprezkę. Na przykład rzucać jej jedzenie i patrzeć, czy będzie łapać gębą. Jak foka.

– Musimy też pomóc Manu – włączył się Beto. – Na pewno jest wykończony po całym przedpołudniu tam z nią.

Potałem butami o ziemię. Spuściłem wzrok.

– Ja... muszę iść gdzie indziej.

– Do swojej przyjaciółeczki, co? – Po raz pierwszy Moco mówił o kobiecie bez obscenicznych min, raczej z powagą, jak na taktyczną kwestię przystało. – Co z nią zrobimy?

– Ale jak to: co zrobimy? Z czym? – zapytał Beto.

– No wiesz. Żeby zamknąć jej usta.

Moco przejechał palcem po szyi w geście podrzynania gardła. To miał być żart, w każdym razie tak sądziłem, ale i tak przeszły mnie dreszcze. Stałem w jej obronie:

– Ona niczego nie wie. Znalazła dziś rano ten liścik. Musi mieć niezły mętlik w głowie. Grunt to wyciągnąć ją z domu.

– Albo przenieść do piwnicy. – Moco ciągnął w stronę makabry.

– Moco!

– No co? Możemy karmić je obie.

– Zamknij się, palancie.

– Srał cię pies.

– A ciebie wyrzygał i...

– Boże, przestańcie – przerwał nam Beto. – Ja idę z Moco. Ty się zajmij swoją dziewczyną.

Moco oddalił się z Beto, wciąż robiąc sugestywne miny. Trudno rozstrzygnąć, czy miał na myśli seks, czy tortury, choć w jego przypadku różnica nie była wielka. Ruszyłem w swoją stronę. Miałem własną misję do wypełnienia.

Pamela była w McRonalddie, ale nie pracowała. Nie miała nawet uniformu. Sączyła przy oknie milkshake'a, twarz miała naznaczoną płaczem, a przed nią rozciągało się cmentarzysko zużytych chusteczek. Widząc ją w takim stanie, popielatą na tle popielatego nieba, poczułem, jak mi się serce kurczy. Prawie pożałowałem tego, co robimy. Wymamrotałem:

– Cześć...

Nie odpowiedziała. Nawet nie zdradziła niczym, że mnie zauważyła. Usiadłem i po chwili wahania, co by teraz powiedzieć, wydusiłem:

– Twojej... mamy nie było dziś w szkole.

Zamiast odpowiedzi wybuchnęła fontanną łez. Pokazała mi list, który znalazła w salonie, ten, w którym matka pisała o swojej ucieczce z domu, a ja podczas lektury okazywałem wiarygodne zdziwienie. Bardzo chciałem uwierzyć, że te wszystkie wyrazy naprawdę pochodzą od tej, która je podpisała. Nie mam słów na to, co zrobiłaś. Usuwam się z twojej drogi. Wszystko sprawiało realistyczne wrażenie, więc próbowałem zapomnieć, że zostało podyktowane. Prawie mi się udało.

– Wyjechała? – zdziwiłem się, robiąc dobrą minę do złej gry. – To nie jest chora?

– To takie dziwne... – wymamrotała po dłuższym milczeniu.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Bardzo dobrze, myślałem. Slogany i truizmy. Jeśli długo będę się ograniczał do powtarzania takich komunałów, jak „wszystko będzie dobrze”, rozmowa potoczy się gładko.



Pamela ścisnęła moją dłoń w swoich. W jej spojrzeniu kryła się czułość. Ale zaraz spuściła oczy i puściła mnie.

– To moja wina – westchnęła drżącym głosem i z zaćmionym spojrzeniem.

Musiałem coś powiedzieć. I to szybko. Więc powiedziałem:

– Twoja matka sądzi, że jak zniknie, to mnie zostawisz. Ale wiesz co? Póki jej nie ma, będziesz przecież miała mnie. A kiedy wróci – dużo mnie kosztowało wypowiedzenie tych słów bez zająknięcia – nie będzie innego wyjścia i w końcu mnie zaakceptuje. Wygramy.

– Ale za jaką cenę?

– Pamelo, przecież ja nie jestem jakimś kryminalistą. – Znów język o mało mnie nie wydał. – My się po prostu kochamy. Każdy się może zakochać. Nie ma powodu, żeby tak reagowała.

Znów wzięła moją dłoń w swoje. Krok do przodu. Powiedziała:

– Zawsze będziesz ze mną?

A ja po raz pierwszy mogłem odpowiedzieć pewnie i stanowczo:

– Oczywiście, że tak.

Ścisnęła moje palce, że aż zabolęło.

– Carlos?

– Uhm?

Nagle wydała mi się drżącym króliczkiem albo rannym nieopierzonym ptaszkiem. Jej twarz nie wyrażała żalu, tylko wyrzuty sumienia.

– Czy to bardzo źle, jeśli ja nie chcę, żeby mama wróciła?

Nie. To znakomicie. Dokładnie tego nam potrzeba. Tyle że, kochanie, nie mogę ci tego tak wprost powiedzieć.

– Nie myśl tak. Masz chaos w głowie. Po prostu staraj się o niczym nie myśleć.

– Próbuję patrzeć na to inaczej, ale nie mogę...

– To w ogóle to zostaw.

– To taka jakby zemsta. Sprawiedliwość. Za tatę.

Zrobiłem się czujny. Przypomniały mi się jej słowa w sali zabaw na górze restauracji: wszędzie krew.

– Co się stało z twoim tatą?

Pamela potrząsnęła głową, jakby odpędzając złe sny.

– Jak to dobrze, że jesteś ze mną – odpowiedziała tylko.

Upiła z kubka, a potem pociągnęła nosem. Nawet przy czymś takim wyglądała sexy i w milczeniu cieszyłem się jej widokiem. Potem znów skupiłem się na sprawach praktycznych:

– Nie możesz zostać sama w domu.

– Wujek mówi to samo. Przenieś się do niego. Zabrałam już rzeczy. Biedak mówi, że mama musi być bardzo poruszona tym wszystkim, co przeżyliśmy przez ostatni rok. Ale uważa, że za parę dni się odezwie. Twierdzi, że matka nigdy nie porzuci córki, w każdym razie nie moja matka, zawsze taka zasadnicza.

Obejrzałem się w stronę baru. Wujek Ronaldo przyglądał się nam z dystansu, niespokojnie. Choć domyślałem się, że tym razem to nie ja go niepokoiłem. Przeciwnie, w jego oczach jawiłem się pewnie jako dobry przyjaciel, moralne wsparcie dla siostrzenicy. Starłem się sprawiać wrażenie kogoś bliskiego, ale też nie chciałem się przesadnie kleić. Jakbym mówił: „Martwię się tylko o jej dobro. Wcale nie uprawialiśmy seksu w tych kolorowych piłkach ani nic takiego”.

– Twój wujek mówi coś jeszcze? – zapytałem.

– Mówi, że ona lubi przesadzać, ale to pokazuje, jak bardzo się mną przejmuje... na swój sposób.

– Nie powinnaś pojawiać się w domu, dopóki ona nie wróci – stwierdziłem trochę nie na temat. – To cię przygnębi. Gdybyś musiała po coś tam zajść, zadzwoń do mnie, pójdę z tobą, okej? Nie chcę, żebyś tam była sama.

Westchnęła. Zmieniłem temat:

– Dyrektor w szkole powiedział nam, że twoja mama jest chora.

– Jest tak samo zaskoczony jak ja. Dzisiaj rano zadzwoniłam, żeby sprawdzić, czy mama nie poszła do pracy. Kiedy dyrektor odpowiedział mi, że nie, rozplakałam się i wszystko powiedziałam.

– Jesteś bardzo dzielna, Pamelu.

– Tak myślisz? – Na jej zaczerwienionej twarzy na chwilę rozbłysnął spokój. – Ale to nie było najgorsze. Gorzej było z robotnikami.

– Z kim?

– Z robotnikami. Przebudowujemy piwnicę w domu. Przychodzą każdego ranka i pracują. Dziś też przyszli.

Robotnicy. Kolejni ludzie na miejscu zdarzeń. Co minutę nowy puszczony wątek. Co dwadzieścia sekund. Musiałem pogadać z Manu. Żeby się dowiedzieć, co się działo rano. No, ale nie mogłem teraz wybiec ot tak z McRonalda.

Pamela głośno pociągnęła nosem, a że nie miała chusteczki, wytarła go rękawem.

– Wiesz co? Kiedy się obudziłam, czułam jej obecność.

Teraz to ja zacisnąłem dłonie. Tak mocno, że krew mi prawie przestała dopływać.

– Co?

– Nie umiem tego wyjaśnić. Czułam w domu jej obecność. Rozumiesz? Nawet już po tym, jak przeczytałam liścik. Jakby jakaś jej cząstka wciąż kryła się w domu. Dziwne, co?

Kąciki jej ust uniosły się lekko. Trudno w to uwierzyć, ale wyglądało to na uśmiech. Uśmiechała się do mnie, a ja jej odpowiedziałem, wykrzywając usta z boleścią, w sztywnym grymasie twarzy.

– Bardzo dziwne. Pewnie to jej aura czy coś takiego.

Przytaknęła.

– Tak – powiedziała powoli. – Może to to.

Siedzieliśmy przez kilka sekund w milczeniu, gapiąc się przez witrynę na przechodniów. Delikatna mżawka zastukała w szybę. Pamela westchnęła i dodała:

- A może to ty razem z twoimi kumplami zamknęliście ją w piwnicy.

Człowiek ma w organizmie system alarmowy. Ostrzeżenia przeciw zagrożeniom. Pot. Tętno. Drżenie. Oznaki kryzysu, alarm pierwszego stopnia. W tym momencie w moim ciele wszystkie one uruchomiły się jednocześnie. Próbowałem poruszyć językiem, ale zmienił mi się w ustach w knebel. Chciałem wydać jakiś dźwięk, ale w gardle miałem sucho jak w nieużywanej studni. Czułem pulsowanie w szyi, a także pod pachami, a żołądek skręcił mi się w supeł.

- Ojej, ale pobladłeś - stwierdziła Pamela, nagle spokojna i pewna siebie. - Chcesz milkshake'a?

# Manu

Kurwa. Ci robotnicy, stary.

Do tego momentu wszystko szło dobrze. Wszystko jak w zegareczku, wprost zajebiście. Przez tę wspólnie spędzoną noc – tylko panna Pringlin i ja – rozumieliśmy się wprost fantastycznie.

To znaczy ja rozumiałem, że ona jest przerażona. A ona rozumiała, że jeśli wytnie jakiś numer, będę zmuszony palnąć jej w łeb. Nigdy nie było między nami lepszego porozumienia.

– Widzisz, Pringlin – mówiłem do niej, parując po pomieszczeniu z pistoletem za pasem, jak jakiś kowboj czy ranger. – Nie spotkałoby cię to, gdybyś była życzliwsza dla ludzi.

A potem plułem na podłogę. Plucie na podłogę to jedna z tych rzeczy, które do niczego nie służą, ale czadowo to wygląda.

Ona odpowiadała ze swojego krzesła stłumionym przez knebel pojękiwaniem. Wszystko było pod kontrolą. Ja miałem wszystko pod kontrolą. Ta piwnica to było moje królestwo. Stary byłby ze mnie dumny. I jeszcze będzie, jak mu kiedyś o tym opowiem.

Przed świtem zjawił się Beto. Trochę był wydygany, cykor. Zapytał:

– Manu, jesteś pewien, że wszystko będzie dobrze?

– No pewnie, stary. Bo kto ja jestem? Wasz papcio! Z kim jesteście? Z papciem.

To był taki żart z telewizji z tamtych czasów. Chyba z *Wesoło i tanecznie*. Beto lekko się uśmiechnął, ale wciąż się bał.

– Okej – powiedział.

– Muszę iść. Za godzinę wrócę.

I wtedy, nie dając mi czasu na reakcję, rzucił mi się na szyję i mnie objął.

Już się skapowałem, że Beto jest trochę dziwny, wiesz. Taki kapkę nie teges. Ale odwzajemniłem uścisk. W końcu byliśmy w tym razem, nie? To był taki kumpelski uścisk. Żadnego pedałstwa. Tak jak przytulał mnie ojciec, zanim znikł. Natomiast faktycznie Beto trochę za bardzo się kleił. Prawie go musiałem zdrapywać szpachelką.

Wróciłem do domu. Wziąłem prysznic. Ciepła woda dobrze mi, kurde, zrobiła. Rozluźniłem się. Potem poszedłem do kuchni i zwędziłem latarkę. Powiedziałem wcześniej pozostałym, żeby zrobili to samo, na wypadek gdyby znów prąd padł.

Zjadłem śniadanie razem z matką, udając, że słucham, co mówi. Coś o moim zachowaniu i że mam je zmienić. Na wszystko przytakiwałem. Mówiła coś o ojcu. Miała tupet, żeby mi opowiadać, czego on by ode mnie oczekiwał, co by powiedział na temat mojego złego zachowania.

Co ty, kurwa, możesz wiedzieć o tym, czego chce mój stary, myślałem sobie. Ty, która go zdradziłaś i posłałaś na jakieś zadupie, zabraniasz mu ze mną rozmawiać, co ty, kurwa, wiesz?

Tak myślałem. Ale nie powiedziałem tego na głos. Tylko posłałem jej całusa i uprzedziłem, że idę się pouczyć do Beto. Matka stwierdziła, że chciałyby go poznać.

Jakbym nie miał już dostatecznie wielu problemów. Jakby te wszystkie problemy nie były jej winą.

Wróciłem do piwnicy i niczego Beto nie powiedziałem. A najlepsze było to, że udało mi się z nim pożegnać męskim uściskiem dłoni. Bez żadnego przypału.

Wszystko szło jak z płatka. Lepiej nawet: po prostu idealnie.

Aż pojawili się ci robotnicy.

Była równo ósma rano.

Te gnojki przychodzą punktualnie tylko wtedy, kiedy akurat w najlepsze trwa porwanie.

Najpierw oczywiście zabrzmiał dzwonek do drzwi. Ale dzwonili ładnych parę razy, zanim Pamela otworzyła.

Przywarłem do drzwi od piwnicy, z bronią w gotowości, zdecydowany odeprzeć każdy atak. Usłyszałem, jak ta laska schodzi schodami. Musiała wtedy znaleźć list, bo natychmiast wróciła na górę. Zeszła z powrotem po dobrej chwili. A wtedy jej kroki jakby zgubiły rytm. Nie brzmiało to już jak susy wesołego konika, tylko jak łomotanie ślepego perkusisty, który próbuje trafić w bębny.

Pamela zatrzymała się bez ruchu w salonie, a dzwonek wciąż dzwonił. Podejrzewam, że weszła do łazienki, żeby sprawdzić, czy ta jędza, jej matka, przypadkiem tam nie siedzi, albo żeby się ogarnąć przed otwarciem drzwi. Wreszcie otworzyła i wyszła do ogrodu.

Wróciła kilka sekund później, a razem z nią kilka głosów, męskich, ale uprzejmych. Po prostu robotnicy. Tylko tak beznadziejni porywacze jak my nie byli w stanie zauważyć worków z cementem, nieotynkowanych ścian, schodów bez poręczy i przewidzieć, że może się zjawić ekipa budowlana.

– Dobrze się pani czuje? – usłyszałem z góry.

Wyobraziłem sobie, co tam się dzieje w salonie: robotnicy – o tej porze pewnie już nawaleni – stoją przed rozbitą i bladą Pamelą, która nie bardzo wie, jak ma zareagować. Jej piskliwy głos potwierdził moje podejrzenia.

– Ja... ja... nie wiem.

– Mama w domu?

– Ona... No, ona...

Nie wytrzymała i wybuchła płaczem. Takie z niej było biedactwo kruche, takie bezbronne, że miało się ochotę też ją wpakować do piwnicy razem z matką, żeby taka samotna się nie czuła.

– Proszę pani, co się dzieje?

W dorosłym życiu nieraz mi przyszło mierzyć się z robotami. I jednego się nauczyłem: nie interesuje ich, co się z tobą dzieje.

Twoje problemy wydają im się jak z innej planety. Ale jeśli widzą, że jesteś smutny, zawsze są na tyle grzeczni, by zapytać.

– Nic – odpowiedziała Pamela, powstrzymując łzy. – Proszę się mną nie przejmować. Już w porządku.

Popatrzyli na nią przez chwilę, nie wiedząc, co począć. I choć pewnie żaden z nich jej nie uwierzył, to w końcu ich szef albo najstarszy z braci czy kim tam był ten robotnik, który się odezwał, stwierdził:

– Gdyby pani czegoś potrzebowała, będziemy na dole.

Po drugiej stronie drzwi do piwnicy to zdanie zabrzmiało katastrofalnie. Wszystko właśnie miało wziąć w łeb. Spojrzałem w dół na Pringlinową. Na tym etapie sprawiała już wrażenie, jakby popadła w katatonię. I znajdowała się za daleko, żeby usłyszeć, co się dzieje na zewnątrz, ale trochę jakby to wyczuwała. I tego chciała.

Przemyślałem wszystkie warianty: najpierw strzelić do niej, potem sobie w łeb. Strzelać do robotników, a potem do Pameli. Poddać się. Rzucić się ze szczytu schodów i mieć nadzieję, że upadek z dwóch metrów wystarczy, by skrócić sobie kark. Kroki robotników na zewnątrz powoli się przybliżały, jakby nie byli pewni, czy iść dalej. Cofnąłem się, wyjąłem pistolet i wymierzyłem w drzwi. Przez jakiś głupi odruch zamknąłem oczy, kiedy brałem je na cel. Nie wiedziałem, co zamierzam zrobić, ale zrobiłbym to, gdyby się otworzyły, i to bez wahania. A może nie. Może tylko bym się rozbeczał i uciekł.

I wtedy znów zabrzmiał głos Pameli:

– Nie! Proszę, dziś nie pracujcie. To trudny dzień. Mama zadzwoni do panów za parę dni, gdy będziemy mogli wznowić prace.

– Ale, proszę pani, my mieliśmy ten tydzień zarezerwowany... Jak mamy wrócić później, to drożej paniom wyjdzie.

To druga typowa cecha robotników: wszystko zawsze okazuje się droższe.



– W porządku – powiedziała Pamela, usiłując zapanować nad głosem i nie rozplakać się.

– W porządku?

– Tak.

– Czyli mamy sobie dzisiaj iść?

Pamela nie odpowiedziała, ale domyślałam się, że skinęła głową, bo parę sekund później, z tą samą powolnością, z jaką te głąby wszystko robiły, i bez wątpienia wzruszając ramionami i kłaniając się na prawo i lewo, nasi goście zaczęli się oddalać, wychodzili na zewnątrz.

Osunąłem się po ścianie na podłogę. Serce wróciło na swoje miejsce pośrodku klatki piersiowej. No, ale jeszcze nie byłem bezpieczny. Znów przyłożyłem ucho do drzwi, żeby się przekonać, co ta cholerna Pamela teraz zrobi.

Zadzwoiła do kogoś:

– Mama zniknęła!... Niczego nie rozumiem... Zostawiła list... To straszne...

Potem się rozłączyła i znów gdzieś zadzwoniła:

– Czy jest moja mama?... Nie?... Och, nie... Stało się coś bardzo dziwnego... Trudno w to uwierzyć, ale... ona chyba uciekła...

I takie tam bla, bla, bla. Ależ te baby są melodramatyczne.

No, ale srał to pies. W południe Pameli nie było już w domu i wszyscy – w tym przy okazji jej matka – byliśmy uratowani.

## Moco

Na popołudnie zaplanowaliśmy imprezkę.

Jak w *Świntuchu*, tym klasyku z lat osiemdziesiątych o przyjaźni i cyckach.

Albo w *Wieczorze kawalerskim*, jedynym zabawnym filmie, w którym zagrał Tom Hanks.

Mieliśmy powody do radości. A nawet wolną chatę na imprezę. Takiej okazji nie wolno było zmarnować.

Zanim poszliśmy do domu Pringlinowej, zahaczyliśmy o mój, żeby się zaprowiantować. Beto poczekał na zewnątrz, a ja przeszukałem kuchnię. Śmieszne to było. Jak zwykle nie mieliśmy chleba, sera ani makaronu. Natomiast nigdy nie brakowało u nas flaszki dobrego ginu. Gin ma swój urok. Pachnie jak woda kolońska. I jest elegancki.

Kiedy tak szukałem, zawołał mnie ojciec. Czy też raczej coś tam zajęczał. Nawet nie wypowiedział mojego imienia. Zawsze zwracał się do mnie zgodnie ze stopniem pokrewieństwa:

– Synu...

Poszedłem za jego głosem do pokoju. Leżał w łóżku w majtkach i koszulce. Pod oczami miał sine wory i lekko dygotał. Jego nieowłosione i blade nogi wyglądały tak, jakby zaraz miały się połamać. Wyglądał jak Nicolas Cage w *Zostawić Las Vegas*.

– Wszystko w porządku, tato?

Nie miał przy sobie żadnej flaszki, więc czuł się najlepiej i najzdrowiej, jak to było możliwe.

– Synu...

Popatrzył na mnie, a potem jego puste spojrzenie zginęło gdzieś w jakimś punkcie na ścianie.

– Jestem tu. Potrzebujesz czegoś?

– Twoja matka...

Moja matka. Wspominał ją czasami. Ja też czasami ją wspominałem.

– Tak?

– Pamiętasz, jak tańczyła?

Wciąż pamiętam. Kręciła biodrami w rytm salsy, której mój ojciec nie byłby w stanie nawet zanucić. Ale ona wyciągała go do tańca. Prawie zmuszała, znajomi się śmiali i on też. Ona tańczyła, a on się wydurniał i wszyscy byliśmy szczęśliwi.

– Nigdy nie zapomnę.

– Tęsknię za nią. Ty nie tęsknisz?

Skinąłem głową. Wciąż mu uciekał wzrok. Pewnie się skupiał, żeby powiedzieć to, co naprawdę chciał.

– Ta kobieta...

– Panna Pringlin.

– No ta. Może ma rację. Ja... nie byłem najlepszym ojcem, co? Nie... nie stanąłem na wysokości zadania.

– Nie przejmuj się tą babą. Niczym się nie przejmuj, tato. Ja się nią zajmę, okej? Ty zapomnij.

– Ona chce złożyć na mnie doniesienie – poskarżył się słabnącym głosem. – Rozdzielić nas.

– Nikt nas nie rozdzieli, tato.

Poruszył się lekko na łóżku. Przez półmrok panujący w pokoju przedzierało się zza żaluzji ledwie kilka promyków.

– Straciłem już twoją matkę. A teraz stracę ciebie...

Mój stary był taki delikatny. Zawsze mnie wzruszał. Tylko on to potrafił. Chciałbym go przytulić, ale w pokoju cuchnęło alkoholem. Jak mówiłem, w tamtej chwili nawet nie pił. To był normalny zapach jego ciała i jego życia.

– Tato...

– Ja się zmienię, synku, dobrze? Obiecuję, że się poprawię. Powiedz tej kobiecie, żeby dała mi szansę. Jeśli mi cię nie zabierze, wszystko będzie inaczej. Ale poproś ją, żeby dała mi szansę.

Tysiąc razy słyszałem tę obietnicę, przed i po śmierci matki. Ale zawsze chciałem w nią wierzyć. Byłem gotów dać się na to nabierać nawet codziennie, jeśli trzeba, bo przecież zawsze mogło się to jednak okazać prawdą.

– Serio mówisz?

– Pewnie. Zrobię, co w mojej mocy. Będę... prawdziwym ojcem. Kocham cię, synu.

– Ja ciebie też, tato. Tylko niczym się nie zamartwiaj.

Mimo wszystko podszedłem do łóżka i bardzo mocno go objąłem. Pogładziłem jego zmierzwiłone i obsypane łupieżem włosy. Pocałowałem go w szorstki, nieogolony policzek, niedaleko ust, z których woniało etylem. Pewnie przez te emocje trochę nos mi przytknęło.

A potem przyszła tym bardziej zasłużona pora na uczczenie tego wszystkiego.

Przed wyjściem z domu zgarnąłem kamerę wideo. Bo wielkie chwile trzeba uwiecznić, he, he.

## Beto

Byliśmy podekscytowani. Byliśmy nakręcenii. Byliśmy... jak to powiedzieć?

Odbiło nam. Jakbyśmy wygrali wojnę.

Albo jakbyśmy wykorzystywali ostatnie minuty przed klęską.

Nawet nie musielibyśmy zahaczać o dom Moco. Przetrzęsając chatę Pringlin, odkryliśmy barek z kilkoma butelkami rumu i whisky. I sprzęt muzyczny. Manu miał kasetę Los Violadores i zaczęliśmy tańczyć do *Uno, dos, ultravioleto*, jednocześnie ćwicząc celowanie nożami w fotele. Carlos z początku był niechętny, ale ostatecznie dołączył do zabawy. A ja...

Wciąż się czerwienię, jak to wspominam, ale ja...

Przerobiłem się na Pringlinową.

Nie mogłem się pohamować. Nigdy się nie przebierałem. Nawet nie jestem z tych gejów, co to się stroili w ciuszki swoich matek. Jednak tym razem, rozochocony alkoholem, poszedłem do szafy tej baby i zacząłem przeglądać zawartość.

Muszę dodać, że Pringlinowa fatalnie się ubierała. Jej garderoba to był koszmar projektanta mody. Bielizna przywodziła na myśl pas cnoty. Buty miała wszystkie takie same, czarne jak od uniformu pracownika firmy pogrzebowej. Jej żakiety – szare bez wyjątku – wydawały się celowo zaprojektowane tak, by podkreślać kośćcistość i ukrywać wszelkie możliwe krągłości. Ubranie, jakie nosimy, to komunikat dla świata, a ten jej brzmiał: „Życie jest złe, unikaj go”.

Myszkowanie w jej ciuchach ujawniło mi jedną zaskakującą rzecz: w tym domu mieszkał kiedyś mężczyzna. I to z pewnością weselszy od niej, miał pełno kolorowych koszul i ekstrawaganckich rzeczy, na przykład białe buty i krawat z diabłem tasmańskim. Dziwnie było

wyobrazić sobie, że Pringlinowa sypiała z kimś w łóżku, choć domyślałam się, że przecież jej córka skądś się musiała wziąć. Może spróbowała seksu tylko raz w życiu, zaszła w ciążę i postanowiła tego w przyszłości unikać. A jednak te męskie ubrania były całkiem nowe. Nie mogły tam wisieć od piętnastu lat.

Przejrzałem szafę i przeszedłem do łazienki panny Pringlin, gdzie zabrałem się do przeglądu jej kosmetyków. Wiele ich nie było, jak się można spodziewać. Ta kobieta nie miała w sobie cienia zmysłowości. Akurat tyle, żeby iść na jakiś ślub i kilka pogrzebów. No, ale na chwilę zabawy wystarczy. W sumie podejrzewam, że wybrałem najlepsze, co miała, i że wypadłem znacznie lepiej niż ona w rzeczywistości.

Kiedy zszedłem na dół, chłopaki biły mi brawo i gwizdały. Carlos próbował popsuć nam zabawę, ale na tym etapie nikt biedaka nie słuchał. A ja się odślaniałem. Odważałem się na rzeczy, których nigdy wcześniej nie robiłem.

Wlazłem na stół i zacząłem naśladować nauczycielkę.

– Dzisiaj, chłopcy, porozmawiamy o czymś, czego nigdy w życiu nie powinniście robić: o seksie, seksie i seksie. Jak macie ochotę na seks, weźcie sobie zimny prysznic. Jak wam fiutek staje, obciąć go.

Było to bardzo zabawne.

– Proszę pani, a możemy walić konia? – zapytał Moco. – To się nie liczy jako seks.

– Panno Pringlin, panno Pringlin, mogę iść do łazienki zapalić? – piszcział Manu.

– Żadnych papierosów – ciągnąłem swoje show. – Ani alkoholu. Ani filmów porno. Żadnych rozrywek.

– Pani się nie martwi! – krzyczał Carlos. – Postaram się, żeby pani córka nie bawiła się za dobrze. Ale to będzie trudne!

Carlos puścił jakąś łzawą balladę Air Supply. Ja akompaniowałem na ukulele znalezionym w pokojach na piętterku. Nie umiałem grać, wyglupiałem się tylko. Carlos tańczył ze mną, aż się popłakaliśmy ze

śmiechu. Potem Manu udzielił nam ślubu, jakby był księdzem, i wznieśliśmy toast.

Nie wiem, czy dziś to szczególnie zabawnie brzmi.

Ale to działo się wtedy. I jeszcze nie wiedzieliśmy, co nas czeka w przyszłości.

## Carlos

Próbowałem ich trochę hamować. Przynajmniej na początku.

No, ale od kiedy Beto przeszedł na ciemną stronę, moje zdanie nie miało większego znaczenia.

Próbowałem powstrzymać Beto przed przebieraniem się za kobietę. Próbowałem wyperswadować Manu rozwalanie mebli. Wreszcie naprawdę się starałem, żeby Moco tego nie filmował. To był totalny idiotyzm. Nagranie mogło nas wpakować w prawdziwe kłopoty. Ale nikt mnie nie słuchał. Złapaliśmy fazę euforyczną.

Nie wiedziałem jeszcze, jak traktować to, co Pamela powiedziała mi w McRonaldzie. Wiedziała, co się dzieje? Czy to był tylko taki makabryczny żarcik? Czy powinienem opowiedzieć innym o naszej rozmowie? Na większość moich pytań – dotyczących Pameli, ale też naszej najbliższej przyszłości, tego, co właśnie robimy – nie znałem odpowiedzi.

Ktoś poczęstował mnie papierosem.

I podał szklanę z alkoholem.

No i w końcu przyłączyłem się do zabawy. Przecież nie było wiadomo, jak długo jeszcze dane nam będzie się czymkolwiek cieszyć. Gdzieś w tyle głowy mieliśmy wszyscy świadomość, że lecimy szybowcem. Kiedy wiatr zmieni kierunek, roztrzaskamy się o ziemię.

Piłem whisky i gin. Palilem. Tańczyłem. Wziąłem „ślub” z Beto-Pringlin. Wpadłem w tę spiralę dymu, alkoholu i szaleństwa. I na chwilę zapomniałem, w co się wpakowaliśmy.

Aż nagle usłyszeliśmy łomot.



# Manu

Ja to usłyszałem. Ten hałas.

Ledwie słyszalny, zwłaszcza przez tę muzykę i dym, i filmowanie Moco, i wygłupy Beto, który pajacował na stole.

Ale ja byłem czujny, nie myśl se, stary. Ktoś tam musiał mieć wszystkie pięć zmysłów w gotowości. A to ja dowodziłem, nie? W końcu od czegoś się jest przecież szefem.

Odgłos dobiegł z piwnicy. Takie głucho łup! gdzieś pod naszymi nogami, jakby jakaś szafa runęła. Łomot, jakby coś dużego upadło na podłogę.

– Co to?

– Ale co?

– Ścisz to.

– Manu, wylu...

– Ścisz to, do cholery!

Na chwilę wróciliśmy do trybu wojskowego. Przyczajeni w okopie, czekaliśmy na eksplozję pocisku. Carlos wyłączył muzykę. Ja złapałem browninga, który leżał sobie obok butelek na barku. Czekaliśmy.

– Ja niczego nie słyszę – stwierdził Moco.

– Schodzimy – rozkazałem.

– Dlaczego? Bo ty tak chcesz?

– Idziemy, kurwa.

I zeszliśmy. Kurwa mać, całe szczęście, że zeszliśmy.

## Moco

Baby nie było na miejscu.

W jednym ułamku sekundy, stłoczeni w drzwiach do piwniczki, zadrżeliśmy. Wydawało się, że jakimś cudem znikła. Jak Batman albo Zielona Latarnia. Szwarccharaktery zawsze łapią superbohaterów w śmiertelną pułapkę. Ale kiedy po nich wracają, ich już nie ma.

Spojrzeliliśmy po sobie, zastanawiając się, na kogo zwalić winę. Aż nagle usłyszeliśmy za plecami dźwięk jak sapnięcie manata w rui. Carlos krzyknął:

– Tam jest!

Pringlin przedostała się aż do skrzynki z narzędziami, która leżała w przeciwległym kącie piwnicy. A kiedy do niej dotarła, niechcący albo celowo przeważyla krzesło na jedną stronę. Leżała teraz na podłodze, jakieś dziesięć centymetrów od skrzynki, miotając się jak ryba wyrzucona na ląd.

– Podnieście ją – rozkazał Manu.

Carlos i Beto podnieśli nauczycielkę i odstawili ją na miejsce. Sprawiała wrażenie wyczerpanej wysiłkiem. Uderzyła się w głowę podczas upadku i z niewielkiego zadrapania nad uchem ciekła jej krew.

– Moco, otwórz skrzynkę z narzędziami – polecił mi Manu i choć jego rozkazujący głos zaczynał mi działać na nerwy, posłuchałem. Nie dało mu się przeciwstawić.

Pogrzebałem w skrzynce, nie wiedząc, czego szukam. W końcu między śrubokrętami, kombinerkami i kawałkami kabli znalazłem nożyk do cięcia kartonu. Pokazałem go kolegom. Odetchnęli z ulgą, tak jak gdy napastnik przeciwnej drużyny trafia w słupek. Ostrze tego czegoś rzeczywiście mogłoby dobić się do kości, a tym bardziej

przeciąć taśmę klejącą. Manu wziął nożyk do ręki, jakby szacował jego ciężar. Podszedł do Pringlinowej, która patrzyła na niego spod pokaleczonego łba.

– Co to miało być, krowo? Co zamierzałaś zrobić?

– Mnnnhhg – próbowała coś wydusić.

Nie dało się stwierdzić, czy go przeprosza, czy wyzywa.

– Co robiłaś?! – wrzasnął Manu i tym razem ją spoliczkował, tak że poczerwieniała jej druga połowa twarzy.

Nie był to jakoś szczególnie mocny cios. Raczej z tych, co są głośne, ale nie za bardzo bołą. Podziałał jednak na nas jak fala uderzeniowa. Oczy Pringlin wypełniły się łzami. Beto i Carlos zrobili mocno niepewne miny. Manu i mnie skoczyła adrenalina. Coś się zmieniło. Manu jakby otworzył drzwi. A może raczej odkręcił zawór. W zaporze powstrzymującej masę wody. Poprzedniej nocy już lekko sponiewierał Pringlin. Ale teraz to było coś innego.

Zrobiliśmy kolejny krok w stronę piekła.

– Nie próbuj tego znowu – zagroził Manu Pringlinowej, pochylając się tak, że dmuchał jej prosto w nos, i celując w nią palcem. Jego twarz była tak blisko, jakby się mieli pocałować. – Bo następnym razem wytnę ci kawałek skóry tym tu nożykiem. Słyszysz? Słyszysz mnie?!

To ostatnie dosłownie wykrzyczał. Myślałem, że jeszcze raz jej przyłoży. I przez kilka sekund nikt nie próbował go powstrzymać. Kręciliśmy się wokół niego jak szakale, czekając na nasze ochłapy z padliny.

– Wydaje ci się, że dalej tu rządysz? Co? Wciąż ci się tak wydaje, krowo?

Teraz trzymał nożyk w wyciągniętej ręce. Wyglądało na to, że przy następnym uderzeniu potnie jej twarz. Że rozora ją od ucha do ucha, jak się rozcina melona. Na kilka sekund powietrze wokół nas zamarzło.

– Spokojnie, Manu – odezwał się wreszcie Beto, podszedł i objął go w pasie. – Tylko spokojnie.

Beto nie odpuszczał żadnej okazji, żeby trochę pomacać Manu. Choć podejrzewam, że ta scena wszystkich nas trochę przestraszyła. Potrzebowaliśmy przerwy.

Jednak humor Manu się nie poprawiał. Przeciwnie, dosłownie leciała mu piana z ust.

– Skończyły się wygłupy i imprezki! – wrzeszczał. – Ustalimy warty ze zmianą co cztery godziny.

– A może najpierw...

– Cicho! Beto, ty pierwszy. Reszta na górę. Musimy przygotować plan.

– Mam tu zostać sam na dole? – poskarżył się Beto.

– Sam nie. Zostaniesz z Pringlin – odparł Manu, podczas gdy reszta z nas ruszyła schodami na górę. – Tylko nie wyciągaj jej knebla, jasne? Żadnych babskich pogaduszek. Nie odzywaj się do niej pod żadnym pozorem. Kapujesz?

Beto chciałby pewnie zaprotestować, ale to było po prostu niemożliwe. Nie mieliśmy nic do dodania. Żadnej przestrzeni na dyskusje. Zmieniliśmy się w cienie posłuszne woli Manu.

## Beto

Nie powinienem wyznawać tego, co zaraz wyznam.

Tak naprawdę w ogóle nie powinienem mówić nic z tego, co tu mówię. Opowiadać całej tej historii. Odkopywać tych wszystkich sekretów, tak dawno pogrzebanych. Przerywać ciszy trwającej parę dekad.

Wciąż uważam, że to nagranie to wielki błąd.

Oprócz tego, że to szantaż, wiadomo.

No ale skoro mówię, to powiem wszystko. Zbyt długo tłumiliem to w sobie. Co za różnica, jeśli teraz wszystko wyznam. Manu już nic mi nie zrobi. Jestem dorosły. Nikt prócz mnie samego nie zrobi mi krzywdy. Skoro mam o tym opowiedzieć, powiem wszystko.

Rozmawiałem z nią. Z Pringlinową.

Słuchałem, co mówiła, i odpowiadałem.

Złamałem tę jedyną regułę, jedyny obowiązek, jaki mi narzucono: milczenia.

Jakie miałem wyjście?

Przez pierwsze minuty mojej warty udało mi się traktować ją jak przedmiot. Jakbym nie miał żadnych emocji. Ani uczuć. Nawet z niej zaszydłem. Zatańczyłem jej przed nosem *I Will Survive* Glorii Gaynor, potrząsając wyimaginowanymi cekinami, przeistaczając się w boginię, wyciągając język. Wciąż miałem na sobie jej ciuchy, makijaż trochę rozmazany, jak w deformującym i groteskowym lustrze. Ona siedziała w milczeniu ze spuszczoną głową. Nie była już tą władczą kobietą. Noc na krześle, knebel i policzek od Manu trochę ją zmiękczyły. To było nasze zwycięstwo.

Kiedy taniec mi się znudził, postanowiłem ją trochę pomęczyć.

– No co jest, Pringlin? Nie możesz stąd zadzwonić do mojego ojca? Nie, tutaj jesteś nikim. Nie możesz się przypieprzać do innych, jak lubisz. Jak mi przykro!

Nawet na mnie nie popatrzyła. Spuściła brodę na pierś i udawała, że nie słucha. Ale ja wiedziałem, że moje słowa docierają do niej. I co najważniejsze, że ją ranią.

– Przykro ci, bo nie możesz zrujnować nam życia? Twoje plany nie wyszły, co? Ale uśmiechnij się, dalej! Dziś dzięki tobie świat stał się lepszy, niż był wczoraj. To znaczy dzięki tobie i tej piwnicy.

Dobrą chwilę tak się na niej wyzywałem. Obrażałem ją, kpiłem do woli, nawijałem.

W końcu nie miałem już pomysłu, co by tu dodać, a zostały mi jeszcze trzy i pół godziny warty.

Przez półtorej godziny nudziłem się bez słowa. „Porwanie” brzmi jak przygoda, kryminalna afera, policyjne śledztwo. Tymczasem w praktyce czas wlecze się niemiłosiernie, paralitycznie wręcz, a ja rozmyślałem o niebieskich migdałach i gapiłem się w twarz kogoś, kto nie mógł nic powiedzieć. Z fascynacją obserwowałem wędrówkę mrówki w stronę worka z cementem. Obgryzałem paznokcie. W końcu marzyłem już tylko, żeby znaleźć się w domu, poczytać powieść Hermanna Hessego, odrabiać lekcje i znosić wygłupy mojego nieznośnego ojca.

Tam na dole nie było nawet muzyki ani telewizora. A ja musiałem czegoś posłuchać, czegokolwiek: piosenki, reklamowego dżingla...

Głosu.

– Hej, Pringlin, o czym myślisz? Co?

Wydała z siebie jakieś gardłowe odgłosy, jakby pomruki susła.

– Pringlin?

Może ona też się nudziła. Może nie zrobi nikomu krzywdy, jeśli się jej zdejmie knebel i trochę z nią pogada.

– Pozwolę ci mówić – uprzedziłem. – Ale moi kumple są na górze. Jeśli odstawisz coś dziwnego, to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobisz.

Taśma mocno przywarła, więc Pringlin robiła bardzo zbolale miny, kiedy ściągałem ją centymetr po centymetrze. Mimo to nie krzyknęła. Ale też nie podziękowała. Nawet nie podniosła głowy.

– No, powiedz coś – zażądałem, odklejając sobie taśmę od palców. – Teraz możesz. Chcesz coś powiedzieć?

Chwilę jej zajęło, zanim odpowiedziała, ale jak już rozbrzmiał jej głos, wcale nie wydawał się osłabiony. Ta kobieta miała więcej dumy niż pomnik wyzwolicieli kraju.

– Od wczoraj nic nie jadłam – powiedziała. – I muszę iść do łazienki.

Już miałem jej odpyskować, że może sobie zdechnąć z głodu i narobić w gacie tam na miejscu. Ale przypomniałem sobie, że to ja mam z nią spędzić jeszcze parę godzin. Smród towarzyszyłby mi do końca warty.

– Poproszę, żeby podali pani coś do jedzenia... – ustąpiłem, znów zwracając się do niej *per* pani, jakby ta forma była uwarunkowana brzmieniem jej głosu. – I zapytam, czy mogę panią zaprowadzić do łazienki. Ale w takim razie muszę znów założyć knebel.

– Nie... Proszę... Będę siedzieć cicho. I tak nikt tu nie usłyszy.

Tu miała rację. Poza tym, kiedy podszedłem, w jej oku błysnęło coś nowego. To nie była rezygnacja ani błaganie. Podejrzewam, że to było coś, czego wtedy jeszcze nie umiałbym nazwać, a co dziś określiłbym mianem godności. Cokolwiek to było, poczułem wyrzuty sumienia i postanowiłem jej zaufać.

Ale przed wyjściem na górę ostrzegłem ją:

– Jeśli powie pani komuś, że zdjąłem knebel, następnym razem zrobi pani pod siebie.

Pięć minut później wróciłem na dół z obietnicą ciepłego posiłku. Dotrzymując słowa, Pringlin nawet nie otworzyła ust. Ja też dotrzymałem swojego w sprawie ulżenia jej jelitom, miałem ze sobą średniej wielkości garnek.

– Nie zgadzają się na wyjście do łazienki, ale może pani tego użyć jako nocnika. Proszę.

Oboje spojrzeliśmy na garnek, jakby szacując jego przydatność do wiadomego celu. Fakt, że było to naczynie kuchenne, przywoływał szereg nieprzyjemnych skojarzeń.

– Postawię to tu na podłodze – powiedziałem.

– I co ja mam z tym zrobić? – zapytała. – Mam wstać i tam usiąść?

– Jeśli pani myśli, że panią rozwiązę choćby na sekundę, to nie ma o czym gadać.

Przez jej oczy przebiegła iskierka gniewu, ale zaraz się pohamowała. Wciąż na mnie patrzyła, ale jej twarz pozbawiona była teraz wyrazu.

– Wydaje mi się – powiedziała powoli – że będzie gorzej, jeśli mnie nie rozwiążesz.

Rozejrzałem się na boki, rozmyślając, co tu począć. Może powinienem zawołać jednego z tych na górze. Problem w tym, że być może wtedy będzie już za późno. Dobrze się nad tym zastanowiłem, przemyślałem to starannie i w końcu podjąłem decyzję:

– Proszę podnieść brzuch.

– Co?

– No, podnieść się. Rozepnę pani szlafrok i wsunę garnek pod spód, na krzesło.

– Ale co to za pomysł...?

– Mam pani pomóc czy nie?

Pohamowała wściekłość i spuściła głowę. Przez kilka sekund nie reagowała. Wreszcie wygięła ciało i zrobiła miejsce na garnek. Może i była z niej stara nudziara, ale umiała się dostosować.

Rozpiąłem jej szlafrok i przerzuciłem tył za oparcie. Była w czymś w rodzaju koszuli nocnej, co miało w tym przypadku spore plusy, bo mogłem ją łatwo podciągnąć, unikając kontaktu z jej intymnymi częściami. Tak czy inaczej operacja okazała się bardzo



skomplikowana i w jej trakcie ciągle się zastanawiałem, czy jednak nie lepiej by było, gdyby narobiła pod siebie.

– Już? – zapytałem, wstrzymując oddech.

– Mógłbyś się odsunąć? Nie mogę tego robić, jak tak nade mną sterczysz.

– No tak. Przepraszam.

Postanowiłem sobie zapamiętać, żeby nigdy już nie mówić do niej „przepraszam”. Nie mogę okazywać słabości. Cofnąłem się o kilka kroków i czekałem. Wygięta w pół, ze szlafrokiem jak płaszcz i z podkasaną wysoko koszulą nocną wyglądała jak kosmitka.

– Mógłbyś się odwrócić? – poprosiła. – Przecież jestem przywiązana, nie ucieknę.

Zawahałem się, ale przystałem na to. Zamknąłem oczy. I nie tylko wstrzymałem oddech, ale też zatkałem uszy. Kiedy uznałem, że upłynęło wystarczająco dużo czasu, odkryłem uszy i zapytałem:

– Już?

– Tak. Teraz się muszę podetrzeć.

– Cholera. Niech się pani stamtąd nie rusza.

Zaniosłem garnek do łazienki, wywaliłem jego zawartość do klozetu i zanieśliem na dół papier toaletowy i kosz na śmieci.

– I co teraz?

– Ty to zrobisz?

– Kurwa.

Zgodziłem się odwiązać jej jedną rękę, żeby mogła się obsłużyć, i choć niby nad nią nie stałem, przyglądałem jej się kątem oka. Kiedy wreszcie skończyła, przywiązałem ją znów jak przedtem.

Byłem ledwie w połowie mojej warty, a już kompletnie wyczerpany.

– Następnym razem weźmiemy panią jednak do łazienki – uznałem.

– Tak chyba będzie lepiej – przyznała.

Te praktyczne trudności sprawiły, że z naszych słów wyparowała wszelka zła energia, cała złość i pretensje. Nagle staliśmy się

wspólnikami, którzy muszą zmierzyć się z tym samym zadaniem.

– To nie było takie trudne – powiedziałem. – Zajmowanie się niemowlakiem to musi być coś, prawda?

– Co z Pamelą?

Wzmianka o Pameli sprawiła, że atmosfera się zmieniła. Nagle przestała być uskarżającym się i bezbronnym zakładnikiem. Stała się matką.

Taką jak moja. Zawsze drżąca o dzieci. Oddana.

Nawet głos się jej zmienił. Język jej skołowaciał. Dostrzegłem w niej coś, czego nigdy się nie spodziewałem: strach.

– Wszystko dobrze – odpowiedziałem. – Z Pamelą w porządku. Jest u wuja.

– Nie zrobicie jej krzywdy, prawda?

– Nie, pewnie, że nie. Nic do niej nie mamy. Naszym problemem jest pani.

– Boże mój – jęknęła błagalnie. Błagalnie! – Musisz zatrzymać to szaleństwo, Beto. Tamci to banda dzikusów, ale z ciebie jest porządny chłopak.

– Ależ oczywiście, że tego nie zatrzymamy. I że NIE jestem żadnym porządnym chłopakiem, stara krowo. Nie każ mi udowadniać, jaki jestem zły.

Znów zacząłem mówić do niej *per* ty, jak do zwierzęcia albo podwładnego. To był mechanizm obronny. Mój głos zabrzmiał na tyle męsko, na ile się dało w kobiecym przebraniu i makijażu, ale jej odpowiedź przyprowadziła mnie o ciarki. Pod tymi wszystkimi sińcami, na ustach, których używała tylko po to, żeby się na nas wyżywać, nagle wykwitł grymas matczynej troski.

– Nie, skarbie, ty nie jesteś zły – powiedziała. – Ja to wiem. Ty się tu znalazłeś przez miłość.

Jeszcze tylko tego brakowało: sesja psychoanalityczna w wykonaniu potwora z Loch Ness.

– O czym ty, kurde, mówisz?

– Nie ja to powiedziałam. To powiedział twój kolega Manu.

– He?

– Wczoraj wieczorem. Jak już poszliście sobie razem z Risueño. Carlos powiedział, że obydwaj możecie zdradzić. A Manu odpowiedział: „Moco zajebicie się bawi. A Beto... Jest we mnie zakochany. Zrobi, co mu każe”.

Zrobi, co mu każe.

Tak. To pasowało do tego dupka Manu.

Te słowa były jak torpeda pod moją linię zanurzenia.

– Nie powiedział tak – odparłem.

– Owszem, powiedział. Mówiłam ci, że to prymitywy. Ale tobie można zaufać. Ty jesteś porządnym, zakochanym chłopcem. Dobrze się zastanów, co robisz, bo ty wiesz, co to znaczy kogoś kochać...

Głos się jej załamał. Nagle wydała się mała i słaba, jak głodny ptaszek.

– Zastanów się, co robisz – powtórzyła. – Bo ja chcę się zobaczyć z córką... Proszę.

Wtedy pękła. Twarz wykrzywił jej grymas bólu. O mało jej nie objąłem i też się nie rozpłakałem.

Ale zrobiłem co innego: znów ją związałem i zakneblowałem, tym razem mocniej niż przedtem. I na wszelki wypadek splunąłem obok.

W samą porę, bo tamci właśnie schodzili.

## Carlos

Zamierzałem opowiedzieć o wszystkim mamie.

O tym, co robiliśmy. Co już zrobiliśmy. O wszystkim.

Może to było tchórzostwo, może zdrada. Ale to było jedyne rozsądne wyjście.

Napięcie wokół tej całej sytuacji przerażało mnie. Pamela dodawała do tego jeszcze dodatkowy stres. Ale ten policzek wymierzony przez Manu to już było za dużo. Ciągle miałem przed oczami tę scenę, jak uderza w twarz pannę Pringlin, bezbronną, pokonaną, upokorzoną.

Stawaliśmy się katami. Lepiej w porę zdradzić, niż podążać dalej w tę stronę. Po drodze zdecydowałem, że wyjawię mamie całą prawdę.

Ta prawda wisiała mi u szyi jak kamień. Musiałem ją odciąć.

Szarpnięcie za sznur. Pociągnięcie za język. I będzie po wszystkim.

Szedłem do domu i próbowałem myśleć o sobie, jakbym nie trzymał spętanej i zastraszonej pistoletem nauczycielki w piwnicy. Jak się wtedy wygląda? Jaką minę mają ludzie, którzy nie popełniają żadnego przestępstwa? Nawet dziś, kiedy widuję to na co dzień, nie mam jasności. Są tacy, co mają na twarzach wypisane przestępstwa, których wcale nie popełnili. I prawdziwi zbrodniarze z minami, jakby w życiu muchy nie skrzywdzili.

Rozmyślałem nad tym wszystkim, wchodząc do domu.

– Mamo?

Nie mogłem dłużej czekać. Musiałem zrobić to tu i teraz. Wyrzucić to z siebie.

– Kochanie!

Mama wyszła z kuchni wyraźnie w dobrym humorze. Szła w moją stronę przez przedpokój, a ja chciałem już zrzucić to z siebie i uwolnić się od wszystkiego.

– Mamo, muszę z tobą poro...

I tu się zatrzymałem.

Z salonu dobiegł mnie niespodziewany głos, pochodzący z normalnego życia, cokolwiek by to miało oznaczać, głos kojarzący się ze sportowymi popołudniami, imprezami i niedzielnymi lodami, głos, przez który ta rozmowa stawała się niemożliwa:

– Dobry wieczór, mistrzu!

Wrócił tata. Siedział w salonie z filiżanką kawy i miał minę, jakby nigdy nigdzie nie odszedł. Taką minę to akurat ja też umiem robić.

– Chcesz grzankę z marmoladą? – zapytała śpiewnie mama.

Z tamtej kobiety, którą wczoraj wieczorem zostawiłem w totalnej rozsypce, przygniecioną cierpieniem, teraz nie zostało nic. Mama była jak wesoły dzwoneczek, słońko cieplej rodzinnej radości. Wkurzyło mnie jej zachowanie i wkurzył mnie jego widok tu w domu, scenariusz tragedii znów się powtarzał.

Ale odpowiedziałem: „Tak”. Bo to było normalne.

– Jak tam w szkole, kolego? – zapytał tata.

Są takie pytania, które zadają tylko ojcowie, kwestie poruszane tylko przez dorosłych mężczyzn: „Kim chcesz zostać, jak dorośniesz?”, „Jakiej drużynie kibicujesz?” albo właśnie „Jak tam w szkole?”.

Powiedziałem: „W porządku”. To jest odpowiedź kogoś, kto nie wyczynia żadnych dziwnych rzeczy, nie przetrzymuje zakładników i tak dalej.

– Słyszałam, że panny Pringlin dzisiaj nie było – odezwała się mama.

Są z kolei takie rzeczy, o których wiedzą tylko matki: na przykład szkolne plotki.

Odpowiedziałem: „No”. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Pewnie byłeś przeszczęśliwy – stwierdził tata, maczając grzanekę z marmoladą w kawie z mlekiem, zwyczaj, który do dziś wydaje mi się nieprzyjemny. – Pewnie puścili was wcześniej do domu.

– Nie wypada się cieszyć – odparowała mama, weselsza niż kiedykolwiek, otrzepując delikatnie ramię ojca z kłaczków. – Zdaje się, że poważnie się rozchorowała. Podobno trafiła do szpitala. I nawet w szkole nie wiedzą do końca, w jakim jest stanie.

– Za jakiś czas się pojawi i okaże się, że to było zwykłe przeziębienie – uciał nieinteresującą go rozmowę ojciec. – Straszne z was plotkary.

To ostatnie wypowiedział z pobłażliwą sympatią, a mama uśmiechnęła się w odpowiedzi. Usiadła mu na kolanach i odcisnęła całusa na nosie.

– Przekonamy się na końcu, kto miał rację – powiedziała figlarnie. Sprawiała wrażenie, jakby nigdy w życiu nie była smutna.

I podczas gdy oni oddali się na moich oczach tej swojej piętnastominutowej scenie miłosnej, we mnie zostały tylko te dwa słowa: „na końcu”.

Co się stanie „na końcu”? Jak długo możemy utrzymywać tę wersję z chorobą? Kiedy wszystko wybuchnie?

Mówiąc krótko: co my, do cholery, teraz zrobimy?

Wstałem od stołu i ruszyłem w stronę drzwi.

– Carlos! – poderwał się tata. – Dokąd idziesz?

– Mam coś do załatwienia.

– Ej, Carlos. Wszystko w porządku? Chcesz porozmawiać?

– Nie.

– Carlos!

Szedłem dalej, nie odpowiadając. Ale usłyszałem za plecami, jak mama powstrzymuje ojca:

– Zostaw go. To normalne. Ta sytuacja jest dla niego kłopotliwa.

Kłopotliwa, święte słowa. Nawet sobie nie wyobrażali jak bardzo.

## Manu

– Musimy ją zabić, nie ma co.

Włączyłem telewizję i gapiliśmy się we trójkę na wiadomości: w wyniku zamachu bombowego bank wyleciał w powietrze. Na ekranie płacz i krzyki, cały rząd zabitych i rannych, którzy czekali na pomoc pielęgniarzy z karettek pogotowia. Wszystko rozpiardolone. Ogień. Gruzy. Kolejny zwykły dzień w stolicy.

– Chcesz jej wpakować kulkę? – zapytał Moco, dłubiąc w nosie. – Dla mnie spoko.

– Nie, nie tak. To powinno wyglądać na wypadek. Potrzebujemy czystego trupa.

– Ale ty bredzisz, Manu! – parsknął Carlos.

Poszedł do domu coś zjeść, ale wrócił po półgodzinie. Bo z rodziną to nikomu nie chce się siedzieć.

– To nie są brednie. Każda sekunda z Pringlin tu na dole to nowe ryzyko. Przy następnej próbie może się jej udać i zwieje. A cofnąć się już nie możemy. Trzeba się zastanowić, jak to zrobić bez zbędnej przemocy, jasne?

Carlos miał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili z piwnicy wyłonił się Beto. Wciąż miał na sobie ciuchy Pringlinowej i wyglądał jak jakaś babcia z filmów rysunkowych. Stał tak, że zasłonił ekran, i zaczął nas besztać, jakbyśmy nie mieli od tego własnych matek:

– Ej! Ktoś może pamiętać, że ludzie muszą jeść? Kobita tam zdycha z głodu.

– To jest myśl! – zawołał Moco, jakby mu się żaróweczka zapaliła. – Możemy ją zagłodzić na śmierć.

Carlos schował twarz w dłoniach. Odpowiedziałem:

– Nie gadaj bzdur, Moco. To strasznie długo trwa. Ale mam lepszy pomysł. Damy jej jeść. Powiedz jej, że zaraz dostanie.

– Super – stwierdził Beto. – Inna sprawa: widział tu ktoś nocnik?

– Jaki masz ten pomysł? – zapytał Moco.

– A skąd mielibyśmy wziąć nocnik? – zdziwił się Carlos.

– A bo ja wiem? Ona chce do łazienki. Przecież nie będzie się tam załatwiała pod siebie, nie?

– Zanieś jej garnek.

– Jaki jest ten twój pomysł? – naciskał Moco.

– Garnek się nada.

Beto poszedł do kuchni szukać naczynia. Moco wciąż gapił się na mnie z zaciekawieniem. W telewizji mówili właśnie o jakimś wypadku samochodowym. Dwa autobusy leżały przewrócone na szosie. A ja odpowiedziałem:

– Otrujemy ją.

– Łaa – mruknął Moco.

– Odbiło ci – stwierdził Carlos.

– Otrujemy ją i porzucimy jej ciało na wzgórzu – mówiłem. – Wszyscy uznają to za napad rabunkowy.

– Przecież zrobią jej sekcję zwłok, bałwanie. – Carlos znowu bruździł. – I dowiedzą się, jaka była przyczyna śmierci. Od kiedy to złodzieje trują ludzi, których chcą okraść?

– Może to był bardzo powolny złodziej – pomógł Moco.

– Może byś tak, kurde, powiedział dla odmiany coś pomocnego, Carlos, co? – wkurzyłem się.

– Ratuje cię przed idiotycznym planem, uważasz, że to mało? To by było samobójstwo.

W telewizji mówili już o czymś innym: tym razem widać było hotel, w którym ktoś zabił kobietę, zrzucając ją z dziesiątego piętra. Bez motywu politycznego, sprawa osobista. Zabójca chciał sfingować samobójczy skok ofiary.

– No właśnie – odezwałem się.



– Co?

– Samobójstwo.

Carlos i Moco wymienili się spojrzeniami. Moco po raz pierwszy oderwał oczy od ekranu.

– Chcesz się zabić? – zapytał mnie.

– Nie, idioto. Pringlin popełni samobójstwo. A ściślej, to my jej w tym pomożemy. Dobra, szybko!

Poszliśmy do łazienki w poszukiwaniu apteczki. Przejrzeliśmy jej zawartość: aspiryna, środki przeciwbólowe, tylenol, lextan, diazepam. Potem zeszliśmy do kuchni, żeby przygotować dla Pringlinowej ostatnią wieczerzę.

– Ktoś umie gotować? – zapytałem, kiedy przeczesywaliśmy szuflady.

– To nie może być bardzo trudne – stwierdził Carlos. – Wsadzasz rzeczy do garnka, zapalasz palnik na kuchence...

W drugiej szufladzie, pod nożami i widelcami, znalazłem mózdzierz. Podałem go Moco.

– Masz, sproszkuj te tabletki.

– A ile tego trzeba, żeby jej serce stanęło?

– Utrzyj wszystkie.

Znaleźliśmy w lodówce sporo zieleniny i kilka ryb i wszystko to wsadziliśmy do garnka, polewając oliwą. Do drugiego, zgodnie z sugestią Carlosa, wlaliśmy wodę i nasypaliśmy ryżu. Po jakichś dwudziestu minutach wyprodukowaliśmy coś w rodzaju bryły ryżu z surową od środka, ale spaloną na zewnątrz rybą, wszystko to posypane sproszkowanymi tabletkami, jakby to był parmezan.

## Moco

– Myślisz, że ona będzie chciała to jeść?

– A co, kawior se zamówi? Mamy to i szlus. Smacznego!

– Nie jest tak źle. Nawet ma to swój styl. Możemy nazwać tę potrawę „ryba *à la* śpiąca królowna”.

Danie rzeczywiście wyglądało obrzydliwie, he, he. No, ale mieszkając z moim staruszkiem, jadałem gorsze rzeczy. Tagliatelle w sosie z zupy w proszku. Gulasz sprzed dwóch dni. Flaczki po odcięciu prądu, kiedy lodówka nie działa. Jeśli przeżyłeś flaczki bez prądu, nic cię nie zabije.

Poza tym, zanosząc nasze dzieło do piwnicy, ustawione na tacce obok szklanki wody dla Pringlinowej i butelki whisky dla nas, nie mieliśmy za bardzo czasu na rozmyślania o kulinarnych subtelnościach. To była nasza pierwsza próba otrucia. Mieliśmy inne troski na głowie.

Nauczycielka patrzyła na nas bez słowa, ale nie spuszczała z oczu nawet na chwilę. Manu wysunął się do przodu i sprawdził jej pęta. Upewnił się, czy ma dobrze związane nogi, ręce i czy knebel mocno się trzyma.

– Jest poluzowany – stwierdził. – Zdjęła go sobie?

– Nie! – Beto zareagował błyskawicznie. – Niby jak miałyby go sobie zdjąć, ha, ha. Co ty wygadujesz. Nie zostawiłem jej ani na minutę i ani razu, nawet na sekundę, się nie ruszyła. No, ale wydaje mi się, że taka taśma klejąca może się sama odklejać przez pot i ruchy ciała. Naturalna reakcja biologiczna. Czytałem kiedyś taką powieść i tam właśnie było napisane... No, to dość skomplikowane, ale...

Dziwnie się zachowywał ten Beto. Zaczął wygłaszać jakieś komentarze nie na temat i śmiesznie się poruszać. Choć wtedy uznałem, że to dlatego, że się przebrał za kobietę w średnim wieku. A i tak nie chciało mi się słuchać tych jego rozważań. Podeszedłem do zakładniczki, zerwałem jej jednym szarpnięciem taśmę z ust i zapytałem wprost:

– Ściągałaś sobie knebel, krowo?

Wtedy zdarzyła się druga rzecz: Beto i nauczycielka wymienili się spojrzeniami. Nie wiem, co dokładnie mogło to oznaczać, ale bez wątpienia popatrzyli na siebie. I coś tam sobie przekazali, coś, czego reszta z nas nie umiała rozkminić.

Widziałem to na tysiącach filmów. Dwie osoby patrzą na siebie w szczególny sposób. To zawsze coś znaczy. Ale tylko publiczność wie co.

– Nie opowiadaj głupot, Rissueño – odpowiedziała słabym głosem.

Miała przetłuszczone i zmierzwione włosy, zupełnie jak drut kolczasty na murach bazy wojskowej.

– Przynieśliśmy pani jedzenie – oznajmił Carlos, który trzymał tacę.

Ten idiota przykrył rybę talerzem, jak jakiś hotelowy kelner. Postawił tacę na kolanach nauczycielki. Ona poprosiła błagalnie:

– Wody... proszę... wody...

Carlos przytknął jej szklankę do ust. Wypiła zawartość duszkiem. Poprosiła o jeszcze. Carlos poszedł po butelkę, a my rozejrzeliśmy się po pomieszczeniu, żeby sprawdzić, czy nie ma nowych niespodzianek.

Pringlin wypiła cztery pełne szklanki i odzyskała trochę błysku w oczach i kolorów na twarzy. Dopiero wtedy Carlos odkrył naszą potrawkę. Może liczył na jakiś komentarz. I się doczekał. Pringlinowa popatrzyła na to, zmarszczyła brwi i zaprotestowała:

– Co to za obrzydlistwo?

– Jak pani nie chce, to może nie jeść – stwierdził Carlos.

– No jasne! – parsknął Manu. – Zawsze możemy zamówić jakieś jedzenie z dostawą, co? Carlos, nakarm ją.

Carlos posłał każdemu z nas po kolei swoje najbardziej nienawistne spojrzenie. Ale nie sprzeciwił się. Ukroił kawałek ryby, w środku było widać różowawe i bladawe mięso, nabił na widelec i podsunął nauczycielce pod usta. Choć nie jadła cały dzień, przyjęła to z grymasem obrzydzenia:

– A co to ma być? Tu jest jakiś cukier puder na tym?

– To nic – odparł Carlos, może trochę za nerwowo.

– Trucizna na szczury – wydedukowała.

– Nie! – odkrzyknął Carlos takim głosem, że od razu było wiadomo, że tak.

– Chcecie mnie zabić.

– Manu, powiedz jej coś.

Manu, powiedz coś.

Zupełnie jakbyśmy organizowali to porwanie z Flipem i Flapem.

No, ale Manu coś powiedział. A raczej wydał rozkaz, jak zawsze.

– Moco, zjedz tego trochę. Niech ta krowa zobaczy, że nic jej nie grozi.

Głos mi uwiązał w gardle:

– J... ja?

– No ty, kurde.

Popatrzyłem na talerz. Popatrzyłem na Pringlinową. Popatrzyłem na moich trzech kumpli. Wszyscy wstrzymali oddech. Manu gestem dał mi do zrozumienia, żebym nie robił afery. Pringlin przyglądała się nam wszystkim z zainteresowaniem, jak jakiemuś rojowisku owadów.

– No cóż – oznajmiła ze swojego krzesła; ciało sponiewierane, ale gotowość, by szkodzić innym nienaruszona. – Widzę, że nikt się nie odważa spróbować tych smakołyków.

– Moco! – krzyknął Manu.

Okej, czyli męczennika wam trzeba, tak?

Jak George Clooney w *Grawitacji*, kiedy popełnia samobójstwo, żeby nie odbierać tlenu Sandrze Bullock.

Jak w *Zakonnice pokazują cyce*, kiedy jedna mniszka idzie do łóżka z tym nefajnym grubasem, żeby uratować swoje koleżanki.

Ja byłem na to gotowy. Jeśli potrzebujecie bohatera, proszę bardzo. Jeśli kiedyś ktoś nakręci o nas film, to nie pozwolę, żeby Manu zawsze był na pierwszym planie.

Podszedłem do talerza. Chwilę mi zajęło, żeby odkroić kawałek ryby, ryżu zresztą też, bo był jak kamień. Musiałem hamować drżenie rąk. Ale w końcu dałem radę. Nabrałem porcję na widelec i podsunąłem sobie do ust. Upewniłem się, że wszyscy patrzą. I czekałem też na ewentualne odwołanie rozkazu, ale nic takiego nie padło. Porcja powoli przesuwała się w stronę mojego języka. Czuć ją było lekami. Zamknąłem usta i rozprowadziłem jedzenie językiem. Wreszcie, z dużym trudem, przełknąłem je na kilka razy, zadzierając brodę do góry w nadziei, że tak szybciej zjedzie na dół. Sztywna i chropowata masa drapała mnie w przełyk i zsunęła się do żołądka, a ja stałem sztywny i bez słowa, na baczność jak żołnierz.

– Widzi pani? – odezwał się Manu do Pringlin. – Nic się nie dzieje. Ale ta baba nie odpowiedziała. Tylko splunęła na talerz. Dwa razy. Cwana z niej była sztuka. Cwańsza od nas.

# Beto

To nie było tak.

Dobrze to pamiętam.

Manu wydał polecenie, a Moco posłuchał: zjadł kęs. Wsadził sobie to świństwo do ust i zrobił minę, jakby cytrynę wysysał.

Wszyscy się na niego gapiliśmy, nawet Pringlinowa. Przede wszystkim ona.

Na początku Moco w ogóle się nie ruszał. Przełknął, zamykając oczy, cały sztywny. Potem otworzył oczy. Wydawało się, że skończył. Przez chwilę wydawało się nawet, że zaraz się uśmiechnie.

Ale nagle cały zaczął dygotać. Szczęka zaczęła mu latać na boki. Z oczu trysnęły mu łzy. I zaczął wrzeszczeć:

– Ja umrę! Nie chcę umierać!

I pognął schodami do góry w poszukiwaniu kibla, żeby zwrócić jedzenie.

Kolejny genialny pomysł Manu kończył w muszli klozetowej. Kolejny rozkaz naszego rzekomego „dowódcy”, który okazał się bez sensu. Kolejna osoba, którą wykorzystał.

Tak jak mnie.

Ten jest we mnie zakochany. Zrobi, co mu każę.

Może to samo mówił o Moco. I o wszystkich. Może jedynym znanym mu sposobem na porozumiewanie się z ludźmi było okładanie ich po gębie, jak Pringlinową.

Już po tym wszystkim nieskończoną ilość razy wyobrażałem sobie naszą rozmowę. Czasami myślę sobie, że może spotkam go na ulicy i odważę się zadać mu, po latach, te wszystkie pytania, których wtedy nie zadałem.

Zadowolony jesteś, Manu?  
Misja wypełniona, wodzu?  
Uważasz, że fajnie wszystko wyszło?  
Bo ja nie.

## Carlos

W tamtym czasie w Limie terroryści często porywali ludzi: biznesmenów, bankierów, takich, co mieli kasę, żeby zapłacić okup. Organizowali im „sąd ludowy” i czasami, jeśli rodziny zapłaciły, puszczali ich wolno. Potem relacje uprowadzonych pojawiały się w telewizji, z infografikami i opowieściami uwięzionych w łazienkach, piwnicach, skrytkach.

To było bardzo pouczające. Każdy Peruwiańczyk posiadający telewizor miał dostęp do podręcznika, jak zorganizować porwanie doskonałe.

Dzięki niedzielnym wiadomościom nauczyłem się, że kiedy przetrzymujesz zakładnika, obowiązuje jedna złota zasada: nie gadać z uprowadzonym. Nigdy nie rozmawiaj z więźniem. A jeśli on mówi, nie słuchaj. Traktuj go jak parszywego psa albo gorzej.

My nie byliśmy członkami żadnej grupy terrorystycznej. Byliśmy dziećmi. I nie występowaliśmy w wiadomościach. Ale nawet dziecko powinno było znać tę zasadę. Zapomnisz o niej – skazujesz się na porażkę i katastrofę.

I my tak właśnie zrobiliśmy.



# Manu

Rozkazy. Jeśli chcesz, żeby coś się udało, nie pytaj o zdanie. Wydawaj rozkazy.

- Beto, idź pomóc Moco.
- A ja?
- Ty przynieś pizzę. A najlepiej dwie. Zjemy sobie.
- A ty?
- Ja tu zostanę i popilnuję tej baby.

Wszyscy trzej, debile, byli zachwyceni, że mogą się stąd oddalić.

Rozkazy to dobra rzecz, stary. Zdejmują z ciebie odpowiedzialność. Jeśli będziesz się do nich stosował, a jednak coś pójdzie nie tak, nikt ciebie o to nie wini.

Rozkazy są dla baranów.

Usiadłem plecami do Pringlinowej. Chciałem się trochę zastanowić. Beto bardzo dziwnie zachowywał się przez ostatnich parę minut. Nie zrobił niczego specjalnego, ale był trochę... no, dziwny.

Beto był jak kobieta. Zapytasz kobietę: „Co się dzieje?”. A ona odpowie: „Nic”. A z miny widać, że cię nienawidzi. Ale i tak odpowie: „Nic”. I ty musisz się domyślać, o co jej chodzi. Obawiałem się, czy Beto nie zamierza zdezerterować albo nas zdradzić. I bałem się nie tylko ze względu na nasz plan.

Bałem się o siebie.

Czułem się pewniej, kiedy był z nami.

- Dlaczego to robisz, Manuel?

Głos Pringlinowej sprawił, że podskoczyłem. Zerwałem się z miejsca i w ogóle. Na swój sposób zapomniałem, że tam jest.

I przez idiotyczne zaniedbanie nie założyłem jej knebla. Poza tym nie znoszę, kiedy ktoś zwraca się do mnie *per* Manuel.

– Zamknij się, Pringlin.

– Wiem, że są między nami napięcia, Manuel. Ale jestem twoją nauczycielką. Chcę dla ciebie dobrze. Wiesz o tym, prawda?

Nie odpowiedziałem. Nawet się nie odwróciłem. Nie rozmawiać z jeńcem. To złota reguła.

Upiłem łyk z mojej butelki i beknąłem. Ale głos tej starej szkapy ciągle mi buczał za plecami:

– Robisz to ze względu na ojca, tak? Myślisz, że tak...

– Nie twoja sprawa. Robię to, bo po prostu cię nienawidzę!

– Nie powinieneś tego robić dla niego. On na to nie zasługuje.

Co ona może wiedzieć o moim starym? Co może wiedzieć o czymkolwiek?

– Stul pysk!

Podszedłem do niej. Miałem ochotę znów jej przywalić, żeby sobie wbiła do łba, kto tu rządzi, ale tylko wetknąłem jej znowu knebel. Usiadłem na podłodze po turecku, znów plecami do niej. Popatrzyłem na zegarek. Moja warta trwała dopiero od dwunastu minut.

Niedługo po tym Carlos zjawił się z pizzami.

– Szynka i ser – oznajmił, ćwok jeden, jakby był sprzedawcą ulicznym.

Uznałem, że to dobra okazja, żeby stamtąd wyjść.

– Dobra, to nakarm tę babę, a ja wyjdę i...

– Co powiedziałaś?

– Żebyś nakarmił tę ba...

– Mowy nie ma. Twoja kolej. Ty ją nakarmisz. Jak będzie trzeba to zrobić podczas mojej warty, to zrobię. Ale teraz nie.

Rozkazy. Dowódca także staje się ich zakładnikiem. Ale ja miałem środki zapobiegawcze. Na przykład pistolet.

– A za kogo ty się masz, idioto? – odparowałem.

– Za tego, co przyniósł pizzę. I zapłacił za nią. Dołożysz się przynajmniej?

– Kurwa.

– No to nara.

– Kurwa.

Znów zostałem sam z Pringlinową. I teraz było gorzej, bo musiałem wyjąć jej ten knebel i nakarmić ją. Wolałbym tam siedzieć w towarzystwie sępa albo innego padlinożercy. Te stworzenia przynajmniej nie gadają.

– Bardzo tęsknisz za ojcem, co? – zapytała łagodnie.

– Nie odzywaj się do mnie...

– Nie myśl, że ciebie nie rozumiem, Manuel. To ty nie rozumiesz mnie.

– Ach tak? Co ty nie powiesz?

– Ja poznałam kogoś takiego jak ty. Bardzo go kochałam. Ale był buntownikiem.

– Myślisz, że mnie interesują te twoje bzdury?

– Może nie interesują, ale przecież posłuchać możesz, co?

– Spierdalaj. Masz, jedz.

Ugryzła solidny kęs ciasta z serem. Była bardzo głodna. Ja zresztą też. Nie mogłem jej uciszać, bo sam jadłem. Próbowałem właśnie przełknąć większy kawałek, kiedy wróciła do tematu.

– Ja mu pozwoliłam być sobą. Nawet podobał mi się ten jego nonkonformizm. Chciałam, żeby mógł się rozwijać. Był taki twórczy. Był muzykiem. Ale on oczekiwał od świata za wiele. Chciał więcej, niż życie mogło mu dać. Nigdy nie był zadowolony, rozumiesz? I dlatego skazywał się na cierpienie.

– Jeśli będziesz dalej mleć ozorem, zabieram pizzę i możesz sobie swoje smarki wciągać.

Umilkła posłusznie. Znów podsunąłem jej jedzenie. Jeden gryz ona, jeden gryz ja. No ale, cholera, zaciekawilo mnie to jednak.

– I co się wydarzyło? – zapytałem, pewien, że zaraz tego pożałuję. – Powiedz tylko to, a potem morda w kubek.

– Nie ma wiele do opowiadania: popełnił samobójstwo.

– Kurwa.

– Powinnam była zawrócić go z tej drogi. Naprostować. Ale zawiodłam. Nie umiałam go zmienić.

Zamknęła usta, kiedy wyciągnąłem rękę w jej stronę. Z jej oczu pociekły dwie grube łzy i poleciały na podłogę. Ale nie pisnęła nawet ani nie jęknęła. Dodała tylko:

– Jednego popołudnia wróciłam ze szkoły i znalazłam go w wannie. Podciął sobie żyły. Cała woda była zabarwiona na czerwono. Nie zdołałam zatrzymać córki i weszła. To był... to był najstraszniejszy moment mojego życia... aż do teraz.

– Kurde.

Doznałem chwilowego olśnienia i kapnąłem się, że mną manipuluje. Niezły chwyt z tymi łzami, ale ja się nie nabiorę. I postanowiłem rozwiać jej wątpliwości.

– Jeśli myślisz, że cię puszcze, Pringlin, to możesz wybić to sobie z głowy. Chcesz jeszcze jeść czy pizzę zostawiasz dla mnie?

Spuściła głowę. Teraz całą twarz miała wilgotną od bezgłośnych łez. Ale ja – pokerowa mina.

Traktuj zakładnika jak przedmiot. Jak mebel. Taka jest złota zasada.

Cholera, tylko dlaczego to takie trudne?

– To wszystko nie ma ze mną żadnego związku – wyjaśniłem jej, choć sam nie wiem po co. – Ja się nie zamierzam zabić. I nie jestem żadnym buntownikiem czy kimś takim.

– Jestem twoją wychowawczynią, Manuel – odpowiedziała po chwili namysłu. – Pracuję nad twoim wykształceniem. Twoja matka o wszystkim mi mówi...

– Gratuluję...

Oczyściłem jej trochę brodę z sosu pomidorowego i karmiłem ją dalej. Teraz po każdym kęsie pizzy podawałem jej też wodę z butelki i musiałem słuchać tego, o czym nawija:

– Opowiadała mi o listach bożonarodzeniowych, które wysyła ci ojciec.

– No i co niby z nimi? Zwykle koperty i papier.

– Nie zastanawiało cię, dlaczego ojciec pisze do ciebie na święta, ale nigdy nie odpisuje na twoje listy?

– Swoje powody ma.

Zakrztusiła się jedzeniem. Zakaszła. Podałem jej szklankę z wodą. Nie powinienem był tego robić, bo ewidentnie się na mnie uwzięła.

– A nie porównywałeś nigdy pisma z tych listów z pismem swojej matki?

– Zamknij się.

– To ona pisze je dla ciebie, Manu, żeby podtrzymać twoje złudzenia. Ojciec od lat w ogóle się tobą nie interesuje...

– Kłamiesz!

Chciałem jeszcze się napić, ale butelka była już pusta. Pringlinowa nawijała dalej:

– Rozumiem twoją matkę. Ja tak samo musiałam samotnie wychowywać córkę. Wiem, jak to jest. I wiem, jak się czujesz. Musisz się tylko trochę otworzyć na...

– Dosyć!

– Ojciec dostaje twoje listy i pali je bez czytania, nie chce słyszeć o swoim poprzednim życiu, ma już inną rodzinę, którą kocha i z którą mieszka, ma innego syna i zawozi go codziennie do szkoły...

– Zamknij się, Pringlin, kurwa mać!

Rzuciłem jedzenie na podłogę, zamierzałem jej pokazać, że nie żartuję. Szklanka z wodą wciąż stała obok krzesła. Kopnąłem ją pod ścianę, tak samo butelkę.

Wyjąłem pistolet.

Przytknąłem lufę do jej skroni.

– Proszę, nie... – szepnęła. – Mówię o tym tylko ze względu na ciebie... Naprawdę...

I potem zamilkła.

Miałem ochotę pociągnąć za spust.

Skończyć z tym idiotyzmem raz na zawsze.

Jakby się dobrze zastanowić, za wiele opcji nie mieliśmy.

Ale nie odważyłem się. Nie jest tak łatwo strzelić do innego człowieka. Albo po prostu ja nie byłem w stanie. Niby takie proste. Jeden ruch palcem. Nacisnąć. A ja nie byłem zdolny nawet do czegoś takiego. Mój ojciec przepędził wrogi oddział z ufortyfikowanego obozu i strzelał do przeciwnika, nawet się nie kryjąc. Ja miałem przed sobą związaną kobietę i brakowało mi odwagi, żeby dokonać egzekucji.

– Aaaaaa! – wrzasnąłem z wściekłości.

Rzuciłem browningiem o ziemię. Odbił się i upadł z lufą wycelowaną w nas jak oskarżycielski palec.

Podszedłem do Pringlinowej i próbowałem wepchnąć jej knebel w usta. A ta ciągle gadała, głupia suka, i wszystkie jej słowa świszczwały mi w głowie.

– Oszukujesz sam siebie, Manuel. Nie mnie ani nie swoich kolegów, tylko siebie samego. To ty skończysz w wannie pełnej czerwonej cieczy. Ale możesz jeszcze zastanowić się nad tym na spokojnie. Chodzi mi tylko o to, żebyś pomyślał. Tylko o to cię proszę.

Taśma klejąca przestała się lepić, musiałem więc iść do drugiego kąta piwnicy i znaleźć nowy kawałek. Dobrą chwilę grzebałem w skrzynce z narzędziami. Ręce mnie nie słuchały, natykałem się na jakieś metalowe części i obcęgi, nie mogłem trafić na taśmę. Przez ten czas, kiedy jej szukałem, a potem odcinałem kawałek, głos nauczycielki nie przestawał rozbrzmiewać, był jak nóż do lodu wbijający mi się w bębenki.

– Nie musisz być bohaterem, wiesz? Nie musisz niczego udowadniać. Twój koleś też nie, nikt. Oni boją się tak samo jak ty.

– Powiedziałem, żebyś się zamknęła!

Podbiegłem, żeby wreszcie zatkać jej gębę. Mocno przykleiłem taśmę, tak żeby bolało. Udało mi się ją uciszyć.

Przejebany moment, kurde.

Serce waliło mi jak głupie. Adrenalina na maksa. A to, co ciekło mi po twarzy, to mógł być pot albo łzy.

Pobiegłem schodami na górę. Otworzyłem drzwi do salonu i zawołałem:

– Koniec z systemem wart. Dziś każdy śpi u siebie w domu.

– Ale...?

– Manu, nie wydaje ci się, że to...?

– Kurde, ja...

– Powiedziałem, że stąd idziemy – powtórzyłem. – Ktoś ma jakiś problem?

Nikt się nie przeciwstawił.

W końcu rozkaz to rozkaz.

## Moco

– Ktoś teraz powinien pilnować tej baby – powiedziałem.

Carlos ziewnął. Manu rozprostował kości. Beto przygładził włosy dłonią. Nikt nic nie powiedział. Jakimś cudem wyszło słońce, choć to był lipiec, i jego promienie przyjemnie na nas padały.

Jak na przyjaciół Leonarda DiCaprio w *Niebiańskiej plaży*.

Albo na plażowiczów Stevena Spielberga w *Szczękach* tuż przed tym, jak zostali brutalnie rozszarpani przez tę bestię.

Zostawiliśmy Pringlinową samą w piwnicy na całą noc, poszliśmy do szkoły, a teraz sobie siedzieliśmy czy też raczej rozwaliliśmy się przy boisku do piłki nożnej, jak na każdej przerwie, zajmując ławkę rezerwową, patrząc, jak inni ganiają i strzelają bramki, pewni, że nikt nas do swojej drużyny nie wybierze.

I dobrze. Choć wszyscy spędziliśmy noc we własnych łóżkach, byliśmy strasznie zmęczeni. Albo jak by to Beto powiedział, „wyczerpani”.

– Błagam – burknął Beto po dłuższej przerwie. – Możemy choć przez chwilę myśleć o czymś innym?

Beto był dziwny. Od swojej warty z Pringlinową poprzedniego dnia zrobił się jakiś taki nieufny i nie w sosie. Tylko rano, kiedy wchodziliśmy do klasy, a Carlos i Manu stali dość daleko od nas, wydusił z siebie coś więcej niż jednosylabowe mruknięcie. Upewnił się, że nikt nas nie usłyszy, i powiedział mi prawie na ucho:

– Moco, czy Manu mówił coś o mnie?

– Ale o czym?

– No coś... wiesz... o nim i o mnie.



Ludzie idiotycznie się zachowują, kiedy są zakochani. I trzeba być kompletnym idiotą, żeby zakochać się w Manu. Manu nigdy nie powiedział nawet słowa o Beto i był takim egoistą, że pewnie nawet przez sekundę się nie zastanawiał, co on może czuć. Pewnie zresztą był jedyną taką osobą, która na to nie wpadła. Właśnie on.

Ja z kolei miałem ich obu powyżej uszu. To znaczy miałem dość Manu i tego, że Beto cały dzień tylko waruje przed nim na tylnych łapkach. Więc nie mogłem się powstrzymać i rzuciłem kłamstewko:

– No, coś tam przebąkiwał.

– Tak?

– Mówi, że jeśli byś poprosił, żeby dał se obciągnąć, to się zgodzi. A jak chcesz, to ci może nawet wsadzić od tyłu.

Może trzeba było jednak zaznaczyć, że to żart, he, he.

Może ten brak humoru Beto, w każdym razie tego ranka, to była moja wina.

Tak czy inaczej, nie on jeden tak miał. Wszyscy tego dnia byli jacyś dziwni. W szkole nauczyciele i księży coś tam między sobą szeptali, a kiedy my, uczniowie, podchodziliśmy zbyt blisko, milkli. Kiedy pytaliśmy o pannę Pringlin, wzruszali ramionami, zmieniali temat, znikali.

Nasi koledzy z klasy też nie sprawiali wrażenia wyluzowanych. W powietrzu unosiło się napięcie, choć nikt za bardzo nie wiedział dlaczego. Podczas meczu gra była agresywniejsza niż zwykle. W tym momencie, tuż przed naszymi nosami, Chińczyk Pajares skosił ostro Bubu Martíneza, który podniósł się z trawy i ruszył na Chińczyka, żeby mu przyłożyć. Musiało ich rozdzielać pięciu innych, mało brakowało, a między sobą też by się pobili.

Podczas tej szamotaniny piłka wytoczyła się poza boisko i powoli doturlała do miejsca, gdzie siedzieliśmy. Manu odkopnął ją z powrotem.

– Może ta krowa sama ucieknie i wpadnie pod auto na ulicy – mruknął. – Tak byśmy się pozbyli problemu.

Manu był jeszcze dziwniejszy niż Beto. I to jego cudaczne zachowanie też się zaczęło od warty. Wyszedł wtedy poruszony, blady i wydał najdziwniejszy rozkaz w dziejach. Koniec pilnowania zakładniczki? Spać w domach? To nie był prawdziwy Manu. Prawdziwy Manu bywał uciążliwy, ale nie był idiotą, który naraża całą akcję, bo mu się odechciało pilnować.

Pringlinowa ewidentnie robiła im coś w rodzaju prania mózgu. Manipulowała nimi. Jak Cruella de Mon, która chciała kupić szczenięta dalmatyńczyki. A zaraz potem postanowiła je porwać i obdrzeć ze skóry.

– Może po prostu ją puścimy? – zaproponował Carlos.

To był jego typowy pomysł.

– A może lepiej urwiemy ci jaja? – wkurzyłem się.

– Nie cykaj się jak jakiś pedał, Carlos – powiedział Manu, ale tak bez energii, prawie że z obowiązku.

– Bo co? – zareagował gniewnie Beto, jakby go kto w dupę ukłuł. – Nie lubisz pedałów, Manu? Nie chcesz mieć z nimi styczności?

– Ej, przecież rozmawiamy o Carlosie – wróciłem do tematu.

Carlos podjął swoją śpiewkę:

– To, co wyprawiamy z Pringlinową, nie ma sensu. Robimy krzywdę nie tylko jej. Dziś odprowadziłem do szkoły Pamelę. Jest w proszku. Niczego nie rozumie. I dziś po południu chce iść do swojego domu.

– Och, jak mi przykro! – powiedziałem. – Nie pomyśleliśmy o twojej narzeczonej! To może pójdźmy wszyscy do więzienia, żeby ona mogła się napić herbatki w swoim domku?

Pewnie, mnie nikt nie słuchał.

Carlos patrzył na Manu, który wybudził się z tego swojego odrętwienia i oświadczył:

– Mowy nie ma, to zbyt niebezpieczne.

Na boisku Ryan Barrameda strzelił gola. Zawsze robił tak samo. Brał rozbieg, żeby kopnąć z całej siły, więc obrońcy uciekali, żeby nie

dostać piłką. A on biegł sobie do bramki.

– Zaproszę ją na komers – oznajmił Carlos, a może tylko śnił na głos. – Muszę jej kupić kwiatek.

– Najpierw ją przeleć – zasugerowałem. – Nie marnuj kasy, jeśli nie ma widoków na bzykanko.

– Już to zrobiłem, matole. Ale ja jej nie przeleciałem, jasne? My się kochaliśmy.

– Domyślam się, że różnica polega na tym, że kolor prześcieradła jest inny?

– Przygłup z ciebie.

Druga drużyna ruszyła do kontrataku i szybko wyrównała. W tej chwili, patrząc na kilkunastu facetów biegających i zalewających się potem, żeby umieścić piłkę w bramce, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w futbolu jest coś mocno erotycznego. Tak jak w bilardzie. Albo w jedzeniu pączków. Tak naprawdę w tym wszystkim chodzi o dupczenie.

Carlos pewnie pomyślał o tym samym, bo nagle powiedział:

– Następnym razem, kiedy będziemy to robić z Pamelą, kupię prezerwatywy smakowe.

– Obciąża ci przez gumkę? Fuj, przecież tak nic nie czuć.

– A co ty wiesz? – zaprotestował Beto, bardzo wrażliwy na punkcie seksu oralnego.

– Podejrzewam, że w tym temacie nie więcej niż ty – odparował Manu jeszcze bardziej nie w porę niż zwykle.

– Wy to nie macie pojęcia, co to jest romantyzm, co? – powiedział Carlos, ratując rozmowę przed zboczeniem w niebezpieczne rewiry.

Zmęczenie dawało o sobie znać w naszych nastrojach i relacjach. Tak jak w pierwszej części *Avengers*, kiedy Loki tak miesza, że wszyscy zaczynają nienawidzić Hulka. Albo w tym dokumencie o Metallice, kiedy wszyscy mają siebie dość i nie są w stanie nagrać nowej płyty.

Potrzebowaliśmy czegoś, co nas na nowo zjednoczy, jak supermoce albo speed metal. Zastrzyku adrenaliny.

I przyszedł mi do głowy pomysł:

– Ty, a może zaprowadziłbyś Pamelę do jej domu i tam ją przeleciał?

– Co? – zdziwił się Carlos.

– Fajnie będzie. Mamy dom na własny użytek, nie? Trzeba to wykorzystać.

– Mowy nie ma – stwierdził Manu.

– Z jej matką tam na dole – dorzucił Beto. – To się może marnie skończyć.

– Ale co się ma marnie skończyć? – odezwał się nagle Carlos, ten tchórzliwy Carlos, który ciągle chciał uwolnić Pringlinową, bo perspektywa posunięcia jakiejś laski zmienia facetów, nawet tych bardzo zdecydowanych. – Pringlin jest skrepowana. Moco będzie z nią w piwnicy. Moim zdaniem to super pomysł.

– No – próbowałem ich zmotywować. – Jaki sens porywać kogoś, skoro nie możesz przespać się z jego córką?

– Udam, że tego nie słyszałem – powiedział Carlos.

Beto i Manu mieli miny, jakby w żadnym razie nie byli skłonni zaaprobować tego pomysłu, ale właśnie wtedy skończyła się przerwa i gracze zeszli z boiska. Mijając nas, Ryan Barrameda i jego goryle zatrzymali się obok:

– Jak tam, panienki? Bawicie się w dom?

– Spadaj, idioto – warknął Manu.

– O, panienska Manuela dziś nie w humorku! A cóż to się dzieje? Odwaga nas opuściła po karze Pringlinowej?

– Mam ci rozwalić ryj?

Nasz moment sławy i chwały przypominał nagłówek w dzienniku, a teraz był to już dziennik wczorajszy. Wszyscy zapomnieli o tamtym heroicznym oporze wobec władz. Siłą inercji znów staliśmy się tymi powolnymi przygłupami, szkolnymi cieniasami i popychadłami.

Manu próbował strugać bohatera i stanął zaczepnie, ale Ryan spodziewał się tego. Złapał go za rękę i wykręcił mu ją bez najmniejszego wysiłku. Jako że jego goryle ważyli w sumie więcej niż my trzej, żaden z nas nie ośmielił się interweniować. Ryan przewrócił Manu na ziemię. Przycisnął go tak, że Manu zaciskał tylko zęby z wściekłości, a Ryan postawił na nim stopę i powiedział:

– Pa, pa, ślicznotko! Jeśli będziesz grzeczna, pozwolę ci się pocałować w fiuta.

Manu cały poczerwieniał, ale ramię tak go bolało, że wstał po dobrej chwili. Wracający z boiska uczniowie omijali nas, jakbyśmy byli kupą kamieni przy drodze. Nie odważyliśmy się zaproponować Manu pomocy. Mógłby się poczuć jeszcze bardziej upokorzony. Kiedy wreszcie był w stanie coś powiedzieć, stwierdził tylko:

– Okej. Carlos, powiedz swojej dziewczynie, żeby przyszła na piątą. Będziemy mieli trochę czasu na obiad.

– Dzięki! – Carlos cały pokraśniał.

– Nie ma za co – odpowiedział Manu, wciąż jeszcze się nie podniósł, wzrok miał wbity w ziemię. – Normalka. Jesteśmy największymi twardzielami, jakich gościła ta szkoła w swojej jebanej historii. I nic tego nie zmieni, nawet jeśli ta cała banda idiotów nie jest w stanie zdać sobie z tego sprawy.

# Beto

Najwięksi twardziele.

Manu naprawdę chciał być autentycznym macho.

A w tej chwili nienawidziłem go, nie cierpiałem, tak jak potrafi tylko odtrącona kobieta.

Kiedy wychodziłem ze szkoły i szedłem do domu na obiad, w głowie kołatały mi się wciąż słowa wypowiedziane przez pannę Pringlin. I potwierdzone przez Moco.

Jest we mnie zakochany.

Zrobi, co mu każę.

Jeśli poproszę, żeby dał sobie obciągnąć, to się zgodzi.

Jak on mógł coś takiego powiedzieć? Jak mógł być takim sukinsynem?

A jednak był. I mocno mi to zapadło w pamięć.

Najlepszą zemstą byłoby po prostu przestać o nim myśleć. Ale jakoś mi się nie udawało.

Tego dnia zjadłem obiad w domu. Przez cały czas przyglądałem się ojcu. Uważnie go obserwowałem. Jego niezgrabne ruchy. Jego odruch sięgania ręką do krocza. Jego manię picia piwa prosto z butelki. Postanowiłem bardziej się do niego upodobnić. Nie wyglądało to na coś szczególnie trudnego. A bardzo uprościłoby mi życie.

Kiedy mama zmywała naczynia, beknąłem.

Tata się zaśmiał. Przytknął palec do ust. Żeby cię matka nie usłyszała, miało to oznaczać. Ale on może. Nic, co dotąd zrobiłem, nie wbiło go w taką dumę jak to moje beknienie.

– Wiesz co, tato? – szepnąłem.

Mama wciąż stała daleko, woda w zlewie robiła sporo hałasu.

– No co?

– Dziś wieczorem jeden mój kolega straci dziewictwo. Będziemy mu... pomagać.

– Naprawdę? – przyjrzał mi się z zaciekawieniem, jakby mu ktoś wymienił syna na lepszy model, acz zarazem zdradzał lekki niepokój. Są pewne granice. I chciał się upewnić, czy przypadkiem ich nie przekroczę.

– Nie będziecie tego robić grupowo, co?

– Nie, nie... Pomożemy mu tylko znaleźć się w odpowiednim miejscu. I potem się zwiniemy. No, gdyby było jak podpatrywać, tobyśmy popatrzyli.

– Ha, ha! – parsknął. – Zostaw kumpla w spokoju. Kiedy będziesz chciał, to wiesz, mogę cię zabrać tam, gdzie trzeba.

– Może kiedyś o to poproszę.

– No w końcu po co ma się ojca?

– No jasne, po co!

Ojciec zacisnął dłoń w pięść i stuknął o moją na znak kumpelstwa. Może to nie takie trudne. Może w sumie kiedyś stanę się największym twardzielem ze wszystkich.

– A... tato...

– No?

– Jeśli chodzi o to bicie pedałów...

– Zapomnij o tym. Twoja matka mi mówi, żebym ci nie nabijał głowy przemocą. Musisz zająć się tym sam.

– Sam?

– Jesteś już w wieku, kiedy prawie wszystko można robić samemu. W każdym razie sporo.

– Jasne, tato.

Potem znów beknąłem, a on jeszcze głośniej. Tym razem mama nas usłyszała:

– Błagam, możecie nie być tak obrzydliwi?

I to nas bardzo rozbawiło. Może jednak jestem w stanie dogadać się z tatą. Żebyśmy stali się dobrymi kumplami. Może po prostu muszę spróbować upodobnić się do niego. Może wtedy nie wpakowałbym się w tę aferę z Pringlin. Po co właściwie miałbym być inny? Jaki to ma sens? Przecież jeśli będziesz szedł z prądem, tylko oszczędzisz sobie kłopotów. A nawet jeśli będziesz je miał, to mniejsze i nie tak poważne.

Zacząłem się zbierać, na co matka stwierdziła, że ostatnio ciągle gdzieś wychodzę.

– Gdzie ty tak ciągle się pałętasz? Nie uczysz się już?

– Mamo, umówiłem się z kolegami... Będziemy odrabiać lekcje razem.

Ojciec, który też wybierał się z powrotem do pracy, włączył się w rozmowę:

– Daj mu spokój, kochanie. Beto to już duży chłopak. Umie o siebie zadbać. Prawda, Beto?

Puścił do mnie oko. Ja odpowiedziałem tak samo. Mama ustąpiła. I każde z nas poszło w swoją stronę.

Zbliżałem się do domu Pringlinowej i zastanawiałem się, czy dam radę stać się tym, kim ojciec by chciał, żebym był. Kimś, kogo wszyscy kochają i podziwiają. To tylko kwestia woli. I soków trawiennych. Za to uniknąłbym gniewu, rozczarowań, kłamstw i upokorzeń.

Niedaleko domu Pringlinowej zatrzymałem się. Zamknąłem oczy i skupiłem uwagę. Chciałem, żeby ojciec był szczęśliwy i żeby koledzy ze szkoły nie wyśmiewali się ze mnie. Chciałem stać się największym twardzielem ze wszystkich.

Ale kiedy otworzyłem oczy, nadal byłem sobą.



## Carlos

Spróbowałem seksu. Było już po mnie.

Od tamtego wieczora w kolorowych piłkach w McRonaldzie nie przestawałem wspominać zapachu Pameli, który przylgnął mi do krocza, i falowania jej włosów, kiedy dyszała. Mimo tych wszystkich katastrof i niebezpieczeństw tak naprawdę najbardziej nurtowała mnie jedna sprawa: kiedy znowu to zrobimy?

A teraz mogliśmy. W jej domu. W prawdziwym łóżku.

Gdzie mogliśmy znaleźć z Pamelą większą intymność? Gdzie możemy spędzić czas tak swobodnie? Prawda, że chciałem jak najszybciej skończyć to idiotyczne porwanie. I próbowałem jakoś wyhamować ten nasz pęd w przepaść. Tyle że jedno nie przeszkadzało drugiemu. Przecież to bez różnicy, czy wypuścimy tę babę jutro, czy tej nocy, prawda? A może nawet pod wieczór, kiedy zacznie zmierzchać, w każdym razie już po tym, jak będziemy z Pamelą sam na sam. Żeby móc się kochać. Bez świadków.

Pewnie, że nie myślałem głową. W każdym razie nie tą na górze.

W tej chwili moje ruchy, pragnienia i czyny kontrolowane były w pełni przez inny organ, ulokowany znacznie niżej i porośnięty mniejszą liczbą włosów.

Po południu opracowaliśmy z chłopakami scenariusz. Znowu tworzyliśmy prawdziwy zespół. Odzyskaliśmy poczucie udziału w młodzińskiej przygodzie, tę przyjemną i odświeżającą nieodpowiedzialność, która nas połączyła.

Natomiast musieliśmy wyperswadować Moco pomysł ulokowania w szafie kamery:

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – protestowałem.

– Damy ją tutaj, patrz, do tej szafy. Zobacz, że nawet nie włącza się światelko, kiedy nagrywa, więc...

– Moco, daj sobie spokój z tymi twoimi świństwami, nie będziesz mnie filmował.

– No, Moco, nie bądź oblech – poparł mnie Beto, który właśnie się zjawiał.

– Nie jestem żadnym oblechem, tylko artystą! Tyle że wy nie jesteście w stanie tego ogarnąć.

– Jesteś zboczony, Moco – spuentował Manu. – Taka jest prawda.

– To samo mówiono o markizie de Sade.

– Przecież ty nie masz pojęcia, kim był markiz de Sade – stwierdził Beto, choć podejrzewam, że nikt z naszej czwórki tak naprawdę tego nie wiedział.

Na tym etapie wszystko, czego się tknęliśmy, balansowało między chaosem a katastrofą. Przez trzy kwadranse kłóciliśmy się, na kogo spadnie nieprzyjemny obowiązek zaprowadzenia Pringlinowej do łazienki. I straciliśmy jeszcze kolejne pół godziny, spierając się, jaką jej kupimy kanapkę. Jak się można było spodziewać, czas przeciekał nam między palcami. Popatrzyłem na zegarek i już była piąta.

– No, szybko, wypad stąd! – pogoniłem ich.

– Jak to: wypad? – zdziwił się Manu. – Kto powiedział, że mamy stąd iść?

Na szczęście żartował.

– Haaa, nabrałeś się! – zaśmiał się Manu.

Potrafiliśmy się jeszcze śmiać. Wciąż była w tym wszystkim jakaś iskra zabawy.

Zeszliśmy pośpiesznie po schodach. Było za późno, żeby wychodzić drzwiami. Pamela mogłaby mnie tu przyłapać. A Moco, który miał teraz wartę, pomógł nam wszystkim przeskoczyć przez mur, podobnie jak dwie noce temu, tyle że w przeciwną stronę.

Tak naprawdę wszystkie te środki ostrożności nie były potrzebne. W tej dzielnicy domy otoczone były dwumetrowymi murami

zwieńczonymi drutem kolczastym. Najbogatsi mieli je nawet pod prądem. Nikt się nie interesował domem sąsiada. Nikt nie chciał wiedzieć, co robią inni. Każdy dom stawał się twierdzą. Miesiące później dowiedzieliśmy się z wiadomości, że najważniejsi liderzy terrorystów ukrywali się w pobliskich budynkach. Od lat siedzieli w tej dzielnicy i nikt niczego nie zauważył.

Pamela zjawiała się z dwudziestominutowym spóźnieniem i zastała mnie czekającego niewinnie przed drzwiami. Po raz pierwszy w życiu ta osławiona limska niepunktualność wcale mnie nie zezłościła.

– Cześć, Carlos – uśmiechnęła się. – Cześć, domku.

– Stęskniona?

Przytaknęła i otworzyła drzwi. Do tej chwili ten dwupoziomowy budynek z dwuspadowym dachem i podniszczonymi ścianami jawił mi się jako siedlisko wiedźmy. Ale teraz, kiedy ujrzałem go od strony ogrodu i w towarzystwie Pameli, dostrzegłem, że ma w sobie coś przyjemnego, jak domek dla lalek. Nawet plamy wilgoci wyglądały jak karmelowe.

Weszliśmy. Pamela zatrzymała się w salonie, kręciła się po nim i marszczyła brwi, zauważając drobne i nie takie drobne zmiany. Telewizor nie stał na swoim miejscu. W zlewie leżał stos niepozmywanych naczyń. I wszędzie czuć było papierosami, co w domu, w którym nikt nie pali, bardzo zwracało uwagę.

Ja się tylko modliłem, żeby panna Pringlin nie przewróciła swojego krzesła ani nie uwolniła się od knebla. No, a jeśli by tak się stało, żeby Moco w porę ją uciszył.

– Dziwne – powiedziała Pamela, zatrzymując się przed drzwiami do piwnicy. – Głowę bym dała, że...

– Idziemy na górę? Pierwszy raz jesteśmy sami w twoim domu.

Starałem się, żeby zabrzmiało to sugestywnie, ale podejrzewam, że głos mi drżał. Na szczęście Pamela nie zwracała uwagi na takie rzeczy. Pokazała na rzucone w kąt ukulele, na którym grał Beto.

- Co to tam robi?  
- To? Nooo... Pewnie je tu zostawiłaś. Albo twoja matka, zanim wyszła. Może sobie grała...  
- Należało do mojego taty.  
Jej tata. Ten duch.  
- Może lepiej chodźmy na górę – stwierdziłem.  
Ale ona ani drgnęła.  
- Czasami, kiedy byłam mała, tata grał na ukulele. Tak dla żartu. Wyglupiał się dla mnie. Improwizował piosenki o olbrzymich krowach albo zagubionych kosmitach, albo o smokach zionących ogniem. Rozśmieszał mnie.

- Brak ci go, prawda?  
Pamela usiadła na stopniu schodów. Objęła kolana. Czarna chmura przysłoniła jej twarz i spojrzenie.

- To był najzabawniejszy człowiek na świecie... kiedy chciał. Malował. Robił mi zabawki z drewna i papieru... Zanim...

Przez chwilę miałem wrażenie, że zaraz się rozplacze. Ale to nie łzy błyszczały w jej oczach. To było coś dziwniejszego, czego nie umiałem rozpoznać.

- Chcesz iść na górę? – zapytała nagle.  
Oczywiście odpowiedziałem, że tak.

Do tej chwili wydawało mi się, że to ja kontroluję sytuację. Ale kiedy o tym myślę dzisiaj, rozumiem, że to Pamela panowała nade mną, nad czasem i nad wszystkim, co wydarzyło się w ciągu następnych godzin. Wtedy tego nie zauważyłem, bo my, faceci, teraz to wiem, jesteśmy głupszy od kobiet.

W pokoju Pameli nie rozmawialiśmy. Uprawialiśmy seks przy świetle i bez pośpiechu, poznawaliśmy nasze ciała centymetr po centymetrze najpierw wzrokiem, a potem dotykiem, nic nas nie poganiało. Pamela zapamiętała się w tym, jakby to wcale nie był jej drugi raz. Jakbyśmy robili to przez całe życie i nie było żadnych powodów do obaw. A kiedy skończyliśmy, to w odróżnieniu od

tamtego razu w McDonaldzie mogliśmy leżeć przez dobrą chwilę przytuleni i bez słowa w otoczeniu plakatów kudłatego Bon Jovi. Tam na dole walił się świat, ale w jej pokoju wszystko było w kolorach Hello Kitty.

– Chciałbym, żebyśmy poszli razem na bal na zakończenie roku – odezwałem się. – Pójdiesz ze mną?

– Tak.

Miała nieobecny, ale słodki głos. Obiecałem:

– Dam ci różę. Ale za rok też cię zapraszam na bal na zakończenie szkoły i wtedy dam ci orchideę.

– Mhm...

Uznałem jej odpowiedź za „tak”. Do tej chwili skupiałem się na jej piersiach, delikatnie pieszcząc je palcami. Ale w jej oczach znów rozbłysła ta dziwna rzecz. Patrzyła w sufit, sprawiała jednak wrażenie, jakby patrzyła gdzieś dalej, jakby miała w oczach promienie rentgena.

Uznałem, że to jest moment, żeby zapytać o coś, o co pytać nie chciałem.

– Pamelo... To, co powiedziałaś w McDonaldzie... To był żart, prawda?

– Ale co?

– No, że ja z kolegami... twoją matkę... w piwnicy... No wiesz.

Ona pogłaskała mnie po rękę opuszkami palców. Czułem bicie jej serca pod nagą skórą. Odpowiedziała, o ile to była odpowiedź:

– Wiesz, tu w moim pokoju było malowidło na ścianie. Namalował je ojciec, kiedy byłam malutka. To były wróżki. Pełno skrzydlatych wróżek, a w tle las. Tata mówił, że zatrudnił je wszystkie, żeby pilnowały mojego snu. I że jeśli będę niegrzeczna, polecą do niego i wszystko mu powiedzą.

– Ładne. Dlaczego to zamalowałaś?

– Mama kazała zamalować ściany.

– A ojciec się zgodził?

– Już go nie było.

Znów ten cień. Znów ta czarna chmura. Tyle że tym razem chciałem ją przeniknąć.

– Nie powiedziałaś mi, co się z nim stało.

Pamela zwinęła się w kłębek. Ja ulokowałem się za jej plecami, na łyżeczkę. A kiedy dostałem erekcji, odsunąłem się trochę, żeby nie przeszkadzać. Zaczęła mówić:

– On... odchodził po trochu. Najpierw ciągle płakał. Nie wiadomo dlaczego. Wstawał od stołu i wybuchał płaczem. Najdrobniejsze rzeczy – reklama w telewizji, odwiedziny znajomego, niewłaściwe słowo – miały na niego ogromny wpływ. Potem zaczął się zamykać w pokoju. Spędzał tam całe dni. W ciemności. Nie ruszał się, nie wychodził. Czasami wieczorem wślizgiwałem się do jego łóżka i przytulałem się. Pozwalał na to. Tak naprawdę właściwie nie reagował. Świat... przestał go obchodzić.

Złapała palcami róg prześcieradła, jakby to była pieluszka. Zmieniała się – tam, na moich oczach – w małą dziewczynkę.

– A co robiła twoja mama?

– Z początku była zupełnie inna niż potem. Rozśmieszała mnie. Próbowwała czymś zająć. Opowiadała mi historyjki. Wymyśliła jedną, nazywała się *Smutny królik*. Była o bardzo wrażliwym króliku, który bez przerwy płakał z byle powodu. Czasami dlatego, że słońce nie wychodziło zza chmur. Albo dlatego, że zima jest za długa. Albo że ptaki nie śpiewają tak, jak by chciał. Aż w końcu inne króliki tłumaczyły mu, że przecież ma dobre życie, i dzięki nim uczył się być szczęśliwy.

– A twój tata się nauczył?

Pamela skuliła mi się w ramionach. Bon Jovi ze ściany posłał mi pełne wyrzutu spojrzenie.

– Coraz bardziej się pograżał w tych ruchomych piaskach – ciągnęła. – A mama traciła cierpliwość. Zaczęła od niego wymagać, żeby był szczęśliwy. Powtarzała, że musi wziąć za nas

odpowiedzialność. Czasami wyciągała go siłą z łóżka, sadzała do stołu i podsuwała gazetę, żeby szukał pracy. Codziennie na niego krzyczała, a on nawet nie reagował. To jeszcze bardziej doprowadzało ją do szału. Kilka razy stawiała mu ultimatum. Nawet wyrzuciła go z domu. Powiedziała, że jeśli ma być dla nas balastem, to lepiej niech sobie idzie. Że nie będziemy jego pełnoetatowymi posługaczkami.

Głos Pameli zadrżał, a potem zamilkła. Bałem się zapytać o to, o co zamierzałem zapytać. Pomyślałem jednak o wszystkim, co zrobiliśmy w ciągu ostatnich dni. I wtedy przestałem się bać czegokolwiek.

– I co się stało?

– To było jakieś sześć miesięcy temu. Zaczęłam pracować w McDonaldzie, przede wszystkim, żeby nie musieć siedzieć w domu, bo atmosfera była nie do wytrzymania. Z początku wujek przywoził mnie tu po zamknięciu lokalu. Jednej z tych nocy – pamiętam, że to była środa, nie wiem dlaczego, i choć to było lato, niska i gęsta mgła zalegała nad całą dzielnicą – weszłam do domu i usłyszałam dziwne odgłosy na górze. Zawołałam mamę. I tatę. Nikt nie odpowiadał. Wchodząc po schodach, zrozumiałam, co to za odgłosy: to był płacz. Byłam przyzwyczajona, że mój tata ciągle płacze, ale tym razem brzmiało to inaczej. I dobiegało z łazienki. Przed samymi drzwiami zrozumiałam, że to moja matka. Nigdy nie słyszałam jej płaczu, ani wcześniej, ani później. Płakała, jakby był wilk. Pomyślałam, że może zrobiła sobie jakąś krzywdę, może złamała nogę, wychodząc z wanny. Takie rzeczy się zdarzają. W każdym razie tak czytałam. Pobiegłam jej pomóc. Ale kiedy weszłam do łazienki...

Mówiła, a ja wyobrażałem sobie jej powrót do domu tego feralnego dnia. Wchodzi przez patio, potem salon i schody. Ta sama droga, którą przechodziliśmy wiele razy w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Droga nieszczęścia. Kiedy Pamela znalazła się u progu łazienki, przerwała opowieść. Cała dygotała, jakby powiew

lodowatego powietrza wdarł się do pokoju, a zęby jej szczękały. Nie zapytałem, co tam zobaczyła. Wciąż pamiętałem tamto zdanie, które przecież mówiło wszystko.

Wszędzie krew.

Objąłem ją, najmocniej jak umiałem. Powiedziałem, byle coś powiedzieć:

– Już, już. To minęło.

– Nie minęło! – odpowiedziała, ni to płacząc, ni to krzycząc, a potem powtórzyła cicho: – Nie minęło. Nadal trwa.

– O czym ty mówisz?

– Od śmierci ojca mama stała się nie do zniesienia. Jest jakimś potworem. Kontroluje wszystko, co robię. Czyta mój dziennik. Odstrasza moich przyjaciół. Powtarza, że jej obowiązkiem jest wprowadzić całkowitą dyscyplinę. Żeby nie spotkało mnie to, co... Żeby nie zrobiła tego, co tata. Mówi, że muszę dać sobie spokój z mrzonkami i żyć rzeczywistością. I że rzeczywistość jest trudna.

– Normalka. Wszyscy rodzice tak mówią!

Wszyscy prócz moich, którzy są tak skupieni na sobie, na swoich kłótniach, że nawet się nie zorientowali, że ich synalek zajmuje się torturowaniem nauczycielki. Pomyślałem to sobie, ale nic nie powiedziałem, bo historia Pameli była znacznie gorsza od mojej. I dlatego, że ona mówiła dalej, odsłaniała kolejne warstwy swojej opowieści:

– Przez te miesiące miałam takie dni, że nie chciało mi się nawet wstać z łóżka. Czasami nie jestem w stanie się odezwać. Głowa przykleja mi się do poduszki i wypełnia koszmarnymi myślami. Ciągle o wszystko obwiniam matkę. No, ale od swojej głowy nie uciekniesz. Zawsze ją masz, trzyma się na szyi i czasami dochodzę do wniosku, że najlepszym wyjściem jest to... co zrobił mój tata.

– Nie myśl tak, Pamelu. To po prostu przygnębienie...

– Mama jest innego zdania. Zmusza mnie do wstawania, sprawdza moje zadania co do przecinka, zapisuje mnie na zajęcia pozaszkolne,



wymierza kary... A przez to jest ze mną tylko gorzej. Ona uważa, że ja to robię celowo. Że chcę, żeby ona czuła się źle i martwiła o mnie. A ja... ja się boję, że ta cała historia się powtórzy.

– Nie powtórzy się. Jestem tu po to, żeby ci pomóc.

– Naprawdę?

Trudno to było wychwycić, ale ton jej głosu się zmienił.

Przed chwilą zapadała się w nieszczęściu, a teraz nagle wypłynęła na powierzchnię.

Jak boja, która wystrzeliwuje nad wodę, kiedy urywa się trzymająca ją lina.

– No jasne – zapewniłem. – A co myślałaś?

– Nie zdradzisz mnie? Nie oszukasz?

– Pewnie, że nie.

– Nie znikniesz?

– Nie!

Teraz miałem wrażenie, że coś z tej naszej rozmowy mi umyka. Nagle nie rozmawialiśmy już o tym samym. Każde mówiło o czymś innym, choć nie miałem jasności, o czym tak naprawdę. Mogłem tylko czekać, aż ona to wyjaśni.

I tak zrobiła.

Pociągnęła nosem, przetarła czoło ręką, odwróciła się i wbiła we mnie spojrzenie, ni to rozpaczliwe, ni to zdecydowane, a potem powiedziała:

– Uszczęśliwiasz mnie, Carlos, bardzo... Dziękuję... Bo jak mama wróci, to nie wiem, co ze mną będzie.

Potem mnie objęła, ja objąłem ją mocno i tylko na wpół świadom tego, co mówię, obiecałem:

– Zrobię dla ciebie wszystko, co trzeba. Wszystko.

# Manu

– Halo? Jest tu kto?

W domu było pusto.

Usłyszałem, że matka siedzi w swoim pokoju.

Ale dom i tak był pusty. Jak zawsze.

– Manu! – Wbiegła do salonu, jak zwykle śpieszyła się do pracy, grzebała w torebce i poprawiała sobie buty, fryzurę, żakiet, wszystko naraz. – Jak się masz, synu?

– Dobrze. Panna Pringlin się rozchorowała.

– Co ty powiesz.

Choć widzieliśmy się poprzedniego wieczora i dziś rano, prawie nie rozmawialiśmy. Ciągle myślałem o tym, co powiedziała mi nauczycielka. O listach od ojca. Przyglądałem się matce i zastanawiałem się, czy to wszystko może być prawdą. Czy ona sama rzeczywiście była jednym wielkim kłamstwem. Ale brakowało mi odwagi, żeby zapytać.

Przejebane, stary.

– Przyszedł ze mną Beto – oznajmiłem. – Chciałaś go poznać.

– Dzień dobry pani – przywitał się mój gość.

Musiałem zaciągnąć go do siebie prawie ze siłą. Cały dzień był nie w sosie i rzucał jakieś aluzje, upierdliwiec jeden. Ciągle w złym humorze i wciąż te głupawe uwagi. Musiałem z nim pogadać, zanim całkowicie pogrzebie morale drużyny. No, a skoro już go tu sprowadziłem, to mogłem przy okazji udowodnić, że istnieje naprawdę.

– Bardzo mi miło, Beto – przywitała się matka. – Będziecie razem odrabiać lekcje?

Przytaknęliśmy obaj. Mnie mogłaby nie uwierzyć. Ale Beto miał taką twarz, że nie sposób było wątpić. Twarz jak bułeczka z rodzynkami. O nic nie trzeba było pytać. Wystarczyło popatrzeć i już wiedziałeś, że twoje dziecko jest w dobrych rękach.

– Znakomicie. Pomóż Manu z matematyką, bo trochę ma z tym problemy. Wróć nie za późno.

Przesłała w powietrzu całusy i poszła w swoją stronę. Staralem się nie myśleć o słowach Pringlinowej, o tym wszystkim, co mi mówiła. Z drugiej strony nie mogłem zapomnieć, że ta krowa i moja stara trzymają sztamę.

Obie należą do tej samej ekipy.

I komu ja mam teraz, kurde, zaufać?

– Mamo...

– Tak, kochanie?

Obróciła się w progu. Była trochę zniecierpliwiona.

Nie mogłem zapytać jej o te listy. Nie chciałem poznać odpowiedzi.

– Przyniesiesz coś do jedzenia? Czekoladę czy coś?

– Postaram się. No to pa, całuski.

– Mamo.

– Tak?

Nie mogłem wytrzymać. To było tak, jakby mi wulkan miał wybuchnąć w żołądku. Wszystko, co w ciągu ostatnich dni robiłem, miało jeden cel: ponowne spotkanie z ojcem. Tylko czy ojciec chce się ze mną spotkać?

Czy to wszystko może okazać się jednym wielkim błędem?

A jeśli tak, to po cholere ciągnąć to dalej?

– Możemy porozmawiać? – zapytałem.

– To musi być teraz? – Zirytowała się lekko.

– Tak.

– Co znów zmalowałeś?

– Nic.

No, prawie nic. Jakiś tam drobiazg albo dwa. Przestępstwo grożące więzieniem, bez większego znaczenia.

– No dobrze – zgodziła się.

Zamknęła drzwi. Zostawiliśmy Beto z niepewną miną w salonie i weszliśmy do sypialni matki.

– Trochę się śpieszę, wiesz? – powiedziała, siadając na łóżku i zapalając papierosa.

Teraz czasy, w których ludzie palili w domach, wydają się takie odległe. Wtedy to była normalka. Ja sam miałem ochotę.

– Nie zajmę ci dużo czasu.

Ale trochę mi jednak zajęło, zanim zacząłem.

Nie wiedziałem, jak to ugryźć.

– No, słucham – ponagliła mnie. – Co mi chciałeś powiedzieć?

Pomyślałem o swoim starym, jak zdobywa pozycje wroga i gromi Ekwadorczyków i terrorystów, mały i czerwonych, i tęskni za mną w tym oddaleniu, chce się ze mną zobaczyć, próbuje przebić się przez mur, który matka między nami wznosi, gotów wytoczyć najcięższe działa.

– No... chodzi mi o te listy. Te, które przysyła tata.

– I co z nimi?

Matka przeszła do defensywy. Próbowwała to zamaskować, ale ja to wyczuwałem w dymie z jej papierosa.

– Panna Pringlin coś mi powiedziała.

Matka szeroko otworzyła oczy, ale szybko spojrzała w inną stronę, żeby ukryć swoją minę.

– Co takiego?

– Nie wolałabyś ty mi powiedzieć?

Nie chciałem tego wypowiadać na głos, nie ja, szwagier. Bo nie umiałbym pewnym głosem.

Teraz matka zgasiła papierosa. W popielniczce na jej stoliku nocnym leżało kilka petów: trupy na wpół wypalonych lęków.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Naprawdę? Naprawdę nie wiesz? A jeśli porównam pismo z tych listów z twoim... też nie będziesz wiedziała? Proszę, nie okłamuj mnie.

Nie powiedziałem tego ze złością. Powiedziałem błagalnym tonem. Tak naprawdę chciałem, żeby mnie okłamała.

Matka nie odezwała się słowem. Coś tam poprawiała w torebce, ale to była tylko gra na czas. Smutne, że mogłem w niej czytać jak w otwartej księdze, tak jak ona mogła czytać we mnie. Nie byliśmy w stanie się oszukać. Wreszcie przestała się szamotać z torebką, położyła ją gwałtownie na łóżku, właściwie to rzuciła.

I wyznała:

– Nie mogę uwierzyć, że ci to powiedziała. Dlaczego to zrobiła?

– Dlaczego ty to zrobiłaś?

– Musimy o tym teraz rozmawiać?

– Tak!

Wstała. Podniosła ręce. Potrząsnęła głową. Jej loki zatańczyły wokół głowy.

– Tak bardzo tęsknisz za ojcem... Pomyślałam... Pomyślałam, że tak poczujesz jego bliskość! I że to cię uspokoi.

– Naprawdę? A teraz co mnie ma niby uspokoić?!

Zaczęliśmy rozmowę łagodnie, ale zaraz oboje na siebie krzyczeliśmy. Przypomniał mi się Beto czekający w salonie. Musiał słyszeć nasze wrzaski. Nie powinienem był go przyprowadzać. Choć na tym etapie i tak wszystko było gównem warte.

– A co twoim zdaniem miałam zrobić? – broniła się mama. – Ciągle opowiadasz o tacie, tata to, tata tamto...

– Gdybyś go nie wywaliła z domu, nie musiałbym tyle o nim mówić. Gdybyś pozwoliła mu do mnie pisać...

– Ale kto powiedział, że go wywaliłam? Kto powiedział, że nie pozwalam mu pisać?

– To dlaczego tego nie robi?

– Dla twojego dobra!

Znów usiadła na łóżku. Czy też raczej padła na nie. Złapała swoją torebkę, która była jakby jej kołem ratunkowym, i wysypała zawartość na pościel. Znalazła papierosy. Zabrała się do zapalenia jednego z nich, ale w końcu rzuciła go na podłogę, rozdeptała, a potem jeszcze rzuciła torebką. Schowała twarz w dłoniach.

Niczego nie mówiłem, bo miałem całkowity mętlik w głowie. Nie wiedziałem, czy mam się na nią rzucić i zacząć szarpać za włosy, czy wyjść z domu, trzaskając drzwiami. W końcu nie zrobiłem nic.

A ona mówiła:

– Twój ojciec jest chory.

Jej głos zabrzmiał jak świst.

– Umrze? – zapytałem.

Z każdą sekundą kapowałem mniej.

– To nie taki rodzaj choroby. To coś, czego nabawił się w strefie walk.

– Jakiś rak? Zakażona rana?

– Tak, ale w sercu.

– Gadasz od rzeczy.

Matka wbiła spojrzenie w kąt pokoju jak próbująca się ukryć mysz. Przesunęła dłonią po włosach. Wyjaśniła:

– Kiedy walczył z terrorystami, przeżył kilka ataków z użyciem moździerzy. Chowali się ze swoimi ludźmi za workami z piaskiem i spadał na nich deszcz pocisków, bomb, a nawet strzał z płonącymi grotami.

– Ale jemu nic się nie stało!

Matka sprawiała wrażenie, jakby mnie wcale nie słyszała. Ciągnęła:

– Takie ataki mogły trwać nawet godzinami. A posiłki nie zjawiały się przez wiele dni. Jeśli skończyłaby się amunicja, byłoby po wszystkim. Większość żołnierzy strzelała w dalekie cele i wysoko, tam gdzie znajdowały się stanowiska z karabinami maszynowymi i moździerzami. Zadaniem twojego ojca było pilnować terenu przed samymi okopami. Strzelać do każdego, kto podejdzie.

Wyobraziłem sobie ojca: twarzą w twarz z wrogiem, kosi kulami każdego, kto się zbliża. Tak. Taki jego obraz był w porządku. Znacznie lepszy niż to, co matka zamierzała mi opowiedzieć.

– Wśród terrorystów były też dzieci. Trzynaście lat. Jedenaście. Nawet dziewięć. Dzieci nie dostawały broni. Tę nieliczną, jaką tamci mieli, rezerwowano dla dorosłych. Dzieciom dawano... inne zadanie.

Teraz popatrzyła na mnie. Jej spojrzenie bolało. Ale nie chciałem jej przerywać.

– Dzieci nosiły wiadra pełne benzyny i miały wylewać je na okopy, na te worki z piaskiem. Jeśli im się udało, wystarczył ostrzał i wszystko zaczynało się palić. Żołnierze musieliby uciekać i tak wystawialiby się na ostrzał, byłiby bezbronni. Jeśli któreś z tych dzieci dotarłoby do celu, bitwa byłaby przegrana. I takie dziecko w nagrodę dostawało karabin któregoś z zabitych.

– Czyli... zadaniem taty...

– Było strzelanie do dzieci.

Matka po tych słowach zamilkła i odezwała się dopiero po chwili.

– Musieli to robić, żeby ratować życie. Zabił dziesiątki, może nawet setki dzieci...

W mojej pamięci ożyła jedna scena. Próbowałem ją powstrzymać, ale w miarę jak matka mówiła, wizja rozpędzała się coraz bardziej, jak pociąg.

– Twój tata wrócił z frontu z zaburzeniami. Stres pourazowy. Nocami śniło mu się, że wciąż walczy w tych okopach. Wydawało mu się, że musi się bronić. Czasami atakował urojonych wrogów, którzy istnieli tylko w jego głowie...

Teraz słyszałem głos ojca.

Spokój, ty terrorystyczna szmato.

Jeśli drgniesz, rozwalę ci łeb.

– Czasami atakował mnie – ciągnęła matka.

Przypomniały mi się krzyki z ich sypialni, w te noce, kiedy odcinano prąd.

Milczenie taty na sofie.

Jego zaimprovizowane obozowisko między meblami.

– Kiedyś zaatakował ciebie...

I wspomnienie wytrysnęło jak woda z przerwanej tamy: chłód browninga w moich ustach. Poruczniku, proszę przeszukać dom. Ciężar jego ciała na mnie, jego groźby. Spokój, terrorysto. Nieistniejące eksplozje wokół nas. Tato, to ja. Niewidzialni żołnierze biegający dookoła. Dzieci pędzące z wiadrami z benzyną, starające się unikać kul. Wszędzie ogień, smród dymu i krwi. Tato, to ja...

– Manu, twój tata oszedł, bo nie chciał nas skrzywdzić. Nie wiedziałam, czy dam radę temu zapobiec. On nas kocha, rozumiesz? Ale właśnie dlatego nie może nas widywać. Musimy pozwolić, żeby spróbował wrócić do życia. A tego może dokonać tylko na własną rękę.

Wtedy mój ojciec zmaterializował się przede mną.

Najpierw zniknęła matka. Rozpłynęła się. Jak dym. Potem otaczający nas pokój się zmienił. Wszystko zrobiło się zielone i niebieskie, kolory lasu.

I był tu mój ojciec.

Siedział na krześle na deptaku w Iquitos, nad brzegiem Amazonki, i patrzył na mnie. Wyciszony, w cywilu, ze spokojnym wyrazem twarzy, który zniknął na długo przed jego wyjazdem. Najpierw pomachał do mnie, a potem, kiedy podszedłem, pogłaskał mnie po głowie. Zmierzwił mi włosy. Poklepał czule po policzkach. I wstał, żeby odejść. Ja chciałem się do niego przytulić. Błagać, żeby ze mną został i nigdy mnie nie zostawiał. Ale kiedy tak oddalał się powoli, idąc nadbrzeżem, rozpluwając się w wilgotnym powietrzu puszczy, zrozumiałem, że widzę go ostatni raz.

– Chciałeś wiedzieć, Manu? – To wróciła moja matka, a z nią pierdolona rzeczywistość. – Chciałeś wiedzieć? No to już wiesz.



## Moco

Manu zawsze był tchórzem, jasne?

Gdy porzucił wartę przy Pringlinowej.

Gdy kazał nam ją zostawić samą na całą noc.

Ale przede wszystkim ostatniego dnia. Kiedy znów się zebraliśmy.

Tego dnia nie był już sobą, był większym tchórzem niż zwykle.

Coś w nim pękło.

Coś umarło.

## Beto

Gdy zamknę oczy, to ta scena kręci się jak płyta Bacha.

Najpierw Manu i jego matka wrzeszczą na siebie w pokoju.

Nie słyszę, o czym mówią. I wcale nie chcę. Wpakowałem się w kłótnię, której nie rozumiem, dotyczącą spraw, które mnie nie dotyczą. Zastanawiam się, czy sobie nie pójść.

Teraz matka Manu wybiega z pokoju, zapłakana. Nawet na mnie nie patrzy.

– Proszę pani... – chcę być pomocny. Ale zupełnie jakbym przemawiał z innego wymiaru. Zdaje się w ogóle nieświadoma, że ja tam jestem. Wychodzi z domu, trzaskając drzwiami i wycierając sobie twarz chusteczką.

Zamierzałem obrazić się na Manu. Planowałem pokazać mu, że jest despota, kłamcą i że nie ma wstydu. Powiedzieć, że czuję się zdradzony. Chciał pogadać? No to pogadamy!

Ale teraz już nie sędzę, żebyśmy mieli poruszyć ten temat.

Na tym płyta się kończy. I zaczyna się nasz akt, aria miłości i cierpienia.

Siedziałem w salonie u Manu i czułem, że powietrze wokół mnie gęstnieje. To było na swój sposób odprężające, że nie przebywałem już w domu, w którym trzeba pilnować zakładnika, przyjmować rozkazy albo podejmować decyzje. Jakbym znów stał się dzieckiem.

Ale kiedy zaczęły się te krzyki, wszystko się zmieniło. Zapanowało napięcie. A gdy matka Manu otworzyła drzwi, żeby wyjść, powiało czymś bardzo ciężkim. To był zaduch z piwnicy panny Pringlin, który dopadał nas nawet tutaj.

Manu pojawił się dopiero po paru minutach. Przyszło mi do głowy, żeby tam do niego pójść, ale się powstrzymałem. Chciałem utrzymać pozę urażonego. Miałem jeszcze nadzieję, że zachowam główną rolę. Ale kiedy wreszcie wyłonił się z sypialni, podszedł do kanapy i usiadł obok mnie, nie patrząc mi nawet w oczy.

– Chcesz pograć na atari? – zaproponował.

Pokręciłem głową.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytałem.

Wolałbym zadać mniej służalcze pytanie, w rodzaju: „No, co jest?”, albo: „Znowu jakieś jaja z twoją starą?”, ale mi nie wyszło.

Zaprzeczył ruchem głowy. I powiedział:

– Cholera, ten Ryan Barrameda ma rację. Jesteśmy tylko bandą panienek.

Nie wiedziałem, jak to rozumieć, więc nie odezwałem się.

– Mamy zakładniczkę – wyjaśnił – i nawet nie wiemy, co z nią zrobić. Możemy sobie potańczyć przez chwilę w jej domu albo udostępnić Carlosowi pokój, żeby sobie ulżył, ale długo tak nie damy rady, stary. Stoimy na gzymsie, budynek drży, a ja nie mogę niczego zrobić.

– Nie załamuj się, Manu...

– Kurde, dajemy dupy na całej linii. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy, dalej jesteśmy tymi czterema przygłupami, co zawsze. A niedługo będziemy czterema przygłupami w poprawczaku.

Nagle ogarnął mnie chłód. Chłód i niepewność. A ponieważ w ciszy wszystko robi się jeszcze gorsze, próbowałem ją zagadać, choćby i bez sensu:

– Zrobiłeś, co się dało...

– Wszystko zjebałem. I wszystko zrobiłem przez pomyłkę. Jestem najgorszym przywódcą na świecie.

Manu się załamał. Kiedy mówił, wargi mu drżały. Oczy miał zaczerwienione. Cały zapadł się w kanapie. Miałem ochotę go przytulić, ale nie wiedziałem już, co jest dobrym, a co złym

pomysłem. Położyłem mu dłoń na ramieniu, bo to wydawało mi się męskim gestem wsparcia. Czułem, że pod moim dotykiem jego ciało się odpręży. Może w ten sposób mi dziękowało.

Westchnął ciężko i oznajmił:

– Nie wiem, czy to, co robimy, ma jakiś sens, Beto. Chyba musimy się poddać i wypuścić tę babę.

Tego się nie spodziewałem. To zmieniało wszystko. Nawet bezpośrednią przeszłość.

– Co ty gadasz? Przecież ty tu jesteś szefem, to był twój pomysł.

– Może to był zły pomysł.

To nie był on. To uciekające spojrzenie. Przegrana poza. Czerń w środku. Ktoś ukradł naszego Manu i zostawił nam pustą kukłę.

Jednak zamiast mu współczuć, poczułem narastający gniew.

– Jak to: zły pomysł? Wpakowałeś nas w tę całą aferę, żeby teraz oświadczyć, że to był zły pomysł?

– Tak. Nie. Nie wiem.

– ŻE CO? Przez ciebie złamaliśmy prawo, a ty teraz wyjeżdżasz z tekstem, że nie wiesz, co dalej?

– Do niczego was nie zmuszałem – odpowiedział, przechodząc do defensywy. – Weszliście w to, bo chcieliście.

– Weszliśmy w to, bo chcieliśmy ci pomóc, bo o to prosiłeś! Bo jesteśmy twoimi przyjaciółmi!

– Dłużej tak nie damy rady! Ile jeszcze możemy zmieniać się na warcie dzień i noc, zanim nasze rodziny to odkryją? Za co będziemy kupować żarcie dla Pringlinowej? Nawet nie rozumiem, jakim cudem aż dotąd nam się udawało.

– Tyle to ja wiem sam! Ale wszedłem w to dla ciebie! Poparłem cię przeciw Carlosowi. Jeździłem autem po nocy. Ryzykowałem!

Wtedy wyszła z Manu ta żmija, którą w sobie miał. Przez chwilę musiała być ogłupiała, zaplątała się we własne sploty, ale przy pierwszej okazji obudziła się i ukąsiła mnie w palec, bo jej pierwotnym instynktem jest robienie innym krzywdy.

– Tobie chodziło o coś innego – rzucił.

Zamurowało mnie. Do tej chwili złość krążyła mi w żyłach jak zastrzyk insuliny. Teraz zalała mnie kaskadą.

– Co takiego?

– Nic nie mówiłem. – Próbował się wycofać.

– Mówisz, że zrobiłem to wszystko, bo jestem pedał? To mi chcesz powiedzieć?

– Nie...

– Ten pedał zaryzykował dla ciebie głową, idioto! A ty najpierw rzucałeś rozkazami na lewo i prawo, strugałeś twardziela z pistoletem, a teraz zachowujesz się jak wystraszony króliczek. Chcesz uciekać. I kto tu ma jaja? Kto jest prawdziwym facetem?

– Nie wiem! – wybuchnął.

I zrobił coś, co zaskoczyło go chyba jeszcze bardziej niż mnie: zaczął jęczeć.

To było nagłe, jak gwałtowny odruch wymiotny. Ale kiedy już zaczął, nie mógł przestać. To nie był płacz w sensie ścisłym. Łzy mu nie poleciały. Ale, owszem, usmarkał się i coś tam bulgotał. Wychodziły z niego te wszystkie emocje, które od dwóch dni w sobie tłamsił.

– Ja tylko chciałem zobaczyć się z tatą! – bełkotał, dławiąc się, jak małe osierocone dziecko. – Chciałem tylko odegrać się na Pringlin. Przepraszam! Naprawdę przepraszam! Wszystko zrobiłem źle!

Oparł stopy na kanapie i objął kolana. Wcisnął twarz między nie. Wyglądało to tak, jakby się chciał cały zapaść pod ziemię, polecieć bezpośrednio do piekła.

Jęczał, a ja znów położyłem mu rękę na ramieniu, a potem przesuwałem ją tak, że w końcu objąłem go całego. Doszliśmy do momentu, w którym słowa nie przydawały się już na nic. Przysunąłem się do niego, teraz bardzo blisko. A potem moje palce wspięły się na jego głowę, zmierzwiłem mu trochę włosy. I powiedziałem:

– Nie martw się. Ja cię rozumiem. I obronię cię.

Powoli zaczął się uspokajać. Wilgoć znikła z oczu. Szarpany oddech się unormował. Przełknął ślinę. Pociągnął nosem. Dopiero po tym wszystkim podniósł głowę. A ja siedziałem przy nim i czekałem. Przez cały czas obejmowałem go ramieniem, a on otwierał teraz usta i zagryzał wargi, jakby starał się powstrzymać, żeby czegoś nie powiedzieć.

Przez następnych kilka sekund wszystko potoczyło się z dziwną naturalnością.

Najpierw przysunąłem swoje usta do jego ust, a one przyjęły mnie ciepło.

Potem objął mnie obiema rękami, a ja przytuliłem go mocniej. Potrzebował, żeby ktoś go przytulił. Jakkolwiek. I ktokolwiek.

I wreszcie nasze usta mocno do siebie przywarły.

# Carlos

Byli zupełnie odmienieni. Beto i Manu. Kiedy wrócili.

Nic nie było tak samo. Ja też byłem inny. Pamela już poszła, ale zostawiła po sobie jeszcze bardziej skomplikowany świat.

Wszystko się odwróciło. Staęło na głowie, przenicowało, rozsądek okazał się szaleństwem... I *vice versa*.





## Moco

– Cześć, Pringlin. Teraz kolej na mnie, pobawimy się. Spokojnie, spodoba ci się. Wiesz, co teraz zrobimy? Wyjmę ci ten knebel, bo chcę zobaczyć twoją zboląłą minę. Co ty na to? Czy to nie super? Bo chcę poczuć twój lęk, Pringlin, chcę, żebyś zalała się zimnym potem.

Na tym etapie Pringlinowa stała się taką naszą zabaweczką, którą sobie nawzajem przekazywaliśmy. I skoro była moja kolej, to miałem ochotę podkreślić atmosferę, he, he.

Puściłem muzykę z *Ojca chrzestnego*. To była moja chwila triumfu.

Jednym szarpnięciem zerwałem jej taśmę z ust, żeby zaboląło. Choć zachowała godność, wiedziałem, że w głębi duszy wrzeszczy. To mi wystarczało.

– Chciałbym nakręcić z tobą film *snuff*. Wiesz, o co chodzi w takim *snuffie*? Ja cię biję, ty głośno krzyczysz do kamery. Potem to sprzedaję i zarabiam kupę kasy. Ale spokojnie. Wcale nie musisz umrzeć w pierwszej scenie.

Zasadniczą metodą tej baby, kiedy chciała wyprowadzić nas z równowagi, było to jej kamienne spojrzenie, dokładnie tak jak na lekcjach, jakby wierzyła, że zaraz stąd wyjdzie i spuści nam lanie. Skoro już ją miałem do swojej dyspozycji, zamierzałem trochę jej podretuszować tę buźkę.

– Przyniosłem kamerę, żebyśmy mogli się pob... – Spojrzałem w bok. Potem w drugi. I wtedy mi się przypomniało. – Cholera, kamera! Moja kamera!

Zostawiłem ją w pokoju Pameli, schowaną w szafie i wycelowaną w łóżko. Może w końcu uda mi się zdobyć scenkę z uprawiającymi seks nastolatkami. Ale nie o to teraz chodziło. Kopnąłem jeden

z worków z cementem, zaślepiony złością. I oczywiście w chwili rozpaczki Pringlinowa dostrzegła uchyloną szparę. Odezwała się:

– To co, nie będzie tego twojego filmu?

– Zamknij się!

Kręciłem się po piwnicy jak kot w klatce. Głupia suka. Jak ona to robi, że zawsze stawia na swoim?

– Moco, proszę. – Nie odpuszczała. – Powinieneś się dobrze zastanowić nad tym, co robisz...

Oddychałem nerwowo. Kombinowałem, jak odzyskać pozycję. Znow stać się tym złym. Podbiegłem do skrzynki z narzędziami, ale po drodze zauważyłem coś lepszego: obok schodów, na gołej betonowej podłodze leżała pusta butelka po whisky Manu. Złapałem ją i zacząłem wymachiwać Pringlinowej przed twarzą.

– Albo się zamkniesz, albo rozwalę ci łeb!

– Myślisz, że Manu ci pozwoli?

Słyszając jego imię, spuściłem wzrok. Ostatecznie miała rację. Co ja mogłem zrobić, nie licząc gapienia się na nią podczas mojej czterogodzinnej zmiany? Jaką wolno mi było podjąć inicjatywę bez aprobaty szefa?

Tylko z drugiej strony, dlaczego właśnie on, do cholery, miał być szefem?

– Nie potrzebuję jego zgody, krowo – odparowałem i zamachałem butelką. – Przez najbliższe godziny należysz do mnie.

– Dlaczego pozwalasz, żeby Manu tak cię traktował? Krzyczy na ciebie, pomiata, rozstawia po kątach...

I wtedy zrobiłem właśnie to, czego nie powinienem był robić – wzruszyłem ramionami, zastanowiłem się nad jej słowami i, co gorsza, odpowiedziałem:

– I co z tego. Przyzwyczaiałem się.

– Przyzwyczaiałeś się, że traktuje cię jak służącego?

– Tego nie powiedziałem. Manu to zajebisty gość, tylko czasami wpada w zły humor.

– I to daje mu prawo, żeby odnosić się tak do ciebie, traktować jak zawałidrogę?

W kilka sekund zaczęła mnie przeciągać na swoją stronę. Ona pierwsza zrozumiała mój punkt widzenia. Wciąż trzymałem tę flaszkę, ale teraz już opuściłem rękę, jakby to była jakaś walizka.

– Nie... Pewnie, że nie!

– Powinieneś się bardziej szanować, Risueño.

Kurde, no, miała rację... Jak ten niemiecki naukowiec, który stworzył Kapitana Amerykę. Był zły, ale mądry.

– Ja się szanuję – odezwałem się niepewnie. – Ja jestem... spoko gość.

– Manu tak cię traktuje, bo się ciebie boi.

– Hę?

– Kto inny byłby w stanie odebrać mu pozycję przywódcy? Co? Kto inny nadaje się do sterowania resztą?

– No, to racja. Ale my stanowimy drużynę...

– Jasne. Ty zawsze miałeś poczucie, że jesteś gorszy, biedaku...

– Nie czuję się gorszy!

– Jasne.

Smakowałem te słowa, najpierw w głowie, potem na głos...

– Fajnie by to brzmiało, co? Moco boss. He, he.

– Manu tak nie uważa. Dlatego próbował cię otruć...

No tak, tak! Nie, nie.

– Nie chciał mnie otruć. Wyjaśnił mi to. Miałem udawać, że jem, ale nie jeść.

– No to dlaczego ci tego wcześniej nie powiedział?

– Przecież nie mógł tak przy pani.

– A dlaczego właśnie ty?

– Nie wiem.

– Dziwne, co? Bardzo dziwne.

Fizycznie oboje się zmienialiśmy. Choć ona wciąż siedziała, była ranna i związana, jakby jej przybywało i w tej chwili wypełniała sobą

połowę piwnicy. Ja za to kurczyłem się i malałem, a butelka z broni stała się ozdobą, jak kolorowa kokardka, jak ozdoby Alicii Silverstone ze *Słodkich zmartwień*.

Ale przecież nie jestem idiotą. Wiedziałem, że daję się zauroczyć tej wiedźmie, i umiałem się temu przeciwstawić.

– Mówi to pani, żeby mnie zdenerwować. – Ocknąłem się.

Znów zwracałem się do niej *per* pani. Na ty mówiłem do niej w chwili poczucia wyższości, kiedy przemawiałem do niej z góry, ale teraz u mych stóp otwierał się dół. A ona trzymała w rękach łopatę.

– Naprawdę cię to denerwuje?

Rozbiłem butelkę o ścianę. Podsunąłem jej pod oczy ostrą krawędź tej części, która została mi w dłoni.

– Może mi pani wierzyć – powiedziałem. – Jeśli zechcę, naprawdę mogę narozrabiać. Nie potrzebuję niczyjego zezwolenia. A potem kopnę się na górę i zrobię także krzywdę pani córeczce, jest teraz na pięterku. Czy to będzie przekonujący dowód na to, że Manu mi nie rozkazuje?

Z początku mimo wzmianki o córce nawet jeden miesiąc nie drgnął na twarzy Pringlin. Przyglądała mi się z taką samą obojętnością jak wcześniej, jak zawsze. Dopiero po kilku sekundach jej lodowa maska zaczęła pękać. Oczy jej zawilgły. Usta się wykrzywiły.

Moja ręka znów opadła. Zapomniałem o niej.

– *Risueño...* – odezwała się nagle, kompletnie mnie zaskakując. – Jak możesz być tak okrutny? Jak możesz lekceważyć to, co matka czuje do córki?

– Ja... – Zawahałem się. – Ja...

– Nie wszyscy są tacy jak twój ojciec...

– Od mojej rodziny to się odwal! – Zareagowałem ostro.

– Ja tylko próbowałam zastąpić ci matkę, stać się osobą, która cię wychowuje i pokazuje właściwą drogę...

– Umyj se gębę, zanim zaczniesz mówić o mojej matce...

Dziwne to było. Ja trzymałem butelkę i miałem wolne ręce. Ale to ona najwyraźniej wszystko kontrolowała. Mieszała mi w głowie. Robiła wodę z mózgu.

– Jak zmarła twoja matka, Risueño?

– Przez awarię prądu. Maszyny przestały działać.

– Przecież prąd co chwilę wysiada. Nikt tego nie przewidział? Dlaczego nie leżała w szpitalu?

– W domu jej było dobrze! Tata o nią dbał.

– No tak. Ale twój ojciec miał problem z alkoholem...

Jak ona to robiła? Wyglądało to tak, jakbyśmy zawsze lądowali tam, gdzie ona zamierzała nas skierować. Chciałem zamknąć uszy, tak jak się zamyka oczy. Słowa Pringlinowej kłuły mnie od środka i wyciskały łzy. Cały byłem mokry: czoło, dłonie. Butelka, czy też to, co z niej zostało, wysuwała mi się z dłoni. Musiałem mocno ją chwycić. I zacisnąć zęby. I cały się ogarnąć.

– To dlatego on się czuje tak winny, co?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Butla tlenowa leżała bardzo blisko łóżka. Karmienie i podawanie lekarstw wymagało tylko czyjejś uwagi. Ona wcale nie była zależna od prądu. Tyle że odpowiedzialny za nią był wtedy na dole i zajmował się piciem pisco...

– To nieprawda.

Na pewno gadała z moimi ciotkami. To nie były jej słowa, tylko skopiowane pomysły tamtych dwóch wiedźm. Powtarzane, wciskały mi się do głowy jak plaga robactwa, robiąc coraz większy hałas, łomocząc w środku czaszki. A ona ciągnęła swoje:

– Pozwolił jej umrzeć. Być może po prostu zasnął. Być może w swoim alkoholowym delirium uznał, że tak dla niej lepiej. Być może sam już tego nie pamięta. Ale nigdy sobie tego nie darował. Odczuwa ból w każdej sekundzie. Dlatego nie był w stanie stać się ojcem, na jakiego zasługujesz.

– Przestań gadać...

I nagle w mojej głowie zapanowała zupełna cisza.

- Risueño - ciągnęła ta baba - ja tylko chciałam wam pomóc. Obu. Żeby twój ojciec mógł się pozbierać. Żeby ciotki zajęły się tobą jak trzeba. Wszystko, co zrobiłam, było dla twojego do...

Nie mogłem już dłużej. Zrobiłem trzy kroki w jej stronę i walnąłem ją tym szkłem w twarz. Obok jej ust błyskawicznie wykwitła wielka czerwona szrama, z której połała się krew. Skóra dookoła szramy nabrała siniego koloru.

- Jeszcze raz coś powiesz o kimś z mojej rodziny, Pringlin - ostrzegłem ją - i sekundy się nie będę wahał, tylko wpakuję ci kulkę w dupę.

I faktycznie byłem w stanie to zrobić. Nikt mi nie mógł zakazać.

Bo tam, w kącie piwnicy, leżał browning Manu.

# Beto

Możliwe, że to, co wydarzyło się potem, to była moja wina.

Ja się zazwyczaj obwiniam o wszystko: o własną samotność, o wady moich kochanków, o zło tego świata. To taki prywatny sport. Czuję się też winny z powodu rodziny. Przede wszystkim matki. Myślę, że gdybym nie był taki, jaki jestem, matka zdołałaby zostawić ojca i zacząć szczęśliwe życie. Jeśli tak długo trwała przy tym mastodoncie, to tylko dlatego, żeby mnie samego z nim nie zostawić. Ona od początku wiedziała, jaki ja jestem. Matki zawsze wiedzą. I jej instynktowna potrzeba chronienia mnie zrobiła z niej niewolnicę albo jeszcze gorzej: dodatek do domu. Tak więc zrujnowałem życie matce i siostrze, która dorastała w przekonaniu, że to normalne. I przy okazji zrujnowałem też swoje własne.

Oczywiście popsułem też naszą przygodę z Pringlinową. Jediną sytuację godną tego miana, w jakiej miałem okazję uczestniczyć przez całe moje nudne, mdłe i szare życie.

I dokonałem tego jednym pocałunkiem. Jak Judasz.

To inna moja specjalność: zawsze wszystko psuję, ale oczywiście niechcący, próbując zrobić coś wręcz przeciwnego. Jak słoń w składzie porcelany. Gdybym to robił celowo, przynajmniej byłby ze mnie skuteczny bydlak. A tak to jestem zwykłym niezdara.

Chciałem, żeby Manu poczuł się lepiej. Zamierzałem go pocieszyć. Tyle że Manu po moim pocałunku postarzał się o czterdzieści lat, zrobił się blady, usta miał sine, jakby od mojego dotyku wyszły mu sińce.

- Tylko mi tego brakowało – szepnął z szeroko otwartymi oczami.
- Nie ma się czego wstydzić – powiedziałem. – Nie zrobiliśmy nic złego.

Próbowałem przekonać samego siebie. To był mój pierwszy pocałunek. Chciałem, żeby było romantycznie.

Próbowałem go pogłaskać, ale mnie odepchnął. I nie podnosząc głowy, zaczął wyliczać:

– No kurwa. Porwaliśmy nauczycielkę i zostawiliśmy ją z największym psychopata z naszej czwórki, podczas gdy następny posuwa jej córkę, a ze mnie wyłazi pedał. Kurwa, Beto. To nie to, że jest źle: to katastrofa.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Ja tylko usiadłem przy nim, bo może było mu to potrzebne. Powinienem być już dużo wcześniej zrozumieć, że Manu nie potrzebuje nikogo. Po chwili czegoś, co wyglądało na medytację, wstał i ruszył w stronę drzwi. Poszedłem za nim, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Manu, musimy pogadać.

– Psst.

Powłókł się w stronę domu Pringlin. A ja powlokłem się za nim. Kiedy doszliśmy do celu, słońce zaczynało zachodzić, a nasze długie cienie ciągnęły się za nami aż na drugą stronę ulicy. Manu nawet nie próbował się maskować. Stał pod drzwiami i nacisnął dzwonek, jakby był gościem przychodzącym na herbatkę.

Otworzył nam Carlos w nie najlepszym humorze.

– Co jest?

– A Pamela? – zapytałem.

– Już wyszła.

– Szybko poszło, co?

To miał być przyjacielski komentarz. Chyba go nawet bratersko szturchnąłem łokciem. Chciałem ich rozruszać. Zależało mi, żebyśmy znów stali się taką złodziejską paczką, grupą kumpli rozrabiaków, a nie przegraną bandą smutasów.

– Wcale nie było szybko – odpowiedział Carlos. – Problem w czym innym.



Ponury, wpuścił nas do salonu, w którym wcześniej siedział i popijał ze szklanki, bez wody czy lodu.

– Whisky już nie ma – powiedział – ale zostało trochę rumu. A potem już koniec.

– Koniec będzie tak czy siak – stwierdził powoli Manu bardzo mrocznym głosem.

Carlos nawet nie odpowiedział. Wbił wzrok w szklankę, jakby cały chciał się w niej utopić. Ja już nie miałem pomysłu na żaden żarcik. I wtedy wkroczył Moco, rozwścieczony, trzaskając piwnicznymi drzwiami o framugę i wpadając do salonu jak tornado.

– Już dość! Zabijamy ją i gównu mnie to obchodzi! Po co tracimy tyle czasu?

– Starczy, Moco. Nie zgadzałem się na żaden...

– Ja nie przyszedłem prosić cię o zgodę, Manu. Rozejrzycie się za jakimiś torbami. Dziś w nocy wyniesiemy jej ciało i porzucimy na piaskach. Zamierzam wszystko sfilmować. Idę po swoją kamerę i wali mnie, czy twoja panienska tam jest, Carlos. Ją też zabijemy.

Wszystko toczyło się za szybko. Wszystko było zbyt drastyczne.

Myślałem, że teraz Manu narzuci swoją wolę i kilkoma krzykami sprowadzi Moco do parteru. Ale Manu zapadł się w fotel, całkowicie pokonany. Nie podnosząc nawet głosu, powiedział:

– Wypuścimy ją.

– Co???

Miało to jedną dobrą stronę: Manu odzyskiwał rozum. I moim obowiązkiem było mu pomóc. Odezwałem się:

– To najlepsze wyjście, Moco. To było wariactwo i trzeba je przerwać. Dostaniemy mniejszy wyrok za uprowadzenie niż za morderstwo. Jeśli ją uwolnimy i poddamy się, może obejdzie się bez policji. Tylko nas wyrzucą i po sprawie.

Naprawdę w to wierzyłem. Chciałem w to wierzyć.

– Tak czy inaczej bez tej szkoły będzie nam lepiej – dodał Manu.

Pewnie próbował przewidzieć, gdzie za karę wyląduje. Ale determinacji Moco nie przewidział:

– Czy wy zdajecie sobie sprawę, co robicie? Tyle przeszliśmy, żeby ją teraz puścić? Chyba was pojebało!

– Ciebie pojebało! – Manu próbował odzyskać pozycję, pewnie zaskoczony tym sprzeciwem.

– Nikt mi nie będzie rozkazywał!

– Odpuść sobie, Moco – wtrąciłem się, próbując przybrać spokojny i dorosły ton. – Jest nas trzech na jednego.

To przynajmniej były twarde liczby. Matematyka jest zimna i konkretna. Można sobie oszczędzić dyskusji.

Ale Carlos z głębi fotela i znad szklanki z rumem rozwalił tę moją matematykę w drobny mak.

– Nie jest nas trzech na jednego – powiedział metalicznym i zmęczonym głosem. – Tylko dwóch na dwóch.

Manu aż podskoczył.

– Ty?

– Zrobiliśmy to w pewnym celu i doprowadzimy sprawę do końca – oświadczył Carlos, nagle tak radykalny, jakby się wynurzył diabli wiedzą skąd. – Inaczej to nie ma sensu.

– To samobójstwo – stwierdziłem.

– Nie, zabójstwo – odpowiedział.

– Kompletnie wam odbiło – powiedział Manu, zaskoczony być może przede wszystkim tym, że nie miał już żadnego posłuchu, był na równi z resztą naszej czwórki, a może nawet i niżej. Zbyt szybko spadł z piedestału i teraz Moco reagował na jego obelgi z perwersyjnym uśmiechem.

– Dwóch na dwóch, Manu. Czy może raczej trzech na dwóch.

Rozpiął bluzę od szkolnego mundurka. Za paskiem miał pistolet, zatknięty tak samo, jak wcześniej nosił go Manu. Przemienił się w niego, a Carlos w Moco, natomiast Manu być może nie zmienił się

wcale, tylko rozpląnął, a potem znów zmaterializował, żeby zmierzyć się ze swoją porażką.

– To jest mój pistolet – zaprotestował, a głos mu stężał.

– Naprawdę? – prowokował go Moco. – No to chodź i weź go sobie.

– Skurwysyn!

Skoczył na Moco. Carlos rzucił się bronić jednego, a ja drugiego. W kilka sekund my, czterej przyjaciele, zaczęliśmy się popychać, gryźć i rozwalać meble panny Pringlin.

Nie powinniśmy byli zapominać, kto jest naszym prawdziwym wrogiem. Zamiast tarzać się po ziemi i okładać po gębach, powinniśmy w tej chwili pilnować naszej zakładniczki i uniemożliwić jej to, co zamierzała zaraz zrobić. Ale nie byliśmy już tym, kim wcześniej. Stając przeciwko sobie, przegraliśmy bitwę. Wszystkie bitwy.

Oczywiście ta nasza szamotanina długo nie mogła trwać. Jeśli chodzi o bezpośrednie starcia, byłem mniej niż zerem. Carlos potrzebował tylko kilku machnięć ręką, żeby usunąć mnie z pola walki. Tymczasem Moco usiadł na Manu i zaczął go dusić. Manu, z dłońmi Moco zaciśniętymi na gardle, zaczynał zielenieć.

– I co, Manu?! – wrzeszczał Moco w szale. – Nie chcesz już się bić? Chcesz być następnym trupem?

– Starczy, Moco! – krzyknął Carlos i odepchnął go na bok.

Manu potoczył się w przeciwną stronę, kaszlał i dyszał. Kiedy walczą wilki, pokonany odsłania przed zwycięzcą gardło. To sygnał poddaństwa, taka biała flaga. I Manu wykonał podobny gest. Został na kolanach, nie ruszając się, wbijając pełne paniki, przerażone spojrzenie w nowego Moco, który stanowił tylko radykalną wersję tego, kim był wcześniej.

Moco wstał i poprawił sobie koszulę, jakby kiedykolwiek interesował go stan garderoby.

– Idę po kamerę – oświadczył.

Obrócił się w stronę schodów.

Ja tylko patrzyłem na to, kompletnie bierny, nie domyślając się, że czeka nas jeszcze jedna niespodzianka.

Nikt nie spodziewał się interwencji Carlosa ani tego, że będzie tak odważna.

– Żadnej kamery, Moco – rzucił. – I to nie ty ją zabijesz.

Wciąż jeszcze był zdyszany po walce. Moco natomiast odzyskał siły i emanował energią.

– A kto niby to zrobi? Ty? Błagam!

Carlos, albo ten chłopak do złudzenia go przypominający, ale zupełnie do niego niepodobny, przytaknął.

– Ja będę mieć z tego większą frajdę – upierał się Moco.

– Ja to zrobię, do cholery.

– A co, jeśli mi się to nie podoba?

– Albo ja, albo nikt! I znów będzie trzech na jednego.

Salon panny Pringlin wyglądał jak pole bitwy. Manu i ja wciąż na podłodze, wpasowywaliśmy się w to pobojuwisko, niewiele się różniliśmy od rozbitego szkła i pociętej tapicerki mebli. Z jednej strony, przy schodach, Moco analizował nową sytuację. Po przeciwnej, obok drzwi do piwnicy, Carlos ze skrzyżowanymi na piersi rękami oczekiwał jego odpowiedzi.

Moco podszedł w jego stronę z bojową miną. Wymieniliśmy z Manu spojrzenia: jeśli Moco będzie bił się z Carlosem, to we trzech damy mu radę.

Moco przecinał salon, a ja wstrzymałem oddech. Wszyscy byliśmy gotowi, żeby skoczyć na niego, jeśli tylko będzie okazja. Moco wyjął broń zza paska. Carlos stał spokojnie. Kiedy znaleźli się twarzą w twarz, jak dwaj kowboje w chwili pojedynku, Moco chwycił pistolet za lufę i podał:

– Proszę – powiedział. – Jeśli masz dość jaj, żeby to zrobić, zasłużyłeś.

## Carlos

Musiałem to zrobić.

Teraz to już nie o nas tu chodziło ani nawet nie o mnie. Szło o Pamełę.

A za wszystko, co miało związek z nią, odpowiadałem ja osobiście.

Nigdy nie porzucaj kogoś, kto cię kocha.

Nigdy. Przenigdy.

Kiedy mama wróci, to nie wiem, co ze mną będzie.

Nie wróci, moja kochana. Zostaw to mnie.

Wziąłem broń do ręki z poważną miną, jak policjant odbierający odznaczenie. Jeszcze tylko brakowało, żebym zaszalutował. Zszedłem powoli po schodach do piwnicy, chowając pistolet za plecami. Panna Pringlin wciąż tam siedziała, otoczona cmentarzyskiem potłuczonego szkła, przygarbiona i ze spuszczoną głową, taśma klejąca zwisała jej zawadiacko z policzka. Cała jej twarz pokryta była siniakami i zadrapaniami. To już nie była ludzka podobizna, tylko jakiś rozmazany odcisk linii papilarnych.

– Dobry wieczór, panno Pringlin.

– Krótki był coś ten dyżur Risueño, co?

Nie odpowiedziałem. Podeszedłem do niej i stanąłem z boku. Ona nadal próbowała nawiązać rozmowę.

– Pokłóciliście się? Jakiś straszny łoskot dobiegał z góry.

– Nie musi się tym pani przejmować. Już nie.

Łatwiej byłoby zmierzyć się z niepoohamowaną wściekłością Pringlinowej albo z wyniosłym chłodem niż z kimś takim, kobietą skrępowaną i zapłakaną. Łatwiej dokonać egzekucji na kacie niż na ofierze. Zwłaszcza jeśli ofiara mówi:

– Gdzie jest Pamela?

– Z Pamelą wszystko w porządku. I będzie jeszcze lepiej.

Podszedłem bliżej. Kawałki butelki zazgrzytały mi pod stopami. Rękę wciąż trzymałem za plecami. Jednak trudno było ukryć moje intencje. I ona nie miała złudzeń. Była zamroczona, oszołomiona, wycieńczona, a z twarzy ściekała jej krew.

– Powiesz jej, że o niej myślę? Że martwiłam się o nią do samego końca?

– Nie sądzę, żebym mógł.

– Ona i ja... Nigdy się nie dogadywałyśmy. Zawsze mnie winiła... o wszystko.

– Może miała rację. To była pani wina.

Wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby chrapliwe sapnięcie. Kiedy się odezwała ponownie, jej głos zabrzmiał głęboko i mądrze.

– Za młody jesteś. Miłość to nie łoże usłane płatkami róży.

Ale ja nie zamierzałem przyjmować jej punktu widzenia. Zaobserwowałem to później w swojej pracy. Kiedy skazaniec dostaje wyrok, nikt już się nie interesuje jego historią. Ostatnim, który jej wysłuchuje, jest sędzia. Potem strażnicy więzienni, policjanci i dyrektorzy zakładów karnych ograniczają się już tylko do wykonywania swojej pracy. Jeśli skazaniec dalej upiera się przy swojej niewinności, odpowiadają mu tak samo jak ja jej wtedy:

– Rzecz w tym, że on nie żyje. A pani tak.

Pod wpływem emocji stanąłem u jej boku. Stawiałem kroki automatycznie, nie myśląc, co robię, bez żadnego zastanowienia. A ona mówiła i nie wydawała się smutna, tylko zrezygnowana, niemal znużona. Choć podniosła głos, stwierdzając:

– Zrobiłam, co mogłam. Długo cierpiałam, próbując go zmienić. I to samo próbowałam zrobić z wami, Carlos.

– Ale nie udało się pani uratować nawet samej siebie. Co za paradoks.

Pringlin odzyskała swój lodowaty, niemal chirurgiczny ton.

– Dobrze się zastanów, co zrobisz. Pomyśl, zanim będzie za późno.

Cisza zapadła taka, że słyszałem oddech i jej, i swój, i bicie naszych serc. A może po prostu tak to wyolbrzymiam we wspomnieniach. Natomiast pamiętam dokładnie, że ceremonialnie wyjąłem browninga zza pleców i przytknąłem lufę do jej skroni. W filmach widziałem, jak się odbezpiecza broń, ale sam nigdy tego nie robiłem. Tak czy inaczej, myślałem sobie, mogę po prostu pociągnąć za spust. Wszystkie moje myśli skupiały się na takich technicznych detalach, na praktycznych trudnościach.

Choć niczego nie czułem, zdałem sobie sprawę, że jakaś kropla – łza, a może zimny pot – ścieka mi po twarzy.

– Wszystko jest już przemyślane – odpowiedziałem. – I postanowione. Zmarli nie czują. Więc mogę zapewnić, że mnie to bardziej zabolę niż panią.

Zamknąłem oczy, żeby wystrzelić. Wyobraziłem sobie eksplozję ciskającą na ścianę krew i mózg, czerwoną plamę na szarym murze, i nie chciałem na to patrzeć. Ale kiedy miałem już pociągnąć za spust, poczułem, że na moim ramieniu coś się zaciska z wielką siłą.

I gwałtownie mnie szarpie.

– Tego możesz być pewien – usłyszałem słowa nauczycielki.

Otworzyłem oczy.

Tym czymś, co się zaciskało na moim ramieniu, była dłoń Pringlin. Jej paznokcie wbijały mi się w skórę jak pijawki.

W drugiej ręce trzymała kawałek szkła, którym rozcięła więzy, a teraz rozharatała mi ramię. Krew popłynęła powoli, zalewając całą moją rękę. Nie była wcale czerwona. Raczej czarna.

W kilka sekund to ona trzymała pistolet, a ja wlokłem się po podłodze. Doczołgałem się w kąt, a kiedy dalej nie mogłem, odwróciłem się. Szła w moją stronę. A ja starałem się osłonić krwawiącą dłonią twarz.

# Manu

Ale emocje, stary.

Siedzieliśmy wszyscy na podłodze i paliliśmy bez słowa.

Mnie już tylko zależało na tym, żeby ta chryja skończyła się jak najszybciej. Nie chciałem już spotkać się z ojcem, dowodzić ani torturować Pringlin. Chciałem tylko jak najszybciej wyjść z tej piwnicy i nie wracać tam nigdy.

Moco przejął władzę. Napuszył się i porozpinał sobie guziki od koszuli, jakby miał owłosioną klatę do pokazywania. Pryszczki na twarzy błyszczały mu jak czerwone lampki w oknie burdelu. Odezwał się:

– Kiedy ta baba kopnie w kalendarz, wszyscy będziemy w to umoczeni. Kapujecie? Trzeba będzie się postarać i dobrze ukryć ciało. I wszystkiego się wypierać.

– Nie mów mi, co mam robić, cholera... – warknąłem w ostatnim zrywie, żeby wykazać się jakąś władczością.

Moco strzelił mnie w policzek. Najdziwniejsze, że w ogóle nie zareagowałem. Nie miałem na to sił. Powiedział:

– Ty dość długo mówiłeś mi, co mam robić. I wszystko zawaliłeś. Teraz ja tu rozkazuję.

Zamierzał walnąć mnie jeszcze raz, ale Beto złapał go za rękę.

– Zostaw!

– Ooo! – zakpił Moco. – A któż to staje w obronie. Miss wiosny! Teraz potrzebujesz, żeby cię panienki broniły, wodzu?

– Idiota jesteś, Moco.

Słabo się broniłem, ale na więcej nie było mnie stać. A Moco wyczuł moją słabość jak pies myśliwski:



– Bo ty jesteś pedzio, Manu, ciota jak się patrzy. Jak on całuje? Lepiej niż kobieta? A w łóżku dobrze się sprawuje? Lepiej niż mężczyzna? Pewnie oglądaliście razem ten filmik, co mu sprzedałem, fajnie się przy nim bawiliście w łóżeczku.

– Jesteś chory – wkurzył się Beto. – Zostaw go w spokoju, debilu.

I wtedy ja też się wkurzyłem. Ale nie na Moco. Najbardziej bolało nie to, co mówi, tylko to, że miał rację. Więc zaatakowałem tę jedyną osobę, którą byłem w stanie skrzywdzić:

– Sam się umiem bronić, pedale jeden! – szczerknąłem na Beto. – Odwal się ode mnie!

Moco tylko czekał na taką scenę. Sprowokował ją. I wykorzystał.

– O jeeju! Małżeńska sprzeczka! Będziecie się drapać czy gryźć?

– Pokażę ci, jak się biją panienki, gnoju – wybuchnął Beto i rzucił się na Moco z gołymi pięściami.

Nikt by nie pomyślał, że Beto jest w stanie komuś przyłożyć. Choćby się zesrał. Ale w tamtej chwili wezbrała w nim cała wściekłość. Złapał Moco za fraki i rzucił nim o stół. Potem go uniósł i sprzedał mu dwa ciosy pięścią w twarz. Jego uderzenia były precyzyjne, krótkie, jak u doświadczonego boksera. Żadnego tam historycznego machania łapami, o co byśmy go podejrzewali. Tak mu przyłożył, że Moco poleciał do piwnicy. A Beto, w co jeszcze trudniej uwierzyć, za nim.

Ja nie wstawałem z dywanu. Dla mnie to wszystko działo się bardzo daleko, na innej planecie, takiej, na którą nie zamierzałem się wybierać.

Pięć minut później usłyszałem hałas z piwnicy.

# Moco

Kurde, ale ten Beto bił! A niby taka baba!

Dwa strzały i z nosa leciała mi krew, a pod okiem śliwa. Próbowałem się odgryźć, ale znowu dostałem. Musiałem pobiec do piwnicy do Carlosa po pomoc. A uciekać przed ciotą to wstyd, tak jakby być ciotą jeszcze bardziej.

Jak Robin Williams w *Klatce dla ptaków*.

Albo Tom Hanks w *Filadelfii*.

Ciota do potęgi po prostu. Nawet zacząłem wrzeszczeć jak baba, zbiegając schodami do piwnicy:

– Carlos, pomocy, Carlos!

Ale długo się tak nie darłem. Bo to, co zobaczyłem, po prostu mnie zatkało.

Był tam Carlos. I ta krowa.

Tyle że nie tak jak powinni. Raczej na odwrót.

Ona, cała zakrwawiona, stała z browningiem w ręce i celowała w Carlosa kulącego się z przerażeniem w kącie.

– Ale co tu, kur...?

Za mną zjawił się Beto, którego też zamurowało, zatrzymał się dwa stopnie nade mną. Pringlinowa odwróciła się w naszą stronę, razem z lufą browninga. Uśmiechała się, ale twarz miała taką, że bardziej wyglądała na mordę zombi.

– Witajcie, chłopcy! Może chcecie dołączyć do kolegi. – Przestała się uśmiechać, rozkazującym tonem rzucając: – Ani słowa i na dół mi tu.

Podnieśliśmy ręce. Nie kazała nam, ale to był odruch, może dlatego, że w filmach zawsze tak robią. Zeszliśmy powolutku,

stopień po stopniu. Pierwszy raz od wielu dni zależało nam na tym, żeby sprawy toczyły się jak na zwolnionym filmie. Przywierając plecami do ściany, szliśmy, nie spuszczać wzroku z pistoletu, aż w końcu dołączyliśmy do Carlosa w jego kącie.

– Panno Pringlin – odezwał się Beto – proszę się opanować. Niech pani nie robi niczego, czego potem można żałować.

Oczy Pringlinowej błyszczały jakoś tak chorobliwie. A jeśli ja coś takiego mówię, to naprawdę musiało być z nią niedobrze. Zaśmiała się.

– Żałować? Jeśli wy mi coś zrobicie, to będzie zabójstwo, ale jeśli ja coś zrobię wam, to w obronie własnej.

– Kurwa – rzucił Carlos.

Drżał. Dopiero teraz zauważyłem, że całą rękę miał we krwi, jakby ją wsadził do wiadra z farbą.

Ja też drżałem. Musieliśmy wyglądać jak zmokłe i przerażone kury. Jeszcze pięć minut wcześniej byliśmy jastrzębiami.

– Gdzie moja córka? – zapytała, nie podnosząc głosu.

Przyszło mi do głowy, żeby powiedzieć, że trzymamy ją w bezpiecznym miejscu. Tak moglibyśmy ponegocjować, nie? To się nazywa bluff, częsty motyw w filmach. Wymienilibyśmy ją za nas samych. Zakładników się wymienia, jak karty czy figurki do kolekcjonowania. Tyle że ten kretyn Carlos wyskoczył przed szereg.

– Wszystko z nią dobrze! – krzyknął, niby o nic nie prosząc, ale jednak błagalnym tonem. – Jest u wujka Ronalda.

Dzięki, bałwanie, pomyślałem.

Pringlin przesuwiała broń, mierząc naprzemiennie w Carlosa, w Beto albo we mnie. Wyglądało to, jakby bawiła się w wyliczankę: „ene, due, rike, fake...”. Po nodze pociekła mi stróżka moczu. Podobno w takich chwilach przed oczami przebiega ci całe życie. To nieprawda. W rzeczywistości po prostu zdajesz sobie sprawę, że wcale nie jesteś odważny. Od wielu dni, tygodni strugasza twardego,

a jesteś miękki jak gumowa kaczuśka. A może po prostu żyłem jeszcze za krótko.

– Wy jesteście zdolni do wszystkiego – powiedziała. – Udowodniliście to. Nie pozwolę wam stąd wyjść.

Z miejsca, w którym stałem, lufa pistoletu wydawała się bardzo głęboka, zupełnie jak piekło. A na jej końcu majaczyła rana, którą zadałem tej babie. Czułem, że będę pierwszy. Wyobraziłem sobie, że pewnie najpierw zobaczę światło, a potem wszystko się skończy.

Zastanawiałem się, kto się zajmie moim tatą.

Kto będzie razem z nim wspominał te nasze tańce z matką.

Straciłem już twoją matkę. A teraz stracę ciebie.

Oj, tato. Nawet nie wiesz, jak bardzo miałaś rację.

W wyobraźni znów pogłaskałem go po tych jego rozczochranych i tłustawych włosach i zaniósłem mu śniadanie i hepabiontę na kaca. Wróciły imprezy z matką, gdy hałasowali do trzeciej nad ranem i nie dawali mi spać. Wrócił jej piwny oddech, kiedy próbowała wciągnąć mnie do zabawy, i ten zapach jej lekarstw już w łóżku, w domu. Starłem się być posłuszny i zająłem się tatą. Mogę przynajmniej powiedzieć, że do końca przy nim byłem.

– Nie robi pani tego.

Zaczepty Beto przerwał moje myśli. Być może to wszystko, co dotąd zrobiliśmy, było jednym wielkim kretyństwem, ale na coś się przydało: z Beto zrobił się mężczyzna.

– Chcesz się przekonać? – odparowała nauczycielka.

Ja miałem na kroczu ciemną plamę, która ciągle się powiększała. Carlos zwinął się w kącie w kłębek. Beto pod wpływem paniki drapał w ścianę. Lufa przesuwiała się w powietrzu, wahanie trwało kilka sekund.

Wreszcie wybrała mnie.

Miałem jakąś nadzieję, że jednak zacznie od Carlosa. Ze względu na córkę i tak dalej. Ale ja ją biłem i opowiadałem jej o filmach *snuff*, więc to pewnie przechyliło szalę na moją stronę.

- Chłopcy - oznajmiła tuż przed wystrzeleniem - zrobiłam, co w mojej mocy, żeby nie znaleźć się w tym punkcie.  
I pociągnęła za spust.

# Beto

Rozległ się tylko suchy trzask.

Klik.

– Ale...?

Pringlin znów pociągnęła. Raz i drugi.

Za każdym razem z tym samym efektem: klik, klik, klik.

Otworzyła oczy szeroko jak spodki i popatrzyła na nas, jakby oczekując, że jej pomożemy.

– A, cholera – mruknęła.

My popatrzyliśmy w lufę. I popatrzyliśmy na nią. I na siebie. I dopiero potem zaczęliśmy znów oddychać. Najpierw myślałem o swojej rodzinie. Nawet o ojcu. Nagle nie wydawał mi się już aż tak straszny. W krótką chwilę i niczego tak naprawdę nie robiąc, stał się człowiekiem z wadami, ale generalnie dobrym, z którym chętnie dalej bym mieszkał. Teraz jednak nowe myśli wyparły tamte.

– Teraz rozumiem, dlaczego ojciec Manu zostawił tę broń w domu – stwierdziłem.

Ona dalej stała, sparaliżowana, z bronią w ręku, jak posąg jakiegoś bohatera, a z naszych szczeniackich piersi wydostał się długi oddech ulgi. Mięśnie się rozluźniły. Szczęki przestały się zaciskać. A kiedy udało nam się pozbierać i normalnie oddychać, przypomniało mi się, po co tu zeszliśmy.

A Moco wydał z siebie okrzyk bojowy:

– Ty stara dziwko! No, teraz to masz przejebane!

## Carlos

Potem to wyglądało, jakby stado psów rzuciło się na lisa, a raczej lisicę. Całą trójką skoczyliśmy na nią z wrzaskiem, a ona przyjęła nas, waląc na oślep kolbą. Moco dostał w brzuch. Beto w twarz. Ja miałem całe ramię we krwi, więc byłem wolniejszy, ale próbowałem złapać ją za nogi i dostałem kopa w nos.

Choć wycieńczona i wymizerowana, ta kobieta wciąż miała w sobie sporo siły.

Kiedy łapaliśmy oddech, Pringlinowa obróciła się na pięcie i pobiegła schodami do góry. My rzuciliśmy za nią:

– Stara krowa!

– Nie uciekniesz!

– Wracaj, jak masz jaja! – ten ostatni okrzyk Moco zabrzmiał dość nedorzeczenie, ale ani on, ani żaden z nas nie zachowywał się w tej chwili zbyt racjonalnie.

W każdym razie nie popędziliśmy za nią. Na swój sposób, myślę, to nie był taki zły koniec: ona ucieka i ratuje nas przed koniecznością zabicia jej. My wszyscy do poprawczaka, ale nie na bardzo długo. Wtedy o tym nie myślałem, jasne, ale doskonale wiedziałem, że jestem już zbyt wykończony, nawet żeby leżać za nią po tych schodach. Nasze krzyki nie były tylko groźbami. Były także oznaką wyzwolenia.

Ale jeszcze nie byliśmy wolni.

Jeszcze został jeden z nas.

## Manu

Darli się jak potłuczoni, facet. Jak stare baby. Wszyscy nagle w jednej chwili. Przez moment sądziłem, że ją zabili i że teraz się cieszą, jak trzy nawiedzone małpy, a ja ostatecznie byłem jedynym, który nie wziął w tym udziału.

Ale żaden strzał nie padł. Poza tym to nie brzmiało jak okrzyki triumfu. Raczej jak wrzaski złości, oznaczające pot i kłopoty. Cholernie wielkie kłopoty.

Wstałem, żeby zobaczyć, co jest grane. Nawet nie podbiegłem. Dziwne, ale miałem takie wrażenie, jakby to, co się tam wyprawia w piwnicy, nie miało już ze mną związku. Odpadłem. Przygastłem. Niechętnie, z irytacją, kopnąłem fest te drzwi do piwnicy, żeby się otworzyły.

A tam po drugiej stronie stała ta kobieta. Na wprost, przede mną. Robiła jakieś miny i machała rękami. Zamierzała się na mnie rzucić.

Była jak jakaś zjawa, kurde.

W pierwszym odruchu złapałem za broń za paskiem. Ale browninga już tam nie było. Choć i tak nie dałbym rady dłużej walczyć. Wszystko było stracone. Jeśli Pringlinowa będzie chciała dzwonić na policję albo do mojej matki, wszystko jedno. Może mnie staranować, jeśli chce.

Nie chciała.

Tak naprawdę ta baba wcale nie próbowała się na mnie rzucić.

Wszystko było jeszcze bardziej idiotyczne.

Po prostu drzwi walnęły ją w twarz. Ona wbiegała po stopniach i teraz straciła równowagę. Schody nie miały poręczy. Nie było za co się złapać.



To wszystko rozegrało się w parę sekund, stary, może nawet ułamek sekundy. Tam na dole pod schodami byli moi kumple, leżeli na podłodze i patrzyli na nas. A tuż przed moim nosem Pringlinowa wykonywała coś w rodzaju szalonego tańca, żeby utrzymać równowagę.

Najpierw straciła grunt pod jedną nogą. Potem przechyliła się w bok, głowę miała coraz niżej. Drugą nogą poszła w ślady pierwszej. Tuż przed upadkiem wyciągnęła do mnie ręce, a najdziwniejsze jest to, że ja zareagowałem: też wyciągnąłem ręce w jej stronę, bez namysłu, odruchowo.

Ale nie sięgnąłem.

I nagle już jej tam nie było.

I potem rozległ się ten dźwięk.

Chrup.

# Moco

Tysiące razy się widziało w filmach, jak ktoś umiera.

Tyle że prawdziwa śmierć wygląda jak na jakimś tandetnym, tanim filmie w reżyserii Eda Wooda.

Te schody w sumie wcale nie były takie wysokie. No, ale ona poleciała na głowę.

Karkiem walnęła w kant skrzynki z narzędziami. I wszystko to trwało pół sekundy.

Potem jej ciało rozłożyło się w dziwacznej pozycji, plecy miała wygięte w łuk. Gdyby to był plan filmowy, to ktoś by powiedział:

– Cięcie. Powtarzamy.

Jeśli chodzi o nas, to nikt nic nie mówił. Baliśmy się, że zaraz wstanie i dalej będzie walczyć, jak Terminator. Nic takiego się jednak nie stało. Pringlin leżała tam, gdzie upadła. Miała wciąż otwarte oczy, z których wcale nie zniknęła nienawiść. Tym razem skamieniała, jakby w niej wszystko zamarzło.

Manu popatrzył na nas wystraszony. Wyglądało to tak, jakby na oczach wszystkich coś przeszkrobał i teraz chciał się tego wyprzeć. Ale nie dało się udawać, że nie ma tam tego nieruchomego ciała o szklistym spojrzeniu i z czerwoną kałużą wyciekającą spod głowy.

Moi koledzy zaczęli dygotać.

– Czy ona...? – zapytał Beto, ale nie był w stanie dokończyć zdania.

Ja tak naprawdę czułem tylko ogromne rozczarowanie.

Tyle się musiałem z nimi naszarpać, żeby objąć dowództwo grupy, a potem przychodzi mi ten dupek Manu i ot tak zabija Pringlinową.

## Beto

On jej nie zabił. To był wypadek. A to dwie zupełnie różne sprawy.

Zabójstwo jest karane prawem. Wypadki nie. Zabójstwo sprawia, że czujesz się winny. Wypadek to nie twoja wina. To tylko kwestia pecha.

– Nie powinniśmy jej zabrać do szpitala? – zapytał Carlos.

Plama krwi wokół głowy panny Pringlin robiła się coraz większa.

– To już niepotrzebne – stwierdził Moco.

Nie wiem, ile godzin przesiedzieliśmy tam na schodach, we czterech, wpatrując się w nasze dzieło. Powinniśmy się cieszyć, tak sędzę, ale jakoś nikt nie wykazywał specjalnego entuzjazmu. Podejrzewam, że do pewnego stopnia czekaliśmy, że Pringlinowa nagle wstanie i znów zacznie nam wygrażać. W każdym razie to był scenariusz, który mieliśmy oswojony, i wiedzieliśmy, jak reagować. Natomiast teraz wylądowaliśmy na polu minowym i to bez żadnej mapy.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Carlos stwierdził:

– No to co robimy? Nie możemy tu siedzieć bez końca.

Przytaknąłem.

– Nasze rodziny już nas pewnie szukają. Tym razem nie mamy przygotowanej żadnej wymówki. Starzy będą wariować.

Potrzebowaliśmy kogoś, kto będzie umiał nami pokierować. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę Manu. Czując, że wymagamy od niego reakcji, nabrał głęboko powietrza, odchrząknął i zaczął robić to, czego wszyscy oczekiwaliśmy: wydawać rozkazy.

– Po pierwsze, każdy musi sobie obmyć twarz. I opatrzyć rany. Moco, poszukaj alkoholu i plastrów w apteczce w łazience. Jak stąd

wyjdziemy, nie powinniśmy wyglądać, jakbyśmy wpadli do wąwozu.

– Tak jest – odpowiedział Moco.

– Carlos – ciągnął Manu – ty wysprzątaj piwnicę. Moco – salon. Beto – rzuć okiem na piętro. Tylko migiem. A wszystko, co jest zniszczone, do śmieci.

– Pełno tego – zauważył Carlos.

– No to powsadzajcie to do worków, a potem wyniesiemy na ulicę. Śmieciarka przejeżdża tędy o drugiej w nocy. Zgarnie wszystko.

– Jasne.

– Beto – mówił dalej i to była chwila, na którą czekałem – przynieś z pokoju Pringlin gruby koc. Albo lepiej kołdrę puchową. Posprzątam tu i spakujemy jej zwłoki. Ja ci pomogę.

Manu znów był taki, jakiego kochaliśmy – był przywódcą.

Wszyscy ludzie potrzebują jakiegoś przewodnika, tak mi się wydaje. Kogoś, kto będzie myślał w trudnych chwilach. Kogoś, kto pokaże, jak zetrzeć wszystkie powierzchnie, zmyć plamy krwi, schować obciążające dowody i zatrzeć ślady. Kogoś, kto ustali, w jakiej kolejności mają wziąć prysznic podejrzani. Przez kilka następnych godzin zachowywaliśmy się jak doskonale skoordynowany oddział wojskowy. Nasze kłótnie, różnice zdań i konflikty rozplynęły się w atmosferze zdrowej rywalizacji i współpracy. Nasze sprzeczki należały do przeszłości.

Potem, kiedy pakowaliśmy ciało i usuwaliśmy ślady, a także jeszcze później, kiedy zbieraliśmy kawałki butelki i taśmy klejącej, Manu w ogóle nie nawiązywał do tego, co się wydarzyło, prawie nie patrzył mi w oczy. Ale byliśmy tam razem. O ile go znałem, na więcej nie było co liczyć.

O północy znów wyłączono prąd.

To było najlepsze, co mogło się nam przydarzyć.

Kiedy przejechała już śmieciarka, poszliśmy z Moco do jego domu i wzięliśmy samochód. Nasze reflektory były jedynymi światłami na drodze. Choć słyszeliśmy syreny radiowozów gdzieś za Benavides.

Ojciec Moco spał, co zresztą robił chyba przez wszystkie dni w trakcie naszej przygody i w ogóle swojego życia. Moco powiedział mi, że samochód należy do mojego starszego brata, który dał mi go w prezencie, bo kupił sobie nowy. Najprawdopodobniej jego ojciec nawet nie słuchał tych wszystkich wyjaśnień.

Pod ochroną ciemności wywieźliśmy Pringlinową na piaski, na pas oddzielający nasze terytorium od dzielnic biedy po drugiej stronie wzgórza. Na tej ziemi niczyjej wyciągnęliśmy ją z auta i wyrzuciliśmy na piach. Kiedy ją wypakowywaliśmy, była już sztywna (nie myślałem, że zeszywnienie pośmiertne przychodzi tak szybko). Ciężko ją było przemieszczać, ale Moco upierał się, żeby ją trochę poprzeciągać po ziemi, żeby to wyglądało tak, jakby walczyła. Próbowaliśmy ją zakopać. Kompletna katastrofa. Nie mieliśmy łopat, a piasek był za sypki. Ciągle nam jakaś kończyna wystawała na zewnątrz. W końcu Manu stwierdził:

– Cholera. Pakujemy ją z powrotem do auta i zabieramy się stąd.

Posłuchaliśmy. Ale nie poszliśmy od razu.

Przez jakieś dziesięć minut staliśmy bez słowa nad jej ciałem. Żegnając się z nią w milczeniu, patrzyliśmy na światła miasta: u naszych stóp rozciągał się gigantyczny elektryczny pająk, tyle że przez odcięcia prądu gdzieś tam widniały na nim ciemne plamy, jak ukąszenia owadów.

– Ładnie, co? – rzuciłem do nikogo w szczególności.

– Całkiem nieźle – przyznał Manu.

Już się zbieraliśmy, kiedy Carlos schylił się i podniósł coś z piasku:

– Patrzcie – powiedział, dzierżąc to jak jakieś trofeum – szpilka.

## 5. Piękny film

### Carlos

Czasami jeszcze śni mi się tamta noc. Przede wszystkim krew.

Krew panny Pringlin była jaśniejsza od mojej, taka błyszcząca i lepka czerwień. Wytarcie jej z podłogi kosztowało mnie masę pracy. I przez kilka dni czułem, że mnie pieką ręce, taka jakby wysypka prawie. Jakbym nie ciecz wycierał, tylko mnie jakieś pająki pokąsały.

Mama z tatą dali mi szlaban na tydzień za to, że znikam na pół nocy i wracam pokiereszowany. Rana na nadgarstku mocno krwawiła, prawie mnie zabrali do szpitala. Wyjaśniłem, że wpakowaliśmy się w bijatykę z gośćmi z innej dzielnicy, i wtedy kara została przedłużona do dwóch tygodni. Między innymi miałem zakaz widywania się z Pamelą. I z wszystkimi innymi istotami ludzkimi.

Lewicowi rodzice, wiadomo. Możesz uprawiać seks, upijać się i chodzić na antyrządowe demonstracje. Ale kiedy ktoś ci spuści łanie, to musisz odpokutować.

Przez trzy dni kolacje jadaliśmy bez słowa i przed telewizorem, prawie na siebie nie patrząc. Czasami rodzice szeptali i chichotali między sobą, ale zaraz się starali pohamować ze względu na moją obecność. Można by pomyśleć, że to oni są dziećmi, a ja nauczycielem.

Nocami słyszałem, jak uprawiają seks. Prawdę powiedziawszy, tęskniłem za czasami, kiedy mama płakała w samotności.

Podczas jednej z takich kolacji, kiedy oglądaliśmy wiadomości – więcej bomb, więcej porwań, więcej zabitych i do tego wypadki drogowe – na ekranie pojawiła się panna Pringlin, wbijając w nas oskarżycielskie spojrzenie.

Prawie tam zszedłem na zawał. Wydawało mi się, że jest żywa i że zaraz obwieści całemu światu, co zrobiliśmy.

Ale to było tylko zdjęcie.

Następne ujęcie w wiadomościach pokazywało samochód, w którym znaleziono ciało. Na boku auta widniał czarny napis SUKA.

Mama upuściła widelec.

– Co się stało? – zapytała.

Lektorka wiadomości wyjaśniła nam:

– Przemoc miejska narasta i wdziera się do coraz to nowszych części miasta. Dziś policja znalazła ciało ze śladami przemocy w porzuconym samochodzie w rejonie wzgórz Las Casuarinas. Zmarła, zidentyfikowana jako Violeta María Pringlin Dulanto, tydzień temu opuściła wraz z partnerem miejsce zamieszkania. Na podstawie rysopisu podanego przez córkę policja poszukuje brodatego mężczyzny rasy białej, mniej więcej pięćdziesięcioletniego, posługującego się imieniem Ramón.

Na ekranie zamajaczył portret pamięciowy. Faktycznie, miał brodę i był trochę postarzały, ale wątpliwości nie było: to Jon Bon Jovi.

I wtedy pojawiła się Pamela z twarzą pooraną łzami. Oddzielona ode mnie szklanym ekranem wydawała się odleglejsza i piękniejsza niż kiedykolwiek. Miałem ochotę ją przytulić. Tyle że to było niemożliwe.

Na zdjęciach widać było wujka Ronalda, który trzymał ją za rękę, a wokoło tłoczyli się dziennikarze, wszystko to przed wejściem do komisariatu. Mówiła:

– Nie mogę uwierzyć, że zrobił jej coś takiego. Widziałam tego człowieka najwyżej dwa razy. Ale źle się odnosił do mamy. Bił ją. Wyzywał i to nawet przy mnie. A teraz zabrał mi ją na zawsze!

Dziennikarz dociekał:

– Jakie informacje podałaś policji, żeby mogła namierzyć zabójcę? Jak możemy rozpoznać tego degenerata, jeśli zobaczymy go na ulicy?

Pamela nie odpowiedziała. Poczerwieniała, napuchła i krzyknęła:

– Ramón, oddaj mi moją mamę!

A potem dostała czegoś, co wyglądało na atak nerwowy.

Tak samo było podczas wszystkich policyjnych przesłuchań. Była zbyt poruszona, żeby udzielać wiarygodnych i spójnych informacji. Zdaniem telewizyjnych psychologów to normalne.

W następny poniedziałek podczas apelu, po odśpiewaniu hymnu państwowego i szkolnego, dyrektor wygłosił kilka słów o panie Pringlin. Po tym wszystkim, co widziałem i słyszałem, nazywanie jej „panną” brzmiało jak sarkazm. No, ale tak się mówiło do nauczycielek. Adwokatów tytułuje się doktorami. Nauczycielki – pannami. Zwłaszcza kiedy chce się je pochwalić.

– Panna Pringlin zawsze była filarem kształcenia naszej szkoły – perorował dyrektor, a koloratka o mało nie eksplodowała mu z emocji – wzorem dyscypliny, jaką każdy młody człowiek musi nabyć i stosować; była duchem oddana kształceniu takich ludzi, jakich potrzeba naszemu krajowi w przyszłości...

Moco nie zdołał pohamować chichotu, który ksiądz zgasił wściekłym spojrzeniem. Nikt nie wspominał, jak zmarła panna Pringlin, nie odniesiono się do jej złowieszczonego faceta ani pomalowanego samochodu. Sądząc po słowach dyrektora, można by pomyśleć, że zmarła na zapalenie płuc.

Kiedy już byliśmy w klasie, przyszedł psycholog szkolny. Powiedział, że się nami zaopiekuje i żeby każdy, kto chciałby porozmawiać o tym, co się stało, bez wahania odwiedził go w gabinecie. Zapytał, czy ktoś ma coś do powiedzenia, ale nikt się



nie odważył. Chłopaki z dalszych ławek rysowały nagie kobiety. Choć ten jeden raz nie byliśmy to my.

Innego dnia w tamtym tygodniu do naszej klasy przyszedł też dyrektor. Towarzyszył mu niechlujny mężczyzna z kiepsko zawiązanym krawatem i szpakowatymi, przetłuszczonymi włosami. Obaj podeszli do psychologa i wymienili z nim półgłosem parę zdań pod tablicą, rzucając w naszą stronę ukradkowe spojrzenia.

– Ten typek to gliniarz – stwierdził Manu. – Ojciec mnie nauczył, jak ich rozpoznawać.

– I jak to robisz? – zapytał Carlos.

– Jeśli wyglądają na debili, to gliniarze.

– To nie może być policjant – oświadczył Moco i dodał jeszcze zdanie z pewnością zaczerpnięte z jakiegoś filmu: – Nic na nas nie mają.

Dyrektor odczekał, aż się uciszymy, i zabrał głos:

– Proszę o uwagę: do mojego gabinetu ma się udać czterech uczniów.

Wstaliśmy, jeszcze zanim usłyszeliśmy nasze nazwiska.

## Manu

– Wiesz, co w tym jest zabawnego, Manito?

Ten debilny gliniarz nazywał mnie „Manito”. Jakby był moim przyjacielem przez całe życie. Nawet matka nie odważała się tak do mnie mówić. Ojciec miał rację, że tak pogardzał policją.

– Nie. Co w tym zabawnego?

Kazali naszej czwórce stanąć przed gabinetem dyrektora. Ale wchodziliśmy pojedynczo. A tam w środku siedział policjant i przemawiał do nas z bardzo bliska. Zalaływało mu z ust, ale podejrzewam, że to było celowe, chciał nas gnojek wyprowadzić z równowagi.

– Wiesz, jak jest, Manito. Moja praca polega na zadawaniu pytań. Pytam wszystkich o różne rzeczy, takie drobiazgi pomocne w rozwiązywaniu zagadek. A kiedy pytam, z kim nieboszczka miała na pieńku, wszyscy mi podają twoje imię. Wszyscy.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego.

Policjant – kazał nazywać się porucznikiem, ale to nie był żaden porucznik, tylko żołnierz może mieć naprawdę taki stopień – upił łyk swojej wodnistej kawy. Jej woń wzbogaciła jego nieświeży oddech. To musiały być świadomie stosowane techniki tortur. Potem odchrząknął i przeczytał z kartki.

– Czy to faktycznie ty byłeś ostatnim uczniem, którego ukarała nauczycielka, Manito?

– To też mnie nie śmieszy.

– Czy to prawda, że namówiłeś kolegów, żeby ją wyzywali przed całą szkołą?

– To przecież oni zrobili, nie?

Facet cmoknął. Jedno rzeczywiście mu się udało: nie umiałem spojrzeć mu w oczy. Na początku rozmowy patrzyłem na niego bez ceregieli. Ale im dłużej gadał, tym trudniej było mi znieść jego wzrok. To było tak, jakbym znów oglądał pannę Pringlin, odrodzoną za sprawą boskiej kary w postaci tego obsypanego łupieżem niechluja.

– Manito, a może byś mi tak trochę pomógł? Opłaci ci się. Co?

– Nie nazywam się Manito, pieprzony brudasie.

Wolałbym połknąć z powrotem te ostatnie słowa. Najwyraźniej nie panowałem już nad żadną częścią ciała. Facet zapalił papierosa marki Hamilton. Siedział tam w gabinecie dyrektora, jakby był u siebie w domu, i palił jak smok.

– Może papieroska? – zaproponował. – Bo palisz, nie?

Opuściłem głowę, tak że aż oparłem brodę o pierś. Przypomniało mi się zasłyszane w telewizji zdanie: „Wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie”. Naprawdę śledczy mówią takie coś? W Peru też? Raczej wątpię. U nas nie było nawet adidasów z importu, to po co mielibyśmy importować takie zdania?

– A może czymś się szprycujesz, Manito? – Nie odpuszczał. – Zapodajesz sobie kokę? Palisz zioło? Może poppersy? Ty mi wyglądasz na kogoś, kto lubi poppersy, takie dragi dla panienek, które czuć pastą do butów. Powiedz prawdę. W zaufaniu gadamy.

Znów owionął mnie jego oddech. Czuć go było kawą.

– Niczego nie biorę. Niczego nie zrobiłem. Nie lubiliśmy się i tyle. Przecież jej z tego powodu nie zabiłem. Pan to zabija ludzi, jak za nimi nie przepada?

– Zabijać? A dlaczego ty mi tu opowiadasz o zabijaniu? Nie pytałem cię o to.

Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie.

– No bo przecież nie żyje, nie? Policja raczej nie zachodzi do szkoły, żeby sprawdzić, czy ja palę, czy nie.

Facet się zaśmiał. Głośno. Dziwnie to brzmiało. Gdyby psy się śmiały, to właśnie tak.

– Zabolęła cię jej śmierć, Manito?

Wzruszyłem ramionami. Przyszło mi do głowy, że jeśli niczego nie powiem, nie będą mogli mi zaszkodzić. Przypomniało mi się to zdanie Moco: „Nic na nas nie mają”. Cisnęło mi się do głowy pełno takich frazesów. A jak się pojawiała jakaś nieszablonowa myśl, próbowałem jak najszybciej o niej zapomnieć.

– Ech, Manito, Manito. Wiesz, co mi powiedział twój kolega Beto?

Beto. W głowie rozwyły mi się wszystkie syreny alarmowe. Facet pewnie to zauważył. W tym ich w końcu szkoła.

– Nic. Nic panu nie powiedział.

– Skąd ta pewność? Mówiłeś mu, że ma trzymać język za zębami?

Szarpnięcie w żołądku, jakbym miał tam kota. Dostałem gęziej skórki. Oddech mi przyspieszył. Przypomniałem sobie Beto. Od kiedy wezwali nas do gabinetu dyrektora prawie się słowem nie odezwał. Być może coś to oznaczało. Być może już wcześniej gadał z tym gliniarzem i sprzedał nas wszystkich w zamian za swoją wolność. A może... opowiedział mu coś jeszcze innego. To mogło być nawet gorsze.

– Kazałeś mu siedzieć cicho i nie mówić nic o tym, co zrobiliście, Manito?

– N... nie...

– No tak. Dlatego mi powiedział. Dlatego i jeszcze ze strachu, wiesz? On się boi, że ty go możesz wystawić. Więc woli być tym, który wystawi ciebie. Zawsze tak jest.

– A co on powiedział?

Zbyt mocno zabrzmiały te moje słowa. Powtarzałem sobie w głowie, że muszę zachować spokój. Ojciec z pewnością byłby całkowicie opanowany. Wyluzowany. I nie stresując się ani nie przejmując, strzeliłby temu kretynowi w łeb.

Inna sprawa, że mój ojciec też był kretynem. Takim pourazowym.

– Nie denerwuj się, Manito. Jesteśmy przecież kumplami. Tylko sobie rozmawiamy.

Znów się zaśmiał. Teraz zagasił w połowie wypalonego papierosa. W gabinecie nie było popielniczek, więc rozgniół go na spodku od filiżanki. Spowijający go dym przydał mu diabolicznego wyglądu. Znów bardzo blisko przysunął twarz i powiedział cicho:

– Powiem ci, co zrobimy. Nie mogę ci wyjawić, co mi opowiedział Beto. Obiecałem mu. Ale ty opowiedz mi to, co masz do opowiedzenia. Jeśli on ci obrobił dupę, to mu się teraz tym samym odwdzięcz. To się nazywa sprawiedliwość, nie, Manito?

Milczałem. On przeciwnie. Nie przestawał nawijać, dupek jeden. Głowa mi już pękała.

– Może wolisz polecieć sam, Manito?

W powietrzu zawisło takie buczenie jak w słuchawce telefonu, tylko wyższe i głośniejsze. Zaczęło wypełniać mi uszy, głowę, oczy mi pęczniały, jakby miały eksplodować.

– Wiesz, co to jest poprawczak, Manito? Wiesz, jak tam jest?

Nabrzmiały mi żyły. Czuję, jak oparcie trze mi o plecy jak papier ścierny. Chciałem krzyczeć.

– Wiesz, co ci tam robią?

Po policzku pociekła mi łza. W ustach mi zaschło, jakby coś w gardle uwięzło.

– Chcesz iść sam do poprawczaka? Synu, będziesz potrzebował dużo wazeliny na tę swoją białą dupę. Może jednak lepiej zacznij gadać? Może jednak powiedz, co się wydarzyło?

Podniosłem wzrok i znów zmierzyłem się z nim spojrzeniem. Ten typ nawet oczy miał brzydkie, zaczerwienione i z wielkimi worami. Może to dodało mi odwagi i odparowałem:

– Odpierdol się pan, panie policjancie.

# Moco

Widziałem wszystkie filmy. Nie chodzi mi o jakiś konkretny temat. Mam na myśli WSZYSTKIE.

A w latach osiemdziesiątych wcale nie było ich wiele. Wypożyczalnie wideo miały rozmiar szafy. A w telewizji puszczała w kółko to samo, jakby przez cały rok trwał Wielki Tydzień. Tak że widziałem wszystkie filmy, jakie się dało.

Dlatego są trzy rzeczy, w których jestem niepokonany: policyjne przesłuchania, przestępcze pościgi i dialogi z podrywem.

Te dwa ostatnie mają raczej marne szanse na realizację. Człowiek raczej nieczęsto ugania się za bandytami. A dziewczyny nigdy nie odpowiadają tak, jak powinny. Rzucasz jakiś błyskotliwy tekst, coś klasycznego w rodzaju Cary'ego Granta, a one na to: „Co takiego?”. Nawet nie łapią dowcipu. Rzeczywistość jest nudna i pełna głupich rozmów. Ale tego dnia w szkole, twarzą w twarz z gliniarzem, mogłem przynajmniej błysnąć talentem do przesłuchań. Gdyby był przy tym Martin Scorsese, na pewno by mnie zatrudnił.

Tego gościa też by mogli najać, na przykład do roli Freddy'ego z *Koszmaru z ulicy Wiązów*. Albo Jasona z *Piątku, trzynastego*. To był bardzo nieprzyjemny typek i mówię to ja, mam doktorat z tej specjalności. Ale uważał się za spryciarza. I to było zabawne.

– Moco... Tak na ciebie mówią, prawda? – zaczął.

– No...

– Jaki ty jesteś? Rozrabiaka, co? Twardziel?

Zaśmiałem się tylko. Od razu było widać, że gość nie ma pojęcia, co to znaczy być twardzielem. Musiał być takim samym popychadłem jak my. Na kilometr to było czuć. Pewnie został policjantem, żeby dodać sobie odwagi. Mogłem wymienić z dwudziestu bardziej od

niego przekonujących fikcyjnych policjantów i to w samych filmach klasy B.

– Przeszkadzała ci panna Pringlin, co? Chciała cię okiełznać. Chciała zmusić do grzecznego zachowania.

– Normalka. W końcu to nauczycielka.

– Jednak zdecydowanie bardziej wymagająca niż twój ojciec.

Tu się skończyły śmichy-chichy. Długo to zresztą nie trwało.

– Niech pan zostawi mojego ojca w spokoju.

– Biedak. Ma problem z alkoholem i to wszystko jeszcze...

– Niech-pan-zostawi-mojego-ojca-w-spoкою.

– I jeszcze nie masz matki... Stąd się biorą dzieci z problemami, prawda? Handlarze porno, narkomani. Jak ty. Jak twoi kumple.

Oj, nie bawiło mnie to już. Ani trochę.

– Jeśli jeszcze raz wspomni pan moją rodzinę, wyrwę panu jęzor.

– Ajaj! Ostry z ciebie koleś, co? Taki kogucik, Moco. To właśnie zrobiłeś nauczycielce? Zaczęła się czepiać twojej rodziny, więc ją uciszyłeś?

Przez kilka sekund patrzyliśmy sobie prosto w oczy. I nagle wybuchnąłem śmiechem, nie mogłem się opanować.

– A może by pan tak poszukał tego psychopaty, jej narzeczonego? Nie mówiła o nim jego córka? Chyba za nim powinien pan węszyć.

– Tylko że kiedy rozmawiałem z sąsiadami zmarłej, widzieli, że koło jej domu kręciłeś się właśnie ty. Kilka razy. Przez parę dni. Jeden strażnik twierdzi, że chyba nawet widział, jak wchodziłeś. Jak to wytłumaczysz?

– Może tak, że sąsiedzi mają problem z oczami.

– Mylisz się. Opisali cię bardzo precyzyjnie, koleżko. Bo masz bardzo łatwą do zapamiętania twarz, wiesz? Całą w pryszczach.

W porządku. Punkt dla tego ćwoka. Będę się musiał postarać bardziej, niż sądziłem. Ale miałem swoje metody. Jednego nauczyłem się w kinie: jeśli za dużo kłamiesz, to się widzi. Trzeba trzymać się pewnych prawd i obudować je kłamstwem. Jakbyś sobie

zakładał maskę. Utrzyma się tylko wtedy, jeśli pod nią będzie prawdziwa twarz.

– Okej. Wygrał pan. Owszem, byłem tam. Wszyscy tam byliśmy. Pan to przecież wie, prawda? Dlatego nas pan tu wezwał.

– Wrogowie publiczni numer jeden z tej szkoły są widziani w domu jednej z nauczycielek. A potem ona znika. Dziwne, co?

Wrogowie publiczni numer jeden. Strasznie mi się spodobało, że tak nas nazwał. Znów zaczynałem się dobrze bawić. Spuściłem głowę i przybrałem poważny ton.

– To przez Carlosa – bąknąłem.

– Carl...?

– Proszę, niech mu pan nie mówi, że to powiedziałem – jęknąłem błagalnie.

Facet zapalił papierosa i wypuścił wysoko dym. Był przekonany, że wygrał, biedaczysko.

– Co takiego powiedziałeś?

– Carlos chodzi z córką Pringlin. Ta baba go nienawidziła. Musiał spotykać się z Pamelą potajemnie. Czasami, kiedy stara wychodziła, umawiali się u niej w domu. A my mu pomagaliśmy. Od tego się ma przyjaciół, nie? A on jest naprawdę zakochany. Nawet jej nie przeleciał, wie pan? Tylko całowanie i takie tam.

– Całowanie i takie tam...

Policjant zrobił rozczarowaną minę. Może liczył na dosadniejszą scenę. Mógłbym mu skołować jakieś porządne wideo. Wyglądał mi na amatora trójkątów i orgii międzyrasowych. Skąd to wiem? Człowiek się uczy takich rzeczy. To się nazywa „oko fachowca”.

– Zamkniecie nas? – chlipałem. – Zrobiliśmy coś złego?

– No, ja...

– Bardzo pana proszę. Jeśli Carlos się dowie, że to powiedziałem, zabije mnie. To moi jedyni przyjaciele. A to znaczy, że nikomu innemu nie mogę zaufać. Sam pan wie, jaką mam sytuację rodzinną...



Przełknąłem łzy. Pohamowałem ból. Udawałem, że nie udaję tego głębokiego cierpienia, jakie mnie niby ogarnęło.

Ale w sumie nie jestem pewien, czy mój show na coś się przydał. Podejrzewam, że ostatecznie wyszłoby na jedno.

Bo tej samej nocy wybuchła bomba.

## Beto

Do dziś pamiętam ten huk. Nawet u mnie w domu było słyhać. Szyby w oknach zadrżały. Ziemia się zatrzęsła. A ta bomba wybuchła przecież w Miraflores, na ulicy Tarata, kilometry od nas.

Na początku wydawało się, że to bomba jak każda inna. Ale nocą w telewizji zaczęto pokazywać zdjęcia. Rodzice wykrzykujący imiona dzieci na ogromnym gruzowisku. Zakrwawione staruszki wychodzące z rozwalonych budynków. Ogień. Wszędzie ogień. Potem dowiedzieliśmy się więcej. Ciotka mojej matki mieszkała niedaleko, na Alcanfores. Ogłuchła.

Gazety z następnego dnia, 17 lipca, pełne były zdjęć oderwanych głów i rąk rozrzuconych przez falę uderzeniową po ulicy. Pół tony materiałów wybuchowych w dwóch samochodach pośrodku ruchliwej ulicy. Dziesiątki zabitych. Setki rannych.

Myślę, że mieliśmy szczęście.

Moje przesłuchanie z tym policjantem z rana przebiegło koszmarnie. Najwyraźniej wiedział o mnie i o Manu. Czy o czym tam można było wiedzieć. I o tym, co łączyło Carlosa i Pamelę. Ale wszystko wydawało mi się strasznie pomieszane. Nie bardzo rozumiałem, do czego on zmierza. Co insynuuje.

Przez całą tę rozmowę w gabinecie dyrektora ciągle tylko zaprzeczałem i zaprzeczałem. Policjant wiedział, że byliśmy w domu Pringlin. Zaprzeczyłem. Wiedział o naszych problemach z nauczycielką i jej raportach na nasz temat. Nie przyznałem się do niczego. Zmieniłem się w karabin maszynowy strzelający „nie”. Nie, proszę pana. Nie, proszę pana. Nie pamiętam, proszę pana. Za każdym razem, kiedy czemuś przeczyłem, brzmiało to jeszcze

bardziej podejrzanie. I robiłem się też bez wątpienia coraz bledszy. A przynajmniej coraz mocniej przewracało mi się w żołądku.

Oficer powiedział, że moi koledzy przyznali się do różnych rzeczy, ale ja milczałem jak zakłęty. Tylko to przyszło mi do głowy. Kiedy przesłuchanie – czy rozmowa, czy co to tam było – się skończyło, byłem pewien, że zaraz nas wszystkich aresztują. Wyszedłem, poleciałem do łazienki i zwymiotowałem.

A tymczasem po tej nocy, po zamachu, moje problemy nagle stały się drobne i zupełnie bez znaczenia. Ludzie krzyczeli, umierali i krwawili. A ja siedziałem sobie w ciepłym domku i popijałem ciepłe kakałko.

Te parę dni wcześniej, o świcie, kiedy zostawiliśmy Pringlinową tam na wzgórzu, wróciłem do domu późno, pokiereszowany, ze skaleczeniami i strupami na całym ciele. Powiedziałem tacie, że pobiłem się z kolegami ze szkoły, bośmy sobie popili. Bardzo go to uszczęśliwiło i w nagrodę za odwagę dał mi rower. Gdyby mógł, podarowałby mi pewnie rewolwer. Zabrałby mnie na aleję Arequipa, żebym poćwiczył strzelanie do gejów.

Natomiast w dniu zamachu, kiedy oglądaliśmy w telewizji ludzi grzebiących w ruinach swojego życia i strażaków próbujących uratować zasypane dzieci, ojciec mnie objął. Wziął mnie za rękę. I nie puścił aż do chwili, kiedy poszliśmy spać. Kiedy już leżałem w łóżku, porządnie przykryty, ojciec ucałował mnie w czoło i powiedział:

– Kocham cię, synu.

I tamtej nocy poczułem się pewniej niż kiedykolwiek.

## Carlos

Zamach na ulicy Tarata to był dopiero początek długiej ofensywy terrorystów. W tym lipcowym tygodniu 1992 roku miało dojść do kolejnych ataków – bomby, zabójstwa, napady – i w sumie zginęło czterdzieści osób.

Policja nie pojawiła się już w szkole. Teraz mieli inne priorytety. A sprawa Pringlin wydawała się natury prywatnej, zbrodnia w afekcie, normalny, zwykły zabójca psychopata, znacznie mniej niebezpieczny niż ci wszyscy terroryści harujący po mieście.

Po tych katastroficznych tygodniach tata ostatecznie wrócił do domu. Powiedział, że nie może zostawić nas samych w tak niebezpiecznym mieście. Oglądając wiadomości o zamachu, zarzekał się, że nie jest w stanie przestać myśleć o tym, co by było, gdyby któreś z nas przechodziło akurat wtedy tamtą ulicą. Przez to zrozumiał, jak bardzo cierpi, kiedy nas nie ma. Nie kłócił się już więcej z mamą, nie licząc typowych rodzinnych sprzeczek. Wciąż mieszkają razem.

Przez następne miesiące miałem kłopoty ze snem. Budziłem się wystraszony, z myślą, że w każdej chwili może tu wkroczyć policja. Albo jeszcze gorzej – sama Pringlin. Czasami moje koszmary stawały się zbyt realistyczne. I we wszystkich pojawiała się nauczycielka, wrzeszczała na mnie, że mam zostawić jej córkę w spokoju.

Pamela poddała się długiej terapii psychologicznej. Musiała nie tylko zmierzyć się z traumą związaną ze śmiercią matki. Z czasem wyszło, że ma skłonności do depresji. Musiało chodzić o jakieś dziedziczne niedobory chemiczne. Spędzała w łóżku długie okresy, nie chciała wtedy nikogo widzieć, czuła się beznadziejnie.

Na szczęście miała mnie. Nigdy nie zamierzałem jej zostawić. Obiecałem jej to i dotrzymywałem słowa.

Na bal na zakończenie roku oczywiście poszliśmy razem. Choć zgodnie z tradycją powinienem wręczyć jej różę, podarowałem jej orchideę. A ona miała na sobie śliczną sukienkę, aksamitną i fiołkową, co było nawiązaniem do imienia jej matki.

Wtedy, na tym balu, po raz ostatni widziałem Beto. Przyszedł z córką jakiejś koleżanki jego matki, ale on miał lepszą fryzurę niż ta dziewczyna. Manu się nie zjawił. A Moco przyszedł z jakąś nieznajomą, znalazł ją przez pośrednictwo Stowarzyszenia Rodzin Katolickich.

Tamtej nocy nie rozmawialiśmy. Ja w ogóle nie zwracałem na nich uwagi.

W końcu musiałem skupić się na Pameli.

To był pierwszy raz od sześciu miesięcy, kiedy nie miała na sobie nic czarnego.

Może dlatego po tym balu zniknęły moje problemy ze snem.

# Manu

Wolałbym o tym nie mówić. Zwłaszcza przed kamerą.

Kurde, stary, sporo bym dał, żeby to wszystko się nie wydarzyło.

Po zniknięciu policjanta przestałem z tamtymi w ogóle gadać. Zaprzyjaźniłem się z Rayem Barramedą. To był idiota, ale cholera, nie byłem lepszy.

Poza tym to, co zrobiliśmy, na nic się nie przydało.

Ojciec zjawił się u nas w domu dwa razy. Raz, kiedy kończyłem szkołę. A drugi – dziesięć lat później, kiedy rak płuc zabrał mi matkę. Przy obu tych okazjach wyczuwałem duży dystans. Sprawiał wrażenie, jakby z trudem sobie przypominał, kim jestem. Pytał o typowe pierdoły. Czym się zajmujesz. Czy masz dziewczynę.

Pracuję w warsztacie, blacharstwo i malowanie. I miałem żonę, ale na szczęście nasze małżeństwo skończyło się, zanim przyszły dzieci. Nie bardzo bym wiedział, co z nimi począć.

Stary zmarł cztery lata temu, na pogrzebie zjawiły się tamte dzieci i ta druga żona. Ja się dowiedziałem po paru tygodniach, kiedy już było za późno. Od piętnastu lat nie przysyłał pocztówek na Boże Narodzenie.

Próbowałem o tym wszystkim zapomnieć. Zapomnieć, kim byłem. A tu jednego dnia zjawia się Moco i przywraca to całe piekło.

Pojawił się na spotkaniu absolwentów. Zaprosił na piwo. Wyjaśnił, o co mu chodzi.

Rzecz jasna, kazałem mu spadać.

Ale on powiedział, że łatwo może mi zaszkodzić. I mógł, nawet bardzo.

# Moco

To nie szantaż. To tylko nostalgia.

Tej ostatniej nocy w domu Pringlinowej, kiedy poszedłem po alkohol i plastry do apteczki, znalazłem swoją kamerę wideo ósemkę w pokoju Pameli. Nagrała się cała jej rozmowa z Carlosem, że o bzykaniu nie wspomnę.

Poza tym mam też nagrania z naszej imprezki w salonie, zdjęcia samochodu Pringlinowej w moim domu, a nawet ukradkowe ujęcia ze zwłokami tej baby, kiedy tamci ją pakowali i sprząтали podłogę.

Nie chcę nikomu zaszkodzić. I nawet nie jestem w stanie. Nie wrzucę tego na YouTube'a ani nic takiego. A nawet gdybym to zrobił, to sprawa musi być już mocno przedawniona.

Ale czasami, kiedy jestem sam – a ja ZAWSZE jestem sam, tak było i będzie – oglądam sobie te obrazy. Taką sobie zostawiłem małą przyjemność. Życie jest nudne, ale ja mam nagrany – a teraz zgrany na nośnik cyfrowy – najlepszy moment, jaki dane mi było przeżyć, kiedy moje życie stało się na chwilę jak film.

Wciąż chadzam na spotkania absolwentów, gdzie wszyscy opowiadają o swoich seksualnych debiutach i pokazują zdjęcia dzieci. Ja nie mam wiele do opowiadania. Najlepsza rzecz w mojej historii jest tajemnicą, którą mogę oglądać tylko w domu, w kawałkach i za spuszczoneymi zasłonami.

Teraz chcę móc oglądać cały film, tak jak go pamiętają jego bohaterowie. Mam wrażenie, że chłopaki zapomniali, jaką ja w tym wszystkim odegrałem rolę. To ja pierwszy wycelowałem z pistoletu w Pringlinową. To ja byłem przywódcą przez znaczną część tych wydarzeń. I to powinno gdzieś zostać zapisane.

Nikomui nie pokażę tej naszej historii. Chcę ją mieć tylko dla siebie.

Ale jeśli reszta nie będzie chciała współpracować, mogę innym ludziom pokazać to, co mam na starych nagraniach wideo. Wrzucę to na YouTube'a. I tak czy inaczej będę miał ten swój film. Tyle że ja bym chciał, żeby taki piękny wyszedł.

No dobra, może to i faktycznie jest szantaż. Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci.



# Beto

Już?

...

...

...

Skończyliśmy?

...

...

...

Już?

# Carlos

Czy chcę coś dodać?

Jedną tylko rzecz.

Jesteśmy z Pamelą szczęśliwym małżeństwem. Wciąż bardzo wiele nas łączy. Zupełnie jakbyśmy się dla siebie urodzili.

Lubimy cieszyć się życiowymi drobiazgami. I często zabieramy dzieci do ich dziadków, tych, co nam zostali. Bardzo nam zależy na tym, żeby tworzyć zwartą rodzinę, bo ostatecznie przecież wiesz, że tylko twoi bliscy będą z tobą na dobre i na złe.

Mamy dwójkę: Marcosa i Sandrę, osiem i pięć lat. Są uroczy, zdrowi i bystrzy, choć tak to pewnie wszyscy rodzice mówią. Postanowiliśmy nie narzucać dzieciom za dużo zasad, ale nie zapominaamy jednak, jak ważna jest dyscyplina. Nie chcemy, żeby powtarzały nasze błędy i miały takie same problemy. Po prostu chcemy im zapewnić życie w normalnej rodzinie, każdy rodzic pragnie dla swoich dzieci tego samego.

Czasami, żeby to osiągnąć, o pewnych sprawach trzeba zapomnieć. Kiedy przestajesz o czymś mówić, kiedy wymazujesz to ze swojego rejestru, zaciera się to w twojej pamięci. Po jakimś czasie masz wrażenie, że to się nigdy naprawdę nie stało. Pod warunkiem, że nie przyjdzie ktoś, kto zacznie grozić ci przeszłością, wyciągać stare winy i straszyć, lepiej zachować milczenie.

To właśnie próbowaliśmy osiągnąć, do teraz.

I mamy nadzieję, że zdołamy tak do końca.

**Kontakt:**

[artrage@artrage.pl](mailto:artrage@artrage.pl)

Z prozy współczesnej w ArtRage do tej pory ukazały się:

- Verena Kessler *Duchy z miasteczka Demmin*  
w tłumaczeniu Małgorzaty Gralińskiej
- Victoria Kielland *Moi mężczyźni*  
w tłumaczeniu Karoliny Drozdowskiej
- Nona Fernández *Strefa mroku*  
w tłumaczeniu Agaty Ostrowskiej
- Aleksandra Pakieła *Oto ciało moje*
- Margaryta Jakowenko *Przemieszczenie*  
w tłumaczeniu Agaty Ostrowskiej
- Charles Yu *Ucieczka z Chinatown*  
w tłumaczeniu Agi Zano
- Andrea Abreu *Ośli brzuch*  
w tłumaczeniu Agaty Ostrowskiej
- Linn Strømsborg *Nigdy, nigdy, nigdy*  
w tłumaczeniu Karoliny Drozdowskiej
- Mohamed Mbougar Sarr *Bractwo*  
w tłumaczeniu Jacka Giszczaka
- Claudia Salazar Jiménez *Krew o świcie*  
w tłumaczeniu Tomasza Pindla
- Jessica Au *Mógłby spaść śnieg*  
w tłumaczeniu Agi Zano

- Kjersti Anfinnsen *Chwile wieczności*  
w tłumaczeniu Karoliny Drozdowskiej
- Jonas Eika *Po słońcu*  
w tłumaczeniu Macieja Bobuli
- Aleksandra Tarnowska *Wniebogłos*
- Nick Cave *Gdy oślica ujrzała anioła*  
w tłumaczeniu Jerzego Łozińskiego
- Sebastian Barry *Tysiąc księżyców*  
w tłumaczeniu Krzysztofa Cieślika
- Adda Djørup *Kot Bułhakowa*  
w tłumaczeniu Zuzanny Zywert
- Michał Michalski *Gruby*
- Linn Strømsborg *Kurwa, kurwa, kurwa*  
w tłumaczeniu Karoliny Drozdowskiej

Tytuł oryginału: *La noche de los alfileres*

Redaktor inicjujący: Krzysztof Cieślik  
Redaktor prowadzący: Michał Michalski  
Koordynacja produkcji: Szczepan Kulpa

Projekt okładki: Sabina Twardowska  
Projekt makiety: Mimi Wasilewska

Redakcja: Krzysztof Cieślik  
Korekta: Michał Trusewicz, Emilia Rydzewska-Smaza

© Santiago Roncagliolo, 2023  
All rights reserved

*La noche de los alfileres* by Santiago Roncagliolo  
© Santiago Roncagliolo, 2016  
All rights reserved

© Copyright for the Polish edition by ArtRage, 2024  
© Copyright for the Polish translation by Tomasz Pindel  
Published by arrangement of Casanovas & Lynch Literary Agency S.L. Spain and Book/Lab  
Literary Agency, Poland

Wydanie pierwsze, Warszawa 2024  
ISBN 978-83-67515-55-9



Wydawnictwo ArtRage  
[wydawnictwo.artrage.pl](http://wydawnictwo.artrage.pl)

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku

[JamaNiamy](http://JamaNiamy)